



Seria NIKE  
Ostatnio ukazały się:  
Philip Roth Wzburzenie  
Philip Roth Upokorzenie  
Jon McGregor Nawet psy

Saul

**Bellow**

**OFIARY**

Przełożył Lech Czyżewski  
Czytelnik I Warszawa 2012

Tytuł oryginału *The Victim*

Copyright © 1947, The Estate of Saul Bellow Copyright renewed ©  
1975, The Estate of Saul Bellow All rights reserved

Opracowanie graficzne Maria Drabecka

Redaktor techniczny Bożena Ławnicka

Korekta

Anna Piątkowska

© Copyright for the Polish translation by Lech Czyżewski, 2012

© Copyright for the Polish edition

by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2012

ISBN 978-83-07-03265-8

*Dla mojego przyjaciela  
Paola Milano*

*Wieść niesie, o królu szczęśliwy, że żył kiedyś bardzo bogaty kupiec, który prowadził swoje sprawy handlowe w różnych krajach. Pewnego dnia dosiadł on konia i wyruszył do któregoś z tych krajów, aby pobrać tam swoje należności. Gdy w drodze zaczął dokuczać mu upał, usiadł pod drzewem, sięgnął ręką do torby podróżnej i zjadł kawałek chleba i daktyla, które wziął z sobą w podróż. Zjadłszy daktyla, wyrzucił pestkę i natychmiast zjawiał się dzinn olbrzymiego wzrostu z mieczem w ręku. Podeszedł do kupca i powiedział: „ Wstań, abym mógł cię zabić tak samo, jak ty zabiłeś mego syna! ”. Rzekł na to kupiec: „Jfakimże sposobem zabiłem twego syna? ” Odpowiedział: „Kiedy zjadłeś daktyla, wyrzuciłeś pestkę, która trafiła mego syna w pierś, a to sprawiło, że natychmiast zmarł”.*

**„Opowieść o kupcu i dzinnie” z *Księgi tysiąca i jednej nocy* (przel. Zbigniew Maśka)**

*I oto teraz, o ile coś takiego jest w ogóle możliwe, na wzburzonej h wodach oceanu zaczęła ukazywać się ludzka twarz: morze robiło się jakby wybrukowane niezliczonymi, zwróconymi ku niebu obliczami - obliczami o wyrazie błagalnym, gniewnym i zrozpaczonym, unoszonymi na falach ku górze całymi tysiącami, miładami, pokoleniami...*

**De Quincey, *Cierpienia wywoływane przez opium* (przel. Mirosław Bielewicz)**

W niektóre wieczory Nowy Jork jest równie upalny jak Bangkok. Wydaje się, że cały kontynent ruszył ze swego miejsca i przesunął się bliżej równika, złowrogi, szary Atlantyk stał się zielony i tropikalny, a ludzie wypełniający ulice zmienili się w barbarzyńskich fel-lachów otoczonych zdumiewającymi pomnikami swej tajemnicy, których światła, w oszałamiającej obfitości, wznoszą się nieskończenie ku górze w gorące niebo.

W taki wieczór Asa Leventhal wysiadł pośpiesznie z pociągu przy Trzeciej Alei. Był tak zamyślony, że niemal przejechał swój przystanek. Gdy go rozpoznał, zerwał się, krzycząc do konduktora: „Hej, zaraz, niech pan chwilę zaczeka!”. Czarne drzwi wiekowego wagonu już się zsuwały; przez chwilę zmagał się z nimi, rozpychając je barkiem, i przecisnął się na zewnątrz. Pociąg odjechał i Leventhal wpa- i rywał się za nim zdyszany, przeklinając, po czym odwrócił się i zszedł na ulicę.

Był ogromnie zirytowany. Spędził popołudnie z bratową na Staten Island. A raczej zmarnował je przez nią. Wkrótce po lunchu zadzwoniła do niego

do biura - był redaktorem w małym czasopiśmie fachowym na dolnym Manhattanie - i od razu wśród przeraźliwych okrzyków zaczęła go błagać, żeby do niej przyjechał, żeby zaraz przyjechał. Jedno z dzieci jest chore.

- Elena - powiedział, gdy tylko zdołał dojść do głosu - jestem zajęty. Opanuj się więc i powiedz: czy to naprawdę poważne?

- Przyjedź natychmiast! Asa, proszę! Natychmiast!

Przycisnął palcem ucho, jakby chciał się osłonić przed jej przenikliwym głosem, i mruknął coś o włoskiej pobudliwości. Potem połączenie zostało przerwane. Odłożył słuchawkę, sądząc, że Elena zadzwoni ponownie, ale telefon milczał. Nie wiedział, jak się z nią skontaktować; nazwiska jego brata nie było w książce telefonicznej Staten Island. Dzwoniła albo ze sklepu, albo od sąsiada. Przez długi czas Leventhal miał bardzo mało do czynienia z bratem i jego rodziną. Zaledwie kilka tygodni wcześniej otrzymał od niego kartkę opatrzoną stemplem Galveston. Pracował w stoczni. Leventhal powiedział wtedy do żony: „Najpierw Norfolk, a teraz Teksas. Wszystko jest lepsze od domu”. To była ta sama historia, co zawsze: Max młodo się ożenił i teraz szukał nowości, przygód. Na Brooklynie i w Jersey było mnóstwo stoczni i miejsc pracy. W tym czasie na Elenie spoczywał ciężar opieki nad dziećmi.

Leventhal powiedział jej prawdę. Był zajęty. Leżała przed nim sterta niesprawdzonych korekt. Po kilku

minutach oczekiwania odsunął telefon i pomrukując z irytacją, wziął do ręki jeden z tekstów. Bez wątpienia dziecko było chore, prawdopodobnie poważnie chore, bo inaczej tak by się nie zachowywała. A ponieważ jego brata nie było, miał poniekąd obowiązek pojechać. Pojedzie wieczorem. To nie mogło być takie pilne. Mówienie spokojnie o czymkolwiek po prostu przekraczało możliwości Eleny. Kilkakrotnie to sobie powtórzył; mimo to jej okrzyki nadal brzmiały mu w uszach wraz z wietrznym szumem elektrycznych wentylatorów na długich prętach i stukaniem maszyn do pisania. A jeśli to naprawdę groźne? I nagle, pod wpływem impulsu, jednocześnie potępiając się za to, wstał, ściągnął marynarkę z oparcia krzesła, podszedł do dziewczyny przy centralce i powiedział:

- Chcę porozmawiać z Beardem. Niech mnie pani zamelduje, dobrze?

Z rękami w kieszeniach, opierając się udami o biurko szefa i pochylając się nieznacznie w jego stronę, oznajmił spokojnie, że musi wyjść.

Twarz pana Bearda, powiększona przez łysinę, ze spiczastym kościstym nosem i pociętym żyłami czołem, przybrała niedowierzający, ostry wyraz.

- Właśnie kiedy trzeba przygotować numer? - zapytał.

- To nagły wypadek w rodzinie - odparł Leven-thal.

- Nie może poczekać kilku godzin?

- Nie szedłbym, gdybym tak sądził.

Odpowiedź pana Bearda na to była krótka i nieprzyjemna. Uderzył metalową linijką w rozłożony wzornik czcionek.

- Niech pan robi, co pan uważa za stosowne - rzekł.

Nie pozostawało nic więcej do powiedzenia, lecz Leventhal ociągał się przy biurku, mając nadzieję na coś jeszcze. Pan Beard przysłonił drżącą dłonią pokryte plamami czoło i w milczeniu studiował artykuł.

- Przeklęty dziad! - mruknął Leventhal do siebie.

Kiedy dotarł do drzwi wyjściowych, zerwała się ulewa z piorunami. Przez chwilę się jej przyglądał. Powietrze nagle zrobiło się niebieskie jak szkło syfonu. Ślepa boczna ściana magazynu na rogu była pocięta czarnymi smugami, a na łukowato wygiętej ulicy połyskiwały zmoczone płyty brukowe i ich zasmołowane spoiny. Leventhal wrócił do biura po płaszcz przeciwdeszczowy i gdy siedł korytarzem, usłyszał, jak pan Beard mówi swoim zrzedliwym, osłarczyielskim głosem:

- Wychodzi w samym środku wszystkiego. W najgorętszym momencie. Kiedy wszyscy inni są zawaleni pracą.

Drugi głos, który rozpoznał jako należący do pana Faya, dyrektora handlowego, odpowiedział:

- To dziwne, że tak po prostu zabiera się i idzie. Coś musiało się stać.

- Nieprzyzwoicie wykorzystuje sytuację -

kontynuował pan Beard. - Jak reszta jego pobratymców. Nie znałem żadnego, który by tego nie robił. Zawsze myślą w pierwszej kolejności o sobie. Dlaczego przynajmniej nie zaproponował, że wróci później?

Pan Fay nic nie odpowiedział.

Leventhal z pozbawioną wyrazu twarzą włożył płaszcz przeciwdeszczowy. Ręka zaplątała mu się w rękawie i przepchnął ją gwałtownym ruchem. Wyszedł z biura swoim dość ociężałym krokiem, zatrzymując się w westybulu, żeby nalać sobie wody ze szklanego pojemnika. Czekaając na windę, spostrzegł, że wciąż trzyma w ręku papierowy kubek. Zgniół go i zamachnąwszy się energicznie, wrzucił między prętami do szybu.

Jazda do przystani promowej trwała krótko i Leventhal nie zdjął w metrze gumowego płaszcza. Było parno; jego twarz pokryła się potem. Łopatki wentylatora kręciły się tak wolno w żółtym półmroku, że mógł liczyć ich obroty. Zanim wyszedł na ulicę, ulewa się skończyła i kiedy statek wypływał z przystani po lekko wezbranej wodzie, znowu wyjrzało słońce. Leventhal stał na pokładzie z płaszczem zarzuconym na ramię, ściskając w ręku jego fałdy. Świeżo pomalowane i porzdewiałe kadłuby statków w porcie kołysały się leniwie. Deszcz przesunął się na horyzont, stając się ciemnym pasem, sięgającym daleko poza nikle zarysy brzegu. Na wodzie powietrze było chłodniejsze, ale po stronie Staten Island wielkie, poszarzałe od brudu zielone magazyny stały rozprażone upałem, a ogromne



betonowe powierzchnie zalewało słoneczne światło. Wysiadający tłum rozsypał się na nich, udając się do szpaleru autobusów czekających z warczącymi silnikami przy krawężniku, w rozedrganej mgielce spalin.

Max mieszkał w dużym domu czynszowym bez windy. Jego mieszkanie, podobnie jak mieszkanie Leventhala przy Irving Place, znajdowało się na jednym z górnych pięter. Po klatce schodowej hałaśliwie biegały dzieci; ściany były pokryte dziecięcymi bazgrołami. Murzyński dozorca w wojskowej czapce mył właśnie podłogę i spojrzał ze złością na ślady pozostawione przez Leventhala. Na podwórzu sztywne żółte pranie huštało się w mocnym słońcu; krążki przy sznurach skrzypiały. Elena nie odpowiedziała na dzwonek Leventhala. Kiedy zapukał, do drzwi podszedł starszy z jego bratanków. Chłopiec go nie poznał. Oczywiście, pomyślał Leventhal, skąd miałby go znać? Spojrzał w górę na nieznajomego, unosząc ramię do oczu, by osłonić je w słonecznym, zakurzonym, ponurym białym korytarzu. W mieszkaniu za nim panował mrok; rolety były opuszczone i wśród bałaganu na stole w pokoju jadalnym paliła się lampa.

- Gdzie twoja matka?

- Jest w środku. Kim pan jest?

- Twoim stryjem - odparł Leventhal. Wchodząc do przedpokoju, musiał przycisnąć się do chłopca. Bratowa wybiegła do niego z kuchni. Zmieniła się; utyla od czasu, gdy widział ją po raz ostatni.

-I co, Elena? - zapytał.

- Och, Asa, jesteś tutaj? - Chwyciła jego rękę.

- Oczywiście, że jestem. Prosiłaś przecież, żebym przyjechał.

- Próbowałam jeszcze raz do ciebie zadzwonić, ale powiedziano mi, że wyszedłeś.

- Czemu jeszcze raz?

- Phillie, odbierz od stryja płaszcz - powiedziała Elena.

- Czy dzwonek nie działa?

- Odłączyliśmy go ze względu na dziecko.

Leventhal upuścił płaszcz w ramiona chłopca i poszedł za nią do pokoju stołowego, gdzie usiłowała opróżnić dla niego krzesło.

- Zobacz, jak tu wygląda - powiedziała. - Nie miałam czasu posprzątać. Jestem myślami daleko stąd. Już trzy tygodnie temu zdjęłam zasłony i nie powiesiłam ich jeszcze z powrotem. A spójrz na mnie.

Odłożyła ubrania, które zdjęła z krzesła, i pokazała mu się z rozłożonymi ramionami. Jej czarne włosy były w nieładzie, pod bawełnianą sukienką miała na sobie koszulę nocną, a stopy były bose. Uśmiechnęła się ze smutkiem. Leventhal, jak zwykle beznamiętny, jedynie skinął głową. Zauważył, że jej oczy są pełne niepokoju, zdecydowanie zbyt jasne i wilgotne; jej ruchy znamionowała jakaś zbyt mocna energia, wskazująca na duchową rozterkę czy nawet szaleństwo, niezbyt pewnie utrzymywane w ryzach. Ale był zbyt wyczulony na takie oznaki. Zdawał sobie z tego sprawę i powstrzymywał się

od pochopnego osądu. Spojrzał na nią znowu. Jej twarz, niegdyś rumiana i ciemna, była bardziej miękka, pełniejsza i bledsza, trochę żółtawa. Mógł wyobrazić ją sobie taką, jaka była dawniej, gdy rzucił okiem na swego bratanka. Był do niej bardzo podobny. Jedyne jego lekko zakrzywiony nos należał do Leven- thalów.

- No więc powiedz mi, Eleno, co się stało.

- Och, Mickey jest chory, jest strasznie chory - odparła Elena.

- Co mu dolega?

- Lekarz mówi, że nie wie, co to jest. Nie może z nim nic zrobić. Cały czas ma wysoką gorączkę. To się zaczęło parę tygodni temu. Daję mu jeść, ale zaraz zwraca. Próbuję wszystkiego. Nie wiem, co powinnam z nim zrobić. A dzisiaj tak się przestraszyłam. Weszłam do pokoju i nie słyszałam jego oddechu.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Le- venthal.

- Dokładnie to, co ci mówię. Nie słyszałam jego oddechu - odparła z naciskiem. - Nie oddychał. Po- łożyłam głowę na poduszce obok jego głowy. Nic nie słyszałam. Przytrzymałam dłoń nad jego nosem. Nic nie czułam. Zrobiło mi się zimno na całym ciele. Myślałam, że sama umrę. Wybiegłam, żeby zadzwonić do lekarza. Nie mogłam go złapać. Dzwoniłam do jego gabinetu i wszędzie. Nie mogłam go znaleźć. Więc potem zatelefonowałam do ciebie. Kiedy wróciłam, oddychał. Wszystko z nim było w porządku. Wtedy spróbowałam do ciebie zadzwonić.

Dłoń Eleny spoczywała na piersi; długie, ostro zakończone palce były brudne; skóra pod nimi była biała i bardzo gładka.

A więc to był ten kryzys. Mógł się domyślić, że chodzi o coś takiego.

- Cały czas oddychał - powiedział dość szorstko.  
- Jak mógłby przestać i znowu zacząć?

- Nie - upierała się. - Nie oddychał.

Spokój Leventhala nie był pełny; był zaprawiony strachem. Odwróciwszy od niej wzrok i patrząc w róg sufitu, myślał: „Co za zabobon! Dokładnie jak w starym kraju. Przypuszczalnie zmarli mogą również wracać do życia i inne takie rzeczy”.

17

- Dlaczego nie przyłożyłaś mu ręki do serca? - zapytał.

IOfiain

- Chyba powinnam była to zrobić...

- Oczywiście, że tak.

- Byłeś zajęty, prawda?

- No pewnie, miałem robotę...

Wyraziła z tego powodu taką skruchę, że postanowił być miłszy. Dlaczegoż by nie; był tutaj, zło już się stało. Zapewnił ją, że należało mu się wolne popołudnie. Pracował w tej firmie od sześciu lat i jeśli po sześciu latach nie miał prawa wziąć paru godzin wolnego z powodów osobistych, to równie dobrze mógł się zwolnić. Mógłby przez miesiąc wychodzić każdego popołudnia, a i tak nie zbliżyłby się nawet do liczby nadgodzin, jakie przepracował bez wynagrodzenia. Gdy

przestał mówić, jego myśli biegły nadal tym samym torem. W służbie publicznej było inaczej. Dostawało się tam zwolnienie lekarskie i szło się do domu, kiedy człowieka bolała głowa. I miało się etat... Ale nie zamierzał się nad tym zatrzymywać. Wstał i obrócił krzesło, jakby chciał zmienić temat swoich rozmyślań, zmieniając pozycję.

- Powinnaś podciągnąć rolety - powiedział do Eleny. - Czemu trzymasz je opuszczone?

- Dzięki temu w pokoju jest chłodniej.

- To odcina dopływ powietrza... I musisz zostawić włączoną lampę. A ona wydziela ciepło.

Przełożyła ubrania z jego krzesła na stół, odsuwając naczynia, chleb, kartony z mlekiem, czasopisma. Domyślał się, że trzyma zaciągnięte rolety tylko po to, by ukryć przed sąsiadami z drugiej strony podwórza swoje niechlujstwo. Patrzył na pokój z niezadowolaniem. A Max włączył się z Norfolk do Galveston i Bóg wie dokąd jeszcze. Być może wolał mieszkać w pensjonatach i hotelach.

Elena dała Philipowi dolara i wysłała go na dół po piwo. Wyjęła pieniądze z wypełnionej drobnia- kami kieszeni w sukience. Kiedy chłopiec wyszedł, Leventhal zapytał, czy mógłby zobaczyć Mickeya.

Leżał w gorącym, zacienionym, dusznym pokoju Eleny, drzemiąc w dużym łóżku stojącym pod ścianą, z prześcieradłem zsuniętym do pasa. Jego krótkie czarne włosy wydawały się wilgotne; miał otwarte usta. Był ubrany w podkoszulek bez rękawów. Leven- I hal

ostrożnie przyłożył wierzch dłoni do jego policzka; był rozpalony. Cofając rękę, uderzył obrączką w słupek łóżka. Spojrzenie, jakie posłała mu Elena, wystraszyło go. Uniósł tę samą rękę w przeproszającym geście i poczuł, że jego twarz robi się czerwona. Ona jednak nie patrzyła już na niego; zaciągała prześcieradło na ramię chłopca. Leventhal wycofał się do przedpokoju i czekał na nią. Powoli zamykała drzwi, lak ostrożnie, że wydawało mu się, iż trwa to całe minuty. Zajrzał do pokoju; pociemniało tam wokół postaci na łóżku, częściowo ukrytej przed nim przez wybrzuszenie szyfoniery. W końcu Elena puściła gałkę u drzwi i wrócili do pokoju stołowego.

Usiadł przygnębiony i ponury. Od razu zaczął przekonywać, że Mickey powinien zostać zabrany do szpitala.

- Kim jest ten twój lekarz? - zapytał. - Co z nim jest nie tak, że pozwala ci trzymać chłopca w domu? Jego miejsce jest w szpitalu.

Wkrótce jednak zdał sobie sprawę, że winna jest Elena, a nie lekarz. Mówiła z wielkim uporem, że lepiej jest mu w domu, gdzie sama może się nim opiekować. Szpitale zdawały się w niej budzić takie przerażenie, że w końcu wykrzyknął:

- Nie bądź taką wieśniaczką, Eleno!

Milczała, chociaż wydawała się bardziej zgnębiona niż obrażona i prawdopodobnie go nie zrozumiała. Był zły na siebie, że jest taki gwałtowny, ale wszystko go tutaj przytłaczało - dom, bratowa, chore dziecko. Jak

chłopiec miał wyzdrowieć w takim miejscu, w tamtym pokoju?

- Na miłość boską, Eleno - przekonywał innym tonem - nie ma powodu bać się szpitala.

Zamknęła oczy i potrząsnęła głową; zaczął formułować kolejne zdanie, lecz zrezygnował i odchylił się tylko w wyścielonym fotelu.

Nagle powiedziała pogodnie, niemal radośnie:

- Jest Philip z piwem.

Wstała, żeby przynieść szklanki. Przez chwilę trwały poszukiwania otwieracza do butelek, ale nie znaleziono go i Philip podważył kapsle na uchwycie metalowej szafki w kuchni. Elena chciała zrobić kanapki, ale Leventhal powiedział, że nie jest głodny.

- Och, wkrótce będzie pora kolacji. Twojej pani nie spodobałoby się, gdyby ci popsuto apetyt. Jak się ona miewa? To taka ładna dziewczyna.

Elena uśmiechnęła się ciepło. Nie знаła nawet imienia jego żony. Spotkały się zaledwie raz czy dwa. Zawahał się, czy powiedzieć jej, że Mary pojechała na kilka tygodni na Południe w odwiedziny do matki. Elena nalegałaby, żeby został.

Pragnąc zmienić temat, zapytał o brata. Max od lutego przebywał w Galveston. Chciał, żeby rodzina do niego dołączyła, ale miasto było tak zatłoczone, że nie można było znaleźć mieszkania. Szukał go, gdy pozwalał mu na to czas.

- Dlaczego nie wraca do Nowego Jorku, gdzie ma mieszkanie? - zapytał Leventhal.

- Och, dobrze tam zarabia, pracuje pięćdziesiąt, sześćdziesiąt godzin tygodniowo. Bardzo dużo mi przysyła. - Nie wydawało się, by czuła się opuszczona ani nawet specjalnie zmartwiona nieobecnością Maksa.

Pośpiesznie wypiwszy piwo, Leventhal wstał, mówiąc, że być może wróci jeszcze na godzinę do redakcji, żeby dokończyć parę rzeczy. Elena podała mu numer telefonu sąsiada; przepisał go do notesu i powiedział, żeby zadzwoniła za dzień albo dwa, gdyby Mickeyowi się nie poprawiło. Przy drzwiach zawołał Philipa i dał mu ćwierć dolara na colę. Chłopiec wziął monetę, mrużąc „Dziękuję”, ale ze spojrzeniem, które odmawiało zaciągnięcia jakiegokolwiek zobowiązania. Prawdopodobnie ćwierć dolara niewiele dla niego znaczyło. Kieszeń Eleny pełna była drobniaków; musiała je hojnie rozdzielać. Leventhal przeciągnął palcem po policzku chłopca. Philip spuścił głowę i Leventhal, nieco rozczarowany i niezadowolony z siebie, opuścił dom.

Musiał długo czekać na autobus i kiedy dojechał na Manhattan, panował już zmrok. Za późno, żeby przydać się na coś w redakcji, niemniej jednak zastanawiał się na South Ferry, w mrocznym brązowym upale, czy jeszcze tam wrócić. „Ach, poradzą sobie dzisiaj beze mnie” - zdecydował w końcu. Beard odczytałby jego przyście teraz jako przyznanie się do winy. Co więcej, mogłoby to wywołać wrażenie, jakby usiłował wyrobić sobie opinię jednego z „pobratymców”, który jest inny. Nie, nie mogą dać nawet najmniejszych podstaw do tego,



pomyślał Leventhal. Zje wczesną kolację i pojedzie do domu. Odczuwał bardziej pragnienie niż głód, ale musiał coś zjeść. Raptownie ruszył z miejsca i poszedł w kierunku pociągu.

Leventhal był mocno zbudowany i miał dużą głowę; jego nos także był duży. Miał czarne włosy, kędzierzawe i faliste, a jego oczy pod zrośniętymi brwiami były intensywnie czarne i odznaczały się wielkością niespotykaną na dorosłych twarzach. Choć jednak po dziecięcemu duże, nie były dziecięce w wyrazie. Zdawały się ujawniać inteligencję niezbyt zainteresowaną własnymi zdolnościami, jakby wołała nie zwracać sobie nimi głowy i pozostać obojętną; i obojętność ta zdawała się rozciągać na innych ludzi. Nie wyglądał na ponurego, lecz raczej nieprzystępnego, beznamiętnego. Tego wieczora, z powodu upału, był rozchelstany, ale nawet w normalnych warunkach rzadko bywał schludny. Krawat miał przekrzywiony i niezaciągnięty na kołnierzyku; mankiety koszuli wystawały z rękawów marynarki i zakrywały grube smagle nadgarstki; spodnie zwisały luźno na kolanach.

Leventhal pochodził z Hartford. Odbył tam naukę w szkole średniej, a potem wyjechał z domu. Jego ojciec, który miał mały sklep tekstylny, był porywczym człowiekiem, surowym i samolubnym w stosunkach z synami. Ich matka zmarła w zakładzie dla obłąkanych, kiedy Leventhal miał osiem lat, a jego brat sześć. Po jej zniknięciu z domu stary Leventhal odpowiadał na ich pytania o nią pełnym gory-

czy „odeszła”, dając do zrozumienia, że ich porzuciła. Byli niemal dorośli, gdy dowiedzieli się, co się z nią stało.

Max nie dobiegł do końca szkoły średniej; przerwał naukę w drugiej klasie. Leventhal ukończył szkołę, po czym wyjechał do Nowego Jorku, gdzie przez pewien czas pracował u licytatora nazwiskiem Harkavy, przyjaciela swego wuja Schactera. Harka- vy wziął Leventhala pod swoje skrzydła; zachęcił go do pójścia na studia wieczorowe i nawet pożyczył mu pieniądze. Leventhal zapisał się na kurs przygotowawczy na studia prawnicze, ale nie radził sobie na nim zbyt dobrze. Być może przytłaczała go świadomość, że podjął się czegoś trudnego. A sama uczelnia - jej atmosfera, zwłaszcza w przygnębiające zimowe wieczory, zawziętość części studentów, z których wielu było po pięćdziesiątce, steranych życiem, lecz nieustępliwych - rozstrajała go. Nie potrafił się uczyć, nigdy nie posiadał tej umiejętności w pokoju na tyłach sklepu ojca. Ukończył kurs, nieczym się jednak nie wyróżniając, i nie zachęcano go do pójścia dalej na prawo. Byłby zadowolony, mogąc pozostać asystentem Harkavy'ego, ale stary zachorował na zapalenie płuc i zmarł. Jego syn Daniel, będący wówczas studentem trzeciego roku w Cornell, porzucił uczelnię, żeby przejąć interes. Leventhal pamiętał jeszcze, jak tamten wszedł po pogrzebie do sklepu w futrze z niedźwiedzia, wysoki, jasnowłosy, poważny, i powiedział z przejęciem do każdego z pracowników: „Musimy się okopać i utrzymać pozycję!?” Leventhal,

będący praktycznie wychowankiem starego, był zbyt przygnębiony jego śmiercią i miał zdecydowanie za mało wiary w siebie, by móc się Danielowi na wiele przydać. Sklep został wkrótce zamknięty. Powrót do Hartford nie wchodził w rachubę (jego ojciec ponownie się ożenił) i Leventhal, który zaczął włóczyć się bez celu z miejsca na miejsce, po niedługim czasie, już w kilka miesięcy po śmierci Harkavy'ego, mieszkał w brudnej klitce na East Side, wychudły i przymierający głodem. Przez pewien czas sprzedawał w soboty buty w przyziemiu domu towarowego. Później znalazł stałe zajęcie jako farbiarz futer, a potem przez mniej więcej rok pracował jako recepcjonista w podrzędnym hotelu na dolnym Broadwayu. Następnie otrzymał powołanie do służby cywilnej i wyraził gotowość „podjęcia pracy gdziekolwiek w Stanach Zjednoczonych”. Wysłano go do urzędu celnego w Baltimore.

Życie, jakie prowadził w Baltimore, znacznie różniło się od wcześniejszego; nie było takie samotne. Powoli dotarło do niego, że w Nowym Jorku uważał samotność za rzecz tak oczywistą, iż prawie sobie nie uświadamiał, jak bardzo go ona unieszczęśliwia. Podczas pierwszej zimy w urzędzie celnym zaproponowano mu, by dołączył do grupy osób jeżdżących w soboty do opery w Waszyngtonie. Wysiedział przez pięć albo sześć przedstawień z czymś w rodzaju pełnego rezerwy, sceptycznego zainteresowania. Zaczął jednak regularnie wychodzić. Polubił owoce morza. Kupił sobie dwa garnitury i palto - on, który od października do

kwietnia pocił się w ciężkim płaszczu z wielbłądziej wełny, podarowanym mu przez starego Harkavy'ego.

Podczas pikniku na brzegu Chesapeake Bay w pewne Święto Niepodległości zakochał się w siostrze jednego ze swoich przyjaciół. Była wysoką, ładną dziewczyną o ociężałych ruchach. Śledził ją wzrokiem w nieustającym, ognistym blasku zatoki, gdy wyszła na nabrzeże z łodzi wycieczkowej i ruszyła pod rękę z bratem w stronę zagajnika i aromatycznego dymu z grilla, kłębiącego się wśród drzew. Później widział ją biegnącą z ramionami przy ciele w kobiecym wyścigu. Jako że była wśród maruderek, zatrzymała się i zesza z toru, śmiejąc się i wycierając twarz chusteczką z tego samego materiału, co jej jedwabna letnia sukienka. Leventhal stał obok jej brata. Podeszła do nich i powiedziała: „No cóż, kiedy byłam mniejsza, potrafiłam całkiem nieźle biegać”. To, że wciąż nie przywykła do tego, by myśleć o sobie jako o kobiecie, i to pięknej kobiecie, obudziło w Leventhalu wielką czułość dla niej. Zaprzętała jego myśli, gdy przyglądał się kicającym po łące zawodnikom w wyścigu par związanych za nogi. Zwróć cii uwagę zwłaszcza na jednego z nich, rudowłosego mężczyznę, który z wysiłkiem biegł naprzód, zły na swoją partnerkę, jakby wyścig był udreńką i upokorzeniem, które może wymazać jedynie zwyciężając. „Jakaż różnica” - powiedział Leventhal do siebie. „Jakaż różnica między ludźmi”.

Wziął udział w biegu z jajkiem, pływał, czuł, że jego siły żywotne tamtego dnia roztajały. Był z Mary

przez większą część popołudnia. Zabrali kanapki na plażę i stąpali lekko po białym piasku, szukając ustronnego miejsca. Od zachodu słońca, gdy wyruszyli w drogę powrotną, do czasu, gdy wpłynęli w skwar ospałego portu między rufami tankowców i przez żółtą mgielkę rozsnutą nad wodą oraz w powietrzu przez fabryki i przystanie, siedzieli razem na tylnym pokładzie małego parowca. Jej brat czekał na nią w tłumie przy trapie i pożegnali się wśród syku pary ulatującej swobodnie ku niebu.

Jesienią byli już zaręczeni i Leventhala zdumiewał jego sukces. Wydawało mu się, że surowość jego życia zdeformowała go i że deformacja ta będzie oczywista dla dziewczyny takiej jak Mary i odstrę- czy ją. Nie był jej całkowicie pewien i rzeczywiście w miesiąc po zaręczynach wydarzyło się coś strasznego. Mary wyznała, że nie jest w stanie zerwać sLa- rego związku z innym mężczyzną, żonatym mężczyzną. Chwila była tak bolesna, że Leventhalowi niemal odjęło mowę. Spojrzał na nią - siedzieli w restauracji. Potem zapytał, czy nadal widywała się z tym mężczyzną w okresie ich narzeczeństwa. Odpowiedziała, że tak, i wydawało się, że dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę z powagi sytuacji. Podniósł się, by odejść, a kiedy spróbowała go zatrzymać, odepchnął ją, tak że straciła równowagę w boksie i upadła. Pomógł jej wstać; jej usta zrobiły się białe i odwróciła od niego wzrok. Wyszli z restauracji razem - poczekała nawet, aż zapłaci rachunek - ale na zewnątrz natychmiast rozdzielili się bez słowa.

Mniej więcej dwa lata później przysłała mu przyjazny list. Nie wiedział, jak odpowiedzieć. List stał na toalecie, przypominając mu o sobie każdego wieczora i zagłuszając wszystkie inne jego myśli. Wciąż się nad tym zastanawiał, gdy otrzymał od niej drugi list. Prosiła go w nim wprost, by wziął pod uwagę, jak była udręczona; przyznawała, że usiłowała położyć kres swemu zadurzeniu, zaręczając się z nim, ale nie był to jedyny powód; nie wybrała go na chybił trafił. Leventhal stwierdził, że na ten list łatwiej jest mu odpowiedzieć. Zaczęli korespondować. W Boże Narodzenie pojechał ją odwiedzić i sędzia pokoju w Wilmington udzielił im ślubu.

W międzyczasie przeniósł się z powrotem do Nowego Jorku, opuściwszy Baltimore w kilka tygodni po zerwaniu zaręczyn. Daniel Harkavy jakimś sposobem wylądował w czasopiśmie fachowym. Leventhal, który wcześniej redagował wydanie regulaminu służby celnej, uznał, że on również może wykonywać tego rodzaju pracę. Skontaktował się z Harkavym i ten odpisał, że na pewno zdoła mu znaleźć miejsce w jakiejś gazecie, jeśli chce przyjechać do Nowego Jorku. Harkavy miał rozległe znajomości. Leventhal zapakował pewnego tygodnia kufer i wysłał go na adres pensjonatu Harkavy'ego. Nie mógł już znieść Baltimore, czuł się tam zbyt nieszczęśliwy. Później nie był w stanie o tym myśleć bez oblewania się rumieńcem i krzywienia z niesmakiem ust. Człowiek, który dorastał wśród wyrzeczeń, powinien wiedzieć, że nie należy

zdawać się w ten sposób na łaskę i niełaskę losu. Już wtedy uświadamiał sobie, jak nierozważne jest porzucanie pracy, a tym bardziej pokładanie wiary w Harkavym, powiedział więc szefowi, że wypowiada, by przyjąć inną posadę. Wstydział się powiedzieć mu prawdę.

Stwierdził, że Harkavy wygląda nieco inaczej niż przedtem. Zaczął łysieć i zapuścił rude wąsy. Zachowywał się z nadmierną pewnością siebie; nosił teraz wielkie muszki i czarne zamszowe buty. Ale w gruncie rzeczy pozostał ten sam. Pisał wcześniej o swoich znajomościach, ale teraz potrafił sobie przypomnieć tylko jednego człowieka, do którego mógł się zwrócić. Był to pochodzący z Kentucky mężczyzna w średnim wieku, nazwiskiem Williston, niski i rumiany, o szerokiej głowie, w poprzek której z rodzajem prowincjonalnej niedzielnej staranności zaczesane były brązowe włosy. Był jednym z tych ludzi, którzy zachowują swoje regionalne cechy po dwudziestu latach spędzonych w Nowym Jorku. Był zimny jesienny dzień i obok biurka stał elektryczny grzejnik. Williston siedział wygodnie w obrotowym fotelu, od czasu do czasu unosząc stopę, żeby ją ogrzać nad spiralami.

Nie, powiedział, w jego redakcji nie ma wakatu. Człowiek z doświadczeniem zawodowym może nawet teraz, w ciężkich czasach, coś znaleźć. Niedoświadczony nie ma szans. Chyba że fuksem - jego but połykiwał nad wypolerowanym grzejnikiem - chyba, że zna kogoś bardzo wpływowego.

- My nie znamy - rzekł Harkavy. - Nie mamy dojść. A jak ma zdobyć doświadczenie?

Williston powiedział, że nie doradzałby, aby Leventhal próbował się zatrudnić jako goniec noszący z czeredą chłopców maszynopisy do drukarni za sześć dolarów tygodniowo. Nawet o takie posady było teraz trudno. Zalecałby, żeby trzymał się swojego fachu. Twarz Leventhala pociemniała, bardziej dlatego, że sam czynił sobie wyrzuty, niż dlatego, że brał mu tę radę za złe. Mógł poprosić o przeniesienie, zamiast zupełnie odchodzić ze służby cywilnej, i przeczekać, niezależnie od tego, jak długo mogłoby to potrwać. Podejrzał, że Williston po części odgadł, co się stało. To, co zrobił, wprawiło go w osłupienie. Ale Harkavy, mówiąc o sobie, powiedział, że dostał posadę szczęśliwym trafem, chociaż nie miał doświadczenia. O nie, odparł Williston, nazwisko jego ojca znaczyło coś w branży antykwarycznej - Harkavy pracował w piśmie dla licytatorów i handlarzy antykami. „Leventhal przez długi czas był zatrudniony u mojego ojca i u mnie”, powiedział Harkavy. A Williston uniósł ramiona i wpatrywał się w tarczę grzejnika, jakby chciał powiedzieć: „W Lakim razie nic nie jest dla niego za dobre”. Zdawało się, że pożałował tego gestu, ujrawszy zboląły, spuszczone wzrok Leventhala. Oczywiście zrobi, co w jego mocy, powiedział, ale nie chce, żeby obiecywali sobie zbyt wiele. Zadzwoni do paru ludzi, a tymczasem Leventhal może zacząć chodzić po redakcjach.



Zaczął w poczuciu całkowitej beznadziejności. Pomniejsze czasopisma fachowe po prostu odprawiały go z kwitkiem. Większe dawały mu formularze do wypełnienia; czasami spędzał kilka minut z kadrowcem i miał sposobność uścisnąć czyjąś dłoń. Stopniowo stał się osobliwie agresywny i omijając sekretarki, wdzierał się do biura, zatrzymywał każdego, kto wydawał się mieć coś do powiedzenia, i przedstawiał się. Spotykał się ze zdumieniem, chłodem i gniewem. Często sam wpadał w gniew<sup>7</sup>. Są przerażeni -powiedział do Harkavy'ego - kiedy ktoś zachowuje się niekonwencjonalnie, schodzi z wytyczonej ścieżki. Ale wytyczona ścieżka prowadzi za drzwi. Jak mogą oczekiwać, że się na niej pozostanie? Omawiał to dość rozsądnie z Harkavym, ale prowokacje i spięcia trwały nadal, i w gorączce tych prowokacji często tracił z pola widzenia swój prawdziwy cel. Kiedy się golił albo wchodził do banku, żeby podjąć pieniądze z rachunku oszczędnościowego, przypominał czasami samemu sobie, że w gruncie rzeczy udaremnia własne zamiary i że każdy, kto jakimś cudem miałby posadę do zaoferowania, nie dałby jej jemu. Ale się nie zmieniał.

Ten dziwny stan trwał około dwóch miesięcy. Potem, ponieważ coraz trudniej było mieszkać z Harkavym (kilka razy w tygodniu podejmował wieczorem przyjaciółkę i Leventhal, którego wypraszano z pokoju, chodził do kina albo przesiadywał w kafeterii) i ponieważ kończyły mu się pieniądze, Leventhal postanowił przyjąć jakąkolwiek pracę, pierwszą, jaka się

nadarzy - myślał o spróbowaniu szczęścia w swoim dawnym hotelu na dolnym Broadwayu - i wtedy otrzymał wiadomość od Willistona, który proponował mu posadę u siebie. Jeden z jego ludzi zachorował i musiał pojechać na zimę do Arizony; Leventhal mógł go zastąpić do czasu jego powrotu.

Tak więc Willistonowi zawdzięczał start w branży. Był wdzięczny i ciężko dla niego pracował, przy czym odkrył, że ma smykałkę do tego fachu. Od czerwca do końca lata znowu był bezrobotny - to również był trudny okres. Miał już jednak półroczne doświadczenie i w końcu znalazł posadę w firmie Burke-Beard i Spółka. Jeśli nie liczyć sporadycznych nieporozumień z Beardem, był zadowolony. Powodziło mu się naprawdę lepiej niż w służbie cywilnej.

Mówił czasem do Mary, dając wyraz swoim najgłębszym uczuciom: „Miałem szczęście. Upiekło mi się”. Miał na myśli to, że jego nieudany start, jego błędy, rzeczy, które mogły go zniszczyć, sprzęgły się jakoś, zapewniając mu powodzenie. Omal nie dołączył do tej części ludzkości, o której często myślał (nigdy nie zapomniał hotelu na dolnym Broadwayu), tej części, której się nie upiekło - przegranych, odrzuconych, pokonanych, stłamszonych, zrujnowanych.

3

Teść Leventhala niedawno zmarł i rodzina przekonała jego teściową, by pozbyła się domu w Baltimore i zamieszkała z synem w Charleston. Mary pojechała pomóc jej się przenieść.

Podczas nieobecności żony Leventhal jadał we włoskiej restauracji w sąsiedztwie. Mieściła się ona w przyziemiu starej kamienicy czynszowej. Pokry-

33

te sztukaterią ściany były niemal czarne. Panował tam wilgotny zapach drewna, unoszący się z trocin rozsypanych na podłodze z desek. Mimo to restauracja odpowiadała mu; posiłki były tanie i zwykle nie musiał czekać na stolik. Dziś wieczorem jednak tylko jeden był wolny. Kelner zaprowadził go do niego. Stał w rogu, za wystającą ścianą, która odcinała dopływ powietrza z wentylatora. Już miał zaprotestować i z irytacją otworzył usta, lecz kelner, śniady mężczyzna o rzadkich włosach przyklejonych do spoconego czoła, uprzedził go zmęczonym i dość nieszczerym wzruszeniem ramion, pokazując ruchem ręki z serwetką, że lokal jest pełen. Leventhal rzucił kapelusz na krzesło, odsunął naczynia i pochylił się do przodu, wsparty na łokciach. Obok wejścia do kuchni właściciel i jego żona kończyli jeść kolację. Kobieta przywitała go spojrzeniem, na co odpowiedział, unosząc się lekko na krześle. Kelner przyniósł jego posiłek, omlet na obtłuczonym, szerniałym emaliowanym talerzu z zastygłym na brzegu sosem pomidorowym, sałatkę i kilka moreli z puszki. W miarę jedzenia jego nastrój stopniowo się poprawiał. Kawa była słodka i gęsta; wypił nawet fusy i z westchnieniem odstawił filiżankę. Zapalił cygaro. Nikt nie czekał na ten stolik, więc siedział jeszcze przez chwilę odchylony do tyłu, pykając z cygara, z dłońmi splecionymi na gęsto porośniętym włosami karku. Z

gospody naprzeciw dobiegały powolne dźwięki gitary, z których lżejsze ulatywały w dal, a głębsze spokojnie się powtarzały

Po niedługim czasie wsunął napiwek pod spodek i wyszedł.

Na niebie wciąż pałał czerwony blask, jak płomień w głębi ogromnego piekarskiego pieca; dzień nie ustępował jeszcze, zionąc ogniście ponad czernią wybrzeża Jersey. Hudson połyskiwał słabo i Leventhalowi wydawało się, że morze nie jest bardziej obezwładniające w swym chłodzie niż metro pod jego stopami w swoim skwarze; pociągi przemykające pod kratownicami szybów wentylacyjnych i wzdłuż pochyłych brunatnych ścian skalnych zdawały się detonować ładunki metalowego kurzu. Przeszedł przez mały park, w którym podwójny krąg ławek był gęsto wypełniony ludźmi. Przed każdym wodotryskiem z pitną wodą stały kolejki; ciepła woda spływała leniwie i tryskała do kamiennych ujęć. Wzdłuż wszystkich boków zielonego skweru nieprzerwanym strumieniem przemykały samochody i taksówki, a ociążałe autobusy wlokły się z głębokim pomrukiem, zjeżdżając z wysokiego niebieskiego stożka światła u szczytu ulicy przez bładosińską poświatę. W porośniętych krzewami i drzewami zakątkach bawiły się i krzyczały dzieci, a na jednym z chodników śpiewała, bębniła i trąbiła orkiestra ruchu odnowy religijnej. Leventhal nie pozostał długo w parku. Wolnym krokiem poszedł do domu. Pomyślał, że zmiksuje sobie zimny napój i położy się przy otwartym

oknie.

Mieszkanie Leventhala było przestronne. W lepszej dzielnicy albo trzy piętra niżej musiałby płacić dwa razy więcej za jego wynajęcie. Ale klatka schodowa była wąska, duszna i kręta. Chociaż wchodził powoli, po dotarciu na trzecie piętro był zdyszany, a jego serce biło ociężale. Przed otwarciem drzwi odpoczął. Wchodząc, rzucił płaszcz na podłogę i opadł na obite tkaniną dekoracyjną niskie łóżko w pokoju dziennym. Mary przestawiła niektóre krzesła w kąty i okryła je prześcieradłami. Nie mogła polegać na tym, że będzie w ciągu dnia zamykał okna i zaciągał rolety i zasłony. Tego popołudnia w mieszkaniu była sprzątaczką i unosił się intensywny zapach proszku do prania. Wstał i otworzył okno. Zasłony raz się zakolysały, po czym znowu zastygły w bezruchu. Po przeciwnej stronie ulicy znajdowało się rzęsiście oświetlone kino; na jego dachu ciężko i krzywo na swoim rusztowaniu z belek stał zbiornik na wodę; nasady kominowe, które klekotały przy najłżejszym tchnieniu powietrza, były nieruchome.

Włączył się silnik lodówki. Pojemniki na lód były puste i grzechotały. Wilma, sprzątaczką, rozmroziła lodówkę i zapomniała je ponownie napełnić. Poszukał butelki piwa, którą zauważył poprzedniego dnia; zniknęła. W środku było tylko kilka cytryn i trochę mleka. Wypił szklankę mleka, które go orzeźwiło. Zdjął już koszulę i siedział na łóżku, rozwiązując buty, gdy krótko zabrzączał dzwonek. Skwapliwie otworzył drzwi i krzyknął: „Kto tam?”. Mieszkanie było nieznośnie

puste. Miał nadzieję, że ktoś przypomniał sobie, iż Mary wyjechała, i przyszedł dotrzymać mu towarzystwa. W dole nikt nie odpowiedział. Zawołał niecierpliwie znowu. Było bardzo prawdopodobne, że ktoś nacisnął niewłaściwy guzik, ale nie słyszał, żeby otwierały się inne drzwi. Czy mógł to być głupi żart? Nie był to sezon na takie rzeczy. Nic nie poruszyło się na klatce schodowej i odkrycie, jak bardzo tęskni za jakimś gościem, pogłębiło tylko jego przygnębienie. Wyciągnął się na łóżku, wyjmując poduszkę spod narzuty i składając ją na pół. Pomyślał, że się zdrzemnie. Lecz chwilę później stał przy oknie, przytrzymując obiema rękami zasłony. Miał wrażenie, że spał. Terkoczący zegar elektryczny na nocnym stoliku wskazywał jednak dopiero wpół do dziewiątej. Minęło zaledwie pięć minut.

„Nie, nie powinienem był wychodzić” - powiedział do siebie. Nagle wypełniły go złe przecucia. To był błąd tak wybiegać z biura. Gdyby dobrze się nad tym zastanowił, poczekałby do wieczora. Jeszcze pięć minut i Elena znowu by do niego zadzwoniła. Dlaczego więc nie zaczekał? Czy rzeczywiście chciał choć raz wystawić Bearda do wiatru, czy dlatego wyszedł z biura? Nie, a poza tym uwaga Bearda była obrzydliwa. Nie zaskoczyła go jednak. Zawsze wiedział, że jest on zdolny do powiedzenia czegoś takiego. Jeśli ktoś kogoś nie lubi, nie będzie go lubił ze wszystkich powodów, jakie zdoła wymyślić. To nie było ważne, a jedynie obrzydliwe. Mimo to nie powinien był wychodzić. Umył twarz, włożył koszulę i wyszedł z mieszkania. Jego

problem polega na tym, pomyślał, że kiedy nie ma czasu, żeby się zastanowić, kiedy znajduje się pod presją, zachowuje się jak głupiec. To głównie go niepokoiło. Na przykład w zeszłym tygodniu zecer Dunhill sprzedał mu w drukarni bilet, którego nie chciał. Zapewniał go, że nie przepada za teatrem i nie wiedziałby, co zrobić z pojedynczym biletem - było to przed wyjazdem Mary. Ponieważ jednak Dunhill nalegał, kupił bilet. Dał go jednej z dziewcząt w biurze. A przecież gdyby tylko był w stanie powiedzieć na samym początku: „Nie kupię od pana biletu...”.

- Po co właściwie to robię? - mruknął, marszcząc czoło.

Pojawił się jeden z sąsiadów, z obnażonym torsem i w spodenkach do tenisa, i ustawił pod drzwiami brzęczącą torbę z butelkami, żeby mógł ją wynieść dozorca.

Na schodach przed domem siedział portorykański gospodarz domu, pan Nunez, w słomkowym kapeluszu i chińskich słomianych pantoflach na ciemnych stopach. Leventhal zapytał go, czy nie zauważył, by ktoś do niego dzwonił, na co tamten odparł, że jest na schodach od pół godziny i że w ciągu ostatnich piętnastu minut nikt nie wychodził ani nie wchodził.

- Może słyszał pan radio - zasugerował. - Czasami wydaje mi się, że ktoś jest w domu i do mnie mówi, a to tylko gdzieś gra radio.

- Nie, brzęczał dzwonek - stanowczo stwierdził Leventhal; poważnie spojrzął na dozorcę. - Myśli pan,

że to był dzwonek windy kuchennej?

- Chyba że ktoś majstrował coś w piwnicy. Ja go dziś wieczorem nie dotykałem.

Leventhal poszedł do parku. Może było to radio, choć tak nie sądził. Może coś w przewodach, spowodowanego upałem - nie znał się zbyt dobrze na elektryczności - albo winda kuchenna. Naprawdę niepokoiło go, że być może winne były jego nerwy i że wyobraził sobie dzwonek tak samo, jak wyobraził sobie to, że spał. Od wyjazdu Mary miał rozchwiane nerwy. Na całą noc zostawiał zapalone światło w łazience. Trochę zawstydzony przed samym sobą zamknął poprzedniego dnia drzwi do łazienki przed położeniem się do łóżka, ale zostawił włączone światło. To uczucie, że jest przez coś zagrożony, kiedy śpi, było absurdalne. A to nie wszystko. Wyobrażał sobie, że widzi myszy przemykające wzdłuż ścian. W mieszkaniu rzeczywiście były myszy. Budynek był stary; pod podłogami na pewno znajdowały się ich gniazda. Nie odczuwał przed nimi lęku, a jednak zaczął gwałtownie obracać głowę, gdy wydawało mu się, że dostrzega ruch. A teraz nie był w stanie zasnąć. Upał nigdy dotąd nie zakłócał jego snu. Był pewien, że jest niezdrowszy.

Park był nawet bardziej zatłoczony niż poprzednio i wypełniony zgielkiem. Na rogu stała jeszcze jedna orkiestra ruchu odnowy religijnej i jazgot obydwu łączył się w dezorientujący sposób ponad innymi dźwiękami. Latarnie były pożółkłe, oblepione muchami i ćmami. Na jednej ze ścieżek stary mężczyzna, ogorzały od słońca i



muskularny, w płóciennej czapce na głowie, pucował buty. Woda w wodotrysku miała zielony, ołowiany połysk. Dzieci w bieleńcach brodziły i tarzały się w pył wodnym pod spojrzeciami rodziców. Oczy wydawały się łagodniejsze niż za dnia, a także większe, i przyglądały się człowiekowi dłużej, jakby w mrocznym upale jakaś przestrzeń rezerwy została przekroczona i obcy sobie ludzie mogli się do siebie zbliżyć, rozpoznając się nawzajem. Człowiek patrzył i przynajmniej wydawało mu się, że zna tego, kogo widzi.

Coś takiego mniej więcej myślał Leventhal, czekając na swoją kolej przy wodotrysku, gdy nagle doznał uczucia, że ktoś nie tylko na niego patrzy, ale go obserwuje. Jeśli bardzo się nie mylił, jakiś mężczyzna przypatrywał mu się, krocząc wolno obok niego, w miarę jak kolejka przesuwała się do przodu. „Wydaje się, że mnie zna” - pomyślał. A może ten mężczyzna jedynie wałęsał się tam, był tylko przypadkowym gapiem? Leventhal natychmiast nabrał rezerwy, częściowo po to, by przywołać do porządku swoje nerwy, swoją rozbudzoną wyobraźnię. Ale to nie było dzieło wyobraźni. Kiedy zrobił krok naprzód, mężczyzna przesunął się również, opuszczając głowę, jakby chciał ukryć uśmiech wywołany sztywnym wyrazem twarzy Leventhala. W jego oczach nie było jednak ani śladu rozbawienia - stał teraz bardzo blisko; były szydercze i zimne.

„Kim jest ten typ?” - zapytał Leventhal samego siebie. „Niezły z niego aktor. Mój Boże, mój Boże, cóż

to za gagatek? Jeden z tych facetów, którzy chcą, żebyś myślał, iż mogą zajrzeć w głąb twojej duszy”.

Spróbował zmusić go spojrzeniem do spuszczenia wzroku, dopiero teraz uświadomiwszy sobie, jaki tamten jest bezczelny. Ale mężczyzna nie odczepił się. Był wyższy od Leventhala, ale znacznie mniej masywny; rosły, ale nie atletyczny. „Jeśli coś zacznie

- pomyślał - schwyć go za prawe ramię i pozbawię równowagi... Nie, za lewe, i pociągnę w swoją lewą stronę; to moja mocniejsza strona. A kiedy będzie padał, uderzę go kantem dłoni w kark. Ale dlaczego miałby coś zaczynać? Nie ma powodu”.

Był gotowy i zdecydowany; mimo to drżały mu ramiona i czuł cały czas, że on sam, za sprawą rozdygotanych nerwów, jest przyczyną swego wzburzenia i podejrzliwości. Wtedy ze zdumieniem usłyszał, jak nieznamy wymawia jego nazwisko.

- Co, zna mnie pan? - zapytał głośno.
- Czy pana znam? Pan jest Leventhal, nieprawdaż? Dlaczego miałbym pana nie znać? Tak sobie jednak myślałem, że może mnie pan nie rozpoznać. Spotkaliśmy się zaledwie kilka razy i przypuszczam, że wyglądam trochę inaczej niż kiedyś.
- Och, Allbee, nieprawdaż? Allbee? - wolno powiedział Leventhal, stopniowo sobie przypominając-
- Kirby Allbee. Więc rozpoznaje mnie pan?
- A niech mnie diabli - rzekł Leventhal, ale powiedział to dość obojętnie. A jeśli nawet był to Kirby Allbee? I rzeczywiście bardzo się zmienił, ale co z tego?

Właśnie wtedy kilka osób w ogonku popchnęło go naprzód. Była jego kolej przy wodotrysku i pijąc łyk ciepłej wody, spojrzął z ukosa na Allbeego. Kobieta, która piła przed nim - była mocno umalowana i w'yglądała jak tancerka rewiowa, która wymknęła się z teatru, by zaczerpnąć powietrza - zagradzała drogę Allbeemu i kiedy usiłował on zejść na bok, pochwycony w kręgu ludzi wokół wodotrysku, Le-venthal oddalił się.

Nigdy nie lubił tego Allbeego, ale tak naprawdę nigdy wiele o nim nie myślał. Dlaczego więc tak łatwo przypomniał sobie jego nazwisko? Miał słabą pamięć do nazwisk, a jednak kiedy zobaczył tego mężczyznę, niemal od razu go rozpoznał. „Cóż to za maszynka, ten umysł” - pomyślał, a na jego twarzy pojawiło się coś zbliżonego do uśmiechu. „Gdyby człowiekowi włosy wyrosły na dłoni, mniej by się zdziwił niż z powodu niektórych rzeczy, które rodzą mu się w głowie”.

- Hej, niech pan zaczeka!

Allbee szedł za nim, przeciskając się przez tłum.

„Czego on chce?” - z irytacją zapytał Leventhal samego siebie.

- Niech pan poczeka, dokąd pan idzie?

Leventhal nie odpowiedział. Co go to obchodziło?

- Idzie pan do domu?

- Tak, pomalutku - odparł chłodno.

- Jak to, dowiedział się pan, że wciąż istnieję, i idzie pan do domu, czy tak? - Dziwnie się uśmiechał.

- Czemu miałbym wątpić w pańskie istnienie? -

Leventhal również się uśmiechał, ale bez wielkiej wesołości. - Czy jest jakiś powód, dla którego miałby pan nie istnieć? Obawiam się, że nie rozumiem.

- Chodzi mi o to, że chciał pan tylko na mnie spojrzeć.

- Słucham? - zapytał Leventhal. Podciągnął brwi do góry. - Spojrzeć?

- Tak, sądzę, że chciał pan to zrobić, żeby zobaczyć, jak sobie poradziłem. Rezultat.

- Wyszedłem, żeby się trochę ochłodzić. - Zaczynał być naprawdę rozdrażniony. - Dlaczego pan sądzi, że ma to coś wspólnego z panem?

- No cóż, nie spodziewałem się tego - odparł All- bee. - Oczywiście nie wiedziałem, czego się spodziewać. Zastanawiałem się, jaką linię postępowania przyjmie pan ze mną. - Zacisnął usta, jakby chciał powstrzymać uśmiech, trochę szyderczo i zarozumiale, i przesunął dłonią po policzku pokrytym jasną szczecinią, przy czym jego mocno podkrążone oczy przez cały czas spoglądały gniewnie w twarz Leventhala. Zdawał się dawać do zrozumienia, że wie bardzo dobrze, co mówi, i że bezczelnością i brakiem wychowania jest temu zaprzeczać. „Tak jak cechą złe wychowanego człowieka jest zarzucanie wszystkim złego wychowania” - pomyślał Leventhal, mimo to jednak był zaniepokojony. O co mu chodziło? Przyjrzał się Allbeemu dokładniej; nie zauważył dotąd, jaki jest zaniedbany, jak jeden z tych mężczyzn, których widywało się odsypiających pijaństwo przy Trzeciej

Alei, leżących w bramach lub na włazach do piwnic, obojętnych na zimno albo na hałas, albo na słoneczny blask, bijący im prosto w twarz. On również pił, to pewne. Miał zachrypnięty głos. Jego jasne włosy były rozdzielone pośrodku nad szerokim czołem i wydawały się wilgotne w świetle latarni. Miał na sobie cienką koszulę z materiału, który musiał być imitacją jedwabiu; była rozpięta na piersi, ukazując brudny rąbek podkoszulka; lekki bawełniany garnitur był poplamiony.

- Faktem pozostaje, że chciał mnie pan zobaczyć  
- podjął rozmowę.

- Myli się pan.

- Dostał pan przecież mój list, nieprawdaż? A ja prosiłem w nim, żeby spotkał się pan ze mną tutaj dziś wieczorem...?

- Napisał pan do mnie list? A to w jakim celu?  
Nie dostałem żadnego listu od pana. Nic nie rozumiem.

- Ja też nie; jeśli go pan nie dostał, to byłby to niezwykle przypadek. Ale - kontynuował, uśmiechając się - pan oczywiście udaje, że nie dostał listu.

- Czemu miałbym udawać? - zapytał Leventhal ze wzburzeniem. - Jaki mam powód udawać? Nie wiem, o jakim liście pan mówi. Nie ma pan o czym do mnie pisać. Prawdę powiedziawszy, od lat o panu nie myślałem i nie wiem, dlaczego pan sądzi, że obchodzi mnie to, czy pan istnieje, czy nie. Co, może jesteście spokrewnieni?

- Złączeni więzami krwi? Nie, nie... na Boga! - Allbee zaśmiał się.

Leventhal patrzył przez chwilę w jego roześmianą twarz, po czym ruszył z miejsca, lecz Allbee zatrzymał go, wyciągając tuż przed nim ramię. Leventhal schwycił je, ale nie szarpnął, jak wcześniej zaplanował. Jego uchwyt nie natrafił na opór. To raczej on niż Allbee stracił równowagę, więc cofnął rękę; zdawał się patrzeć spode łba - tak naprawdę tylko odchrząkiwał - i zapytał, niezbyt głośno:

- Czego pan chce?

- O, teraz zachowuje się pan rozsądniej. -

Allbee rozprostował ramiona i obciągnął mankiety koszuli. - Nie chcę się mocować. Prawdopodobnie nie miałbym z panem szans. Chciałem porozmawiać. Wy nie załatwiacie spraw w ten sposób. Nie przemocą.

- O kim pan mówi? - zapytał Leventhal.

Allbee nie odpowiedział na to.

- Chciałem omówić z panem kilka spraw, dlatego napisałem - rzekł.

- Mówię panu raz jeszcze, że nie dostałem od pana żadnego listu.

- A zatem obsta je pan przy swoim. - Allbee uśmiechnął się z dezaprobatą, jakby się dziwił, dlaczego Leventhal odrzuca każdą sposobność do poniechania tej niezręcznej wymówki. - Dlaczego więc pan tu jest? Chciał pan zobaczyć, samemu nie będąc widzianym, i jest pan wściekły, bo pana przyłapano.

- Jestem tutaj, ponieważ mieszkam kawałek dalej przy tej ulicy. Czemu to raczej pan nie przyzna, że chciał mnie pan przyłapać. Bóg jeden wie, po co i co ma

pan do powiedzenia.

Allbee wykonał przeczący ruch swą szeroką twarzą.

- Jest odwrotnie. Wiedział pan, że tu jestem... zresztą to nieistotne. Jeśli chodzi o to, co mam panu do powiedzenia, to mam mnóstwo do powiedzenia. Ale pan to wie.

- To także dla mnie nowość.

Allbee uśmiechnął się do niego, dając do zrozumienia, że mają jakąś wspólną tajemnicę, co oburzyło i zirytowało Leventhala, a także wzbudziło jego obrzydzenie.

- Usiądźmy - zaproponował Allbee.

„Niech go diabli, ma mnie, trzyma mnie w garści” - pomyślał Leventhal. „Stał się jakimś dziwakiem. Nie powinienem był wychodzić. Po dniu, jaki miałem, powinienem był spróbować się przespać”.

Znaleźli miejsce na ławce.

- Nie mam zbyt wiele czasu. Wczesnie wstaję. Czego pan chce?

Allbee przyjrzał mu się.

- Przytył pan - rzekł. - I pociemniał. Ile pan waży?

- Mniej więcej sto kilo.

- To za dużo. Dźwiganie takiego ciężaru jest nie-dobre dla serca. Nie czuje pan tego przy takiej pogodzie? Założę się, że pańskiemu sercu daje to nieźle w kość. Musi pan wchodzić po wielu stopniach.

- Skąd pan to wie?

- Och, wiem przypadkiem, że mieszka pan na trzecim piętrze.

- Skąd pan wie? - nie ustępował Leventhal.

- Po prostu wiem. Czy to jakaś tajemnica? Czy nikomu nie wolno wiedzieć, że mieszka pan na trzecim piętrze?

- Co jeszcze pan o mnie wie?

- Pracuje pan w firmie Burke-Beard. Wydaje pan jedno z ich pisemek.

- Jeszcze coś?

- Pańska żona wyjechała. Jest... - spojrzał na niego, jakby chciał sprawdzić, czy wszystko się zgadza - na Południu. Wyjechała kilka dni temu. Takich rzeczy nietrudno się dowiedzieć.

- Czy dzwonił pan wcześniej do mojego mieszkania?

- Czy dzwoniłem? Nie, czemu miałbym to robić?

Leventhal patrzył na niego posępnie w świetle opadającym przez liście. Szpiegował go i zagadką było dlaczego! Jak długo go obserwował i z jakiego powodu - jakiego groteskowego powodu? Allbee odwzajemnił jego spojrzenie, mierząc go wzrokiem, tak jak sam był mierzony, ze skupieniem i powagą, przy czym jego dolna szczęka przekrzywiła się nieco, a ponure, refleksyjne oczy wypełniły się ołowia- nozieloną barwą. I w niewyraźnym blasku tych oczu, czując na twarzy ciepło oddechu tamtego mężczyzny, bo siedzieli tuż obok siebie na ławce, Leventhal nagle poczuł, że został wybrany na obiekt jakiegoś dziwnego, szalonego procesu, i na chwilę ogarnął go strach. Potem ochłonął i



powiedział sobie, że nie ma się czego bać. Mężczyzna był dziwakiem, w dodatku irytującym, a myśl o tym, że jest się skrycie obserwowanym, z pewnością mogła przyprawić

o dreszcze. Ale w tym Allbeem nie było nic specjalnie niepokojącego. Stał się włóczęgą i pijakiem i zdawał się mieć na jego punkcie jakąś fiksację czy obsesję, urojenie; być może było to nawet wymyślone. Skąd można to było wiedzieć w przypadku tych pija- czyn? Musiały istnieć jakieś powody, ale ich odkrycie przerastało czyjekolwiek możliwości - były jak dym, mgła, alkoholowe opary. Allbee go zaskoczył. To było zaskakujące. A co więcej, w swoim obecnym stanie ducha łatwo dawał się ponieść tego rodzaju nastrojom. Czuł się niedobrze i to nie pomagało. Uspokajającym, czujnym ruchem rozprostował ramiona.

Wciąż patrząc na niego, Allbee powiedział:

- Trudno rozgryźć, jakim naprawdę jest pan człowiekiem.

- Ach, więc to o mnie chce pan rozmawiać?  
49

- O, widzi pan? To przykład. Jest pan otwarty, ale czy nie odwraca pan uwagi od zasadniczej sprawy? Z pewnością. To manewr. Nie wiem, czy jest pan przebiegły, czy nieokrzesany. Może nawet nie obchodzi pana zbytnio zasadnicza sprawa.

<sup>4</sup> - Ofiara

- A mianowicie?

- Och, niech pan da temu spokój, Leventhal, niech pan da spokój! Wie pan, co to jest.

- Nie wiem.

Nastąpiła chwila milczenia; potem Allbee powiedział, usiłując zachować cierpliwość:

- No cóż, jeśli tak musi być... chce pan widocznie, żebym przypomniał całą tę historię. Sądziłem, że to nie będzie konieczne, ale w porządku. „Dill’s Weekly”. Pamięta pan „Dill’s Weekly”? Pana Rudigera?

- Oczywiście, że tak. No pewnie. Rudiger. Zapisalem to sobie w starym terminarzu, który miałem nadzieję odnaleźć; jego nazwisko ciągle wypada mi z pamięci. Tak, Rudiger - powiedział, pogrążony we wspomnieniu, i zaczął się uśmiechać, ale wokół jego ust pojawił się wyraz pewnego przymusu.

- A więc pamięta pan?

- Naturalnie.

- No, a całą resztę? Nie, nie przejdzie pan do reszty. Mnie każe pan to zrobić. W porządku, zrobię to. To za pośrednictwem Rudigera dobrał się pan do mnie.

- Dobrałem się do pana? - zapytał Leventhal ze zdumieniem. Obrócił do Allbeego rozpaloną twarz, a linia jego włosów zdawała się zniżać do brwi.

- Odegrał się pan na mnie. Wyrównał pan ze mną rachunki - powiedział Allbee bardzo wyraźnie. Jego dolna warga wysunęła się do przodu. Była sucha i popękana. Nos nagle wydawał się nabrzmiały. Oczy miał szeroko otwarte.

- Nie, nie - wymamrotał Leventhal. - Myli się pan. Nie zrobiłem tego.

Allbee przesunął przed nim rękę w geście zaprze-

czenia i wolno potrząsnął głową.

- Nie mógłbym się co do tego mylić.
- Nie? A jednak myli się pan.
- Czy umówiłem pana z Rudigerem?

Załatwiłem panu rozmowę o pracę, nieprawdaż?

- Tak, to prawda. Tak...
- Potem pan wszedł i umyślnie obraził Rudigera, odegrał z nim jakąś komedię, obrzucił go wyzwiskami, umyślnie go obraził, żeby mi narobić kłopotów. Rudiger jest w gorącej w<sup>T</sup>odzie kąpany i naskoczył na mnie z tego powodu. Wiedział pan, że tak będzie. To było wykalkulowane. Wyszło dokładnie tak, jak pan sobie obmyślił. Był pan piekielnie sprytny. Nie dał mi nawet tygodniowego wypowiedzenia. Wyrzucił mnie.

- To zupełnie nie tak. Słyszałem, że nie pracuje pan już w „Dill’s”. Harkavy mi powiedział. Ale to nie mogła być moja wina. Jestem pewien, że pan się myli. Rudiger nie mógł pana obwinić o sejsję między nami. To była także jego wina.

- A jednak Rudiger to zrobił - odparł Allbee. - Nie pozostawił co do tego wątpliwości. Tak na mnie wrzeszczał, że omal się nie przekręcił. I tego właśnie pan chciał.

- Chciałem tylko dostać pracę - oświadczył Leventhal - a Rudiger był nieustępliwy i przykry. Coś jest nie tak z tym człowiekiem. W gorącej wodzie kąpany to niewłaściwe określenie. On jest podły. Nie trzymałem dostatecznie nerwów na wodzy. Przyznaję. Gdyby to miał być powód, można by mnie w pewnym sensie

winić, pośrednio. Ale pan mówi...

- Mówię, że ponosi pan całkowitą winę, Leventhal. - Otworzył usta i zdawał się przez chwilę wstrzymać oddech, uśmiechając się. Próba zachowania przez Leventhala chłodnej głowy nie powiodła się; czuł, jak ogarnia go zamęt.

-I czemu to, według pana, zrobiłem?

- Żeby się zemścić. Do diabła! Chce pan przewalkować całą sprawę, żeby sprawdzić, czy naprawdę wszystko przejrzałem? Naprawdę wszystko przejrzałem. Naprawdę wszystko przejrzałem, Leventhal. Jezu, czy pan myśli, że wciąż tego nie rozgryzłem? Chyba trochę za nisko mnie pan ceni; przejrzałem to już dawno temu. Ale jeśli pan chce, żebym to wszystko wyciągnął na wierzch, to proszę bardzo. Zacznę jeszcze wcześniej: w domu Willistona. Było tam przyjęcie.

- Tak, tam się poznaliśmy, u Willistona.

- Ach, więc pamięta to pan. Myślałem, że będzie się pan zapierał od początku do końca i nie będzie chciał sobie przypomnieć. Świetnie. Był tam też pański przyjaciel, inny Żyd... wymienił pan wcześniej jego nazwisko.

- Harkavy.

- No właśnie, Harkavy. Robimy postępy. - Zasmiał się głośno. - No więc to jest klucz do lego. Żyd. Boże, chce pan wywlec całą tę historię na wierzch. Czy musimy ją wywlekać? Wygląda na to, że tak. Był pan wkurzony z powodu czegoś, co powiedziałem o Żydach.

Przypomina pan to sobie?

- Nie. Tak, przypominam sobie. Przypominam sobie, a jakże - poprawił się Leventhal, marszcząc czoło.

- Pamiętam również, że był pan pijany.

- Nieprawda. Byłem wstawiony, ale nie pijany. Zdecydowanie nie. Wy, Żydzi, macie komiczne wyobrażenia o picciu. Zwłaszcza to, że wszyscy chrześcijanie to urodzeni pijacy. Macie na ten temat piosenkę: „Jest pijany, musi pić, bo jest gojem... *Sziker*

- Przestał się śmiać i wydawał się zasepiony.

- E tam! - pogardliwie rzekł Leventhal. Odepchnął się od siedzenia ławki i wstał.

- Dokąd pan idzie?

- Nie miałem nic wspólnego z utraceniem przez pana tamtej posady. Prawdopodobnie sam był pan sobie winien. Musiał pan dać Rudigerowi jakiś bardzo dobry powód do zwolnienia pana, i potrafię sobie wyobrazić, co to było. Nie należę do ludzi chowających urazę. To wszystko wylęgło się w pańskiej głowie. Pamiętam dokładnie tamten wieczór u Wil-listona, ale pan był pijany i nie wziąłem panu tego za złe. Poza tym było to dawno temu i nie pojmuję, dlaczego odwiedził mnie pan jedynie po to, żeby mi

o tym przypomnieć. Dobranoc!

Odszedł. Allbee wstał i krzyknął za nim:

- Chciał pan wyrównać rachunki. Zaplanował to pan. Zrobił pan to specjalnie! - Ludzie odwracali się, żeby na nich spojrzeć, i Leventhal przyspieszył kroku.

„Jeśli teraz pójdzie za mną, dam mu w zęby. Przy-

łożę mu tak, że się przewróci” - pomyślał. „Przysięgam, powalę go na ziemię i połamię mu żebra!”

Po powrocie do domu otworzył skrzynkę na listy i znalazł wiadomość. Była podpisana „Z poważaniem, Kirby A.” i stwierdzała, że o dziewiątej będzie on w parku. Dlaczego w parku? No i skąd takie oskarżenie? Co za pomysł! Jedno miało tyle samo sensu, co drugie. Na kopercie nie było znaczka; Allbee musiał sam ją wrzucić. Wszystko wskazywało na to, że to on dzwonił do drzwi.

- Niezły spec od oceniania czasu z tego Nuneza  
- mruknął Leventhal, ruszając w górę po schodach.

Zasnął bez trudu i spał głęboko. Ze snu wyrwał go budzik na nocnym stoliku. Schwycił go i przycisnął zapadkę. Następnie przykucnął przy oknie - był nagi - i spojrzął ponad parapetem. Już teraz, o wpół do ósmej, ulica wydawała się wymarła od upału i światła. Zwisające ciężko chmury przesuwwały się wolno. Na południu i wschodzie powietrze było mosiężne, fabryki zaczynały dymić, wystawiając ku słońcu swe masywne czerwono-brunatne i brązowe fasady, widoczne poprzez gorącą zieloną sieć mostów. Wokół rozlegał się głuchy łoskot ciężarówek i podziemnych pociągów. Przed domem Nunez czyścił chodnik wodą z wiadra i kikutem miotły. Jego żona była zajęta przy skrzynkach na kwiaty. Do szczytu okna wznosiły się nowe białe sznurki; wychylała się, oplatając je pędami pnącej rośliny.

Leventhal umył się i ogolił. Wiadomość Allbeego

leżała na kuchennym stole. Przeczytał ją raz jeszcze i wrzucił do kubła przy zlewie. Miał już zatrzaskać pokrywę, lecz powstrzymał się - zachowywał się tak, jak zachowałby się wczoraj, gdy jego cierpliwość była na wyczerpaniu - i niemal uśmiechając się do siebie, położył ją delikatnie na miejsce i popchnął kubek stopą w stronę ściany. Cóż, wczoraj można by mu było wybaczyć, gdyby stracił cierpliwość, a nawet głowę. Co za dzień! Na dokładkę do wszystkich jego zmartwień zjawia się ten Allbee, żeby dodać swoje trzy grosze. Musiał rozmyślać o tej sprawie przez lata, aż w końcu przekonał samego siebie, że Rudiger zwolnił go z powodu tamtej rozmowy o pracę. Oczywiście było prawdą, że Rudiger miał okropnie wybuchowy charakter, prawdopodobnie już taki się urodził, ale nawet on nie zwolniłby pracownika za coś, czego on sam nie zrobił, lecz z powodu kogoś, kogo polecił. „Jakżeby mógł?” - zapytał Leven- thal samego siebie. „Nie dobrego pracownika, nigdy”. To byłby absurd. Allbee musiał zostać zwolniony za pijaństwo. Czy jakiś pijak kiedykolwiek przyznał, że wpadł w tarapaty z powodu pijaństwa? Zwłaszcza kiedy był w złym stanie? A ten Allbee był w złym stanie.

Włożył pogniecione letnie spodnie z brązowej flaneli, które poprzedniej nocy rzucił na oparcie w nogach łóżka, i parę białych butów. Pamiętał o tym, żeby

zamknąć okna i zaciągnąć zasłony. Pokój był zaciemniony. Wyjął z komody chusteczkę i natknął się przy tym na oświadczenie o odliczeniach od podatku za ten rok, ponure przypomnienie pana Bearda i biura. Zamiast trzymać takie rzeczy w biurku, gdzie było ich miejsce, Mary miała zwyczaj wkładać je pod bieliznę. Zirytowany zagrzebał papier głębiej i gwałtownym ruchem zasunął szufladę. Wyszedł z domu ze zmarszczonym czołem. Beard prawdopodobnie go wezwie i udzieli mu reprymendy, niby to za jakiś błąd, którego się dokopie. Albo zleci to komuś - robił tak już wcześniej; być może tamtemu małemu Millikanowi o ptasim nosie i pyzatej twarzy, swojemu zięciowi. „Jeśli naśle go na mnie...” - pomyślał. Ale nie wiedział, jakiej groźby użyć. I wydawało mu się teraz, że nie wypoczął. Czuł zmęczenie w nogach, bolała go głowa, a jego oczy przyjrzał się im w długim lustrze na filarze przed kawiarnią - były przekrwione; miał wymizerowaną twarz. Z zatroskaniem potrząsnął głową. Rogi lustro płonęły błękitem i czerwienią świetlnego spektrum.

Przez jakiś czas był tak zaprzątnięty tym, co czekało go w redakcji, że zapomniał o Allbeem. Pomyślał o nim znowu dopiero, gdy siedział w metrze. Sprawa wydawała mu się jeszcze mniej zabawna niż przedtem. W ustach trzeźwej osoby - to znaczy normalnej osoby, kogoś, z kim człowiek musiałby się liczyć - takie oskarżenie nie byłoby błahostką. W przypadku Allbeego sprawiało to wrażenie numeru cyrkowego: wiadomość, dzwonek, całe zachowanie. Chociaż nie całkiem numer



cyrkowy, bo taki numer wykonywano z namysłem, podczas gdy było wątpliwe, czy ten dziwaczny, umęczony, prawdopodobnie cierpiący Allbee panuje nad tym, co robi. Cierpiący? Oczywiście, cierpiący, powiedział sobie poważnie Leventhal: bez grosza przy duszy, mieszkający gdzieś w zatęchłym hotelu, przesiadujący po barach, śpiący całymi dniami, ściągany z ulicy przez furgonetkę policyjną albo ambulans, nękaną w myślach przez własne krzywdy i błędy, które przemieniał w krzywdy przeciwko sobie; i to kłębienie się myśli i uczuć, ta kotłowanina - każdy tego doświadczał, ale dla takiego człowieka musi to być okropne, straszne, te myśli wirujące w koło. Właśnie o czymś takim Leventhal myślał, gdy czasami mówił, że mu się upiekło. Lecz (choć nie przypisywał sobie za to zasługi; mógł upaść w inny sposób) jego charakter był odmienny. Niektórzy ludzie zachowywali się, jakby mieli pod sobą konia, i pędzili przez życie galopem. A w każdym razie wydawało im się, że mogą to robić. On taki nie był.

Spotkał Allbeego kilkakrotnie w domu Willistonów. W tamtym nerwowym okresie, kiedy szukał pracy, Willistonowie często urządzali przyjęcia. Być może wciąż to robili; nie widział się z nimi od kilku lat. Ponieważ on i Harkavy byli współlokatorami, zwykle zapraszano ich razem. Allbee okazywał Harkavy'emu niechęć i Leventhal pamiętał, że on sam istotnie czuł się urażony kilkoma uwagami Allbeego i jego ogólną postawą. Pani Allbee była spokojną blondynką.

Zastanawiał się, co się z nią stało; czy go opuściła, rozwiodła się z nim? Stwierdził, że zachował w pamięci jej wyraźny obraz - siły bijącej z jej twarzy i kształtu jej oczu, szarych oczu. Wydawała mu się o wiele za dobra dla jej męża, wyciągniętego leniwie obok niej ze szklanką w ręce i przypatrującego się z uśmiechem innym gościom. Można było pomyśleć, że został poproszony przez Willisto- na o sklasyfikowanie ich, tak im się przyglądał, rozparty długimi członkami na kanapie, z twarzą nabrzmiałą od uśmiechów. Od czasu do czasu kierował do żony jakąś uwagę, wbijając w kogoś wzrok, tak że było nieprzyjemnie oczywiste, o kim mówi. Często obierał za cel Harkavy'ego, co oburzało Le- venthala, choć sam Harkavy zdawał się nie dostrzegać, że ktoś mu się przygląda.

Trzeba było przyznać, że Harkavy przyciągał spojrzenia. Lubił mówić i z jakiegoś powodu łatwo się na tych przyjęciach rozpalał. Byle błahostka budziła jego entuzjazm i kiedy mówił, latały mu ręce, a jego brwi unosiły się, wyostrzając linię nosa. Oczy miał jasne, okrągłe i pozbawione głębi, a jasne włosy cofnięte znad czoła, loki były przerzedzone. All- bee przyglądał mu się szeroko uśmiechnięty i zaciekawiony; Harkavy zdawał się budzić jego zachwyty. Musiał mieć do powiedzenia na jego temat jakieś dowcipne rzeczy, bo czasami wywoływał uśmiech na twarzy swojej żony, choć ta z reguły nie odpowiadała na jego uwagi. Możliwe, że Harkavy to zauważył. Leventhal nigdy go o to nie pytał, ale być może dotarło to do jego

świadomości, bo wszystkie jego cechy, zwłaszcza te żydowskie, uległy uwydatnieniu. Wyglupiał się, naśladowując licytatorów, a tak naprawdę parodiując sw<sup>r</sup>ego ojca Leventhal przyglądał się temu bez uśmiechu, wręcz złowrogo. Śmiech i dość dwuznaczny aplauz, czasami inicjowany przez All- beego, zdawał się podniecać Harkavy'ego, który zaczynał od nowa, potęgując komiczny efekt występu. Willistonowie śmiali się wraz z gośćmi, choć z większym umiarem i odrobiną niepokoju ze względu na Allbeego. Również Leventhal chwilami nie mógł się powstrzymać od dołączenia do ogólnej wesołości. Ale był rozdrażniony.

Incydent, o którym wspomniał Allbee, wydarzył się pewnego wieczoru, kiedy Harkavy i dziewczyna, którą przyprowadził na przyjęcie, śpiewali spiritu- als i stare ballady. Było późno i wszyscy pozostali, dość zmęczeni, milczeli. Tamtego wieczora Harka- vy był nieco bardziej powściągliwy niż zwykle. Śpiewał słabo, ale przynajmniej nie wywoływał śmiechu ani nie usiłował tego robić. Dziewczyna też nie śpiewała dobrze; myliła słowa. Było to jednak miłe. W połowie jednej z ballad Allbee im przerwał; mimo że temu zaprzeczał, był pijany.

- Dlaczego śpiewacie takie piosenki? - zapytał.
- Wy nie potraficie ich śpiewać.
- A to dlaczego, jeśli wolno wiedzieć? - odparła dziewczyna.
- Och, pani też nie - rzekł Allbee, uśmiechając się krzywo. - Śpiewanie ich przez was nie jest właściwe.

Trzeba się do nich urodzić. Jeśli ktoś się do nich nie urodził, nie powinien próbować ich śpiewać.

Odezwała się jego żona.

- Nie zwracajcie na niego uwagi - rzekła. - Bardzo ładnie to śpiewacie.

- O, bez wątpienia! - powiedział z pogardą.

- Dziękuję, pani Allbee - rzekł Harkavy. - To piękna piosenka.

- Śpiewaj dalej, Dan, śpiewaj ją dalej - zachęcała go Phoebe Williston.

A Leventhal powiedział:

- Dośpiewaj ją do końca.

- Tak właśnie zamierzam zrobić - odparł Harkavy i zaczął od początku.

- Nie, nie, nie! - przerwał znowu Allbee. - Nie powinien pan śpiewać tych starych piosenek. Trzeba mieć je we krwi.

Jego żona zaczerwieniła się i powiedziała:

- Kirby, nie zachowuj się w ten sposób!

- Och, to mi nie przeszkadza, proszę pani. - Harkavy opuścił podbródek na pierś i skrzyżował ramiona; jego okrągłe oczy połyskiwały.

- Śpiewaj, Dan - powiedział Leventhal.

- Niech pan zaśpiewa psalm. Nie mam nic przeciwko temu, żeby pan śpiewał. Niech pan zaśpiewa jeden z psalmów. Z wielką ochotą bym tego posłuchał. Proszę bardzo. Chętnie posłucham - rzekł Allbee.

- Nie znam żadnych psalmów.

- No to jakąkolwiek żydowską piosenkę. Coś, co

naprawdę pan czuje. Niech pan nam zaśpiewa tę o matce. -Iz pijanym spojrzeniem wyrażającym oczekiwanie pochylił się do przodu, opierając się na kolanach, i udawał, że przygotowuje się do słuchania. Było dla wszystkich oczywiste, że jest wielce zadowolony; uśmiechał się do Harkavy'ego i dziewczyny, rzucił również spojrzenie Leventhalowi. Jego żona zdawała się dyskretnie od niego dystansować. Willistonowie byli zakłopotani. Allbee był nie tylko znajomym, lecz także przyjacielem, i Williston próbował go później usprawiedliwiać i bagatelizować obrazę.

To właśnie się wydarzyło. Leventhal był oczywiście zły, ale niedługo. Machnął na to ręką. Czy Allbee sądził, że coś takiego mogło go skłonić do tak wymyślnej zemsty? Jeśli tak, to był idiotą. Przeceniał rozmiary obrazy i swoją zdolność do jej zadania. A może sądził, że tamtego wieczora ujawnił coś, co wcześniej nie było oczywiste? W takim razie był dwukrotnie większym idiotą. „A gdybym nawet był wściekły, czy zrobiłbym coś takiego?” - pomyślał Leventhal. „Bez powodu przypisuje sobie wielkie znaczenie. Za kogo on się ma?”

To, że później poprosił Allbeego o przedstawienie go Rudigerowi, powinno mu było uzmysłować, jak małą wagę przykładą do tego zdarzenia. W tamtym czasie pracownik Willistona wrócił z Arizony i Leventhal szukał innej posady. Williston dał mu bardzo dobry list polecający, który pomagał załatwiać rozmowy o pracę.

Minęło jednak kilka miesięcy, zanim Leventhal został zatrudniony przez firmę Burke- -Beard i Spółka, i podczas tych miesięcy był przygnębiony i znowu stał się kłótlivy, trudny, drażliwy, skłonny do przesady, nielogiczny, nazbyt poufały. Doniesienia o tym dotarły do Willistona, który go wezwał i palnął mu kazanie. Leventhal był rozgoryczony i stał się wobec niego podejrzliwy; chciał nawet zwrócić list - co było głupie, jak teraz sobie uświadomił. Sądził jednak, że Williston żałuje jego napisania.

To był jego własny pomysł, żeby zwrócić się do All- beego w sprawie pracy w „Dill’s”. Williston to zaaprobował i być może przyczynił się do tego, że Allbee przedstawił go Rudigerowi. A może Allbee się zgodził, żeby zrehabilitować się za swoje nieładne zachowanie. Williston wciąż usiłował całą sprawę bagatelizować. Trzeba znać Allbeego, kiedy jest trzeźwy, mówił; jest inteligentny i przyzwoity. Winę za jego picie ponosi wychowanie w Nowej Anglii; w jego rodzinie byli pastorky, wpływy, które należało odrzucić, i gdyby to zrobił, byłby innym człowiekiem. Leventhal obojętnie przyznał, że to możliwe; nie chował do niego specjalnej urazy. „Będę mu bardzo zobowiązany, jeśli mnie tam wprowadzi. Cóż by to było za szczęście, gdybym złapał posadę w takiej firmie”.

Rozmowa kwalifikacyjna w „Dill’s” wciąż nie dała mu spokoju.

Rudiger kazał mu czekać niemal godzinę w poczekalni i jeszcze kilka minut w swoim gabinecie.

Przyglądał się kilku holownikom pchającym ogromny statek pasażerski w górę rzeki i siedział do niego plecami. Gdy tylko jednak się odwrócił, Leventhal od razu wiedział, że nie ma na co liczyć; jeszcze zanim Rudiger wypowiedział pierwsze słowo, zrozumiał, że go nie chce. Był niskim mężczyzną o grubych rysach i czerwonej twarzy. Miał ogniście rude włosy i wąsik z krótkich złocistych włosków, ocieniony potężnym nosem, którego chrząstki były szeroko rozchylone na czubku. Mówił energicznie, stanowczo i szybko, ochrypłym głosem. Z początku Leventhal myślał: „Trafiłem do niego w nieodpowiednim momencie”. Później nie mógł rozstrzygnąć, czy nadział się na niego w niezwykłym stanie wielkiego stresu i pobudzonego okrucieństwa, czy też Rudiger traktował go po prostu tak, jak na ogół traktował ludzi, których nie chciał zatrudnić i którzy marnowali jego czas. Opowiadając o tym Har-kavy'emu tego samego popołudnia, Leventhal powiedział: „Gotowałem się jak kocioł parowy. Nigdy czegoś takiego nie widziałem”.

- A zatem? - rzekł Rudiger, kładąc ręce na biurku. Być może powściągał na chwilę chęć obrócenia się z powrotem w stronę okna. Leventhal zaczął mówić, ale tamten mu przerwał: - Nie ma wakatów, nie ma u nas wakatów. Mamy pełną obsadę. Niech pan idzie gdzie indziej.

Leventhal powiedział, zacinając się:

- Sądziłem, że może tu być wolne miejsce. Nie wiedziałem... Czy pan Allbee nie powiedział, o co mi

chodzi?

Rudiger patrzył na niego przez chwilę. Byli na sześćdziesiątym pięttrze Dill Building. Słońce znajdowało się daleko za przymglonymi, czarnymi, okopconymi iglicami i wieżyczkami drapaczy chmur w dole.

- Jakie ma pan doświadczenie zawodowe? - zapytał.

Leventhal powiedział mu..

- Nie, nie o to mi chodzi. W jakich gazetach pan pracował?

- W żadnej - odparł Leventhal dość nerwowo.

Rudiger wybuchnął z wściekłością:

- Czemu więc u diabła zabiera mi pan czas? Co pan tutaj robi? Niech się pan wynosi. Na Boga, przychodzi pan zawracać mi głowę, kiedy jestem zajęty, nie mając kompletnie nic do zaoferowania.

- Przepraszam, że się panu naprzykrzam. - Leventhal mówił sztywno, by nie okazać swego przeżalenia.

- To jest magazyn informacyjny. Jeśli nie ma pan doświadczenia dziennikarskiego, nie ma pan czego tutaj szukać. Czy pan myśli, że prowadzimy szkółkę zawodową?

65

- Wydawało mi się, że mogę wykonywać tę pracę - Ofiara cę. Czytałem pańskie czasopismo i wydawało mi się, że potrafiłbym to robić. - Mozolnie dobierał słowa, usiłując zyskać na czasie, i pochylił głowę.

- Och, naprawdę? Tak się panu wydawało?

- Tak... - Zaczynał odzyskiwać przytomność



umysłu. - Nie wiedziałem, że moje doświadczenie zawodowe nie jest dla pana odpowiedniego rodzaju. Mam list od pana Willistona. Twierdzi, że pana zna.

Leventhal sięgnął do kieszeni. Ale Rudiger wykrzyknął:

- Nie chcę go widzieć.

- W każdym razie pan Williston powiedział, że nie widzi powodu, dla którego nie mógłbym sobie poradzić z pracą tutaj...

- Nikt go nie pytał. Nie obchodzi mnie, co powiedział.

- Sądzę, że wie, o czym mówi. Szanuję jego opinię.

- Znam swój fach. Niech pan się nie przejmuję Willistonem. Chyba wiem, czego tutaj potrzebuję. Pan tym czymś nie jest.

- Prawdopodobnie zna pan swój fach - beznamiętnie, spokojnie odparł Leventhal, pochylając głowę do przodu. - Nie mówię, że tak nie jest. Ale pańskie czasopismo nie jest niczym specjalnym. Czytałem je, jak już mówiłem. - Włożył do ust papierosa i nie pytając Rudigera o pozwolenie, sięgnął po kartonik zapalek na biurku, wyrwał jedną, zapalił ją i wrzucił do popielniczki. Chociaż był zły i spięty, udawało mu się zachować pozór oschłego, niewzruszonego spokoju. - Każdy, kto potrafi pisać po angielsku, może do niego pisać. Gdyby pozwolił pan komuś spróbować, a potem uznał, że nie daje sobie rady, uważałbym, że o wiele lepiej zna pan swój fach. A to z doświadczeniem

gazetowym, panie Rudiger, to przesąd.

- Och, doprawdy? - krzyknął Rudiger i Leventhal dostrzegł, że nie jest on odporny na zranienie. W tym momencie znajdowali się już pod działaniem jakiegoś uroku, wytworzona została atmosfera zาดawania bólu i urazy, z której żaden z nich nie mógł się wycofać.

- Oczywiście, że tak - rzekł dość lekko Leventhal. - To cech. Nikt z zewnątrz nie ma szansy. Ale właściwie powinien pan myśleć przede wszystkim o swoim piśmie i zatrudniać ludzi na podstawie tego, jak potrafią wykonywać swoją pracę. Nie zaszkodziłoby to.

- Sądzi pan, że mógłby pan ulepszyć pismo?

Leventhal odparł, że nie zaszkodziłoby nie tylko jego własny, ale jakikolwiek świeży punkt widzenia. Jego poczucie pewności siebie było ogromne, tak radykalnie niezwykle, że pomimo wypełniającego go spokoju przypominało odurzenie albo opętanie, i mówił rzeczy, których jego pamięć, ograniczona przez rzeczy zwyczajne, nie mogła zachować. Nie wiedział więc teraz dokładnie, co nastąpiło potem. Pamiętał coś w rodzaju:

- Kupuje pan na przykład jakiś artykuł w sklepie spożywczym i wie pan, co pan dostaje, kiedy kupuje pan standardowy produkt. Otwiera pan puszkę i produkt jest w środku. Nie jest pan zawiedziony ani też szczególnie uradowany. To standard.

Wzdrygnął się przed tym wspomnieniem jak przed momentem szaleństwa i oblał się rumieńcem;

przypuszczał, że sprawa ta może mu się jawić jako gorsza, niż była w istocie, ale nawet jedna dziesiąta rzeczywistości była katastrofalna.

Wtedy Rudiger, wpatrując się w niego z obłędem w oczach, zapytał:

- Po co w takim razie chciał pan się tutaj zatrudnić, skoro pismo jest takie złe?

A on odparł:

- Tak się składa, że potrzebuję pracy.

Powietrze między nimi musiało drżeć, tak było naładowane zniewagą i wściekłością. W żadnym razie nie potrafił sobie wyobrazić, by mógł teraz zrobić to, co zrobił wtedy. Ale postanowił, że nie da się zastraszyć. To właśnie sobie mówił. „Wydaje mu się, że może zastraszyć każdego, kto do niego przychodzi”. Zbyt wielu ludzi szukających pracy było gotowych pozwolić na wszystko. Nawyk zgadzania się był mocny, straszliwie mocny. Można im było powiedzieć wszystko, co się człowiekowi podobało, nazwać ich głupcami, a oni się uśmiechali, wyrzucić ich przekonania na opak, a oni się uśmiechali, pogardzać nimi, a oni mogli się czerwienić, ale wciąż się uśmiechali, bo nie mogli się zdobyć na to, żeby się nie zgodzić. I do tego właśnie Rudiger był przyzwyczajony.

- Wynoś się pan! - krzyknął Rudiger. Jego twarz płonęła. Wstał, wyrzucając przed siebie masywne ramię, podczas gdy Leventhal, nie okazując ani gniewu, ani satysfakcji, chociaż odczuwał i jedno, i drugie, wygładził wgłębienie swego welurowego kapelusza i

powiedział:

- Najwyraźniej nie może pan znieść, kiedy ktoś się panu sprzeciwia, panie Rudiger.

- Wynocha, wynocha, wynocha! - powtórzył Rudiger, przewracając obiema rękami biurko. - Wynocha, ty pomyślcu, ty świrze, twoje miejsce jest w domu wariatów. Wynocha! Powinni cię zamknąć!

A Leventhal, idąc powoli w stronę drzwi, odwrócił się i odparował, czyniąc uwagę o grubych rybach za trzy grosze i pustych wozach. Nie wydawało mu się, by powiedział coś więcej - pomimo zarzutu All-beego, że przeklinał. Powiedział coś o tym, że puste wozy robią dużo hałasu. Jego obecne zażenowanie nie byłoby większe, gdyby przeklinał. Pamiętał, i to bardzo wyraźnie, że odczuwał radosne uniesienie. Gratulował sobie. Rudiger go nie zastraszył.

Poszedł od razu do Harkavy'ego i przy filiżance kawy w narożnej kafeterii opowiedział mu całą historię. Harkavy był zachwycony.

- Powiedziałeś to Rudigerowi? O rany, to musiało być coś. Naprawdę coś, Asa, mój chłopcze. Ten facet to buhaj. Słyszałem historie o nim. Prawdziwy buhaj!

- Tak. Ale musisz pamiętać o jednym, Dan. - Leventhal nagle upadł na duchu. - Ktoś taki może narobić mi kłopotów. Może mnie umieścić na czarnej liście. Musisz sobie uświadomić... Co, może to zrobić?

- W żadnym razie, Asa - odparł Harkavy.

- Tak sądzisz?

- W żadnym wypadku. Kim on w końcu jest? -  
Harkavy spojrział na niego surowo swoimi okrągłymi,  
przejrzystymi oczami.

- Jest grubą rybą.

- Nie może ci nic zrobić. Cokolwiek byś robił,  
nie nabijaj sobie głowy takimi pomysłami. Nie może cię  
prześladować. Ale uważaj. Masz skłonność do takich  
rzeczy, chłopcze, wiesz o tym? Dostał za swoje i nie  
może nic zrobić. Może ten Allabee, czy jak mu tam,  
namówił go do tego, chciał ci zrobić głupi kawał. Wiesz,  
jak to jest: „Naprzykrza mi się pewien facet. Wyświadczył  
mi przysługę i daj mu w kość, kiedy do ciebie  
przyjdzie”. Więc to robi. No cóż, skalał własne gniazdo.  
Rozumiesz mnie, chłopcze? Skalał własne gniazdo.  
Zdaje sobie już teraz sprawę, że sam był sobie winien i  
że mu się to należało. Skąd wiesz, że to nie było  
ukartowane?

- Naprawdę uważasz to za możliwe? Nie wiem.  
I nie naprzykrzałem się temu Allbeemu. Poprosiłem go  
tylko raz.

- Być może nie namówił go do tego. Ale mógł  
to zrobić. Istnieje taka możliwość. Coś podobnego przy-  
darzyło się innemu mojemu przyjacielowi - Fabino- wi.  
Znasz go. Dali mu w kość i była to nagrana historia.  
Tylko że on nie odszczekiwał tak jak ty. Po prostu  
pozwolił im obrzucać się obelgami. Nie, postąpiłeś  
prawidłowo i nie masz się czym przejmować.

Nie uspokoiło to jednak Leventhala. Po zastano-  
wieniu miał wątpliwości co do uwagi Harkavy'ego

o prześladowaniu. Harkavy używał takich słów niezależnie od tego, czy pasowały do sytuacji, czy nie. Gniew Rudigera nie był wymaginowany, a był on człowiekiem, którego należało się obawiać. Istniały czarne listy, było o tym wiadomo. Wprawdzie nie pracował wcześniej dla Rudigera i nie mógł go on umieścić na czarnej liście jako byłego pracownika. Z natury rzeczy musi to być potajemny proces, prowadzony przy wykorzystaniu wielu prywatnych i zawodowych powiązań. W końcu Rudiger był wpływowy i potężny. Któż wiedział, jak te rzeczy się odbywają, jakimi kanałami? Mówienie o wymaginowanym prześladowaniu było po prostu głupie ze strony Harkavy'ego.

W następnych dniach Leventhal podejrzewał, że czarna lista jest całkowicie realna, bo jedna firma po drugiej odprawiała go z kwitkiem. Dopiero kiedy znalazł obecną pracę, jego podejrzania ustały i przestał się bać Rudigera.

Beard go nie wezwał; obawy Leventhala były bezpodstawne. Kiedy spotkali się po południu w toalecie, stary nie był specjalnie miły, ale nie tak przykry, jak Leventhal się spodziewał. Zapytał nawet o kłopoty rodzinne. To Leventhal zachowywał się chłodno.

- Było to tak pilne, jak się panu zdawało? - zapytał Beard.

- Och, absolutnie - odparł Leventhal. - A mój brat wyjechał. Muszę troszczyć się o jego rodzinę.

- Tak, rozumiem. Oczywiście. Pański brat ma rodzinę, tak?

- Ma dwoje dzieci. Jest żonaty z Włoszką.

Pan Beard powiedział z łagodnie badawczym spojrzeniem:

- Och, mieszane małżeństwo.

Leventhal nieznacznie skinął głową. Pan Beard otrząsnął ociekające wodą ręce i wytarł je w ręcznik, który miał zarzucony na ramię. Nie używał papierowych ręczników z blaszanego pojemnika. Słowami niewiele głośniejszymi od szeptu poczynił jakąś uwagę o upale, otarł blade czoło i wyszedł, ciasniej zapinając pasek i obciążając białą kamizelkę - przygarbiona postać o lysej głowie i sterczących łokciach. Łagodność starego przyniosła mu ulgę. Dotrzymali terminu bez niego. Obyło się bez katastrofy; Fay i Millikan zostali w pracy o godzinę dłużej. Zrobiłby to samo w podobnej sytuacji. Robił to wcześniej. A co by było, gdyby on sam zachorował? Człowiek nie składa się z metalowych części. Niech to diabli, stary Beard mógł go puścić w nieco przyjemniejszy sposób. Leventhala cieszyło jednak, że wplótł tamtą uwagę o Elenie. Mieszane małżeństwo! To wynikło samo z siebie. Zastanawiał się, jak dać staremu do zrozumienia, że wczoraj go słyszał, a w każdym razie, że nie robi sobie złudzeń. Chciał, żeby wiedział.

Po drodze do swojego biurka spotkał Millikana, nerwowego, z rzadkim wąsikiem na wąskiej ziemistej twarzy. On również niósł ręcznik i zbliżał się, dając nim

znaki. Jakże małpował swego teścia!

- Telefon, Leventhal. Szukała pana panna Ashmun. Ktoś do pana dzwoni.

- Kto? - Leventhal nagle ogarnął niepokój.

Szybko podszedł do biurka.

- Asa? - Była to Elena.

- Tak, o co chodzi? Coś się stało?

- Dziecku się pogorszyło - usłyszał w słuchawce. - Mickey... - Jej głos przeszedł w dyszkant i zaczęła mówić bez związku.

- Wolniej, Eleno, wolniej, proszę. Nie nadążam za tobą. Co się tam dzieje? - Domyślał się z lękiem w sercu, że z nią także jest coraz gorzej. - Powiedz mi teraz powoli, o co chodzi.

- Chcę sprowadzić specjalistę.

- Czemu nie wyślesz chłopca do szpitala?

- Chcę, żeby specjalista przyjechał do domu.

- Co mówi twój lekarz?

- Nie było go dzisiaj. Może wcale nie przychodzić. Zresztą co dobrego dla niego robi? Nie robi nic dobrego. Nie przychodzi, nawet kiedy wie, że Mickey jest taki chory. Asa, słyszysz mnie? Chcę kogoś wielkiego.

- W porządku. Ale gdybyś posłuchała mojej rady ze szpitalem...

Znowu zaczęła krzyżeć nieskładnie i przenikliwie. Rozróżniał wykrzyknikowe i pytajne frazy, ale prawie żadnych słów, z wyjątkiem uporczywego „Nie! Nie, nie, nie!”. Usiłował jej przerwać. Dopiero telefonista



inkasująca monetę z mechanicznym grzechotem  
położyła temu kres. Elena zapiszczała z przestrawieniem:

- Asa!

- Jestem. Jeszcze nas nie rozłączono. Ciągle jestem na linii. Słuchaj, znajdę innego lekarza i sam przyjadę po pracy.

- Specjalistę... Nie chcę nikogo innego.

Telefonistka dwukrotnie zażądała kolejnej monety.

- Niech się pani przymknie! - powiedział w końcu Leventhal z irytacją. - Nie może pani chwilę poczekać?

Ale mówił już do głuchego telefonu. Z trzaskiem odłożył słuchawkę i łokciem odsunął aparat na bok. Panna Ashmun wydawała się zdumiona. Przez chwilę wpatrywał się w nią ponuro, po czym znowu podniósł słuchawkę. Zadzwoił do Harkavych. Siostra Harkavy'ego, Julia, miała dziecko i powinna była znać jakiegoś dobrego lekarza. Telefon odebrała matka Harkavy'ego. Przepadała za Leventhałem i rozmawiała z nim serdecznie, pytając o żonę.

- Ale chce pan pewnie rozmawiać z Danielem. Daniel! - zawołała. - Jest dzisiaj w domu.

Leventhal od razu wyjaśnił, że chce mówić z Julią. Później żałował, że nie skorzystał z okazji, żeby zapytać Harkavy'ego o Kirby Allbeego. Ale jak miał o nim pomyśleć w takim momencie?

## 5

Po pośpiesznej kolacji złożonej z kanapki i butelki lemoniady przy budce niedaleko promu Leventhal

popłynął na Staten Island. Wszedł na pokład z rękami w kieszeniach zapiętej na wszystkie guziki, wygniecionej marynarki. Jego białe buty były zabrudzone. Stojąc obok koła ratunkowego, z ciemnym czołem połyskującym słabo pod źle uczesanymi gęstymi włosami, spoglądał z pozornym spokojem na wodę; nie wyglądał na tak przygnębionego, jak się czuł. Bezkształtna, przelewająca się, żółta-wozielona woda była zmętniała, mewy szybowwały tam i z powrotem, statek sunął niespiesznie naprzód w stronę oślepiającego blasku. Barka spryskiwała pomarańczową farbą kadłub frachtowca, który wznosił się wysoko, dźwigając dziób z powolnej, gęstej chmury. Na pewno w żadnym Singapurze ani Surabai słońce nie było gorętsze na łańcuchach, burtach i balustradach zakotwiczonych tam statków. Drogę promu przeciął wypływający w morze tankowiec i Leventhal odprowadzał go wzrokiem, wyobrażając sobie maszynownię; domyślał się, że musi tam być strasznie w taki dzień jak dzisiaj, mężczyźni niemal nadzy w tunelu wału napędowego, podczas gdy ta ogromna część maszyny kręciła się, spływając olejem, a silniki pracowały. Każdy obrót musi być jak coraz to nowe obciążenie dla serc i żeber mechaników, tam w pobliżu kilu, pod lustrem wody. Wieże drapaczy chmur na brzegu piętrzyły się w ogromnych blokach, spieczone, zadymione, szare i rozpalone do białości tam, gdzie słońce świeciło wprost na nie. Przez głowę Leventhala przemknęła myśl, że światło nad nimi i nad wodą przypomina żółtą barwę ukazującą się w szczelinie oka

dzikiego zwierzęcia, lwa na przykład, czegoś nie-ludzkiego, co nie dba o nic ludzkiego, a jednak jest zaszczipione również każdej ludzkiej istocie, odrobina tego czegoś, i stanowi jego część reagującą na upał i oślepiającą jasność, mimo że są one tak wyczerpujące, albo nawet na mroźne i słone rzeczy, okrutne rzeczy, wszystkie rzeczy trudne do zniesienia. Po prawej ukazało się wybrzeże Jersey, żółte, złotawobrazowe i płaskie. Wyloniła się Statua Wolności i znów przesunęła się do tyłu; w rozedrganym powietrzu była czarna, słup skręconej czerni, wznoszący się jak dym. Zabłakane deski i nasiąknięte wodą, znikające pod powierzchnią skrzynki odpływały w dal na kilwaterze statku.

Specjalista miał wkrótce przyjechać. Ale to, co mógł zrobić, zależało od Eleny. Przypadki zakaźne były hospitalizowane; powiadamiano władze medyczne. Ale wydawało się, że pierwszy lekarz zaniechał walki z Eleną, a przypuszczalnie znał on prawo. Z nieświadomą zawziętością Leventhal szykował się do walki z nią. Jak długo się opierała, wszyscy specjaliści na świecie byli bezużyteczni. Perspektywa ingerowania, wtrącania się dla ocalenia chłopca, wydawała mu się odpychająca, sprawiała, że bardziej niż kiedykolwiek czuł się kimś z zewnątrz. Ale co można było zrobić z Eleną? Po pierwsze zwykła dobra opieka mogła być uchronić dziecko przed zachorowaniem, a sądząc z tego, co widział... no cóż, jej obawa przed szpitalem pokazywała, jak mało nadaje się do wychowywania dzieci. Niektórzy powiedzieliby, że je kocha i że miłość rekompensuje

wszystkie jej niedostatki - żeby nie przyglądać się zbyt dokładnie owym niedostatkom. Skoro jednak matka i dziecko są w taki sposób ze sobą związani, to czy jeśli dziecko umiera z powodu jej niewiedzy, wciąż jest ona dobrą matką? Czy ktoś inny - rozważał to poważnie - powinien mieć prawo odebrać dziecko? Czy też los ich obojga powinno się uważać za tożsamy i mówić, że śmierć dziecka jest sprawą matki, ponieważ ona będzie najbardziej cierpiała z powodu jego śmierci? W takim razie dziecka nie uważa się za osobę, i czy jest to sprawiedliwe? Tak, na tym właśnie polega bezradność; to właśnie ma się na myśli, kiedy się o niej mówi. Co zważywszy, można zrozumieć, dlaczego małe dzieci czasem płaczą tak, jak płaczą. Mogłoby się wydawać, że ta wiedza jest im wrodzona. To niesprawiedliwe, pomyślał Leventhal, żeby nie powiedzieć tragiczne.

Zaczął rozmyślać o swojej własnej nieszczęśliwej matce, której grube rysy i czarne włosy bardzo słabo sobie przypominał. Nieodmiennie widział ją z nieobecny wyrazem twarzy, ale tak naprawdę nie był pewien, czy wyraz jej twarzy można było określić jako nieobecny. Być może tylko to matce przypisywał. I kiedy dokładniej analizował swoje wyobrażenie o niej, uświadamiał sobie, że przez nieobecny lak naprawdę rozumiał szalony; znajoma iwarz, a jednak pozbawiona czegokolwiek zwróconego ku niemu. Bał się tej twarzy; bał się, że cokolwiek w nim samym mogłoby ją w widoczny sposób przypominać. Okres chłodu wobec Harkavy'ego nastąpił po jego uwadze o prześladowaniu.

Jak Harkavy mógł mu to powiedzieć, znając jego historię? Ostatecznie jednak doszedł do wniosku, że Harkavy jest po prostu bezmyślny i nie rozumie do końca, co mówi. Dopóki się nie odezwie, sam nie wie, co wydobędzie się z jego ust. Wybaczył więc Harkavy'emu, tym bardziej jednak uświadomił sobie swoją wrażliwość na tego rodzaju uwagi. Bał się, że prawda o nim jest tak oczywista, że nawet Harkavy może ją widzieć.

Późnym wieczorem pewnego dnia rozmawiał z Mary w łóżku o swoich obawach. Śmiała się z niego. Czemu przyjął wyjaśnienie choroby matki podane przez ojca? Tak naprawdę nigdy nie poznał związanych z nią faktów. Miał jedynie słowo ojca na to, że matka umarła obłąkana. Wiele rzeczy, które przerażają ludzi, przestają budzić grozę, gdy wyjaśni je lekarz. Wiele lat temu wszyscy mówili o gorączce mózgowej; teraz wiadomo, że taka choroba nie istnieje. „Dla własnego spokoju ducha - powiedziała Mary - spróbowałabym ustalić, co jej było”. Choć jednak Leventhal obiecał wówczas, że wkrótce zajmie się tą sprawą i dokładnie ją zbada, jak dotąd nic w związku z tym nie zrobił. Jeśli chodzi o jego obawy, zauważyła Mary, zbyt łatwo wierzy we wszystko, czego się dowie na swój temat. „Bierze się stąd, że nie jesteś pewny siebie. Gdybyś był trochę pewniejszy siebie, nie przejmowałbyś się tym tak bardzo” - powiedziała z całą stanowczością swej własnej ufnej w siebie siły. I prawdopodobnie miała rację. Ale, mój Boże, jak ktokolwiek może powiedzieć, że jest

pewny siebie? Skąd może wiedzieć wszystko to, co musi wiedzieć, żeby tak twierdzić? To nie było właściwe. Leventhal wyczuwał zawartą w tym arogancję, choć jednocześnie nie potępiał Mary; wiedział, że szczerze wyraziła to, co czuje.

- Jedyнным dowodem na to, że coś było nie tak z twoją matką, jest to, że wyszła za tego twojego ojca - zakończyła Mary. Ta uwaga sprawiła, że do oczu Leventhala napłynęły łzy, gdy tak siedział ze skrzyżowanymi nogami w ciemności, odchylony od poduszki za plecami. Słowa Mary były jednak, ogólnie biorąc, dobroczynne. Dopóki nie miał dokładniejszej wiedzy, jego obawy były obawami hipochondryka. To słowo było pomocne; nadawało im zabawny rys. Faktem pozostawało jednak, że gdy przywoływał w jakimś momencie na pamięć twarz matki, miała ona, pomimo tego wszystkiego, nieobecny wyraz.

Spoglądał w dół na powgniatane mosiężne okucia na pokładzie. Na razie wolał ostrożnie osądzać Elenę i przyjmować, że ma przeciążone nerwy. Nie potrafiła zapanować nad uczuciami naturalnymi u każdego rodzica, którego dziecko jest chore. Kiedy jednak pozwalał sobie pójść dalej, myśleć o czymś więcej niż o przeciążonych nerwach i włoskich emocjach, dostrzegał podobieństwo między nią a swoją matką i jeśli już o tym mowa, między sobą i Maksem a tamtą dwójką dzieci. To ostatnie nie było takie ważne. Gdy jednak myślał o tym, że obie kobiety są być może podobne do siebie, pozwalało mu to ujrzeć każdą z nich w ostrzejszym

światle. Można było w każdym razie o nich powiedzieć, że obie reagowały w niezwykle sposób, kiedy były zaniepokojone (nie zapomniał wrzasków swojej matki) - czy jakkolwiek by się ten stan ducha nazwało.

Kołowroty zaczęły terkotać i w zielonym drewnianym kanale przystani hałaśliwie opadła rampa. Woda pod dziobem zrobiła się żółtobiała jak zleżały miejski śnieg. Prom ruszył do tyłu, po czym, z wyłączonymi silnikami, wpłynął do środka, uderzając o porośnięte wodorostami belki. Na długim wzgórzu za łukami bram nagle ukazały się fasady domów. Leventhal, wychodząc wśród tłumu na brzeg, usłyszał autobusy warczące przed stacją.

Znowu wpuścił go Philip. Rozpoznawszy stryja, odsunął się na bok, żeby go przepuścić.

81

- Gdzie jest Elena? Jest tutaj? - zapytał Leventhal, wchodząc do pokoju stołowego. - Jak się czuje mały?

- Śpi. Mama jest na dole. Telefonuje od Villaniego. Powiedziała, że zaraz wróci na górę. - Skierował się do kuchni, wyjaśniając od drzwi: - Właśnie jadłem kolację.

- Nie przeszkadzaj sobie, dokończ - powiedział Leventhal. Chodził nerwowo po pokoju. Mickey spał; drugi alarm wydawał się taki sam jak pierwszy. Dotykając drzwi prowadzących na korytarz, zastanawiał się, czy powinien wejść sam do pokoju dziecka. Nie, rozsądniej było tego nie robić; kto mógł wiedzieć, jak Elena na to zareaguje.

Było krótko przed zachodem słońca i w mieszkaniach, których okna wychodziły na szyb wentylacyjny, paliły się światła. Mury na krótkim odcinku poniżej czarnego gzymsu były zaczerwienione przez niebo. Leventhal wszedł do kuchni, gdzie Philip siedział na wysokim stołku przy stole. Miał przed sobą miskę suchych płatków zbożowych i zalał je mlekiem, podważwszy paznokciem kciuka zamknięcie kartonu; obrał i pokroił banana, posypał go cukrem i wrzucił skórkę do zlewu wypełnionego garnkami i naczyniami. Papierowe falbanki na półkach kredensu szeleściły w strumieniu powietrza z wentylatora. Stał on, zakopcony, na szafce, wirując z owadzią szybkością i furkotem miękkich gumowych łopatek; przywodził na myśl muchę latającą pod brudnym, rozgrzanym sufitem i obok łuszczących się, połączonych wieloma przegubami, wygiętych rur, na których Elena wieszała szmaty do wyschnięcia. Kolana chłopca znajdowały się na wysokości blatu stołu i podczas jedzenia zginał się niemal we dwoje, rozsuwając nogi. Leventhal pomyślał, że wziął stołek zamiast krzesła, ponieważ odczuwał potrzebę zrobienia w jego obecności czegoś niezwyklego. „Ja również popisywałem się, kiedy mieliśmy gościa”

- przypomniał sobie. „A kimś takim właśnie tutaj jestem, gościem”.

- To cała twoja kolacja? - zapytał.

- Kiedy jest tak gorąco, nigdy nie jem dużo. -

Chłopiec miał dość precyzyjny sposób wysławiania się.



- Powinieneś jeść chleb z masłem i podobne rzeczy, i zieleninę - powiedział Leventhal.

Philip przerwał jedzenie i krótko spojrzął na stryja.

- Nie gotujemy zbyt dużo podczas tej fali upałów

- odparł. Postawił stopy na wyższej poprzeczce stołka i pochylił się jeszcze niżej. Miał świeżo obcięte włosy, nierówno przystrzyżone na górze i podgolo- ne wysoko na karku do linii ponad dużymi, lecz delikatnymi białymi uszami.

- Co ty masz za fryzjera?

Philip znowu podniósł wzrok.

- Och, to Jack McCaul przy naszej ulicy.

Wszyscy do niego chodzimy, tato też, kiedy jest w domu. Kazałem mu je tak obciąć. Poprosiłem o fryzurę na lato.

- Powinni mu odebrać licencję za coś takiego. - Powiedział to z przesadnym naciskiem i spalił zamierzony żart. Zamilkł na chwilę, starając się znaleźć właściwy ton.

- Och, McCaul jest w porządku - rzekł Philip. - Zajmuje się nami. Czekałem, aż małemu się poprawi, żebyśmy mogli pójść razem. Ale mama powiedziała, że mam pójść się ostrzyć, bo inaczej będzie musiała mi kupić skrzypce pasujące do włosów. Ta fryzura jest dobra na taką pogodę. Zeszłego lata ostrzyłem się na zero, ściałem wszystko.

- Tak, właściwie jest niezła. - Leventhal przyglądał mu się, jak je, ogarnięty współczuciem.

„Niezależny malec” - pomyślał. „Ale jak go traktują”.

Usiadł przy oknie, rozpinając wymiętą marynarkę, i spojrzął na niebo przez czarny kwadrat szybu wentylacyjnego. W jednym z sąsiednich mieszkań dziewczyna siedząca w fotelu szczotkowała psa, który ziewnął i spróbował polizać ją w rękę. Przydusiła jego pysk do dołu. Kobieta w halce przeszła przez pokój, tam i z powrotem, z kuchni do przedpokoju. Okno Mickeya wychodziło na szyb; znajdowało się w narożniku i gdyby chłopiec teraz nie spał, mógłby zobaczyć swego brata i stryja.

- Lekarz będzie tu lada chwila - Leventhal stał się nagle niecierpliwy. - Sądziłem, że Elena nie może się doczekać jego przybycia. Co ona tam tak długo robi?

- Pojdę zobaczyć - Philip zeskoczył ze stołka.

- Nie przerywaj kolacji. Powiedz mi, gdzie jest, to ją znajdę. - Ale Philip był już na korytarzu. Zamiast kroków Leventhal usłyszał jednak przez otwarte drzwi głosy. Czy chłopiec spotkał Elenę wchodzącą po schodach? W pokoju stołowym, pod zielonymi szybkami klosza, zapaliło się światło i Leventhalowi mignęła kobieta w czarnej sukni, przechodząca obok stołu.

- Chłopcze? - zawołał. - Słuchaj, Phil?

- Tutaj. Wejdz do środka.

- Kto to? - zapytał cichym głosem. Usiłował sięgnąć wzrokiem poza krąg światła lampy do przeciwległego końca pokoju.

- Moja babcia.

- Stara kobieta? - zapytał Leventhal ze zdziwieniem. Słyszał coś o niej od Maksa, ale nigdy jej nie widział. Z widocznym zmieszaniem ruszył od drzwi i poszedł wokół stołu w jej stronę, zmieniając kierunek, kiedy się odwróciła i usiadła w wyścielonym fotelu.

- To brat taty - powiedział do niej Philip. Leventhal miał świadomość, że przedłuży skinienie głowy niemal do ukłonu; chciał zrobić korzystne wrażenie. Starsza pani obrzuciła go tylko krótkim ostrym spojrzaniem. Była wyższa od Eleny, chuda i wyprostowana, a sposób trzymania przez nią głowy zdradzał napięcie. W jej uszach wisiały duże złote kolczyki. Włosy na skroniach miała krótkie i białe; z tyłu głowy były one czarne i upięte w ciasny kok. Sukienka również była czarna, z czarnego jedwabiu, i pomimo upału kobieta miała na ramionach szal.

Ponieważ się nie odzywała, Leventhal stał niezdecydowany; mówienie czegokolwiek więcej wydawało się niewskazane, gdyby zaś usiadł, nie doczekawszy się odpowiedzi, czułby się skrępowany. Z drugiej strony powrót do kuchni również mógłby zostać uznany za niegrzeczny. Być może błędnie rozumiał jej małomówność. Zdawała się jednak odwracać od niego głowę i musiał walczyć z gniewnym pragnieniem zmuszenia jej do patrzenia w jego stronę. Ale nie odezwała się dotąd i nie mógł być pewien. Było możliwe, że się myli.

- Zdawało mi się, że chciałeś przyprorowadzić mamę - powiedział do Philipa z lekkim zniecierpliwie-

niem. A kiedy chłopiec już wychodził, rzekł pośpiesznie: - Pójdę z tobą.

Uznał, że spojrzenie babki jest nieprzyjazne, chociaż w zakurzonym zielonkawym świetle padającym przez klosz trudno to było jednoznacznie ocenić. Wyczuwał jednak jej niechęć. Szurając nogami - upał czynił go ociężałym - zszedł za Philipem parę pięter w dół do mieszkania sąsiada. Philip zapukał i po kilku sekundach pośpiesznie wyszła do nich Elena, przejęta i wylęknięta.

- Och, Asa, to ty - powiedziała. - A specjalista? Przywiozłeś go?

- Powiedział, że będzie między siódmą a ósmą. Niebawem powinien tu być.

Na klatce schodowej ukazał się sąsiad, pan Villani, palący skręcone cygaro, i krzyknął do niej:

- Niech nam pani da od razu znać, co powie tam na górze o chłopcu. - Patrzył na Leventhala, zupełnie nie kryjąc zaciekawienia. - Dzień dobry - przywitał się.

- To brat mojego męża - wyjaśniła Elena.

- Tak, oczywiście - rzekł, wyjmując cygaro z ust.

Leventhal beznamiętnie odwzajemnił jego spojrzenie; jego oczy były poważne i niekomunikatywne, trochę tylko w chłodny sposób badawcze. Po policzku sphywała mu kropla potu. Villani, trzymając rękę w kieszeni, szeroko rozciągnął spodnie.

- Rzeczywiście jest pan podobny do pana Leventhala - rzekł. Odwrócił się do Eleny. - I niech

pani robi to, co doktor pani każe, słyszy pani? Wyciągniemy chłopaka z tego, więc niech się pani nie martwi. Moim zdaniem ma tylko letnią gorączkę - powiedział do Leventhala. - To nic poważnego. Moje dzieciaki to miały. Ale ta pani jest z tych, co się wszystkim przejmują.

-To bardzo poważne-rzekła Elena. Mówiła spokojnie, ale Leventhal, który bacznie się jej przyglądał, zwracając szczególną uwagę na wyraz jej oczu, poczuł ukłucie osobliwego lęku, gdy nagle się one rozszerzyły.

- Och, och, skąd pani wie? Czy pani jest lekarzem? Niech pani trochę zaczeka.

- Myślę, Eleno, że ten pan ma rację - rzekł Leventhal.

- Jasne, że tak. Trzeba mieć zaufanie do lekarza.

- Żarliwy, ostry ton uwiązał Villanemu w gardle, a on sam wyrzucił przed siebie ramię, zakreślając nim krótki, sztywny, wymowny łuk. - O co chodzi? Jasne! Przekona się pani. Chłopcu nic nie jest.

Cygaro jarzyło się w jego palcach.

- Będzie miała zaufanie - zapewnił go Leventhal.

Ruszyli schodami w górę. Na trzecim piętrze Elena zatrzymała się i powiedziała, nerwowo wydychając powietrze:

- Phillie, co mi mówiłeś? Babcia jest tutaj?

- Właśnie przyszła.

- O rety! - Pełna niepokoju obróciła się gwałtownie do Leventhala. - Co ci powiedziała? Cokolwiek?

- Ani słowa.

- Och, Asa, jeśli coś powie... Och, w Bogu nadzieja, że tego nie zrobi. Pozwol jej mówić, co zechce. Puszczaj to mimo uszu.

- Oczywiście - odparł.

- Moja matka jest bardzo osobliwą osobą. Zachowywała się okropnie, kiedy pobraliśmy się z Maksem. Chciała mnie wyrzucić z domu za to, że z nim chodziłam. Nie mogłam go przyprowadzać. Musiałam się z nim spotykać na zewnątrz.

- Max raz czy dwa wspominał...

- Jest strasznie ortodoksyjną katoliczką. Mówiła, że jeśli wyjdę za kogokolwiek innego niż za katolika, nie będzie chciała więcej mieć ze mną nic wspólnego. Przeklnie mnie. Kiedy więc opuściłam dom, zrobiła to. Nawet jej nie widziałam do czasu, aż urodził się Phillie. Wciąż rzadko się z nią widuję, ale od kiedy Mickey zachorował, bywa tu dość często. Kiedy Max jest w domu, nawet nie chce wejść. Moja matka jest bardzo przesądna. Zachowała wszystkie zwyczaje starego kraju. Wydaje jej się, że ciągle jest na Sycylii. - Elena mówiła prawie szeptem, zasłaniając jedną stronę twarzy dłonią.

- Nie martw się, poradzę z nią sobie.

- Taka już jest - wyjaśniła Elena, uśmiechając się bezradnie.

- Możesz się przestać martwić.

Stara kobieta wyszła im naprzeciw na korytarz i natychmiast zaczęła rozmawiać z córką, od czasu do czasu przenosząc oczy na twarz Leventhala. W jej głosie pobrzmiwała chryпка, która wydawała mu się

charakterystycznie włoska. Jej długa głowa była sztywno odwiedzona do tyłu na czarnych ramionach. Zauważył, że odchyła dolną wargę do dołu i obnaża zęby, przeciągając jakąś sylabę. Elena potrząsała w przygnębieniu głową i odpowiadała krótkimi zdaniami. Leventhal starał się pochwycić tu i ówdzie jakieś słowo. Nic nie rozumiał. Nagle Elena przerwała matce, wykrzykując:

- Gdzie? Dlaczego od razu nie powiedziałaś, mamgo? Gdzie on jest? Ten człowiek jest tutaj! - zawołała do Leventhala. - Specjalista!

Wbiegła do środka. Leventhal, idąc za babką korytarzem prowadzącym do sypialni, skrzywił twarz w niezwykłym u niego wybuchu uczuć. Szpetna stara wiedźma! Kazać córce czekać i słuchać jej skarg, a dopiero potem powiedzieć jej, że lekarz przyjechał.

- Rodzice! - mruknął. - O tak, rodzice! Mój Boże, rodzice! - Miał wielką ochotę ją popchnąć.

Weszli do sypialni. Lekarz podciągnął koszulę Mickeya i osłuchiwał mu serce. Chłopiec wydawał się ledwie obudzony; był apatyczny i poddawał się badaniu oziębiały od gorączki, unosząc oczy tylko na matkę, bardziej ją rozpoznając, niż o coś prosząc. Philip oparł się o słupek łóżka, żeby go widzieć.

- Phil, nie trzęś tak, odsuń się! - powiedziała Elena.

Lekarz obejrzał się przez ramię. Był to młody mężczyzna o pociągłej, różowej twarzy; na blisko osadzonych oczach miał cienkie soczewki w złotej oprawce.

Przyciskając stetoskop do klatki piersiowej i barków dziecka, patrzył uważnie na Leventhala, najwyraźniej biorąc go za ojca. Leventhala ta pomyłka z początku denerwowała. Wkrótce jednak pojął, że lekarz usiłuje dać mu do zrozumienia, iż choroba jest poważna. Niepostrzeżenie dla Eleny, która odwijala koldrę, ponuro skinął do niego głową na znak, że zrozumiał. Lekarz zawiesił słuchawki na szyi i obmacał ramiona chłopca czystymi czerwonymi palcami. W żółtawej, sztywnej sieci na tle czarnego okna paprocie i ogromne ćmy poprzytykane były dziurami i lukami. Do pokoju przedostawało się powietrze z kuchni i odgłosy podwórza. Chłopca uniesiono i odwrócono poduszkę.

- Powinna pani co kilka godzin myć go gąbką - rzekł lekarz.

- Zrobiłam to dziś po południu. Wkrótce zrobię to znowu - odparła Elena.

Wcześniej szeptała do niego od czasu do czasu, a teraz z przejęciem, niemal radośnie, mówiła na głos. Zdawała się sądzić, że nie ma już powodu do obaw.

- Tak bardzo mu ufam - powiedziała do Leventhala, wpatrując się w lekarza.

Dłonie Leventhala były wilgotne i chłodne. Zaczynało mu się robić niedobrze od nagle zdwojonego napięcia. Wytał twarz, przeciągając chustką po zarości na policzku i pozostawiając na nim strzępek przędzy. Był pewien, że prawidłowo rozumiał milczący przekaz lekarza. Optymizm Eleny zdumiewał go. Odwrócił się zatroskany, spoglądając na nią i na dzieci, i minęło parę



chwil, nim przyszło mu do głowy, że jest to właściwie zmartwienie jego brata. Od razu poczuł wściekłość na Maksa, że nie ma go tutaj. Przede wszystkim nie miał prawa wyjeżdżać. Namacał ręką portfel; włożył do niego wcześniej wizytówkę brata. Zadepeszuje do niego dziś wieczór. Albo nie, lepszy będzie nocny telegram, będzie mógł w nim więcej zawrzeć. Zaczął w myślach formułować wiadomość. „Drogi Maksie, jeśli możesz oderwać się od tego, co robisz... jeśli jesteś w stanie wyjechać na jakiś czas...” Nie będzie go oszczędzał. Im ostrzej, tym lepiej. Wystarczyło spojrzeć na to, co po sobie zostawił: ten dom, czynszowe mieszkanie; Elena, która sama być może potrzebowała opieki; dzieci, które wydali na świat. Leventhal powrócił do układania nocnego telegramu. „Jesteś tu potrzebny. Nieodzownie”. Fakt, że to on, niemal ktoś obcy dla rodziny, wysłał wiadomość, powinien uświadomić Maksowi, jak poważna jest sytuacja. Ach, co za historia! A babka? Gdyby coś się chłopcu stało, uznałaby to za rodzaj wyroku na ich małżeństwo. To małżeństwo było dla niej nieczyste. Tak, rozumiał jej uczucia. Żyd, mężczyzna o niewłaściwej krwi, złej krwi, dał jej córce dwoje dzieci, i dlatego to się teraz działo. Nikt nie zdołałby przekonać Leventhala, że się myli. Ledwie słysząc to, co mówiono w pokoju, posępnie przyglądał się starej kobiecie, jej posiwiałym skroniom, wąskiej, prostej linii nosa, surowości jej wciśniętej w ramiona głowy, obnażaniu zębów, gdy otwierała usta, żeby coś powiedzieć do córki. Nie, nie mylił się. Z jej punktu widzenia była to

nieuchronna kara - tak by to postrzegala, jako karę. Nawet gdyby czula coś jeszcze - w końcu chłopiec był jej wnukiem - to czulaby najpierw.

Właśnie w tym momencie zauważył wielkie wzburzenie Eleny i zaczął zwracać uwagę na rozmowę. Usłyszał, jak lekarz mówi o szpitalu, i pomyślał: „Nie może tu dłużej trzymać dziecka. Będzie musiała ustąpić”.

- Powiedziałem jej wczoraj, że powinna wysłać chłopca do szpitala - rzekł.

Elena wciąż się opierała.

- Ale dlaczego nie ma mu być równie dobrze w domu? Lepiej. Mogę się nim opiekować lepiej niż pielęgniarka.

- Musi pojechać, jeśli pani chce, żebyśmy zajęli się tym przypadkiem.

- Ale co tutaj jest nie tak? - błagała.

- Trzeba tak zrobić - powiedział lekarz, zatrzasnąwszy zamek torby.

- Mam sprowadzić taksówkę? - cicho zapytał stryja Philip.

Leventhal skinął głową. Philip wybiegł z pokoju.

W drodze powrotnej na Manhattan lekarz powiedział Leventhalowi, że wydaje mu się - chociaż potrzebuje więcej danych, by potwierdzić diagnozę - iż Mickey ma rzadko spotykaną infekcję oskrzeli. Dwu- albo trzykrotnie wymienił jej nazwę i Leventhal usiłował ją zapamiętać, ale bez powodzenia. Takie przypadki były poważne, ale niekoniecznie śmiertelne.

- Sądzi pan, że będzie pan mu w stanie pomóc, doktorze? - zapytał z wielkim przejęciem i słowa nadziei lekarza podniosły go na duchu.

Statek wypłynął z przystani; ogromne złociste korony światła ponad wiatami miały teraz dość miejsca, by igrzać na wodzie między rufą a brzegiem.

- Zamierzałem zadepeszować do brata, żeby przyjechał - rzekł Leventhal, który wyjaśnił już, że nie jest ojcem.

Lekarz odparł, że nie wydaje mu się to w tej chwili konieczne. Wystarczy mu powiedzieć, żeby był w pogotowiu. Leventhal uznał tę radę za sensowną. Po co od razu wywoływać panikę? W końcu sytuacja nie była aż tak krytyczna. Wyśle Maksowi nocny telegram i pozwoli mu zdecydować, czy ma przyjechać, czy czekać. Prom sunął wolno w upale i ciemnościach portu. Cizba pasażerów na otwartym pokładzie była nieruchoma, jak tłum dusz, z których każda koncentrowała się na celu swej podróży. Cienkie okrągłe szkiełka okularów lekarza były zwrócone ku niebu, obydwie oświetlone w tym samym stopniu przez żarówkę nad jego głowę. Leventhal chciał zadać mu więcej pytań o tę chorobę. Była rzadka. Czy medycyna wie, jak coś takiego wybiera sobie dziecko na Staten Island, a nie na przykład w St. Louis albo Denver? Jedno dziecko na wiele tysięcy. Jak medycy to tłumaczą? Czy

każdy nosi ją w stanie uśpienia? Czy może być dziedziczna? A z drugiej strony, czy nie jest jeszcze dziwniejsze, że ludzie, tak różni, wśród których nie ma dwóch o jednakowych odciskach palców, nie mają bardziej zindywidualizowanych chorób? Uwolniony od przygnębienia przez słowa otuchy lekarza, miał wielką ochotę rozmawiać. Chciałby o tym podyskutować, ale pytał już kilkakrotnie o nazwę choroby i nie udało mu się jej zapamiętać, więc lekarz musiał mieć o nim nie najlepsze zdanie. I być może byłby protekcjonalny wobec laika. Dlatego też Leventhal zachowywał milczenie i myślał: „Dajmy temu spokój”. Ale nadal się nad tym zastanawiał. Mówiono, że Bóg nie ma baczenia na osoby, mając na myśli, że wszystkich obowiązują te same zasady. Gdzie to było? Usiłował sobie przypomnieć.

Znajdowali się na środku zatoki, gdy lekki wiatr nagle rozproszył upał. Wysoko i nisko między brzegami światła statków, sygnalizatorów i mostów przesuwali się niespiesznie i umykały wygięte, i kołysały się w miejscu na falach, a od strony wody rozbrzmiewały dźwięczne, dość melancholijne dzwonki, kiedy coś poruszyło boje. Bryza nawiewała na pokład pył wodny i statek zdawał się od czasu do czasu drżeć, przyciągany przez ocean rozpościerający się za wyspami. Gdy zbliżali się do nabrzeża Manhattanu, ludzie zaczęli wstawać z ławek w salonie; kiedy opuszczano łańcuchy, zapanował wielki ścisk. Leventhal został rozdzielony z lekarzem.

Pojechał do domu metrem; na swojej stacji przepechnął się przez obrotową stalową bramkę i z głęboką ulgą odetchnął chłodniejszym powietrzem ulicy.

Spodziewał się listu od Mary - była już pora na następny - i szybko otworzył skrzynkę, gdy tymczasem pies Nuneza obwąchiwał jego nogi. Zamiast listu Mary przysłała dwie gęsto zapisane pocztówki. Ona i jej matka wj^ruszały w piątek do Charleston. Dom został sprzedany. Obie czuły się dobrze i miała nadzieję, że on także, pomimo upału. W Baltimore była piękna letnia pogoda, która po prostu człowieka odurzała. Druga kartka była inna; znajdowały się w niej intymne odniesienia. Tylko Mary potrafiła pisać takie rzeczy na kartkach pocztowych, gdzie każdy mógł je przeczytać. Rozbawiony, dumny i zadowolony z niej, bardziej ukontentowany niż zakłopotany możliwością, że urzędnicy pocztowi przeczytali kartki, włożył je do kieszeni.

- Czy pozytywnie przeszedłem inspekcję? - zapytał psa Nuneza. - Zmykaj teraz.

Pochyliwszy się, schwycił głowę psa i poczochnął ją. Ruszył schodami w górę, a pies pobiegł za nim.

- Zmykaj, powiedziałem. - Zagroził nogą drogę, po czym wśliznął się do środka i zatrzasnął drzwi do klatki schodowej. - Do domu! - wrzasnął i zaśmiał się głośno. - No już, do domu!

Zastukał w szkło, na co pies zaszczekał natargywie i skoczył do szyby. Leventhal powiedział do jednego z sąsiadów, którego ledwie znał:

- Psa dozorca coś napadło. Słyszysz go pan?

Starsza, pełna rezerwy bladej twarzy uśmiechnęła się do niego niepewnie i zdawała się słuchać z lękiem jazgotu dochodzącego z sieni. Leventhal popędził na górę, tupiąc nogami i uderzając kapeluszem w balustradę. Wszedł hałaśliwie do mieszkania. Kochana Mary! Gdyby tylko tu była, lak by mógł ją objąć i pocałować. Odrzucił kapelusz i marynarkę, ściągnął buty i poszedł otworzyć okna i rozsunąć zasłony. Zrobiła się piękna noc. Powietrze było drżące i cudowne. Wszedł księżyc; widoczne były rozsiane w dużych odstępach gwiazdy i małe chmury, które zatrzymywały się, a potem obracały, gdy chłodne podmuchy wiatru przebijają się przez upał.

97

Zapalił lampę na sekretarzyku i zaczął pisać do żony. Na oświetloną zieloną podkładkę do pisania spadały komary i znowu wlatywały do góry. Zdawał jej relację o sobie, zapominając, że ostatnio czuł się nerwowy, niespokojny i niezdrowszy. Nie wspominał nic o tym, co wydarzyło się w redakcji. Nie wydawało się to warte wspomnienia. Pisał szybko i barwnie; opisywał pogodę, napomykał, że Wilma wypila piwo, że parki są okropnie zatłoczone. Potem przyłapał się na tym, że opowiada jej o swoim bratanku, pisząc z nagłym przypływem uczuć: słowa zaczęły się rozciągać pod szybko przesuwającą się ręką. Już w innym tonie opisywał Elenę. Wyznał, że bał się na nią spojrzeć, gdy wsiadła do taksówki, a on układał na jej kolanach opatulone dziecko, które owinęła dwoma kocami, chociaż temperatura musiała znacznie przekraczać trzydzieści stopni. Przypomniał sobie wszystkie wrażenia tamtej chwili - oczy chłopca, w których odbijało się światło licznika, skórzaną duchtę tylnego

siedzenia, wysuniętą szczękę kierowcy i długi daszek jego czarnej czapki, płacz Philipa, Villaniego przytrzymującego dzieci na chodniku. Serce zaczęło Leventhalowi bić szybciej, a jego język zrobił się suchy. Jeśli chodzi

o jego brata... Gdy jednak napisał imię Maksa, wstał i pochylił się nad kartką. Zamierzał przed wejściem na górę wysłać nocny telegram. Pióro plamiło mu palce. Upuścił je i zaczął szukać butów poza kręgiem światła lampy. Właśnie je znalazł i wciskał do nich stopy, nie rozluźniając sznurówek, kiedy przenikliwie i długo zabrzączał dzwonek. Leventhal wyprostował się z pomrukiem irytacji i zdziwienia.

- Kto u diabła ciężkiego może tak dzwonić? - zapytał.

Ale już wiedział, kto to taki. To był Allbee. To inusiałbyć on. Otworzył drzwi i słuchał równomiernego szurania i stukotu kroków na pustej klatce schodowej. Przyszło mu do głowy, że może wymknąć się Allbeemu, wchodząc na dach. Gdyby ukradkiem wyszedł, mógłby jeszcze uciec. A gdyby tamten poszedł za nim, sąsiedni dach był oddalony zaledwie o kilka cali, wystarczyło przestawić nogę. Stamtąd mógł zejść na ulicę i do widzenia. Mógł wyjść jeszcze teraz. Jeszcze t e r a z . Stał jednak niewzruszenie i, co dziwne, wydawało mu się, że coś w ten sposób udowodnił. „Nie ustąpię” - pomyślał. „Niech on ustąpi. Dlaczego ja miałbym to zrobić?” Szybko wrócił do pisania listu, pozostawiając drzwi otwarte. Zakończył go kilkoma zdawkowymi zdaniem i przeczytał raz jeszcze. Napisał „Całuję Cię mocno”, podpisał się, zaadresował kopertę, a kiedy to

zrobił, Allbee był już w pokoju. Leventhal wiedział, że tamten wszedł; opanował jednak chęć odwrócenia się. Najpierw nalepił znaczek na kopertę, zakleił ją, przez chwilę próbował ocenić jej ciężar i wydawało się, że dopiero potem zauważył gościa, który uśmiechał się do niego, nie rozchylając ust. Wejście bez pukania czy zaproszenia stanowiło najście. Oczywiście drzwi były otwarte, ale mimo wszystko impertynencją było nie zapukać. Leventhalowi wydawało się, że w wyzywającym spojrzeniu Allbeego dostrzega odrobinę złośliwej satysfakcji. „Zachowuje się tak, jakbym był mu w i n i e n gościnność”, przebiegło mu przez myśl.

- Tak? - zapytał bezbarwnym tonem, z obojętną uprzejmością.

- Nieźle się pan tutaj urządził - rzekł Allbee, oglądając pokój. Być może porównywał go z własnym mieszkaniem. Leventhal potrafił sobie wyobrazić, jak ono wygląda.

- Skoro już pan tu jest, niech pan usiądzie - powiedział Leventhal. - Dlaczego miałby pan stać? - Wiedział, że nie pozbędzie się go, dopóki go nie wysłucha, a to równie dobrze mogło nastąpić teraz, jak kiedykolwiek indziej.

- Najmocniej dziękuję - odparł Allbee. Z kurtką wysunął do przodu głowę i zdawał się próbować odczytać wyraz twarzy Leventhala. - Trzeba się nieźle nawspinać po tych schodach. Nie jestem przyzwyczajony do tych wysokich domów bez windy.

Przyciągnął krzesło w pobliże biurka, założył nogę



na nogę i splótł na kolanie nieco sztywne palce. Miał wystrzępione mankiety koszuli, nitki wplątywały się w jasne włoski na nadgarstkach. Jego dłonie były brudne. Jasne włosy, nierówno rozdzielone na głowie, wydawały się wilgotne. Najwyraźniej było prawdą, że wejście na górę sprawiło mu sporo trudu.

- Tu naprawdę jest wysoko - uśmiechnął się. - A dla mnie, no cóż... - Zaczepnął powietrza. - Jestem przyzwyczajony do nizinnych regionów. - Wskazał palcem podłogę i zgiął go, jakby pociągał za spust.

- Czy przyszedł pan tutaj, żeby odegrać tę samą komedię, co ostatnim razem? Bo jeśli tak, to chcę panu raz na zawsze powiedzieć...

- Och, niech pan zaczeka - rzekł Allbee. - Bądźmy rozsądni i otwarci. Nie przyszedłem po to, żeby się panu żalić. Czemu miałbym to robić? Powiedziałem tylko to, co oczywiste. Nie ma się o co spierać. Jestem na dnie. Nie zamierza pan chyba temu zaprzeczać, prawda? - Rozłożył ramiona, jakby chciał się poddać badaniu, i chociaż zrobił to ironicznie, Leventhal spostrzegł, że tak naprawdę nie żartuje.

- Podczas gdy pan... - Wskazał na mieszkanie.

Leventhal odparł:

- Och, proszę - i potrząsnął głową. - Niech pan mi nie wciska tych bzdur.

- To fakt, twardy fakt - rzekł Allbee. - Jestem najlepszym sędzią faktów. Znam je dogłębnie. Dla mnie to nie tylko teoria. Odległość między panem a mną jest większa niż między panem a największym milionerem

w Ameryce. Kiedy porównuję siebie z panem, to pan jest w empireum, jak mawiali w szkole, a ja w piekielnej otchłani. I ja byłem kiedyś na pańskim miejscu, ale pan na moim nigdy.

- Co pan ma na myśli? Bywałem bez grosza przy duszy.

Allbee uśmiechnął się do niego pobłaźliwie.

- Kompletnie splukany, bez miedziaka na jedzenie z automatu - rzekł Leventhal.

- Och, niech pan da spokój. Nic pan o tym nie wie, wnioskuję to ze sposobu, w jaki pan o tym mówi. Nigdy pan nie był na moim miejscu. Miedziaki na jedzenie z automatu... chwilowa niedogodność. To... - tu przechylił głowę na bok, dotykając nią niemal barku, i wyciągniętym ramieniem oraz otwartą dłońią wykonał gest, jakby odsuwał to porównanie na bok. W umyśle Leventhala natychmiast pojawiły się najstraszliwsze obrazy mężczyzn siedzących na misyjnych ławkach i czekających na kawę w rozmazanym i zamglonym zimowym słońcu; prześcieradeł i brudnych poduszek w taniej noclegowni; ohydnych kartonowych klitek pomalowanych tak, by przypominały drewno, a nawet wolframowych drucików w żarówkach, podobnych do małych płonących robaczek, które zdawały się raczej pożerać, niż dawać światło. Lepiej przebywać w ciemności. Widział takie miejsca. Wciąż jeszcze czuł zapach karbolowego środka dezynfekcyjnego. A gdyby to było jego ciało na tych prześcieradłach, jego usta pijące tę kawę, jego plecy i uda na tamtym zimowym słońcu, jego

oczy patrzące na deski podłogi...? Allbee miał rację, uśmiechając się do niego; nigdy nie był w takim położeniu. „A więc się myślę” - pomyślał. „Dlaczego miałbym mu w tym dorównać? Czy to konieczne? A w ogóle to czego on chce?” Na pewien czas zapomniało nocnym telegramie. Czekał, aż Allbee wyjawi, po co przyszedł. Nie wiedział, czego się spodziewać, lecz uważał za bardzo prawdopodobne, że tamten powtórzy swe oskarżenie pomimo zapewnień, iż nie jest tu po to, żeby się żalić.

- No cóż - rzekł, poprzedzając swoją uwagę krótkim śmiechem. - To osobliwe stwierdzenie jak na rozpoczęcie wizyty.

- Ależ nie. Cóż mogłoby być lepsze? Wyrażenie podziwu dla domu gospodarza to szczyt uprzejmości. A kontrast między nami powinien sprawiać panu przyjemność. Powinno dawać panu wiele satysfakcji, że wszystko to zrobił pan sam.

- Co zrobiłem sam? - zapytał Leventhal podejrzliwie.

- Podźwignął się pan, to mam na myśli - szybko odparł Allbee. - Powiedział pan właśnie, że był pan kiedyś bez grosza, co oznacza, że doszedł pan do wszystkiego o własnych siłach. To powód do wielkiej satysfakcji, nieprawdaż? A kiedy widzi pan kogoś, kto nie poradził sobie tak dobrze, to przecież zwiększa to pańską satysfakcję. To bardzo ludzkie. Nawet jeśli pan wie, że prawda wygląda nieco inaczej.

- Nie powiedziałem, że do wszystkiego doszed-

łem o własnych siłach, ani niczego w tym rodzaju. To zupełny nonsens.

- Cieszę się zatem, że mnie pan poprawia - odparł Allbee. - Musiałem odnieść mylne wrażenie. Bo, wie pan, im więcej o tym myślę, tym bardziej mam uczucie, że ta historia z osiągnięciem wszystkiego o własnych siłach to bzdura. Czasy, kiedy odnosiło się sukces dzięki własnym wysiłkom, minęły. Teraz wszystko to ślepy ruch, ogromny ruch, a jednostka jest popychana tam i z powrotem. Wydaje jej się tylko, że jest siłą sprawczą. Ale tak nie jest. Grupy, organizacje odnoszą sukces albo upadają, ale już nie jednostki. Zgadza się pan?

- No, niezupełnie tak jest - odparł Leventhal. - Nie, nie zgadzam się.

- Nie zgadza się pan, że ludziom narzucone jest przeznaczenie? To niedorzeczne, bo właśnie tak jest. I jest to całe przeznaczenie, jakie jest im dane, więc lepiej niech nie myślą, że oni tutaj rządzą. To rodzaj pomyłki, której nie chciałbym popełnić. Nie ma nic gorszego, niż kiedy człowiek nie tylko nie ma szczęścia, ale jeszcze tkwi w błędzie. Ale spotyka się ludzi, którzy mają szczęście i przypisują sobie za to zasługę - swojej inteligencji i osobowości - podczas gdy tak naprawdę byli po prostu we właściwym miejscu o właściwym czasie.

- Wyjaśnijmy to sobie od razu, jeśli można - rzekł

Leventhal chłodno. - Może porozmawiamy otwarcie i

szczerze? Do czego to wszystko zmierza?

- Ależ do niczego. To tylko rozmowa, gadanina. Gadanina, gadanina, gadanina, gadanina, gadanina! - wykrzyknął, uśmiechając się szeroko i wyrzucając ręce w górę. Oczy zaczęły mu błyszczeć.

Leventhal spojrział na niego beznamiętnie.

-I czemu to służy? - zapytał.

Allbee wydawał się teraz bardzo przygnębiony, być może z powodu własnej chwiejności, i Leven- i halowi było go trochę żal. Zmiany jego nastrojów wywierały jednak na nim nieprzyjemne wrażenie. Było jasne, że ten człowiek nie jest głupcem. Ale jaki pożytek z tego, że ktoś nie jest głupcem, jeśli tak się zachowuje? Na przykład jego język. Czy musiał w ten sposób mówić, tak górnolotnie się wyrażać? Dlatego że potrzebował jakiegoś oparcia? Och, musiała się wydarzyć jakaś katastrofa, na pewno, katastrofa, i to tragiczna, można było mieć co do tego pewność. Coś druzgoczącego, prawdziwa katastrofa. Lecz pytanie, które wydawało się Leventhalowi najważniejsze, brzmiało: „Czego on chce?”. I pomimo że kładł taki nacisk na szczerłość, nie był go w stanie zadać.

- Czy to pańska żona? - Allbee spojrział ponad głową Leventhala na stojącą na sekretarzyku fotografię w ramce.

- Tak, to Mary.

-Jest naprawdę czarująca. Szczęściarz z pana, wie pan? - Wstał i pochylił się nad nim, obracając fotografię do światła. - Jest czarująca.

- Dobrze wyszła na tym zdjęciu - rzekł Leventhal, któremu nie podobał się jego entuzjazm.
- Ma to dumne spojrzenie, które jest dumne, nie będąc jednocześnie zimnym. Wie pan, co mam na myśli. To poważne spojrzenie. Widuje się je w azjatyckich rzeźbach.
- Ach, azjatyckich! - rzekł Leventhal drwiąco.
- Oczywiście, że azjatyckich. Niech pan spojrzy na oczy, i te policzki. Jest pan żonaty z kobietą i nie wie, że ma ona skośne oczy? - Wykonał kciukiem opisowy gest.
- Jest zdecydowanie azjatycka.
- Pochodzi z Baltimore.
- W pierwszym pokoleniu?
- Jej matka też się tutaj urodziła. Dalej w przeszłość moja wiedza nie sięga.
- Jestem gotów się założyć, że wywodzą się ze wschodniej Europy - powiedział Allbee.
- No cóż, nie jest to takie znowu odkrywcze. Nie znalazłby pan chętnych do zakładu.
- Wiem, że nie znalazłbym chętnych w pana przypadku.
- Nie? Skoro przeprowadził pan w mojej sprawie śledztwo i tyle się o mnie dowiedział, może zadał pan sobie trud ustalenia, z jakiej części Europy przybyli moi rodzice.
- To dość oczywiste; nie potrzeba do tego śledztwa. Rosja, Polska... Widzę to od razu.
- Widzi to pan, hę?
- Ależ oczywiście. Od dawna mieszkam w No-

wym Jorku. To bardzo żydowskie miasto i trzeba by być nader niedbałym obserwatorem, żeby nie dowiedzieć się mnóstwa rzeczy o tutejszych Żydach. Sam pan wie, jak wiele żydowskich potraw jest w kafeteriach, jak duża część teatru... ilu żydowskich komików i dowcipów, i sklepów, i tak dalej, i Żydów w życiu publicznym, i tak dalej. Wie pan to. To żadna rewelacja.

Leventhal powstrzymał się od odpowiedzi. Rzeczywiście nie była to rewelacja.

Allbee raz jeszcze skierował swoją uwagę na portret Mary. Gdy mu się przyglądał, kiwając głową, jego oczy, ku zdumieniu Leventhala, wypełniły się łzami, a twarz przybrała wyraz tłumionego żalu i cierpienia.

- P a ń s k a żona...? - odważył się zapytać Leventhal cichym głosem.

- Nie żyje - odparł Allbee.

Głos Leventhala stał się jeszcze cichszy, gdy powiedział z głuchym przerażeniem:

- Nie żyje? To straszne. Przykro mi...

-I powinno panu być. Powinno.

Słowa te zdawały się dobywać z piersi Allbeego, jakby były tam zmagazynowane, a teraz zostały uwolnione i wypowiedziane wbrew woli, zanim Allbee zdołał je powstrzymać.

Leventhal skoncentrował się na nich, odwracając twarz, co było dla niego charakterystyczne, gdy usiłował coś rozwikłać. Nie rozumiał, co Allbee ma na myśli.

- Oczywiście, że powinno - wymamrotał, nie całkiem zdając sobie sprawę, że w ten sposób uznaje

zarzut. Rzeczy, które przydarzyły mu się w ciągu ostatnich dwóch dni, sprawiły, że stał się bardzo wrażliwy i łatwo ulegał emocjom. - Co za szkoda! - powiedział z głębokim przejęciem, przywołując w pamięci twarz kobiety. „Była dla niego o wiele za dobra, o wiele za dobra” - pomyślał. „Ale dlaczego miałbym to mówić? Był jej mężem, więc nie ma to teraz nic do rzeczy. Trzeba mieć wzgląd na niego. Ona zmarła, ale on żyje i czuje. To doprowadziło go do upadku. Inaczej nie byłby taki”.

- Więc jest pan teraz sam - powiedział.

- Tak, jestem wdowcem, już od ponad czterech lat. Czterech lat i około trzech tygodni.

- Jak to się stało?

- Nie wiem dokładnie. Nie byłem z nią. Jej rodzina mnie powiadomiła. Doznała obrażeń w wypadku samochodowym. Sądziła, że wróci do zdrowia, ale nagle zmarła. To wszystko, co wiem. Została pochowana, zanim zdołałem dotrzeć do Louisville.

- Nie poczekali, aż pan przyjedzie?

- No cóż, prawdę powiedziawszy, nie chciałem tam być. To byłoby okropne. Rodzina ulżyłaby sobie, gniewając się na mnie. Ja usiłowałbym sobie ulżyć, wymykając się do baru, prawdopodobnie siedziałbym w barze i wszystko bym przegapił. To uczyniłoby całą rzecz dziesięć razy gorszą dla wszystkich. W takim byłym stanie. I było wtedy gorąco. Louisville przy upalnej pogodzie. Na to! O nie, przyjacielu, zaszyłem się tam, gdzie byłem. To byłoby okrutne. Ona nie żyła.



Nie jechałbym, żeby się z nią zobaczyć, ale z n i m i, jej rodziną. Śmierć to śmierć. Koniec. Kropka. Tęskni się za żoną, kiedy odchodzi, jeśli się ją kocha. I może czasami, kiedy się jej aż tak bardzo nie kocha. Trudno mi powiedzieć. Ale jesteście razem, ona nagina się do ciebie, a ty naginasz się do niej we wszystkim, więc kiedy umiera, stoisz tam, zgięty, i wydajesz się bezsensowny, do niczego nie pasujesz. Takie jest moje osobiste odczucie. Oczywiście należą do pierwszego rodzaju. Kochałem ją. No pewnie, tęskni się za nią... ale wszystko, co nieożywione, jest mi obojętne. Nie jestem sentymentalny.

On się zgrywa, kłamie, uznał Leventhal. Jego chwila szczerości minęła i raz jeszcze przyjął swoją postawę, zdumiewająco niepewną i chwiejną. Kiedy informował o śmierci żony, jego słowa brzmiały gniewnie, lecz Leventhal czuł, że się do niego zbliża, albo do czegoś czystego, znajomego i prawdziwego w nim. Teraz znowu coś go odpychało. Zastanawiał się, czy Allbee nie jest przypadkiem trochę pijany.

- Ale - rzekł Allbee - to nie wszystko.

- Nie? Jest coś jeszcze?

- Co nieco. Żyliśmy w separacji, kiedy zmarła.

Dlatego właśnie moje relacje z jej rodziną nie były dobre. Oczywiście z ich punktu widzenia... - Przerwał sobie, żeby potrząść powiekę, a kiedy przestał to robić, była ona czerwona i wydawało się, że opadła niżej od drugiej. - Byli do mnie uprzedzeni, chcieli zrzucić na mnie całą winę. Ja również mogłem ich obwiniać,

gdybym chciał. Jej brat prowadził samochód; wyszedł z tego z paroma zdrapaniami i stłuczeniami. Ależ ci ludzie z Południa prowadzą. Wciąż na nowo szarża Picketta. Tak... byliśmy w separacji. Wie pan dlaczego?

- Dlaczego?

- Bo kiedy Rudiger mnie zwolnił, nie mogłem dostać pracy.

- Co chce pan przez to powiedzieć? Nie mógł pan znaleźć żadnej pracy? Zupełnie żadnej?

- Nie w moim fachu. Co mogłem zarobić w jakiegokolwiek pracy? Za mało, żeby się utrzymać. Kiedy człowiek przepracował lata w jakimś zawodzie, nie chce go zmieniać. Nie jest w stanie wiele zrobić. W czymś innym musi zaczynać od samego dołu. Co miałem zrobić, zostać domokrążcą? Komiwojażerem? Poza tym, gdybym przyjął jakąkolwiek pracę, musiałbym przestać szukać tego, czego chciałem.

- Wolałbym wziąć cokolwiek, niż pozwolić żonie odejść.

- Jesteśmy ulepieni z innej gliny, pan i ja. - Allbee uśmiechnął się szeroko. - Poza tym nie pozwoliłem jej odejść. Opuściła mnie. Nie chciałem, żeby odeszła. To ona tego chciała.

- Nie mówi mi pan wszystkiego.

- Nie, nie - powiedział, niemal z radością. - Nie mówię. A jaka jest reszta? Niech pan mi powie.

- Czy pańskie picie nie miało z tym nic wspólnego?

- Pan znowu swoje, pan znowu swoje - powie-

dział Allbee, uśmiechając się w stronę podłogi i lekko kołysząc swoim wielkim ciałem. - Moja przywara, moja straszliwa przywara. Odeszła ode mnie z powodu mojego picia. O to właśnie chodzi.

- Kobieta nie odchodzi od męża ot tak sobie, z powodu błahostki.

- To święta prawda, nie odchodzi. Jest pan prawdziwym Żydem, Leventhal. Ma pan prawdziwą odrazę do alkoholu. My jesteśmy dla pana synami Beliiala, cuchniemy whisky gorzej niż siarką. Kiedy Noe leży pijany - pamięta pan tamtą historię? - jego aryjsko usposobieni synowie naśmiewają się ze starca, ale jego żydowski syn jest przerażony. W tej historii jest prawda. To prawdziwa historia.

- Niech pan uważa na słowa - rzekł chłodno Leventhal. - Mówi pan jak głupiec. Nie wiem, o co panu chodzi, ale nie pomaga pan sobie tego rodzaju gadaniną. Otwarcie to panu mówię.

- No cóż... - zaczął Allbee, ale zatrzymał się. - W porządku, zostawmy to. Ale to nieuczciwe próbować obarczyć mnie winą za śmierć mojej żony. Gorzej niż nieuczciwe; to okrutne, jeśli pan zważy, czym dla mnie była i co przeszedłem. Nie wiem, jak pan na to patrzy, ale mnie wydaje się oczywiste, że nie jesteśmy bogami, jesteśmy tylko stworzeniami, a rzeczy, które czasami uważamy za wieczne, nie są wieczne. I tak, jednego dnia jesteśmy jak pełne pakunki, a następnego jesteśmy papierem pakowym miotanym przez wiatr ulicami.

- Ale ostrzegam pana, że nie będę tolerował ta-

kiej gadaniny. Niech pan to sobie zapamięta! - Leventhal mówił szorstko i wydawało się, że Allbee stracił rezon; opuścił głowę, zbolały i niezdolny do udzielenia odpowiedzi. Trudno było powiedzieć, czy szuka siły do kontynuowania rozmowy, knując coś nowego, czy też bez udawania ujawnia swój prawdziwy stan. Leventhal widział bok jego twarzy, głęboko pobrużdżonej przy powiece i ustach, pokryty złotą szczeciną policzek i podbródek, nieruchome i zamyślane niebieskie oko. Skóra na jego czole, gładka w świetle lampy, była mokra, a skóra na szczęce i szyi pomarszczona w sposób przywodzący Leventhalowi na myśl skrzela. Uwaga Allbeego o stworzeniach podziałała w szczególny sposób na jego wyobraźnię i przez chwilę wydawał mu się nie bardziej ludzki niż ryba albo krab, albo jakakolwiek wodna istota. Ale tylko przez chwilę, przelotnie, dopóki Allbee nie poruszył się i nie spojrział na niego. Wydawał się zniechęcony i zmęczony.

- Wybacz mi pan - rzekł Leventhal z nieco prowokacyjną uprzejmością - ale muszę wysiać telegram. Właśnie miałem pójść go nadać, kiedy pan przyszedł.

Czy brzmiało to jak zmyślenie? Allbee mógł tak pomyśleć i uznać to za manewr mający na celu pozbycie się go. Widział go jednak piszącego, kiedy wszedł, więc czemu nie miałyby to być prawdą? Mógł układać wiadomość. Czemu zresztą miałyby się tym przejmować? A poza tym było całkowicie zgodne z prawdą, że

zamierzał zatelegrafować do Malesa. Allbee mógł z nim pójść i sprawdzić, jeśli chciał. Obserwował jego twarz, żeby zobaczyć, jak to przyjmuje. Allbee wstał. Nagle Leventhal obrócił się i serce zabiło mu mocniej. Zdawało mu się, że zobaczył mysz przemykającą w kącie, i pobiegł za nią, zapalił zapalniczkę i przyjrzał się listwie podłogowej. Nie było dziury. „Uciekła!” - pomyślał. Czy też wyobraził to sobie tylko?

113

- Mamy tutaj myszy - wyjaśnił Allbeemu, który stał przy drzwiach w ciemnym przedsionku. Wydawało się, że odwrócił głowę, nic nie odpowiadając.

8 - Ofiara

Kiedy zeszli do sieni na dole, Allbee zatrzymał się i powiedział:

- Próbuje pan obarczyć mnie całą winą, ale wie pan dobrze, że to pan jest winien. Pan i tylko pan. Wszystkiemu. Zrujnował mnie pan. Zrujnował! Bo właśnie taki jestem, zrujnowany! Pan ponosi za to odpowiedzialność. Zrobił mi to pan umyślnie, z nienawiści. Z czystej nienawiści!

Mówiąc to, schwycił Leventhala za koszulę i miętosił ją.

- Jest pan szalony! - krzyknął mu w twarz Leventhal. - Jest pan szalonym nieudacznikiem, oto kim pan jest. Wóda zżera panu mózg. Niech mnie pan puści. Puszczaj pan, mówię!

Odepchnął Allbeego całą siłą swoich potężnych ramion. Tamten upadł na ścianę z impetem, od którego zrobiło się Leventhalowi niedobrze. Allbee wyprostował

się, otarł usta i przyglądał się swej dłoni.

- Nie ma krwi. Jaka szkoda. Mógłby pan wtedy powiedzieć, że rozlałem również pańską krew! - krzyknął Leventhal.

Allbee nic nie odpowiedział. Niezdarnie otrzepał ubranie sztywnymi rękami, jakby zabijał ramiona na mrozie. Potem poszedł. Leventhal obserwował, jak chwiejnym krokiem oddala się pośpiesznie ulicą.

Pan Nunez, który widział zajście, zerwał się i stanął okrakiem nad pasiastym płótnem swojego leżaka, a jego żona, leżąca w białej halce na łóżku obok okna, wyszeptwała:

- *Que pasa?*

Leventhal spojrział na nią w oszołomieniu.

7

- Ależ ma tupet, przeklęty błazen! - powiedział Leventhal z wściekłością. Czuł nieznośny ucisk i ciężar w wysoko sklepionej, masywnej klatce piersiowej i unióś ramiona, żeby ułatwić sobie oddychanie. - Zrzuńowany! Zrzuńuję go, jeśli się do mnie zbliży. Co za bezczelność!

List do Mary w jego dłoni był zmięty. Nie można go było wysłać w takim stanie. Musiał się postarać o nową kopertę i znaczek. Na chwilę niedogodność ta przytłaczająco urosła do rangi najgorszej konsekwencji szamotaniny. Rozerwał kopertę, zgniół ją i rzucił przez balustradę. Nunez wszedł już do domu i Leventhal był sam na zewnętrznych schodach. Jego spojrzenie zdawało się ogarniać ulicę; w rzeczywistości

nie widział prawie nic, był jedynie świadom wyzbytej oblicza ciemności i równie wyzbytego oblicza blasku żarówek wzdłuż ciągu budynków.

Potem gniew zaczął w nim opadać. Wciągnął policzki, przez co jego oczy stały się większe i przybrały posępny wyraz. Skóra wokół nich wydawała się sucha i napięta. Wymyślić coś takiego! Niedorzeczność sytuacji irytowała go najbardziej. „Dlaczego ja?” - pomyślał, marszcząc brwi. „Oczywiście, musi mieć kogoś, kogo mógłby obwiniać; tak to się zaczyna. Ale jakim sposobem, gdy dokonuje w tym swoim mózgu przeglądu wszystkich ludzi, jakich zna, wybiera w końcu akurat mnie?” To właśnie było takie zagadkowe. Niewątpliwie sprawa z Rudigerem miała z tym związek; z jakiegoś powodu to chwyciło i wydobyło na wierzch głębsze przyczyny. Ale to jedno, spośród setek innych możliwości, „zaskoczyło”.

Ogólnie mówiąc, każdy widział wielką niesprawiedliwość w tym, że jeden człowiek korzysta ze wszystkich wygod życia, podczas gdy inny nie ma nic. Ale jak należało sobie z tym radzić w stosunkach między ludźmi? Każdy wykolejony żebrak albo włóczęga mógł zaczepić człowieka na ulicy i powiedzieć: „Świat nie został stworzony bardziej dla ciebie niż dla mnie, nieprawdaż?”. Błąd polegał tutaj na zapominaniu, że ani jeden, ani drugi nie stworzył istniejącego stanu rzeczy, można więc było w sposób w pełni uprawniony powiedzieć: „Czemu wybrałeś mnie? Nie bardziej ja to urządziłem, niż ty”. To prawda, że istniała krzywda,

powszechna krzywdą. Allbee jednak przychodził i mówił: „T y!”, i to właśnie było takie bezsensowne. Bo można było uważać, że coś należy się żebrakowi, ale być bezpośrednio obwinianym to było coś zupełnie innego.

Ludzie spotykali człowieka raz czy dwa i już go nienawidzili. Jaka była przyczyna, co ich do tego skłaniało? Ten Allbee dobrze to ilustrował, ponieważ był zbyt zdegenerowanym pijakiem, by ukrywać swoje uczucia. Wystarczyło być sobą, żeby ich sprowokować. Dlaczego? Leventhalowi wyrwało się westchnienie bezradności. Gdyby nadal uważali, że to zadziała, lepiliby małe lalki z wosku i nakłuwali je szpilkami. A dlaczego wybierają tę, tamtą albo jeszcze inną osobę do tego, żeby jej nienawidzić - Toma, Dicka albo Harry'ego? Nikt nie potrafi powiedzieć. Nie cierpią twojego uśmiechu albo sposobu, w jaki wycierasz nos albo używasz serwetki przy stole. Każdy pretekst jest dobry. A tymczasem ów Harry, obiekt niechęci, nawet niczego nie podejrzewa. Skąd miałby wiedzieć, że ktoś nosi przy sobie jego portret (tak jak kobieta może nakleić zdjęcie kochanka na lusterku swojej kosmetyczki albo mężczyzna przechowywać fotkę żony w portfelu), nosi przy sobie, żeby na niego patrzeć i nienawidzić? Nie musi to być nawet podobizna biednego Harry'ego. Mógłby to być nawet król karo, z jego haftami, brodą, mieczem i całą resztą. Nie ma to najmniejszego znaczenia. Leventhal musiał przyznać, że czasami sam grzeszył w tym względzie, choć właściwie



nie był złośliwym człowiekiem. Ale niektórzy ludzie budzili to uczucie. Na przykład Cohena widział raz albo dwa, a potem, kiedy w towarzystwie ktoś wymieniał jego nazwisko, czynił o nim jakąś niepochlebną uwagę. Nie żeby ów Cohen kiedykolwiek go obraził. Czymże jednak były wszystkie kodeksy i zasady, myślał Leventhal, jeśli nie odpowiedzią na naszą własną naturę. Czy trzeba by nam było nakazywać „Kochaj!”, gdybyśmy kochali tak, jak oddychamy? Z pewnością nie. Co nie oznacza, że nie kochamy, ale trzeba nam pomagać, gdy silnik zaczyna przerywać. Nasza go osobliwa myśl, że wszystko inne w naturze ma granice: drzewa, psy i mrówki nie wyrastają poza pewien rozmiar. „Lecz my - pomyślał - rozrastamy się we wszystkich kierunkach bez żadnych ograniczeń”.

Wcześniej włożył list do kieszeni. Teraz go wyjął i zastanawiał się, czy wejść na górę do mieszkania po znaczek i kopertę, czy też spróbować kupić je w drugistorze. Było możliwe, że nie dostanie pojedynczej koperty, a nie chciał kupować całej papeterii.

Nagle usłyszał, jak ktoś woła go po nazwisku, i rozpoznał głos Harkavy'ego.

- To ty, Dan? - zapytał, spoglądając ze schodów na niewyraźną, wysoką postać na chodniku. Mrugające światła kina po drugiej stronie ulicy utrudniały mu widzenie. To był Harkavy. Były z nim dwie kobiety, z których jedna trzymała za rękę dziecko.

- Zejdz z obłoków na ziemię - powiedział Harkavy. - Spisz na stojąco, czy co?

Nunez wrócił na leżak. Jego żona stała w oknie, opierając głowę o ramę.

- Czy wpadasz w trans, kiedy żoneczka wyjeżdża? Towarzyszki Harkavy'ego zaśmiały się.

- Dan, jak się miewasz? - zapytał Leventhal, schodząc. - Och, pani Harkavy, więc to pani?

- Julia, również Julia. - Harkavy wskazał cygarniczką swoją siostrę.

- Julio, pani Harkavy, miło mi widzieć was obie.

-I moja wnuczka Libbie - powiedziała pani Harkavy.

- Och, to pani córeczka, Julio?

-Tak.

Leventhal usiłował rozpoznać rysy dziewczynki; widział jedynie niezwykle bladą jej twarz i rudawą ciemność włosów.

- Libbie jest bardzo żywym dzieckiem - rzekł Harkavy. - Czasami trochę nazbyt ruchliwym.

- Och, zupełnie mnie wykańcza - powiedziała Julia. - Nie mogę za nią nadążyć.

- To przez jedzenie, jakie jej dajesz. Żadne dziecko nie powinno dostawać tyle protein - powiedziała pani Harkavy.

- Mamo, ona nie dostaje więcej niż inne dzieci. Taką po prostu ma naturę.

- Przyszliśmy cię odwiedzić - rzekł Harkavy do Leventhala. - Ale, zdaje się, wychodzisz.

- Mam parę spraw do załatwienia - odparł Leventhal. - Zamierzałem wysłać telegram.

- W takim razie odprowadzimy cię do Western Union. Depeszujesz do Mary? Pewnie chcesz, żeby już wróciła. - Harkavy uśmiechnął się.

- Daniel, to nie temat do żartów, jeśli dwoje ludzi jest do siebie przywiązanych - powiedziała jego matka. - Nie ma w tym nic śmiesznego. W dzisiejszych czasach, kiedy małżeństwa są takie nietrwałe, prawdziwą przyjemnością jest widzieć przywiązanie. Pary idą do urzędu stanu cywilnego tak, jak ja mogłabym pójść do sklepu wielobranżowego, żeby kupić zawias. Dwie deski na zawiasie i klap, klap, klap, oto małżeństwo. Niech pan zdepeszuje do żony, Asa, to słuszne i bardzo miłe. Niech pan sobie nic z tego nie robi.

- Muszę wysłać telegram do brata, a nie do Mary-

- Libbie, chodź tu do mnie, tutaj! - wykrzyknęła z wściekłością Julia, ciągnąc dziecko za rękę. - Zwiążę cię sznurkami!

- Och, do brata? - zapytała pani Harkavy. Leventhal nie wiedzieć dlaczego zaczerwienił się.

- Tak, to w sprawie jego syna dzwoniłem do Julii. Mojego bratanka.

- Czy skontaktował się pan z lekarzem? - zapytała Julia. - Doktorem Denisartem, mamó.

- Och, to świetny lekarz, Asa. Jego matka należy do tej samej loży co ja i znam go, od kiedy był chłopcem. Może mu pan zaufać. Zapewnili mu najlepsze

wykształcenie. Studiował w Holandii.

- W Austrii, mamo.

- W każdym razie za granicą. Jego wuj opłacił mu studia. Potem ten wuj siedział w więzieniu za niepłacenie podatków, ale to nie była wina Denisar- ta. Wysyłali mu bazarzyki do Sing-Sing i podobno wolno mu było urządzać przyjęcia karciane w swojej celi. Ale w Europie naprawdę się uczą, wie pan. To dlatego, że ich slumsy są gorsze; mają skomplikowane przypadki w swoich klinikach. Nasz poziom życia jest taki wysoki, że cierpi na tym edukacja naszych lekarzy

- Nie, kto tak twierdzi? - zapytał Harkavy, patrząc z zaciekawieniem na matkę.

- Wszyscy. Przecież wszystkie książki medyczne, które tata przynosił do domu z salonu aukcyjnego, były pełne europejskich przypadków: Fraulein J.

i Fraulein K., i Mademoiselle taka to a taka. Najlepsze wykształcenie medyczne można uzyskać za granicą.

-I jak czuje się twój bratanek? - zapytał Harkavy.

- Zabrano go dzisiaj do szpitala.

- Czy to oznacza, że jest bardzo chory? Przykro mi to słyszeć - rzekła Julia.

- Bardzo.

- Może pan jednak polegać na doktorze Denisar- cie. To wspaniały młody człowiek - znakomity. Jutro porozmawiam z jego matką. Bardziej zainteresuje się tym przypadkiem.

- Jestem pewna, że zrobi, co w jego mocy, nawet bez rozmowy - powiedziała Julia. Idąc, przyciskała głowę córki do swego boku.

- Wpływy to dobra rzecz - rzekła pani Harkavy.

- Musi pan o tym pamiętać. Jeśli się ich nie używa, zostaje się w tyle za innymi. Wszystko od nich zależy. Oczywiście, doktor zrobiłby, co w jego mocy, ze względów etycznych i tak dalej, ale jeśli porozmawiam z jego matką, zwróci specjalną uwagę na ten przypadek i jeszcze bardziej się przyłoży. Ludzie wolą nie brać sobie rzeczy zbyt do serca, by chronić samych siebie. Trzeba wywierać na nich wpływ.

- Porozmawiaj więc o tym z panią Denisart. To na pewno nie zaszkodzi - powiedział Harkavy.

- Zrobię to.

- Dan - rzekł Leventhal, odciągając przyjaciela do tyłu - pamiętasz niejakiego Allbeego?

- Allbeego? Kogo? Jak ma na nazwisko?

- Allbee to nazwisko. Kirby Allbee. Poznaliśmy go u Willistona. Wysoki mężczyzna. Blondyn.

- Pewnie zdołałbym go sobie przypomnieć, gdybym trochę wysilił umysł. Mam dość dobrą pamięć.

Doszli do urzędu telegraficznego i Leventhal, stojąc przy żółtym sosnowym kontuarze, napisał wiadomość do brata, zupełnie zapominając o ostrych słowach, jakich zamierzał użyć. Kiedy wyszedł, wziął Harkavy'ego na bok.

- Dan, czy moglibyśmy porozmawiać przez kilka minut na osobności? - zapytał.

- Sądę, że tak. O co chodzi, mój stary?  
Poczekaj chwilę. Pozbądźmy się kobiet.

Pani Harkavy, Julia i Libbie czekały na rogu.

- Wybaczcie nam, panie - rzekł Harkavy z pełnym zadowolenia uśmiechem, wkładając papierosa do cygarniczki. - Asa chce coś ze mną omówić.

- Pójdę jutro do pani Denisart w pańskiej sprawie. Niech się pan nie martwi - powiedziała pani Harkavy.

Leventhal podziękował jej i przeszedł z Harkavym na drugą stronę ulicy.

- No, co się stało, posprzeczałeś się z kimś? - zapytał Harkavy. - Wiesz, że możesz mi zaufać. Cokolwiek powiesz, będzie u mnie bezpieczne. Możesz być tego pewien. Nic z tego, co mi wyznasz, nie wróci do ciebie za pośrednictwem trzeciej osoby, nie bardziej, niż gdybyś wyszeptał to w konfesjonale. Opowiadaj więc.

- Nie ma w tym żadnej tajemnicy. To nic takiego. - Spoglądając z boku na przyjaciela, zawahał się niezadowolony. Czy miałyby sens wyjaśniać całą sprawę Harkavy'emu? Był serdecznym i szczerym przyjacielem, ale często kładł nacisk na niewłaściwe rzeczy. Już był na błędnym tropie, podejrzewając sprzeczkę. Przypuszczalnie miał na myśli jakąś intrygę, sprzeczkę z kobietą.

- To ten Allbee - rzekł Leventhal. - Przyprawia mnie o ból głowy. Musisz go pamiętać. Naśmiewał się z twojego śpiewu u Willistona. Twojego i tamtej

dziewczyny. Na pewno go sobie przypominasz. Pracował w „Dill’s”...

- Ach, on. Ten gagatek. - Leventhalowi wydawało się, że Harkavy słucha z większą powagą, choć być może wrażenie to wynikało z jego pragnienia, by rzecz, która tak go niepokoiła, była brana poważnie. Opisał swoje pierwsze spotkanie z Allbeem w parku. Kiedy powiedział mu, jak był zdumiony tym, że Allbee go szpieguje, Harkavy mruknął:

- No, czy to nie szczyt wszystkiego? Czy to nie obrzydliwe? Bezczelne. Obrzydliwe.

- Tak sądziłem, że nie zapomnisz, jak naskoczył na ciebie z powodu tamtej piosenki.

- Och nie, teraz już dokładnie go sobie przypominam. Więc to on? - Odchylił głowę do tyłu, powściągliwym ruchem prostując plecy, i po rozszerzeniu jego przejrzystych oczu Leventhal poznał, że w umyśle przyjaciela nastąpił proces skojarzeniowy najwyższej wagi.

- Dan, czy znasz jakieś związane z nim fakty, których ja nie znam?

- Co nazywasz faktami? To zależy. Sądzę, że tak. To znaczy, coś słyszałem. Ale czy on się znowu pojawił? Opowiedz mi resztę.

- Co słyszałeś?

- Ty powiedz mi najpierw. Zobaczmy, czy wszystko się zgadza. Może nie. Możliwe, że nie warto się tym przejmować - że wszystko to jakiś obłąd i powinniśmy dać sobie z tym spokój.

Ponieważ Harkavy nie chciał mówić, Leventhal pośpiesznie zrelacjonował wszystko, co ów Allbee zrobił i powiedział; pomimo pośpiechu i wielkiej chęci zorientowania się, co Harkavy wie, przerywał sobie od czasu do czasu, by poczynić pogardliwe, wypowiedane niemal ze śmiechem uwagi, o których w głębi serca wiedział, że są apelami do Harkavy'ego o potwierdzenie absurdałności, szaleństwa oskarżeń. Harkavy nie reagował jednak na te apele. Był opanowany. Wciąż mówił „Obrzydliwe, obrzydliwe”, ale jego zachowanie nie przynosiło Leventhalowi zbyt wielkiej pociechy.

- Przedstawia całą sprawę tak, jakbym był odpowiedzialny za śmierć jego żony i wszystko inne...!  
- rzekł Leventhal głosem nasilającym się niemal do krzyku.

- Śmierć żony? To bardzo naciągane, bardzo naciągane - powiedział Harkavy. - Nie słuchałbym takich bzdur.

- Myślisz, że ja ich słucham? Musiałbym również być szalony. Jak ktokolwiek mógłby ich słuchać? Ty mógłbyś?

- Nie, nie, mówię przecież, że to naciągane. On przekracza granice absurdu. Musi mieć nierówno pod sufitem. - Harkavy pokręcił palcem koło głowy i westchnął. - Ale krążyła historia, że został wylany, a potem słyszałem, że nie może znaleźć innej pracy. Wylewano go wcześniej wielokrotnie.

- Z powodu picia...



Harkavy wzruszył ramionami. Miał pomarszczoną twarz i był na wpół odwrócony od Leventhala.

- Być może. Nigdzie nie był lubiany, jak słyszałem, i zaczął już prawie tracić grunt pod nogami, kiedy dostał posadę w „Dill’s”.

- Kto ci to powiedział?

- Tak na poczekaniu nie potrafię sobie przypomnieć.

- Czy sądzisz, że istnieje czarna lista, Dan? Kiedy rozmawiałem z tobą o tamtej sprawie z Rudigerem, śmiałeś się z tego.

- Naprawdę? No cóż, w ogóle nie wierzę w takie rzeczy.

- W porządku, oto dowód. Widzisz? Istnieje czarna lista.

- Nie jestem przekonany. Ten twój facet nie był solidny i to się rozniosło. Po prostu ludzie dowiedzieli się, że nie jest godny zaufania.

- Dlaczego stracił pracę w „Dill’s”? Bo chlał, nieprawdaż?

- Nie potrafię powiedzieć - odparł Harkavy i Leventhalowi wydało się, że przyjaciel spogląda na niego z niepokojem. - Nie mam na ten temat informacji z pierwszej ręki. Z tego, co słyszałem, powód był inny. Ale w takich przypadkach krążą rozmaite pogłoski. Kto wie? Trudno dociec prawdy. Gdyby twoje życie zależało od jej uzyskania, prawdopodobnie byś wisiał. Nie muszę ci mówić, jak to jest. Jeden mówi to, inny tamto. X mówi owies, a Y siano, a tak naprawdę jest to pewnie...

gryka. Nikt nie jest w stanie ci tego powiedzieć poza facetem, który ją zebrał. Dla wszystkich innych to teoria. Dlaczego? Ślizgał się na cienkim lodzie i musiał ślizgać się coraz szybciej i szybciej. Ale zwolnił... i zapadł się. Moim zdaniem... - Harkavy sam był niezadowolony z tego wyjaśnienia; wyraźnie było naprędce sklecone. Jąkał się i jego spojrzenie błędziło wokół. Niewątpliwie miał informacje, które chciał zachować dla siebie.

- Dlaczego stracił pracę? Co się mówi?

- Nic „się” nie mówi.

- Dan, nie próbuj mnie zwodzić. Nie spocznę, dopóki się nie dowiem. To nie błażostka. Musisz mi powiedzieć, co się mówi.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Asa, muszę ci zwrócić uwagę na pewną rzecz, której dotąd nie pojąłeś. Nie jesteśmy dziećmi. Jesteśmy wyrobionymi życiowo mężczyznami. To niemal grzech być tak naiwnym. Obudź się, chłopcze, dobrze? Chcesz, żeby cały świat cię lubił. Zawsze znajdują się ludzie, którzy nie będą myśleli o tobie tak dobrze, jak na przykład ja. Czy nie wystarczy ci, że są tacy, którzy dobrze o tobie myślą? Dlaczego nie możesz zaakceptować tego, że inni nigdy nie będą mieli o tobie dobrego zdania? Policz to sobie w procentach. Czy to kwestia życia i śmierci? Przypadkiem dowiedziałem się, że pewna młoda dama, którą zawsze lubiłem, powiedziała, że jestem zarozumiały. Być może nie sądziła, że dotrze to do mnie, ale dotarło. Szkoda, że nie wszyscy wiedzą, jaki

jestem naprawdę. Albo ty. Świat byłby zupełnie inny. Wszystko to jest dla mnie zbyt subtelne; muszę radzić sobie przy pomocy zdrowego rozsądku. Jak było z tą dziewczyną? Wiem, że ma powody, których sama nie rozumie. Mogę jedynie powiedzieć: „Droga pani, niech Bóg panią błogosławi, wszyscy mamy swoje wady i jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. Muszę brać siebie takiego, jaki jestem, albo się stąd wynosić. Jestem wszystkim, co mam na tym świecie. I pomimo wszystkich moich niedostatków moje życie jest dla mnie drogocenne”. Nie upadam na duchu. Doświadczenie nauczyło mnie spodziewać się takich rzeczy od czasu do czasu. Ale ty jesteś tak strasznie przygnębiony, kiedy ktoś cię nie lubi albo mówi o tobie to czy owo. Trochę niezależności, chłopcze; to niewątpliwie słabość.

- Chcę, żebyś mi powiedział - upierał się Leventhal. - Nie odcepnię się od ciebie, dopóki tego nie zrobisz. Zważywszy na to, co mi się zarzuca, jest naturalne, że chcę się dowiedzieć.

Harkavy wreszcie ustąpił.

- Williston uważał, że narobiłeś temu gościowi kłopotów, kiedy poszedłeś do „Dill’s” i urządziłeś scenę. Dawał poniekąd do zrozumienia, że zrobiłeś to umyślnie.

- Co? Williston tak mówi? Powiedział to?

- No, coś w tym rodzaju.

- Jak mógł to zrobić? Jest takim idiotą? - Błady, z zacziśniętymi ustami, powściągając z wielkim trudem gniew i niewytłumaczalny strach, który go wypełniał,

Leventhal przyłożył dłoń do gardła i wpatrywał się w Harkavy'ego, marszcząc czoło. Zapytał głośno: -I stanąłeś w mojej obronie?

- Oczywiście powiedziałem, że się myli, i zrobiłem wszystko, co byłem w stanie. Powiedziałem mu, że się myli.

- Powinieneś był powiedzieć, że przyszedłem do ciebie zaraz potem i opowiedziałem ci całą historię o Rudigerze. Uważałeś nawet, że mogło to być ukarowane, że Allbee i Rudiger chcą zrobić ze mnie głupca i że zostało to uknute przez nich obu. Czy wspomniałeś o tym?

- Nie, uznałem, że to niewarte zachodu.

129

- Dlaczego nie?! - Szybko zacisnął pięść, jakby <sup>9 - Otian</sup> chciał złapać coś w powietrzu. - Dlaczego nie? - zapytał. - To był twój obowiązek, jeśli jesteś moim przyjacielem. Nawet jeśli nie znałeś faktów, powinieneś być mnie bronić. Ale ty znałeś fakty. Przedstawiłem ci je. Powinieneś był powiedzieć, że to oszczerstwo i kłamstwo. Gdyby ktoś powtórzył mi takie kłamstwo o tobie, zobaczyłbyś, jak szybko wybiłbym mu to z głowy. To nie tylko lojalność, ale zwykła uczciwość. A skąd on wiedział, co robiłem w „Dill's”? Czemu zachowałeś się jak cielę? Bales się, że zaprzeczając mu, urazisz jego uczucia?

- Nie - odparł Harkavy. Ogarnął Leventhala zdumionym wzrokiem, lecz odpowiadał spokojnie. - Nie wydawało mi się, by przyniosło ci korzyść, gdybym pokłócił się z Willistonem. Powiedziałem tylko, że się myli.

- Mój przyjaciel!

- Tak, jeśli kiedykolwiek jakiegoś miałeś. Jestem twoim przyjacielem.
- Mógł mnie zapytać, zanim powiedział coś takiego, dać mi szansę obrony. Ale on wolał uwierzyć temu pijakowi Allbeemu. Gdzie się podziała ich anglosaska uczciwość... fair play?
- Trudno mi zrozumieć punkt widzenia Willistona w tej sprawie. Sądziłem, że jest dość rozsądny.
- Czy to takie trudne? - zapytał Leventhal z rozgoryczeniem. - Mówiłem ci, dlaczego Allbee powiedział, że chce się zemścić. A jeśli Williston uważa, że poszedłem do „Dill’s”, żeby narozrabiać, to musi myśleć w całej rozciągłości to samo, co Allbee.
- Kto, Williston? Och, bardzo się mylisz, chłopcze, bardzo się mylisz.
- Och, czyżby? Widzę, że nie wiesz, o co tutaj chodzi. Williston jest zbyt miłym gościem, powiadasz. I ty mówisz o naiwności! I ty mówisz o wyrobionym życiowo mężczyźnie! Każde dziecko wie o tych rzeczach więcej niż ty, Dan. Jeśli może myśleć, że to tamta obraza... obraza również wobec ciebie, Dan, skoro już o tym mowa. Jeśli on tak sądzi...
- Williston jest miłym gościem - rzekł Harkavy. - Pamiętaj, że również dla ciebie był miły.
- Pamiętam. Dlaczego sądzisz, że nie pamiętam? Właśnie w tym rzecz. Właśnie to sprawia, że jest to takie przykre, straszne. Właśnie to jest takie złe w tej historii. Oczywiście, że mi pomógł. Więc jeśli teraz

chce uwierzyć w to o mnie, ma do tego prawo? Nie widzisz, do czego to prowadzi? - Stracił wątek. - Jasne, że mi pomógł.

- Możesz być pewien, że on nie wie, co ten twój pan Allbee wyprawia, i że nie spodobałoby mu się to, gdyby wiedział. Mimo wszystko. To znaczy, nie mógłby uwierzyć, że mówi... że go zrujnowałeś. Ten człowiek ma nie po kolei w głowie, tak cię napastując. Jest niezrównoważony psychicznie. Nigdy wcześniej nie spotkałeś się z czymś takim? To bardzo smutne. Zdarzyło się to w mojej rodzinie. Siostra mojego ojca zdziwaczała w okresie przekwitania: mówiła, że wszystkie zegary ostrzegają ją, by uważała, uważała, uważała. Och, po prostu jej odbiło. To była katastrofa. Twierdziła, że ktoś kradnie listy z jej skrzynki, wyciąga korespondencję. Och, najróżniejsze rzeczy. Trudno byłoby je wszystkie wylizować. No cóż, najwyraźniej masz do czynienia z tego rodzaju przypadkiem. To nieprzyjemne, ale nie ma powodu do niepokoju. Zaczęła mówić ludziom, że jest wdową po Kreugerze, królu zapalek, chociaż mój wuj jeszcze żył. Czasami był to Cecil Rhodes, a nie Kreuger. Mój dziadek walczył w wojnie burskiej. To stamtąd musiała to wziąć. Oddano ją do zakładu, biedactwo. Bóg jeden wie, skąd te pomysły przychodzą im do głowy.

Leventhal w rozstaniu kiwał głową. Mógł rozmyślać tylko o Willistonie. Jak Williston mógł uwierzyć w coś takiego o nim? Czy można go było znać, a jednak uważać za zdolnego do umyślnego wyrządzenia komuś

krzywdy? Z takiego powodu? Z jakiegokolwiek powodu, nawet w ewidentnej samoobronie? Nie mógł wymyślić i wykonać takiego planu. Leventhal był głęboko wzburzony. Odwrócił się od Harkavy'ego, mrużąc oczy. Williston mu pomógł. Miał wobec niego dług wdzięczności. Czy mógł temu zaprzeczyć? Harkavy na swój sposób zganiał go za to, że zdawał się o tym zapominać. Nie zapomniał. Czymś naturalnym było jednak pytanie, jak wiele zawdzięczał Willistonowi i jak daleko powinna sięgać wdzięczność. Przed chwilą użył słowa „zło” i było to spowodowane odczuciem, że Williston postawił zarzut, znajdując się pod wpływem, przeciwko któremu nie potrafił się bronić. Jeśli był w stanie uwierzyć, że Leventhal jest tego rodzaju człowiekiem - dlaczego nie miałyby się nazwać rzeczy po imieniu? - i że mógłby przeprowadzić taką intrygę, ponieważ jest Żydem, oznaczałoby to, że nastąpiła zmiana, której zawsze się obawiał, i całe szczęście zostało unieważnione, a wszelka przychylność ulotniła się. Bezradnie patrzył przed siebie. Williston, podobnie jak on sam, podobnie jak wszyscy, był unoszony prądami, to w tę stronę, to w tamtą. Prądy skręciły w nowym kierunku i był niesiony coraz szybciej i szybciej. Serce ścisnęło mu się w piersi; na chwilę zrobiło mu się słabo i zamknął oczy.

- Chcę to usłyszeć od niego samego - mruknął, powoli dochodząc do siebie. - Nie będę polegał na słowie nikogo innego w tej sprawie. Postąpiłbym wtedy tak samo jak on.

Wyciągnął chusteczkę i otarł twarz.

8

Minął jednak tydzień, a Leventhal nie zrobił nic, by skontaktować się z Willistonem, chociaż co dzień obiecywał sobie, że wyjaśni całą historię. Allbee nie pojawił się i Leventhal miał nadzieję, że więcej go nie zobaczy, choć tak naprawdę w to nie wierzył. Przynajmniej sprawy na Staten Island wyglądały lepiej. Nie oznaczało to, że Mickeyowi nie zagraża już niebezpieczeństwo, jego stan poprawiał się jednak i Leventhal mniej się o niego niepokoił. Max odpowiedział telegraficznie, że jest gotów wyjechać, gdy tylko lekarz da sygnał, i Leventhal napisał do niego, że choć uważa, iż Max powinien przyjechać do domu, gdzie jest potrzebny, decyzja należy do niego.

W piątek wieczorem Leventhal dotkliwie odczuwał nieobecność Mary. Przed położeniem się do łóżka miał wielką ochotę zadzwonić do Charleston. Podeszedł nawet do telefonu, podniósł słuchawkę i okręcił ją, by rozplątać sznur, lecz zaraz ją odłożył i zaczął się dalej rozbierać. Włożył biały bawelniany szlafrok, podarowany mu przez nią na ostatnie urodziny, lekko wyglądając klapy i spoglądając w dół po sobie. Gdyby zadzwonił do niej teraz, na początku weekendu, z pewnością odniosłaby wrażenie, że samotność wydaje mu się nieznośna i prosi ją, by wróciła do domu. A to byłoby nie w porządku, ponieważ nie mogła przyjechać, dopóki potrzebowała jej matka. Poza tym po odłożeniu słuchawki Mary znowu byłaby nieosiągalna i tęskniłby



za nią jeszcze bardziej niż teraz. A ona za nim.

Na zlewie stało kilka szkianek. Umył je i ustawił do góry dnem do wyschnięcia. Potem wszedł do pokoju stołowego, który od jej wyjazdu był zamknięty. Zostawił wszystkie drzwi w mieszkaniu otwarte; przyniosło mu to ulgę.

Nie spał dobrze. Przez większą część nocy słyszał agregat lodówki, która trzęsła się i kołysała, włączając się i wyłączając. Kilkakrotnie otwierał z tego powodu oczy. W łazience paliło się światło. Przeszła krótka ulewa i za oknem przesuwała się mgła. Nad ranem dotarło do jego świadomości, że ktoś mówi głośno na ulicy, i nasłuchiwał, ciężko oddychając. Było wystarczająco jasno, by widzieć wszystko wokół. Położył się spać w bawełnianym szlafroku i leżał z obiema poduszkami pod głową i rękami splecionymi na piersi; jego stopy i rozłożone nogi rysowały się wyraźnie obok głębokiego cienia ściany. Powietrze w długim wąwozie ulicy było szare i miękkie.

Kobiecego głos coś krzyknął i Leventhal poderwał się, rozsuwając klekoczące na kółkach zasłony. Na rogu panowało zamieszanie. Zobaczył, jak jakiś mężczyzna popędził jak oszalały w stronę jednej z dwóch kobiet; inny rzucił się z wrzaskiem naprzód, przecinając mu drogę, i powstrzymał go. Po drugiej stronie ulicy stali dwaj żołnierze, przyglądając się. Było całkiem jasne, że byli wcześniej z kobietami, a potem mężczyzna ich przyłapał - być może mąż albo brat jednej z nich, prawdopodobnie to pierwsze - więc cofnęli się.

Mężczyzna chodził w koło krótkimi, skradającymi się krokami, a kobieta, oniemiała ze strachu, trzymała się ze straszliwą czujnością z tyłu, gotowa do ucieczki. Jej wysokie obcasy stukały na bruku. Już raz jej dosięgnął, sukienka była rozdarta od szyi po talię. Potrząsała głową i odgarniała włosy. Znowu skoczył naprzód, usiłując ją pochwycić, a przyjaciółka złapała go za ramiona z błagalnymi, rozdzierającymi okrzykami i została przez niego okręcona w koło. Żołnierze sprawiali wrażenie, jakby uczestniczyli w widowisku urządzonym specjalnie dla nich, i od czasu do czasu zdawali się śmiać do siebie nawzajem. Podeszwy męża szurały na bruku, gdy posuwał się w stronę żony, i tym razem rzuciła się ona do ucieczki. Pobiegła ulicą niezdarnie, ale szybko, przy czym jej delikatną sylwetką wstrząsały dreszcze; żołnierze natychmiast ruszyli w tym samym kierunku. Mąż nie gonił jej; stał nieruchomo. Druga kobieta, uczepiona jego ramienia, mówiła coś do niego natarczywie, wysuwając twarz do przodu. Deszcz szybko i nierównomiernie parował z ulicy. Leventhal warknął coś pod nosem i mocniej owinął się szlafrokiem. Pojawił się blask, jakby nagi miedziany kabel został wyciągnięty z wody, i wzniósł się szybko, przemykając po murach i oknach. Słońce przeciskało się przez szczelinę w szarym powietrzu. Kobieta wciąż mówiła coś do mężczyzny, błagając go i ciągnąc w przeciwnym kierunku. Chciała, żeby z nią poszedł. Leventhal spuścił roletę i opadł na łóżko.

Wstał o dziesiątej, mając przed sobą wolny week-

end. Dzień odmienił od świtu swoje oblicze; było ciepło i wyjątkowo pięknie. Niebo miało mocną barwę; chmury były tak białe jak pióra leghornów, gdy przetaczały się na lekkim wietrze, który wydymał zasłony i szarpał za sznurki skrzynek na kwiaty pani Nu- nez. Leventhal wykąpał się, ubrał i zszedł na śniadanie. W restauracji usiadł w boksie, zamiast zająć miejsce przy barze, jak robił w dni powszednie. Znalazł na siedzeniu egzemplarz „Tribune” i czytał, pijąc kawę, oparłszy gazetę o cukiernicę. Następnie poszedł pieszo w stronę północnej części miasta, rozkoszując się pogodą i zaglądając do okien wystawowych.

Wciąż jednak miał w pamięci scenę na rogu i powracał do niej od czasu do czasu z uczuciem, że tak naprawdę nie wie, co dzieje się wokół niego, jakie dziwne, straszne rzeczy. Wisiały obok niego cały czas w drżących kroplach, zwykle niewidoczne albo widziane z oddali. Nie oznaczało to jednak, że zawsze musi istnieć dystans albo że prędzej czy później jedna albo dwie krople nie mogą spaść na niego. W istocie rzeczy myślał o Allbeem - nie był pewien, czy przestał on go szpiegować - i od tej myśli ścisnęło go lekko w dołku. Raz jeszcze przj^pomniał sobie, że musi zadzwonić do Willistona. Stopniowo jednak niepokój mijał i jego zamiary odsunęły się na dalszy plan. A później, kiedy wyjął z kieszeni kilka pięciocentówek, żeby zapłacić za napój, i zobaczył pustą kabinę telefoniczną w głębi sklepu, przemyślał rzecz ponownie i postanowił na razie nie telefonować. Nie widział Willistona od trzech albo

więcej lat i wypytywanie go ni stąd, ni zowąd o coś tak trudnego i niejasnego, być może zapomnianego, mogłoby się wydać dziwne. Poza tym, jeśli Willis- ton był w stanie uwierzyć, że umyślnie zaszkodził Allbeemu, byłby wobec niego chłodny. I być może Harkavy miał rację. Być może próbowałby uzyskać od Willistona zapewnienie, że ten nadal go lubi, domagać się od niego tego zapewnienia bardziej niż sprawiedliwego osądu. Wyobraził sobie Willistona siedzącego przed nim w swojej zwykłej pozie, wygodnie rozpartego w fotelu, z palcami w kieszonkach kamizelki, z czerwonymi policzkami i niebieskimi oczami zdającymi się mówić: „Tyle a tyle otwartości i ani odrobinę więcej”, przy czym dokładna jej doza pozostawała niepewna. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Williston doszedł do przekonania, że Leventhal jest odpowiedzialny za to, co przydarzyło się Allbeemu, i choć będzie słuchał - o ile Le- venthal go znał - z pozorną uprzejmością i gotowością do zawieszenia sądu, będzie już miał wyrobioną opinię. Sama myśl o tym, że będzie go prosił, napępiała go wstydem. Czy on sam nie wiedział, że nigdy nie chciał świadomie skrzywdzić Allbeego? Oczywiście, że tak. To Williston, nawet jeśli był jego dobroczyńcą, powinien wyjaśnić, dlaczego był gotów uwierzyć w coś takiego. A kiedy człowiek mówi, że ktoś jest jego dobroczyńcą, to co właściwie ma na myśli? Człowiek może komuś pomóc, ponieważ ten ktoś jest dla niego uciążliwy, i chce się go pozbyć. Może to zrobić dlatego,

że niesłusznie go nie lubi i chce mu wynagrodzić swoje uprzedzenie, a potem, ponieważ czuje, że mu to wynagrodził, może bez przeszkód go nie cierpieć, a nawet ma do tego prawo. Nie twierdził, że tak jest w przypadku Willistona, ale w takiej sprawie nie można nikogo ganić za badanie każdej możliwości ani oskarżać o bezdusność czy brak serca. Lepiej jest myśleć dobrze o ludziach - istnieje niemalże tego rodzaju nakaz. A Leventhal ogólnie biorąc uważał, że z natury nie jest podejrzliwy i woli być wykorzystywany, niż traktować wszystkich z nieufnością. Lepiej jest być autentycznie ufnym; mówiono, że tak jest po chrześcijańsku. Głupie i żałosne było jednak nieprzyjmowanie do wiadomości podejrzeń, jakie przychodziły człowiekowi do głowy w sprawie takiej jak ta. Bo jeśli się je miało, nie należało udawać, że wszystko jest w najlepszym porządku, i zaprzeczać, że się je ma.

Jednocześnie Leventhal był wystarczająco rozsądny, by przyznać, że być może przez czepianie się Willistona próbuje uwolnić się od poczucia, iż ma wobec niego jakieś zobowiązania. Nigdy nie był w stanie mu się zrewanżować. Czy szukał szansy na wymazanie długu? Nie sądził, żeby tak było. Pragnął być tego pewien. Ach, mówił sobie, jestem pewien. Nigdy nie odczuwał niczego poza wdzięcznością. Wielokrotnie mówił - Mary mogła zaświadczyć - że Williston go uratował.

Kiedy się jednak potem nad tym zastanawiał, cała sprawa zaczęła tracić na znaczeniu. W końcu było to

coś, co mógł albo brać poważnie, albo zlekceważyć jako zwykle utrapienie. Zależało to od niego. Musiał jedynie z naciskiem stwierdzić, że nie ponosi odpowiedzialności, a sprawa zniknęłaby bez śladu. Był przekonany, że nikt nie może od niego oczekiwać, iż przyjmie takie oskarżenie za dobrą monetę. I cóż więcej mógł powiedzieć ponad to, że jego rola w tym wszystkim była przypadkowa? W najgorszym razie był to przypadek, rzecz niezamierzona.

Poranek ze swoim blaskiem i prostymi kontrastami, bielą i błękitem, lśnieniem i półmrokiem, miał na niego kojące działanie, którego był świadom. Spojrzał w górę i na jego twarzy, która w słońcu wydawała się śniada, pojawił się lekki uśmiech. Jego czysta niebieska koszula była krzywo zapięta i ciasna na szyi; wsunął palce za kołnierzyk i pociągnął za niego, unosząc podbródek, a następnie niezdarne poprawił gors koszuli, przy czym jego obrączka ślubna postukiwała na guzikach.

W południe był na jednej z czterdziestych ulic po stronie zachodniej. Zjadł miskę chili w lokalu naprzeciwko sklepu muzycznego, gdzie mężczyzna bez marynarki, stojący w jednym z szerokich okien na pierwszym piętrze, od czasu do czasu wydobywał jakiś dźwięk z waltorni, którą wypróbowywał, obejmując ramieniem błyszczące zaokrąglenie mosiądzu. Chaotycznie wygrywał dźwięczne, niecierpliwie tony oraz niskie chrapnięcia i Leventhal czuł, że ich brzmienie w jakiś sposób przenika do jego krwi, gdy wpatrywał się w słońce i kurz spokojnej ulicy. Wydobył

cygaro z osłonki i zmiął celofan w kulkę dość małą, by zmieściła się w banderoli. Obmacał udo w poszukiwaniu zapalek i wypuściwszy pierwszy kłęb dymu, wszedł do budki i zadzwonił do Eleny. Wysłano po nią jedno z dzieci Villanich. Podczas rozmowy oczy Leventhala wciąż były utkwione w mężczyźnie grającym na waltorni.

Elena wydawała się spokojniejsza niż zwykle. O trzeciej miała odwiedzić Mickeya. Zapytał ją o Philipa i kiedy Elena, powiedziawszy „Och, Phillie? Jest na gorze”, zaczęła dalej mówić o szpitalu, Leventhal wpadł na pomysł, żeby spędzić z nim dzień, i przerwał jej, proponując, by Philip przyjechał na Manhattan.

- Odbiorę go na przystani promowej. Jeśli chcesz, przyjadę po niego.

- Och, wyślę go - rzekła Elena. - To świetnie. Spodoba mu się to. Nie, może pojechać promem sam. Co to takiego wielkiego?

Leventhal, już pełen planów, wyszedł spiesznie na ulicę. Odbęda przejażdżkę otwartym autobusem po Riverside Drive. To mogło sprawić chłopcu frajdę. Może wolałby Times Square, strzelnice, salony gier i flipery. Pogratulował sobie, że pomyślał o Philipie; był zachwycony. Przyszło mu do głowy, że spędziłby czas dość znośnie, aż w jakimś momencie pod wieczór uświadomiłby sobie, że nie zamienił z nikim ani słowa, i ogarnęłaby go chandra. A Philip także zostałby sam po wyjeździe matki do szpitala. Leventhal udał się pociągiem do południowej części miasta i siedział na

małym skwerze na ławce z widokiem na bramy przystani promowej.

Jego smągła, beznamiętna twarz była zwrócona w stronę wyjścia. Napięcie związane z oczekiwaniem sprawiało, że niemal drżał, było to jednak przyjemne, coś w rodzaju przyjemnego podniecenia. Zastanawiał się, dlaczego ostatnio był bardziej niż kiedykolwiek przedtem podatny na pewne rodzaje uczuć. Wobec wszystkich ludzi, z wyjątkiem Mary, był zwykle szorstki i obojętny, na pozór trochę taki jak jego ojciec, ale ta szorstkość, gdy się jej dobrze przyjrzeć, wynikała jedynie z niedbalstwa. Jeśli człowiek nie chciał zawracać sobie głowy ludźmi, znajdował sposób, by trzymać się od nich z dala. Cóż, świat był ruchliwym miejscem - przyglądał się budynkom, bankom i biurom w ich sobotniej martwocie, filarom pociętym pręgami sadzy i zmiennym kolorom okien, w których czystszy kolor nieba wydawał się ciemniejszy, rozmyty, i znowu ciemniejszy. Nie sposób było odnaleźć we własnych uczuciach miejsca dla wszystkiego ani ustępować pod każdym dotknięciem jak drzwi wahadłowe, takie same dla wszystkich, przez które ludzie wchodzili i wychodzili wedle upodobania. Z drugiej strony, jeśli człowiek zamknął się w sobie, nie chcąc, by go niepokoiono, był jak niedźwiedź w zimowej norze albo jak lustro owinięte flanelą. I podobnie jak takie lustro był wprawdzie mniej narażony na stłuczenie, ale również nie rozbłyskiwał. A człowiek musiał rozbłyskiwać. To właśnie było osobliwe. Każdy chciał



być tym, kim był, do ostatecznych granic. Kiedy patrzyło się w koło, to właśnie widziało się najwyraźniej. Zarówno w wielkich osiągnięciach, jak w zbrodniach i występkach. Kiedy tamta kobieta stała dziś rano naprzeciw swego męża, który śledził ją najprawdopodobniej całą noc od knajpy do knajpy, aż w końcu przyłapał na zadawaniu się z innymi mężczyznami, na zbyt gorącym uczynku, by mogła się bronić... kiedy stała naprzeciw niego, czy nie mówiła po cichu: „Jestem po prostu do ostatecznych granic tym, czym jestem”? W tym przypadku dziwką. Mogła się co do siebie mylić. Nie można było od ludzi oczekiwać, że będą mieli rację, a jedynie że będą próbowali robić to, co muszą. Dlatego też robiono ohydne rzeczy, karnibalistyczne rzeczy. Dobre rzeczy oczywiście również. Ale nawet wówczas nic naprawdę dobrego nie było bezpieczne.

Było w ludziach coś, co sprzeciwiało się snowi i monotonii, a zarazem ostrożność, która prowadziła do snu i monotonii. Są w nich obie te rzeczy, myślał Leventhal. Cały czas zajmowali się sobą, oszczędzając, gromadząc zapasy, wypatrując niebezpieczeństwa z tej i z tamtej strony, a jednocześnie pędząc, pędząc rozpaczliwie, pędząc jak w wyścigu z jajkiem na łyżce. I czasami mieliśmy dość jajka, mieliśmy go powyżej uszu i w takiej chwili wolelibyśmy zawrzeć pakt z diabłem i tym, co nazywano siłami ciemności, niż biec z łyżką, wpatrując się w jajko i trzęsąc się o nie. Człowiek jest słaby i kruchy, musi

mieć dokładnie właściwą ilość wszystkiego - wody, powietrza, jedzenia; nie może jeść gałązek ani kamieni; musi strzec swoich kości przed złamaniem i swego tłuszczu przed stopieniem. To i tamto. Gromadzi cukier i ziemniaki, chowa pieniądze w materacu, oszczędza swoje uczucia, gdy tylko może, zadaje sobie trud i zabezpiecza się. To, można by powiedzieć, działa się ze względu na jajko. A więc umieranie to psucie się? Gnicie? A Sąd Ostateczny to badanie pod światło? Leventhal zachichotał i potarł dłonią policzek. Istniało również coś odwrotnego, zabawa w łapanie jajka, wystawianie jajka na zagrożenie.

Promy z wyspy przybywały co kilka minut i kiedy tłum wylał się już kilka razy i rozproszył, Leventhal zobaczył Philipa stojącego przy wyjściu. Wstał i skinął na niego, wołając: „Tutaj, tędy”, i machając ręką, podszedł do krawężnika. Warkot autobusów sprawiał, że okrzyki były bezcelowe. „Tutaj, tutaj!” Jeszcze raz dał znak i w końcu chłopiec zobaczył go i podszedł.

- Miałeś przyjemną podróż? - zapytał na wstępie Leventhal. - Jest wspaniały dzień. Czuł tutaj zapach morza. - Odetchnął głęboko. - Ryby i małże.

Zauważył z aprobatą, że krótkie włosy Philipa są zwilżone i wyszczotkowane, a kołnierzyk koszuli, wyłożony na klapy marynarki, jest świeży i czysty. On sam miał na sobie garnitur z krepy, który dopiero co wrócił z pralni; czuł się w nim przygotowany do świątecznego dnia.

- No to jak pojedziemy do miasta? Autobusem?

- Dotknął ramienia chłopca. - W sobotę nie ma specjalnie na co patrzeć z autobusu jadącego Broadwayem.

- Och, jeżdżę czasem na Manhattan - odparł Philip. - Wiem, jak wygląda. Pojedźmy metrem.  
145

Zeszli na dół. Leventhal przeprowadził go przez kołowrót i półmrok łukowatego peronu. W tunelu dobiegł ich odległy, szybki łoskot wagonów, przypominający uderzenia młota.

<sup>10</sup> - Ofiara

Na szczęście Philip był rozmowny, bo gdyby był nieśmiały, Leventhal myślałby, że wyrzuca mu przeszłe zaniedbania, których nie dałoby się nadrobić w ciągu jednego popołudnia. Takiego wyrzutu dopatrywał się w jego milczeniu poprzedniego tygodnia, kiedy dał mu ćwierćdolarówkę. Nie było jednak powodu do obaw. Philip mówił bez ustanku i Leventhal, choć czasem zdawał się być myślami gdzie indziej, w skrytości ducha uważnie się przysłuchiwał. Uczucia, jakie budził w nim Philip, pogłębiały jego zwykłą powściągliwość. Spoglądał jednak często na zaokrąglenie krótko ostrzyżonej, kształtnej długiej głowy chłopca oraz w jego rysach i myślał, że krew Eleny może być widoczna w jego rysach, ale nie w naturze. Tam mieli coś wspólnego. Chłopiec również zdaje się to zauważać, mówił sobie Leventhal.

Philip położył rękę na automacie z czekoladą umieszczonym na jednym z filarów i Leventhal pośpiesznie poszukał w kieszeni drobniaków, włożył pięć albo sześć monet do otworu i pokręcił gałkami. Kiedy

wyciągał czekoladę z metalowej rynienki, wjechał pociąg; zostawili maszynę i pobiegli.

- A może byśmy się trochę przeszli? - zaproponował Leventhal na Pennsylvania Station. Wysiedli i ruszyli w stronę Times Square.

Tutaj, w środku miasta, powietrze było spokojniejsze. Po drodze Leventhal słuchał paplaniny Philipa, często trochę nią zdziwiony. Philipa ciekawiły fundamenty drapaczy chmur. Czy to prawda, że muszą mieć amortyzatory wstrząsów? Muszą mieć coś, co pozwala im przetrwać drgania wywoływane przez metro i absorbować ruchy na górze, kołysanie. Wszystkie one się kołysały. Max powiedział mu, że na statku płyty w niektórych częściach pokładu są układane w taki sposób, by mogły się uginać przy złej pogodzie.

- Brzmi to sensownie - rzekł Leventhal. - Rzecz jasna, nie jestem inżynierem.

Philip mówił dalej, spekulując na temat tego, co poza fundamentami znajduje się pod ulicą; rury, rury wodociągowe i kanalizacja, przewody gazowe, system elektryczny dla kolei podziemnej, druty telefoniczne i telegraficzne oraz kabel dla tramwaju na Broadwayu.

- Sądzę, że w ratuszu mają plany i wykresy. - Leventhal zatrzymał się. - Może byśmy się czegoś napili?

Zamówili po szklance oranżady w bambusowej budce o ścianach oklejonych papierową trawą. Kobieta przy zbiorniku przycisnęła nadgarstkiem dźwignię, sztywno trzymając palce, na których miała pierścionki z

kameami. Napój był gorzkawy od zmielonych skórek.

Opuściwszy budkę, weszli w tłum zgromadzony wokół mężczyzny, który sprzedawał biegające i szczekające psy zabawki. Handlarz w poplamionej bluzie i zniszczonych butach, w opasce z postaciami Indian na czole, popychał je szerokim czubkiem buta za każdym razem, gdy zwolniły.

- Biegają gwarantowane trzy minuty - mówił. Żeby nakręcić psa, chwycił go za głowę; jego palce były za grube, by łatwo dostać się do kluczyka. - Trzy minuty. Ćwierć dolara. Kosztowały mnie osiemnaście centów. Taki to interes. - Wypowiedział ten żart obrażonym tonem. Jego policzki były obrzmiałe, a spojrzenie nieprzejednane. - Trzy minuty. Nie nagabywać, nie sztupać. Kupować albo wynosić się stąd.

Wśród widzów rozległ się śmiech.

- Co on powiedział? - chciał wiedzieć Philip.

- Mówi im w jidysz, żeby się nie pchali - odparł Leventhal. Przypomniało mu się, co Allbee powiedział o Żydach i Nowym Jorku. - Chodź, Phil  
- rzekł.

Przy Czterdziestej Drugiej Ulicy chłopiec zatrzymywał się często, by popatrzeć na fotosy przed kinami, i Leventhal niechętnie - nie przepadał za filmami - zapytał, czy nie chciałby wybrać się na seans.

- Pewnie, że bym chciał - odparł Philip.

Leventhal domyślał się, że choroba Mickeya przeskodziła mu w sobotnich wyjściach do kina.

- Możemy pójść, na co chcesz - powiedział.

Philip wybrał horror i kupili bilety, po czym przeszli po brunatnych dywanach mrocznego holu, między przymglonymi lampami o postrzępionych, przeżartych kurzem jedwabnych abażurach i szerokimi, obitymi brokatem krzesłami w duszny mrok. Usiedli w skórzanych fotelach.

Na ekranie widać było, jak stary naukowiec snuje się niczym zjawa po garderobie teatru, w którym wiele lat wcześniej zamordował swoją kochankę. Miał halucynacje na temat młodej gwiazdy, która ją przypominała, i usiłował udusić dziewczynę. Migoczące światła drażniły oczy Leventhala, muzyka była przerażliwa i po półgodzinie, wyczerpany nerwowo, zszedł do toalety. Natknął się tam na starego mężczyznę, opartego o żółtą umywalkę i oskubującego koniec skręconego przez siebie papierosa.

- W czymś takim obsadzają Karloffa - powiedział. - Człowieka z takim talentem.

- Lubi go pan? - zapytał Leventhal.

- W swoim fachu to geniusz. - Podał Leventhalowi ogień, trzymając zapalną ściśniętą pionowo między białymi jak kreda paznokciami; skóra na jego palcach była otarta; musiał być pomywaczem. - Tutaj tylko się wygłupia. To okropna szmira. Mimo to on błyszczy. Naprawdę rozumie, czym jest nadrzędna umysłowość, stanowiąca prawo dla samej siebie. Za to właśnie go podziwiam.

Leventhal odrzucił papierosa; odór środków dezynfekcyjnych psuł jego smak. Wrócił do Philipa,

wślizgując się na swoje miejsce. Wkrótce zasnął. Zbudziły go próby jego sąsiada wydostania się z rzędu. Wstał nagle i usłyszał muzykę kroniki filmowej.

- Phil, chodźmy. Nie ma tu czym oddychać - powiedział Leventhal. - Aż dziw bierze, że ludzie nie posnęli.

Kiedy wyszli na zewnątrz, ulica jaśniała oślepiającym blaskiem. Światła nad wejściem do kina wydawały się blade. Unosił się gorący, zbyt ciężki zapach prażonych fistaszków i karmelowego popcornu. Dobiał ich metaliczny klekot ze strzelnicy. Przez jakiś czas Leventhal czuł się pusty w środku i stał niepewnie na nogach. Słońce było za mocne, wirujący ruch uliczny za głośny, za szybki.

- A teraz dokąd? - zapytał. - Może do parku? Możemy też odwiedzić zoo. Nie zaszkodziłoby trochę świeżego powietrza, prawda? Zostaniemy na dworze? Najpierw zjemy kanapkę, a potem tam pójdziemy.

Philip się zgodził i Leventhal mógł jedynie zgadywać, czy pomysł ten spodobał mu się, czy też, postawiwszy na swoim w sprawie kina, czuł się w obowiązku ustąpić. „Nie mam już dobrego kontaktu z dziećmi” - pomyślał. „Może jest zbyt wyrafinowany na zoo. Ale dlaczego właściwie miałby być?” Jego wcześniejsza ufność w porozumienie między nimi ulatniała się.

- Może wolałbyś zrobić coś innego? - zapytał chłopca. - Nie bój się otwarcie mówić.

- Jedyne, co przychodzi mi na myśl, to mecz

Dodgersów z Bostonem. Ale tam musi już trwać piąta runda. Nie boję się otwarcie mówić.

- To dobrze. Na mecz pójdziemy innym razem. Chcę, żebyś mi mówił, kiedy coś wpadnie ci do głowy. Tymczasem chodźmy coś przegryźć.

Restauracja, do której weszli, była ogromna i wypełniona po brzegi ludźmi. Przed każdą ladą stało kilka kolejek. Leventhal wysłał Philipa, żeby kupił gazowane napoje; on sam poszedł po kanapki. Znaleźli stolik i Leventhal zaczął jeść, a Philip poszedł szukać musztardy. Leventhal siedział, popijając z butelki. Nagle w tłumie w przedniej części restauracji powstało zamieszanie; rozległy się podniesione głosy. Kilku ludzi weszło na krzesła, żeby zobaczyć, co się dzieje. Leventhal także wstał i rozejrzał się za Philipem, marszcząc czoło i zaczynając odczuwać niepokój. Wszedł w tłum i przepchnął się do przodu.

- O, jest mój wujek. Wujku! - krzyknął Philip, spostrzegając go. Trzymał go za ramię mężczyzna, który był wprawdzie odwrócony plecami, ale którego jasne włosy i bawełnianą marynarkę Leventhal natychmiast rozpoznał.

- Co tu się dzieje? - zapytał. W swoim zdumieniu nie mówił ani do Philipa, ani do Allbeego, ale jak gdyby do nich obu.

- Wziąłem musztardę ze stolika, a ten pan mnie chwycił! - krzyknął Philip.

- To prawda, tak zrobiłem. Postaw ją z powrotem.



Leventhal zaczerwienił się i odciągnął Philipa od Allbeego.

- A więc to jest twój wujek? - Allbee uśmiechnął się, ale jego oczy nie zatrzymały się długo na Le-venthalu. Odgrywał komedię na użytek zgromadzonych wokół ludzi i kiedy stał tam z głową niezgrabnie zwieszoną do przodu, ledwie powstrzymywał się od śmiechu na widok sensacji, jaką wzbudzał. A jednak w tym, co robił, jak zwykle była fałszywa nuta, nuta udawania.

- Zapytałem, czy mogę wziąć musztardę. Zapytałem jednej pani i ona powiedziała, że mogę - rzekł Philip. - Gdzie ona jest?

- To prawda, proszę pana.

Leventhal napotkał pełne niepokoju oczy młodej dziewczyny. Miała bladą twarz i przyciskała do piersi torebkę.

- A nie mówiłem?

- Zwędziłeś słoik z musztardą. On nie należy do tej młodej kobiety. Jest przypisany do stolika.

- Nie widziałam pana przy stoliku! - krzyknęła dziewczyna.

-Jeśli będzie pan nadal za mną łąził - powiedział Leventhal cichym, pełnym napięcia głosem - jeśli będzie pan nadal to robił, to się pan doigra. Każę pana aresztować. Nie żartuję.

- Och, to ja mógłbym kazać pana aresztować za pobicie. Z wielką łatwością. Był świadek.

- Powinienem być skrócić panu kark - mruknął

Leventhal. Jego duża głowa podrygiwała. Ze względu na chłopca ukrywał gniew.

- Och, trzeba było. Żałuję, że pan tego nie zrobił. - Allbee zwilżył językiem usta i wpatrywał się w niego.
- Chodź, Phil. - Leventhal wyprowadził go z tłumy.
- Kto to jest? - zapytał Philip.
- To taki natręt. Znałem go przed laty. Nie zwracaj na niego uwagi. To zwykły natręt.

Usiedli. Philip smarował musztardą kanapkę, patrząc w milczeniu na stryja.

- Nie przestraszyłeś się chyba?
  - No, zląkłem się, kiedy mnie chwycił, ale nie bałem się go.
  - Nie ma się kogo bać. - Przesunął swój talerz przez stolik. - Masz, zjedz połowę mojego, Phil. Serce łomotało mu w piersi. Wpatrywał się w wejście. Allbeego na razie nie było widać.
- „Nie ścierpię tego” - pomyślał. „Lepiej niech trzyma się ode mnie z daleka”.

W zatłoczonym ogrodzie zoologicznym Leventhal wpatrywał Allbeego. Z początku był nastawiony bojowo i czujny, lecz wkrótce ogarnęło go przygnębienie. Bo jeśli Allbee chciał go śledzić, to jak mógł temu zapobiec? Wśród tylu ludzi mógł podejść blisko niezauważony. Leventhal czuł często, że jest obserwowany, i biernie to znosił. Na wpół ze strachu, że się myli, nie usiłował złapać Allbeego. Próbował przestać o nim myśleć i poświęcić całą uwagę Philipowi, zmuszając się do naturalnego zachowania.

Ale od czasu do czasu, chodząc od klatki do klatki, przypatrując się zwierzętom, rozmawiając z Philipem albo paląc papierosa, albo uśmiechając się, tak wyraźnie czuł obecność Allbeego, miał taką pewność, że jest obserwowany, iż sam widział siebie jakby przez parę cudzych oczu: bok swojej twarzy, drganie mięśni na szyi, bruzdy na skórze, kształt ciała i stóp w białych butach. Przemieniony w ten sposób w obserwatora samego siebie, był również w stanie widzieć Allbeego i wyobrażał sobie, że stoi tak blisko za nim, iż dostrzega sploty tkaniny jego marynarki, nierówno porośnięty włosami kark, wygięcie policzka, kolor krwi w uchu; mógł nawet wywołać z pamięci zapach jego włosów i skóry. Ostrość i intymny charakter tych doznań budziły jego zdumienie, a jednocześnie dręczyły go i odurzały.

Upał

znowu się wznagał i ostry zapach zwierząt oraz suchego siana, kurzu i nawozu wypełniał mu głowę; światło słoneczne, przelewające się ponad najwyższymi gałązkami i odbite od prętów i klatek, białe i jarzące się w wydłużonych kształtach, na chwilę pozbawiło go świadomości zwykłego wyglądu rzeczy; bał się również, że opuszczają go siły. Poczuł jednak, że wraca do normalnego stanu, gdy zmusił się do pójścia dalej.

Po opuszczeniu zoo weszli z Philipem do parku. Philip chciał odpocząć i ruszył w stronę ławki. Ale Leventhal

powiedział: „Poszukamy miejsca, gdzie będzie więcej cienia”, ponieważ znajdowali się na skrzyżowaniu dwóch ścieżek i ławka była ze wszystkich stron wystawiona na widok. Usiedli na skarpie, gdzie nikt nie mógł się zbliżyć niepostrzeżenie. Na skrzyżowaniu odległym o jakieś pięćdziesiąt jardów stała grupka ludzi, wśród których mógł być Allbee. Nadchodził wieczór, a wraz z nim nowa fala upału, zagęszczająca powietrze i uginająca pod swoim ciężarem trawę i zarośla. Leventhal obserwował. Myślał nawet o odwróceniu ról i zaczajeniu się gdzieś na Allbeego. Ale gdyby go nawet schwytał w potrzask, co by to dało? Czy wprawiłby go w zakłopotanie? Ktoś taki jak on nie odczuwał już zakłopotania. Pobić go? Z przyjemnością. Uważał jednak, że powinien, dla własnego dobra, wystrzegać się odpowiadania absurdem na absurd i szaleństwem na szaleństwo. I oczywiście nie chciał urządzić kolejnej sceny, kiedy był z nim Philip. Nie wiedział, jak wpłynęło na niego spotkanie z Allbeem w restauracji. Przypuszczał, że Philip zauważył, jak bardzo zajęcie wytrąciło go z równowagi, i dlatego taktownie ukrywał swoje uczucia. Miał ochotę z nim o tym porozmawiać. Nie chciał jednak zdradzać swego niepokoju; ponadto bał się wszczynać rozmowę, nie wiedząc z góry, dokąd ona zaprowadzi. A może przypisywał chłopcu zbyt wielką przenikliwość. Ale nastrój wycieczki się zmienił. Philip wydawał się zamyślony; nie miał nic do powiedzenia; a byłoby naturalne, gdyby choć raz wspomniął o zajściu. Z pewnością go nie zapomniał.

- Co się dzieje, Phil? - zapytał.

- Nic, bolą mnie nogi - odparł chłopiec i Leventhal nadal nie wiedział, co Philip naprawdę czuje.

Postanowił wziąć taksówkę do przystani promowej i wstał, mówiąc:

- Chodźmy, Phil. Już pora cię odwiedzić.

Ruszył szybkim krokiem w stronę Piątej Alei.

Philip wydawał się trochę zdziwiony jego pośpiechem, ale jazda taksówką z odkrytym dachem sprawiła mu przyjemność. Leventhal popłynął z nim na Staten Island i wsadził go do autobusu. Potem wrócił na Manhattan.

Około dziewiątej, po kolacji złożonej z owoców morza, których ledwie spróbował, znajdował się w drodze do domu, nie mając ochoty iść gdziekolwiek indziej. Wszedł do sklepu tytoniowego, rozejrzał się po półkach za płomieniem na ladzie i kupił paczkę papierosów. Z roztargnieniem odebrał resztę, lecz zamiast włożyć ją do kieszeni, zaczął szukać wśród drobnych pięciocentówki na telefon do Willis- lona. Nagle bowiem odczuł przemożną potrzebę uzyskania od niego wyjaśnienia, jeszcze tego wieczora, natychmiast. Nie mógł zrozumieć, dlaczego odkładał to przez cały tydzień. Szybko przewertował książkę telefoniczną, przepisał numer i wszedł do kabiny.

Odebrała Phoebe Williston i dźwięk jej głosu wywołał u niego nieoczekiwane ukłucie bólu; przypomniał mu o wielu sytuacjach, gdy dzwonił, by poprosić Willistona o jakąś przysługę, radę albo polecenie go komuś. Willistonowie zwykle okazywali mu cierpliwość, więc często dość bezradnie i głupio składał w ich ręce swoje kłopoty i czekał, siedział w ich bawialni albo wisiał na

telefonie, czekając, aż jego problemy zostaną rozważone, świadomy, że nie przyczynia się w żadnej mierze do ich rozwiązania, pragnąc się wycofać, lecz nie mając siły tego zrobić. Oczywiście zdarzało się, że dzwonił nie w porę, i cierpliwość Willistonów była wystawiana na próbę. Ilekroć dzwonił do ich drzwi albo wrzucał monetę do automatu i słyszał sygnał zgłoszenia, w jego sercu rodziło się pytanie: „Jak będzie tym razem?”. I teraz również było ono obecne pomimo zupełnie odmiennych okoliczności.

- Mówi Leventhal - powiedział. - Co u pani słychać?
- Leventhal? Och, Asa Leventhal. Jak się pan miewa, Asa? - Wydawało mu się, że jej głos nie brzmi nieprzyjaźnie. Trudno było oczekiwać, że będzie bardzo serdeczna, zważywszy, że dzwonił po raz pierwszy od trzech czy czterech lat.
- Całkiem nieźle.
- Chce pan pewnie rozmawiać ze Stanem.
- Tak.

Usłyszał, jak ze stukiem odłożono słuchawkę na stolik, a potem przez kilka minut dobiegały go odgłosy rozmowy prowadzonej w pewnej odległości. „Nie chce ze mną rozmawiać” - pomyślał. „Na pewno jej mówi, że powinna była powiedzieć, że nie ma go w domu”. Po chwili ktoś podniósł słuchawkę.

- Halo? - spróbował.
  - Tak, halo. Czy to pan, Asa?
- Leventhal powiedział bez zbędnych wstępów:
- Niech pan posłucha, Stan, chciałbym się z panem zobaczyć. Czy mógłby mi pan poświęcić dziś wieczór

trochę czasu?

- Co, dziś wieczór? To dość niespodziewane.

- Tak, wiem. Powinienem był zapytać, czy gdzieś państwo nie wychodzą.

- No cóż, prawdę mówiąc, zamierzaliśmy gdzieś później wyjść.

- Nie będę długo siedział. Wystarczy mi około piętnastu minut.

- Gdzie pan teraz jest?

- Niedaleko. Złapię taksówkę.

Wydawało mu się, że Williston nie kryje niechęci. Ale kiedy powiedział „W porządku”, Leventhal nie zadał sobie nawet trudu, żeby powiedzieć do widzenia. Nie było dla niego ważne, jak Williston zgodzi się z nim spotkać, byleby się zgodził. Wyszedł na środek ulicy i zatrzymał taksówkę. Oczywiście, pomyślał sobie, wsiadając, Williston był niezadowolony z jego telefonu i z tego, że wyrzucił z siebie swoją prośbę, pomijając zwykłe formalności. Ale były znacznie poważniejsze powody do niepokoju niż to, jeśli założyć, że Williston rzeczywiście trzymał stronę Allbeego. W grę wchodziła uczciwość, czyjaś reputacja, honor. I były jeszcze inne względy.

Taksówka pędziła na północ i Leventhal nagle poczuł, że jego twarz zrobiła się gorąca, bo właśnie przypomniał sobie wierszyk, który jego ojciec lubił powtarzać:  
Ruf mir Joszke, ruf mir Moszke,  
Aber gib mir di groszke.

„Mów mi Josiek, mów mi Mosiek, ale daj mi grosik. I cóż z tego, że mną pogardzasz? Co według ciebie znaczy dla mnie równość z tobą? Co takiego masz, na czym mi

zależy, poza groszem?” Taki był pogląd jego ojca. Ale nie jego. Odrzucał ten pogląd i wzdragał się przed nim. Tak czy owak, jego ojciec był za życia biedakiem i umarł biedakiem, ten surowy, dumny stary głupiec o dzikim wyglądzie, dla którego nic nie miało znaczenia poza jego korzyścią i tym, by uwolnić się dzięki pieniądзом od władzy wrogów. A kto był wrogiem? Świat, wszyscy. Wrogowie byli wymaginowani. Walka z nimi nie przynosiła korzyści. Zachowywał się jak księżę handlu wśród swoich bel materiału i resztek i był gotów być chomikiem, żeby zostać lwem. To również nie przyniosło korzyści; nigdy nie został lwem. Myślenie o stosunku jego ojca do tych spraw było dla Leventhala bolesne. Otrząsnął się z odrętwienia, by powiedzieć kierowcy, żeby się pośpieszył. Ale taksówka była już na ulicy Willistona i chwycił za klamkę u drzwiczek.

Rozpoznał podstarzałego Murzyna, który wioził go windą na górę. Niski, barczysty i powolny, pochylał się nad dźwignią, którą obsługiwał z najwyższym namaszczeniem. Pojechali w górę i zatrzymali się łagodnie na trzecim piętrze. Kołatka u drzwi Willistona również była znajoma - kobieca głowa odlana z mosiądzu, która zaskakiwała swoim ciężarem.

Wpuściła go Phoebe Williston. Leventhal uściśnął jej dłoń i poszła przed nim szarym korytarzem o wysokich ścianach do salonu. Williston wstał z fotela w wykuszowym oknie, przy czym z jego kolan spadła gazeta i rozpostarła się u podstawy stojącej lampy. Był w samej koszuli, z mankietami podwiniętymi na gładkich,



czerwonawych przedramionach. Nie utracił nic ze swej rumianej cery. Brązowe włosy miał uczesane na bok, a ciemnozielony jedwabny krawat zwisał niezawiązany z zapiętego kołnierzyka.

- Ciągle ten sam, co? - powiedział swoim przyjemnym, głębokim głosem.

- Tak, z grubsza. Pan też, jak widzę.

- Tyle że o parę lat starsi - zauważyła Phoebe.

- To się rozumie samo przez się.

Williston przysunął w wykuszu jeszcze jeden fotel i obaj mężczyźni usiedli. Phoebe nadal stała, wspierając ciężar ciała na jednej nodze, ze złożonymi ramionami, i Leventhal pomyślał, że jej spojrzenie spoczywa na nim dłużej niż to konieczne. Wytrzymał to długie spojrzenie z miną mówiącą, że w zaistniałych okolicznościach przynajmniej jej prawo do poddania go inspekcji.

- Wydaje się pan być w dobrej formie, trochę pełniejszy - powiedziała. - Jak się miewa pańska żona?

**161**

- Wyjechała na jakiś czas z miasta, jest na Południu u matki i rodziny. Miewa się dobrze.

DI - Ofiara

- Boże! Na Południu przy tej pogodzie? A pan jest nadal tam, gdzie przedtem?

- Ma pani na myśli adres czy pracę? Jedno i drugie bez zmian. Ta sama praca, Burkę i Beard; ci sami ludzie. Stan wie, jak sędzę.

Weszła służąca, żeby zapytać o coś Phoebe. Była to błada, wolno mówiąca dziewczyna. Phoebe słuchała, pochylając głowę i obracając naszyjnik w palcach. Poszła z

nią do kuchni. Williston wyjaśnił:

- To nowa dziewczyna, uczy się dopiero swoich obowiązków.

Na Leventhalu, podobnie jak w przeszłości, mieszkanie ich sprawiało wrażenie domostwa, w którym bardziej niż w jakimkolwiek innym znanym mu panowała atmosfera utrwalonych przyzwyczajęń. Williston leżał odprężony w fotelu, z nogą założoną na nogę i palcami wepchniętymi pod pasek. W wygięciu metalowej kraty na półokrągłym oknie stało kilka doniczek z kwiatami chropawymi jak kawałki czerwonego kruszcu. Patrząc na nie, Leventhal zastanawiał się, jak powinien zacząć. Był nieprzygotowany. Wcześniej wydawało się to dość proste; przyszedł z pretensją i chciał uzyskać wyjaśnienie. Być może oczekiwał, że Williston będzie na niego oburzony; w każdym razie nie spodziewał się, że będzie wygodnie siedział w fotelu i czekał, podczas gdy, minuta za minutą, uciekać będzie czas, o który poprosił. Nie przewidział działania, jakie wywierał na niego Williston;

zapomniał, jaki on jest. Niejeden raz, w dawnych czasach, nie ufał mu. Czuł do niego głęboką urazę, gdy wydawało mu się, że Williston żałuje napisania listu polecającego. Ale w tamtej sprawie, a także w innych, zmienił zdanie; zawsze tak bywało, gdy znalazł się twarzą w twarz z Willistonem. Przychodził do niego ze skargą na ustach, lecz wkrótce, nie wiedząc dokładnie, jak to się działo, stawał się niepewny swego. Było tak również teraz i nie potrafił zacząć. Siedział w okiennym wykuszu, spoglądając w dół, ponad główkami kwiatów, na przemykające reflek- Lory samochodów w

głębi parku, kiedy pod siecią drzew pokonywały zakręt, oświetlając głązy i płożące się krzewy na stromym zboczu, a snopy światła jeden po drugim przesuwały się po nieruchomej czerni i zieleni.

- Chciałem z panem porozmawiać o pańskim przyjacielu Allbeem - rzekł w końcu. - Może pan rozumie, o co mu chodzi.

Williston od razu się zainteresował; podciągnął się w fotelu.

- Allbee? Widział go pan?

-I owszem.

- Straciłem go z oczu przed laty. Co on porabia? Gdzie go pan widział?

Ale Leventhal nie chciał odpowiadać na żadne pytania, dopóki nie będzie wiedział, na czym stoi z Willistonem.

- Co porabiał, kiedy ostatni raz pan go widział?

- zapytał.

- Nic. Żył z pieniędzy z ubezpieczenia. Wie pan, że jego żona umarła.

- Słyszałem o tym.

- Mocno go to uderzyło. Kochał ją.

- Powiedzmy, że ją kochał. Nie pojechał na jej pogrzeb. A dlaczego od niego odeszła?

Williston spojrział na niego z zaciekawieniem.

- No cóż - odparł z pewną rezerwą - nie wiem na pewno. To było coś między nimi dwojgiem.

Leventhal od razu wyczuł w tych słowach przy- ganę i zmienił nieco ton.

- Tak, osoby postronne chyba nigdy nie dowiadują się

całej prawdy. Myślałem, że może pan wie.

- Zauważył, że powinien dokładniej się wytłumaczyć. - Nie usiłuję się dowiedzieć czegoś, co do mnie nie należy. Mam dobry powód. Może pan się domyśla jaki...?

- Wydaje mi się, że tak - odparł Williston.

Serce łomotało Leventhalowi w piersi.

- O ile wiem, stoi pan po jego stronie - powiedział. - Wie pan, w jakiej sprawie. Uważa pan, tak jak on, że za wszystko jestem odpowiedzialny.

- „Wszystko” to bardzo pojemne określenie - odparł Williston. - Do czego pan zmierza? Byłbym bardziej konkretny, mówiąc o czymś, o co chciałbym się do kogoś przyczepić.

Nie był już taki opanowany i sympatyczny; zaczął mówić ściśniętym głosem i Leventhal pomyślał: „Tak jest lepiej, znacznie lepiej. Może do czegoś dojdziemy”.

Pochylił do przodu swoją masywną, ciemną twarz.

- Nie przyszedłem, żeby pana o cokolwiek oskarżyć, Stan. Nie czepiam się pana. Przyszedłem zapytać, dlaczego mówił pan o mnie pewne rzeczy, nie wysłuchawszy mojej wersji tej sprawy.

- Jeśli nie powie mi pan dokładnie, o czym pan mówi, nie będę w stanie panu odpowiedzieć.

- Chce pan, bym uwierzył, że pan nie wie? Wie pan... - Wykonał trudny do określenia gest odpychania. - Chcę, żeby mi pan otwarcie powiedział, czy uważa pan, że Allbee został zwolniony z „Dill’s Weekly” z mojej winy.

- Naprawdę? Chce pan? - zapytał go posępnie Williston, jakby chciał mu dać sposobność do ponownego

przemyślenia albo cofnięcia tego pytania.

-Tak.

- No więc myślę, że tak.

Leventhala przebiegła zimna fala rozczarowania i gniewu, odbierając mu oddech. Jego członki były puste; uda wydawały się wydrążone i sztywne jak mosiądz; nie mógł unieść z nich rąk. Nie bardzo wiedział, jakie uczucia malują się na jego twarzy.

- Że tak... że tak? - rzekł z trudem. - Nie rozumiem dlaczego.

- Z określonych powodów.

Leventhal, z pełnym goryczy i niepewności wzrokiem, powiedział zacinającym się głosem:

- Chciałem wiedzieć...

Williston uznał, że nie wymaga to odpowiedzi.

Leventhal kontynuował z większą pewnością siebie:

- Zapytałem pana, więc musiał pan powiedzieć mi, co pan o tym sądzi. Jeśli ma pan rację, to w porządku. Ale jeśli nie ma pan racji? Może pan jej nie mieć.

- Nie jestem nieomylny.

- Właśnie. Kiedy pan mówi, że to moja wina, to tak, jakby pan powiedział, że umyślnie wpędziłem Allbeego w kłopoty z powodu sposobu, w jaki tamtego wieczoru zachowywał się wobec Harkavy'ego tutaj, w pańskim domu. Musi to oznaczać, że chciałem się z nim porachować za to, co opowiadał o Żydach. - Zmarszczone czoło Willistona mówiło mu, że nie chce on tego słuchać. Och, ale usłyszy to, powiedział sobie gniewnie Leventhal. - Tak utrzymuje Allbee: że nie zamierzałem pozwolić, żeby mu to

uszło na sucho, i ułożyłem plan mający sprawić, by wyrzucono go z pracy. No więc, czy pan również tak myśli?

- Tego nie powiedziałem.

- Lecz jeśli mnie pan wini, to musi pan być tego samego zdania. Nie widzę żadnej różnicy. A jeśli tak nie jest? Czy to nie byłoby okropne, gdyby nie miał pan racji? Czy nie czyni to ze mnie kogoś straszego, nie dając mi szansy do obrony? Czy to uczciwe? Być może uważa pan, że patrzy pan na to z innej perspektywy niż Allbee, ale wychodzi na jedno i to samo. Jeśli pan sądzi, że zrobiłem to celowo, żeby wyrównać rachunki, to nie dlatego, że osobiście jestem kimś strasznym, ale dlatego, że jestem Żydem.

Twarz Willistona zaczerwieniła się gwałtownie. W obydwu kącikach jego zaciśniętych ust pojawiła się biała plamka. Patrzył na Leventhala, jakby chciał go ostrzec, że jego opanowanie wystawione jest na niebezpieczną próbę.

- Nie muszę chyba panu mówić, Asa, że ten wzgląd nie miałby dla mnie w tej sprawie znaczenia - powiedział. - Źle mnie pan zrozumiał. Mam nadzieję, że Allbee nie powiedział panu, że zgadzam się z nim w tej kwestii. Nie jest tak.

- To brzmi bardzo pięknie, Stan. Ale sprowadza się do tego samego, jeśli o mnie chodzi. Sądzi pan, że on mnie wkurzył i że chciałem mu coś zrobić. Dlaczego? Bo jestem Żydem; Żydzi są drażliwi i jeśli ktoś ich urazi, nie wybaczą mu. Muszą ściągnąć swój haracz. Och, wiem, że pan uważa, iż w panu nie ma miejsca na coś takiego; to przesąd. Ale nie zmienia się niczego, nazywając to

przesądem. Co jakiś czas słyszy się ludzi mówiących: „To rodem ze średniowiecza”. Mój Boże! Mamy nazwę dla wszystkiego poza tym, co naprawdę myślimy i czujemy.

- Wygląda na to, że świetnie pan wie, co czuję i myślę - rzekł cierpko Williston, po czym zacisnął zęby i zdawał się walczyć z irytacją. - Żydowski aspekt tej sprawy jest pańską własną inwencją. Zakłada pan z góry, iż uważam, że celowo wpędził pan Allbeego w kłopoty. Nie powiedziałem tego. Może zamierzał pan mu zaszkodzić, a może nie. Według mnie nie zamierzał pan. Ale skutek był taki sam. Pozbawił go pan pracy. Mógł ją ostatecznie stracić tak czy owak. Jego pozycja w „Dill’s” była niepewna, zatrudniono go tam na okres próbny.

- Skąd pan wie?

- Wiedziałem to wtedy i rozmawiałem o tym później z Rudigerem. Sam mi to powiedział.

Czarne oczy Leventhala stały się nieobecne.

- Niech pan mówi dalej - rzekł.

- To wszystko. Powiedziałbym panu od razu, ale pan najpierw chciał na mnie naskoczyć. Rudiger twierdził, że Allbee przyprowadził pana do „Dill’s” celowo i że albo udzielił panu instrukcji, albo wiedział, że zachowa się pan tak, jak się pan zachował. Mieli ze sobą na pieńku. Rudiger nie jest chyba człowiekiem, któremu łatwo dogodzić. Dawał Allbeemu ostatnią szansę, ale jest więcej niż prawdopodobne, że marzył o tym, by zrobił fałszywy krok, żeby móc się do niego dobrać. Musiał cały czas mieć go na oku

i wiedział najlepiej, czy Allbee ma powody, żeby chcieć

mu dołożyć.

- Cała ta historia jest szalona. Nie można odpowiadać za każdego, kogo się poleca. Wie pan o tym... Ale to właśnie powiedział panu Rudiger?

Williston skinął głową.

- A picie Allbeego nie miało z tym żadnego związku?

- Stracił całkiem sporo posad dlatego, że pił. Nie będę temu zaprzeczał. Nie miał dobrej opinii.

- Był na czarnej liście? - zapytał Leventhal z wielkim zaciekawieniem.

Williston nie patrzył na niego. Jego twarz zwrócona była w zamyśleniu w stronę kwiatów, które w ciepłym wieczornym powietrzu wydawały się szorstkie i pomarszczone.

- No cóż, jak mówię, był zatrudniony w „Dill’s” na okres próbny. Pytałem Rudigera o jego picie. Musiał przyznać, że Allbee odstawił alkohol. Nie wyrzucono go dlatego, że pił.

- A więc... - rzekł beznamiętnie Leventhal. - W pewnym sensie rzeczywiście wydaje się, że to moja wina, nieprawdaż? - Urwał i wpatrywał się z roztargnieniem w Willistona, a jego dłonie wciąż leżały nieruchomo na kolanach. - W pewnym szczególnym sensie. Oczywiście nie zamierzałem wpędzać go w tarapaty. Nie wiedziałem, jaki jest ten Rudiger...

- Nie, nie wiedział pan.

W odpowiedzi tej było coś więcej niż tylko przyznanie racji. Leventhal czekał, aż Williston powit wyrażnie, co ma



na myśli, ale na próżno.

- Skąd miałem wiedzieć, w co się pakuję? - zapytał.

- Ten Rudiger... Nie wiem, jak ktokolwiek może dla niego pracować. Jest napastliwy. Od razu zaczął mnie szarpać jak pies.

- Rudiger mówił, że nigdy w życiu nie miał takiej rozmowy o pracę.

- Nikt mu nigdy nie odszczekiwał. Jest przyzwyczajony do robienia, co mu się podoba. On...

Williston, którego twarz znowu zrobiła się ciemnoczerwona, przerwał mu.

- Niech pan tak łatwo siebie nie rozgrzesza. W tamtych czasach wojował pan ze wszystkimi. Najgorzej zachował się pan wobec Rudigera, ale słyszałem o innych. Przyszedł pan go prosić o pracę, a on nie chciał jej panu dać. Nie musiał, prawda? Powinien pan być mieć dość rozumu, żeby nie wybuchać.

- Co, zetrzeć z twarzy płwocinę i wyjść jak dżentelmen? Nie miałbym o sobie najlepszego zdania, gdybym tak zrobił.

- O to właśnie chodzi.

- O co? Jakie mam zdanie o sobie? No cóż... -

Zawahał się, westchnął i dość ulegle wzruszył ramionami. - Nie wiem. Idzie pan do kogoś w sprawie pracy. Chodzi nie tylko o posadę, ale o pańskie prawo do życia. Oczywiście nie jest to jego zmartwienie; ma własne interesy. Ale pan myśli, że ma pan coś, co może mu się przydać. Jest pan tam po to, żeby mu się sprzedać. No, a on panu mówi, że nie ma pan kompletnie nic do zaoferowania. Nie tylko tego, czego

on potrzebuje, ale niczego. Chryste, nikt nie chce zostać potraktowany w ten sposób. - Nagle poczuł się otepiały i zdezorientowany; miał mokłą twarz. Nerwowo zmienił pozycję stóp na miękkim kręgu dywanu.

- Źle pan zrobił.

- Być może - odparł Leventhal, opuszczając głowę.

- Miałem zszargane nerwy. I nigdy nie umiałem przypochlebiać się ludziom. Nie potrafię im dogadzać.

- Takt nie jest pańską mocną stroną, to święta prawda - rzekł Williston. Wydawał się nieco udobruchany.

- Nie miałem zamiaru zaszkodzić Allbeemu. Daję słowo honoru.

- Wierzę panu.

- Naprawdę? Dzięki. Wyświadczyłby mi pan przysługę, gdyby powiedział pan to Allbeemu.

- Nie widuję go. Mówiłem już panu, że nie widziałem go od lat.

Allbee wstydzi się pokazywać dawnym przyjaciołom, pomyślał Leventhal. Było to zresztą całkiem zrozumiałe.

- Uważa mnie za swojego najgorszego wroga.

- Gdzie pan go spotkał? Co on porabia? Nie wiedziałem nawet, że wciąż jest w Nowym Jorku. Zniknął z pola widzenia.

- Wszędzie za mną łązi - odparł Leventhal. I opowiedział Willistonowi o swoich trzech spotkaniach z Allbeem. Williston słuchał z poważnym, a zarazem badawczym wyrazem twarzy i złagodzonej, lecz zauważalnym grymasem dezaprobaty w kącikach ust. Leventhal zakończył: - Nie wiem, o co mu chodzi. Nie

mogę dociec, czego chce.

- Powinien pan - powiedział Williston. - Zdecydowanie pan powinien.

„Czy to oznacza, że powinienem coś dla niego zrobić?” - zapytał Leventhal samego siebie. Williston to właśnie dawał niedwuznacznie do zrozumienia. Ale co i jak? To wcale nie było jasne. Czuł, że nie powiedział wszystkiego, co chciał powiedzieć, przychodząc tutaj. Naprawdę ważne rzeczy, najgłębsze problemy, w ogóle nie zostały poruszone. Widział jednak, że musi przyjąć część odpowiedzialności za upadek Allbeego. Przyczynił się do niego, chociaż nie rozstrzygnął jeszcze, w jakim stopniu był winien. Allbee dokonywał ostatniego wielkiego wysiłku, mającego na celu utrzymanie posady... Ale była już pora iść. Zajął znacznie więcej czasu niż zapowiedziane piętnaście minut. Wstał.

Williston powiedział przy drzwiach, że spodziewa się usłyszeć od niego o sprawie; jest bardzo zainteresowany tym, co dzieje się z Allbeem.

Leventhal przycisnął guzik windy. Rozległ się stłumiony odgłos zsuwania się i zatraskiwania metalowych drzwi, po czym kabina ruszyła powoli i miarowo do góry.

Później w łóżku, leżąc przy ścianie z podciągniętymi nogami i twarzą spoczywającą na pasiastej powłoce materaca, Leventhal rozmyślał o swoich błędach. Niektóre z nich wywoływały skrzywienie na jego twarzy, inne zbyt mocno chwytaly go za serce, by mógł się krzywić, stłumił więc całkowicie emocje i wszelkie przejawy uczuć i tylko opuścił powieki. Nie próbował oszczędzać samego siebie;

przypominał je sobie wszystkie, począwszy od swego ataku na Willistona tego wieczora, aż po scenę w gabinecie Rudigera, od której wszystko się zaczęło. Kiedy do niej doszedł, obrócił się na plecy i skrzyżował na oczach nagie ramiona.

Ale w momencie, kiedy to robił, rozpoznał jeden z tych głębszych problemów, do których nie udało mu się dotrzeć wcześniej. Był gotów wziąć na siebie winę za to, że stracił głowę w „Dill’s”. Ale dlaczego ją stracił? Tylko z powodu obelg Rudigera? Nie, to on, on sam zaczął się obawiać, że najniższa cena, jaką wyznaczył za siebie, jest zbyt wysoka, i nie bardzo mógł zrozumieć, dlaczego ktoś miałby chcieć płacić za jego usługi. I pod wpływem Rudigera to poczuł. „Sprawił, że uwierzyłem w to, czego się bałem”, pomyślał Leventhal i miał wątpliwości, czy Williston mógł to zrozumieć. Należał on bowiem do świata profesjonalistów i był wobec niego lojalny. Zawsze było miejsce dla kogoś takiego jak on, tam czy gdzie indziej. I słowa czy spojrzenia innego człowieka nie mogły go przemienić we własnego najgorszego wroga. Nie musiał się o to martwić.

Williston wprawdzie nie próbował usprawiedliwić Rudigera, ale dla Leventhala było oczywiste, że on sam uważany jest za większego winowajcę. A jeśli spojrzano się na zajście z punktu widzenia Rudigera oraz wzięło pod uwagę charakter Allbeego, było przecież prawdopodobne, że on, Leventhal, został wysłany z poleceniem urzędnika sceny. Harkavy podejrzewał Allbeego i Rudigera o ukartowanie wszystkiego od początku do końca. Wydawało

mu się to sensowne i wydawało się to również sensowne Rudigerowi. Tylko że dla Rudigera podejrzenie od razu stało się prawdziwe, zapewne dlatego, że przyszło mu do głowy. Takim właśnie był człowiekiem.

Sprawa miała jeszcze jeden aspekt - przesunął dłonią po gardle i przez włosy na piersi, rozpoczynając się od linii golenia nad obojczykiem. Czy nie wiedząc o tym, to znaczy nieświadomie, chciał odegrać się na Allbeem? Był pewien, że nie. Wieczorem w dniu przyjęcia był oczywiście zły. Ale od tamtego czasu już nie. Naprawdę nie. Williston powiedział, że mu wierzy; zastanawiał się jednak, czy rzeczywiście tak jest. Trudno było odgadnąć, na czym się stoi z Willistonem.

## 10

Leventhal natknął się na Harkavy'ego wczesnym niedzielnym popołudniem w kafeterii przy Czternastej Ulicy.

Wszedł do środka nie tylko po to, żeby coś zjeść, ale i po to, by uciec przed gorącym wiatrem. Szklane drzwi zamknęły się, odcinając go od tonącej w kurzu gonytwy za jego plecami. Przeszedł kilka kroków po zielonej posadzce i zatrzymał się, rozchylając nieco usta, by odetchnąć panującym w lokalu chłodem. Tace leżały na stojaku obok. Wziął jedną z nich i ruszył w stronę lady. Kasjerka zawołała go z powrotem. Zapomniał wyciągnąć kwit z maszyny. Uśmiechnęła się.

- Niedzielny kac czy co?

Ale Leventhal nie odpowiedział. Odwrócił się od maszyny i ujrzał Harkavy'ego, który zastąpił mu drogę.

- Przygłuchłeś dziś rano? Człowieku, wołałem cię

trzy albo cztery razy.

- Dzień dobry. Och, kasjerka też krzyczała. Nie mogę słyszeć wszystkiego naraz.

- Nie jesteś dzisiaj specjalnie przytomny, co? Tak czy owak, chodź, usiądź z nami. Jestem tu z kilkoma ludźmi. Moim szwagrem - znasz męża Julii, Goldstone'a - i paroma jego przyjaciółmi.

- Znam ich?

- Sądzę, że tak - odparł Harkavy. - Jeden z nich to Shifcart.

- Ten muzyk? Trębacz?

-Już nie. Złóż u tej kobiety zamówienie, bo nigdy cię nie obsłuży. Nie, już się tym nie zajmuje. Pracuje w dużej hollywoodzkiej firmie, Persevalli i Spółka, impresariowie i łowcy talentów, czy jak ich zwą. I przypominasz sobie Schlossberga.

- Czyżby?

- Och, z pewnością. Dziennikarz. Pisze do żydowskich gazet.

- Co pisze?

-Cokolwiek się nawinie, jak sądę. Obecnie wspomnienia teatralne - był kiedyś człowiekiem teatru. Ale podobno również rzeczy naukowe. Wiesz, że nie umiem czytać w jidysz.

- Poproszę żytni chleb z serem szwajcarskim - rzekł Leventhal przez ladę. - To taki starszy mężczyzna, prawda? Czy nie spotkałem go u ciebie w domu z kimś jeszcze?

- Zgadza się, z jego synem, którego wciąż utrzymuje, choć ma on już trzydzieści pięć lat.

- Jest chory?
- Nie, po prostu się rozgląda, nie zdecydował się jeszcze co do wyboru zawodu. Są również córki. Jeszcze gorsze.
- Puszczalskie?
- Jest twoja kanapka - powiedział Harkavy. Kobieta posłała talerz przez ladę, okręcając go z klekotem, i Harkavy pośpiesznie zaprowadził Leventhala do swego stolika. Trzej mężczyźni przesunęli swoje krzesła, żeby zrobić miejsce.
- To mój stary przyjaciel, Leventhal.
- Wydaje mi się, że znam już pana Shifcarta - rzekł Leventhal. - Jak się pan miewa? Poznaliśmy się, kiedy wspólnie z Danem wynajmowałem pokój.
- W kawalerskich czasach - powiedział Harkavy.
- Goldstone... nie ma potrzeby przedstawiać. A to pan Schlossberg. Shifcart był łysy i rumiany, miał gruby kark i małe, ale mięsiste usta. Powiedział przyjaźnie:
- Tak, wydaje mi się, że przypominam sobie pana - i rozwartą dłonią poprawił na nosie okrągłe złożone oprawki okularów.

177

Schlossberg dźwięcznie powtórzył jego nazwisko, ale najwyraźniej go nie pamiętał. Mówił głębokim głosem, nie zawsze wyraźnie z powodu zadyszki. Był

<sup>12</sup> - Ofiara wielkim starym mężczyzną o masywnej siwej głowie, potężnych ramionach i szerokiej, zmęczonej twarzy; jego niebieskie oczy były nieproporcjonalnie małe i nawet ich spojrzenie wydawało się dość zmęczone. Był jednak pełen wigoru i kiedyś (niektóre jego uwagi wywoływały w

Leventhalu jego obraz jako młodszego mężczyzny) musiał być zmysłowy, silny, szykowny, dandysowaty- o czym zaświadczała dwurzędowa kamizelka i szpiczaste buty. Jego dziergany krawat, który zdeformował się od naciągania, był zawiązany w śmiały, szeroki węzeł. Człowiek ten miał w sobie coś bardzo pociągającego dla Leventhala.

- Rozmawialiśmy właśnie o aktorce, którą Shifcart wysłał kilka lat temu na Zachód - powiedział Goldstone, przykładając długą, kościstą, owłosioną dłoń do tyłu głowy. - Wandzie Waters.

- To Persevali je stwarza - rzekł Shifcart. - To wielki producent.

- Ale to pan ją znalazł.

-Nie wiedziałem, że jest twoim odkryciem, Jack.

- Tak, któregoś wieczoru zobaczyłem ją śpiewającą z orkiestrą.

- Co ty powiesz.

- Na wybrzeżu New Jersey. Byłem na urlopie.

- Jest bardzo atrakcyjna - powiedział Goldstone.

- Być może nie podobałaby ci się tak bardzo, gdybyś ją znał osobiście.

- No ale w filmach rzeczywiście wygląda jak słodkie stworzątko.

- Tak, ma zniewalające oczy. Ale na ulicy nie zwróciłbyś na nią uwagi.

- Och, nie wiem - rzekł Harkavy. - Masz do tego profesjonalne podejście, bo oglądasz tyle piękności. Ja wciąż jestem niezepsuty. Można zapewne wiele zdziałać za pomocą rządu i kamer, ale najpierw musi tam coś być. Nie można chyba spreparować tych wspaniałych



seksualnych maszyn! Czy to znowu ta łatwowierna publiczność? Mnie one wydają się prawdziwe.

- Niektóre rzeczywiście są. A jeśli pozostałe cię nabierają, to robią to, co do nich należy.

- Do ich wynajdywania potrzebny jest chyba nie-mały talent - zauważył Goldstone.

- Nie jest to czysta zgadywanka. Nie można urządzić zdjęć próbnych dla każdej dziewczyny, jaką się zobaczy. Ale ja osobiście nie przepadam za niektórymi z największych gwiazd wysłanych przeze mnie do Hollywood.

- A które lubisz? - zapytał Goldstone.

- Och - odparł powoli Shifcart, zastanawiając się - na przykład Nolę Hook.

- Chyba nie mówisz poważnie - rzekł Schlossberg. - Mały kaktus... chuda, sucha...

- Uważam, że ma swoisty urok. A co powiesz o Livii Hall?

- To ci dopiero odkrycie!

- Jest nim. Będę jej bronił.

- Och, prawdziwe чудо. - Oblicze starego mężczyzny było za duże na subtelne odcienie ironii. Jedyne Shifcart, którego usta otworzyły się już do udzielenia odpowiedzi, nie roześmiał się z pozostałymi.

- O co chodzi, czy ona nic w sobie nie ma?

- Ma! - uspokoił go Schlossberg, machając ręką.

- Bóg uczynił ją kobietą, kim więc jesteśmy, żeby ją oceniać? Ale nie jest aktorką. Widziałem to twoje чудо w zeszłym tygodniu w filmie. Co to było? Truje w nim

swego męża.

- W *Tygrysicy*.

- Co za słabizna!

- Nie wiem, jakie są twoje oczekiwania. Została doskonale obsadzona. Kto inny mógłby to zagrać?

- Wood, na Boga. Truje męża i przygląda się, jak ten umiera. Chce pieniędzy z ubezpieczenia. On traci głos i usiłuje ją zaklinać, żeby mu pomogła. Nie słyhać żadnych słów. Co powinna wyrażać jej twarz? Strach, nienawiść, nieczułość, okrucieństwo, fascynację. - Na chwilę mocno i dumnie zamknął oczy; ujrzeli żyłki na jego powiekach. Następnie powoli je uniósł, odwracając twarz, a po jego policzkach przebiegło drżenie, gdy tak pozował.

- Do licha, to wspaniałe! - krzyknął Harkavy, uśmiechając się.

- To stary rosyjski styl - rzekł Shifcart. - Coś takiego nie ma już wzięcia.

- Nie? A co wymyślili lepszego? Co ona robi? Wciąga policzki i gapi się. Człowiek umiera u jej stóp, a ona jest w stanie jedynie wybałuszyć oczy.

- Uważam, że była wspaniała w tym filmie - rzekł Shifcart. - Nikt nie mógłby być lepszy.

- Nie jest aktorką, ponieważ nie jest kobietą, a nie jest kobietą, ponieważ mężczyzna nic dla niej nie znaczy. Nie wiem, kim jest. Nie pytajcie mnie. Widziałem kiedyś Nazimową w *Trzech siostrach*. Gra tę, której żołnierz ginie w pojedynku z powodu jakiejś błahostki, głupoty. Mówią jej o tym. Odwraca spojrzenie

od widowni i tylko głową i szyją... co za ekspresja! A ta dziewczyna...!

- Okropna, co? - rzekł sardonicznie Shifcart.

- A może nie? I to ma być gwiazda? Coś takiego jest dzisiaj gwiazdą. Powiedziałeś, że można minąć tę Waters na ulicy i nie rozpoznać jej. Wyobrażacie sobie? - rzekł stary mężczyzna, sprawiając, że wszyscy poczuli ciężar jego zdumienia. - Nie rozpoznać aktorki, albo żeby mężczyzna nie zauważył pięknej kobiety! Kiedyś aktorka była również kobietą. Miała usta, miała na sobie ciało, nosiła się. Kiedy szeptała, do oczu napływały człowiekowi łzy, a kiedy wypowiedziała słowo, ugięły się pod nim nogi. I nie było żadnej różnicy: na scenie i poza nią wiedziało się, że jest aktorką.

Umilkł. Z powagą zastanawiali się nad jego słowami.

- Posłuchajcie - zaczął Harkavy. - Mój ojciec opowiadał historię o Lily Langtry, tej angielskiej aktorce, o tym, jak Edward VII przedstawił ją u dworu. Stara królowa Wiktoria jeszcze żyła, a on był księciem Walii.

- To ta, którą nazywają Jersey Lily, nieprawdaż? - zapytał Shifcart.

- Słyszałem tę anegdotę. - Goldstone wstał i zabrał tacę Leventhala. - Czy ktoś chce kawy? Idę do bufetu.

- Jest dobra, Monty?

- To ulubiona anegdota mojego świętej pamięci teścia. - Poszedł do stołu parowego.

- Tata opowiedział mi ją, kiedy osiągnąłem wiek

wyborczy. Zachował wszystkie swoje najlepsze historie do czasu mojej pełnoletniości. Przedtem... Ale oczywiście człowiek dowiaduje się wszystkiego sam i oni o tym wiedzą. Nie chcą tylko tego przyznać. No więc wiecie, że Edward był równym gościem. I kiedy zakochał się w Langtry, chciał ją przedstawić u dworu. Mówi się, że zakochani lubią być publicznie widywani razem. Są dumni z tego, że o nich wiadomo. Przypuszczam, że czasem ma to niebezpieczne następstwa. Tak czy owak, chciał ją przedstawić. Wszyscy byli zgorzeleni. Zastanawiali się, co Lily powie starszej pani i czy Wiktoria nie będzie zła, że podejmuje kochankę syna w St. James albo Windsorze, czy gdziekolwiek indziej. Wszyscy reporterzy czekali po ceremonii. Wyszła i zapytali ją: „Lily, co powiedziała pani Jej Królewskiej Mości?”. „Martwiłam się, że powiem nie to, co trzeba” - odparła Lily. „Ale w ostatniej chwili przysłała mi do głowy właściwa rzecz. Pocałowałam rąbek jej sukni i powiedziałam: *<dch dienh>*”.

Wszyscy wokół stolika uśmiechnęli się. Goldstone, niosący tacę, odciągnął nogą swoje krzesło na bok.

- Dewiza czeskiego króla podczas wojny stuletniej - wyjaśnił Harkavy, a jego okrągłe oczy połyskiwały. - Znaleźli ją na jego hełmie po bitwie pod Poitiers.

- Bardzo wątpię, żeby pocałowała suknię królowej - rzekł Leventhal. - Czy to element ceremoniału?

- Dygnięcie - zaśmiał się Goldstone, rozkładając

serwetkę, żeby to zademonstrować.

- W porządku, opowiadam tę historię tak, jak opowiadał ją mój ojciec. Nie zmieniłem ani słowa.

- Jako że starsza pani była Niemką, uznała, że ją zrozumie - rzekł Schlossberg.

- Co? Nie, to hanowerska dewiza - powiedział Goldstone.

- To były czasy. Niemiecka królowa, brytyjskie imperium i włoski Żyd jako premier.

- Disraeli był Włochem? - zapytał Goldstone. - Nie urodził się w Anglii?

- Ale jego ojciec.

- Nawet nie ojciec. Dziadek. Był autentycznym Anglikiem, jeśli obywatelstwo w ogóle coś znaczy.

- Nie był Anglikiem dla Anglików - rzekł Leventhal.

- Dlaczego? Kochali go - powiedział Goldstone.

- Więc kto powiedział, że jest małpą na piersi Johna Bulla?

- Oczywiście miał wrogów.

- O ile wiem, nigdy nie uznali go za swego - oświadczył Leventhal.

- To nieprawda! - krzyknął Harkavy. - Był chlubą dla nich i dla nas.

- Nie wydaje mi się. - Leventhal wolno pokręcił głową. - Nie miało dla nich znaczenia, że Wiktoria jest Niemką. Ale Disraeli...?

- Pokazał Europie, że Żyd może być narodowym przywódcą - rzekł Goldstone.

- Otóż i macie całego Leventhala! - wykrzyknął Harkavy. - To pokazuje wam, jakie zajmuje stanowisko.

- Żydzi i imperia? Suez i Indie, i tak dalej? To nigdy nie wydawało mi się właściwe.

- Dać światu nauczkę z pustymi rękami, znam to na pamięć. - Harkavy patrzył na niego zgorzszonymi, pełnymi przygany oczami. - Imperium z pewnością było jego sprawą. Był Anglikiem, i to wielkim. Podziwiał go Bismarck. *Der alte Jude, das ist der Mann!*

- Czy jest aż taka różnica między imperium a do-  
\* mem towarowym? - zapytał Shifcart. - Zarządza się interesem.

- A on zarządzał tą firmą? - zapytał Goldstone.

- Buli i Spółka. Słońce nigdy nie zachodzi nad naszymi domami towarowymi. B. Disraeli, główny zaopatrzeniowiec.

Leventhal na początku dość niechętnie się odzywał i miał przelotne uczucie, że było błędem dać się wyciągnąć czy wywabić ze swej małomówności. Nie sądził też, wygłaszając swoją pierwszą uwagę, że ma wiele do powiedzenia na ten temat. Ale teraz, ku własnemu zdziwieniu, nie mógł się powstrzymać od przedstawiania swoich opinii - były oczywiście jego, ale nigdy przedtem ich nie wyrażał i brzmiały w jego uszach dziwacznie.

- Przywołałeś Bismarcka - powiedział. - Dlaczego powiedział *Jude*, a nie Anglik? Disraeli był urodzonym negocjatorem, więc w naturalny sposób był dla

niego Żydem.

- Nie przekręcaj poglądów Bismarcka na Żydów  
- ostrzegł Harkavy. - Bądź ostrożny, chłopcze. Ulżył ich losowi.

- Tak, miał coś do powiedzenia na temat wyhodowania wspaniałej rasy. Jak to było? „Niemiecki ogier i żydowska klacz”.

- Istne derby Kentucky - powiedział Schlossberg.

- Siana dla wszystkich!

- Niech pan nie osądza człowieka na podstawie figury retorycznej - rzekł Goldstone. - Był starym kawalerzystą. Chciał w ten sposób po prostu podkreślić najlepsze cechy jednych i drugich.

- Kto potrzebuje jego komplementów? - zapytał Schlossberg. - Kto ich chce?

- Czy to brzmi dla pana jak pochlebstwo? - Leventhal pytająco uniół dłoń z czubka głowy.

- Wiem, co pan ma na myśli - odparł Goldstone.

- Obarcza go pan winą za dzisiejszych Niemców.

- Nic podobnego! - krzyknął Leventhal. - Ale dlaczego jest pan taki zadowolony z jednego słowa pochwały Bismarcka, i to przewrotnej pochwały?

- Dlaczego tak się uwziąłeś na Disraelego? - zapytał Harkavy.

- Nie uwziąłem się na niego. Ale chciał przewodzić Anglii. Mimo że był Żydem, i nie dlatego, że tak bardzo zależało mu na imperiach. Ludzie śmiali się z jego nosa, więc zaczął uprawiać boks, śmiali się z jego poetyckich jedwabnych strojów, więc zaczął ubierać się na czarno, i

śmiali się z jego książek, więc pokazał im, na co go stać. Zajął się polityką i został premierem. Wszystko to dzięki tupetowi.

- Och, daj spokój - rzekł Harkavy.

- Tupetowi - upierał się Leventhal. - To wspaniale, przyznaję. Ale nie podziwiam tego. Nie ma nic złego w pokonywaniu słabości, ale chodzi o to, jak się to robi, i o to, co się uważa za słabość... Juliusz Cezar cierpiał na epilepsję. Nauczył się jeździć konno z rękami założonymi z tyłu i sypiał na gołej ziemi jak zwykły żołnierz. Jaki był tego powód? Jego choroba. Czemu mielibyśmy podziwiać takich ludzi? Rzeczy, które dla innych są sprawą życia i śmierci, dla nich są jedynie próbą. Jaki jest pożytek z takiej wielkości?

- Ale przecież ty sam przejmujesz się wszystkim, co mówi się przeciwko nam - zaczął Harkavy tonem przygany.

- Nie, nie uważam, żeby tak było - odparł Leventhal. Nie chciał się dalej spierać. Powiedział już za dużo i ścisząc głos, dał do zrozumienia, że nie zamierza nic więcej mówić.

Podszedł filipiński pomocnik kelnera, żeby posprzątać ze stołu. Był to stary, wątły mężczyzna, którego dłonie i przedramiona były zbieleone od zanurzenia w gorącej wodzie. Załadowawszy wózek, nisko się nad nim pochylił, oparł pierś o uchwyt, po czym oddalił się powoli, pchając swój ciężar. Za stołami parowymi opuszczono jeden zestaw zapisanych białymi literami tablic z jadłospisem i ze szczękiem wciągnięto do góry



kolejny w stalowej ramie.

-Widziałem tylko jednego aktora grającego Dis-raelega - rzekł Goldstone. - Był to George Arliss.

- Był stworzony do tej roli - stwierdził Shifcart.

- Podobał mi się w tym - powiedział

Schlossberg.

- Masz rację, Jack, był do niej stworzony. Miał odpowiednią twarz, żeby to grać, ze swoimi wąskimi ustami i długim nosem.

- Jakoś umknęły mi wszystkie Wiktorie - zauważył Goldstone. - Nie widziałem ani jednej.

- Niewiele straciłeś - rzekł Schlossberg. - Jeszcze nie widziałem dobrze zagranej Wiktorii.

W restauracji była to senna godzina. Pod wszystkimi ścianami ciągnęły się długie rzędy stołów, ustawionych pod kątem w taki sposób, że ich czarne blaty wyglądały jak romby, każdy z symetrycznie ustawionym pośrodku cukrem, solą, pieprzem i pudełkiem na serwetki. Od jednego końca sali do drugiego ich symetria wprowadzała coś w rodzaju ruchu do niemal pustego lokalu. W głębi, pod namalowaną na ścianie leśną sceną, siedziało kilku pracowników, paląc papierosy i spoglądając w stronę słonecznego światła i ulicy.

- Ja widziałem dobre - nie zgodził się Shifcart.

- Nie podobała ci się żadna z nich?

- Nie. Po pierwsze, dlaczego ma być tyle Wiktorii? Może dlatego, że była taka nieładna.

Pospolicie wyglądająca królowa ma dzisiaj wielki

powab. Wszystko musi być trochę zdegradowane. Nie jest tak? Czemu jest taka popularna? - Wyciągnął do nich rękę, jakby domagał się lepszej odpowiedzi. - Kochała Alberta; była uparta; była dobrą gospodynią. To trafia do ludzi.

- Uważam, że Eunice Sher barth była dobrą Wiktorią - powiedział Harkavy.

- To zdrowa, piękna dama; z przyjemnością się na nią patrzy - rzekł Schlossberg.

- Więc o co chodzi? - zapytał Schifcart. - Nie potrafi grać? Po prostu chciałbyś mieć jej kontrakt, Schlossberg.

- Czemuż by nie? - przyznał Schlossberg. - A skoro już o pragnieniach mowa, to chciałbym mieć dzisiaj trzydzieści lat i żeby śmierć była nieco dalej, niż jest. Poza tym mam wyświecone spodnie. Zresztą komu nie przydałyby się pieniądze? Wyobrażam sobie, że ona musi mnóstwo zarabiać. I poniekąd jej się to należy, bo miło jest na nią popatrzeć. Ale grać? Ja sam potrafiłbym lepiej zagrać Wiktorię.

I rzeczywiście potrafiłby, pomyślał Leventhal bardziej z szacunkiem niż z rozbawieniem, gdyby nie miał takiego głębokiego głosu.

- Tak, w kieckach mógłbyś zrobić furorę - powiedział Shifcart.

- Każdy mógłby dzisiaj zrobić furorę - odparł Schlossberg. - Kiedy publiczność tak strasznie pragnie, żeby jej dogadzać. To prawdziwy karnawał. Wszyscy stoją po stronie iluzji. Powiedz mi, Jack, czy sądzisz, że

odkryłeś kiedyś dobrą aktorkę?

- Masz na myśli artystkę, jak mniemam, a nie taką osobkę jak Waters.

- Mam na myśli aktorkę.

- W takim razie wymienię Livię Hall.

- Mówisz poważnie?

-Tak.

- To niemożliwe - rzekł Schlossberg. - Nogi jak patyki.

Gruby kark Shifcarta pokrył się czerwonymi plamami, a on sam powiedział, ledwie hamując gniew:

- Nie jest pierwszą lepszą gwiazdką. Nie każdego tak trudno zadowolić, Schlossberg. Wygląda na to, że trzeba się ciężko napracować, żeby cię zabawić, i być może nikt nie jest w stanie tego dokonać.

- Jesteś surowym krytykiem, Marcus - rzekł Goldstone.

- Czy to ja stwarzam kryteria? - zapytał Schlossberg. *-Nariszermensz!* Mówię również w twoim imieniu. Nie jesteśmy publicznością. We własnym gronie możemy chyba mówić prawdę? Co masz przeciwko prawdzie? Wszystko dostaje się w opakowaniach. W opakowaniu możesz sprowadzić do domu nawet diabła. Ludzie mają zaufanie do opakowań. Jeśli rzecz zapakujesz, wezmą ją.

- Nie twierdziłem, że ona to Ellen Terry. Powiedziałem tylko, że jest dobrą aktorką. Musisz przyznać, Schlossberg, że ma pewne zdolności.

- Może do pewnych rzeczy. Nie za dużo.

- Ale trochę?
- Trochę tak - przyznał Schlossberg, wzruszając ramionami.
  - Przynajmniej coś mu się podoba, dzięki Bogu!
- rzekł Shifcart.
  - Siaram się każdemu oddać sprawiedliwość - oświadczył stary mężczyzna. - Nie jestem malkontentem. Nie jestem za dobry dla tego świata.
    - Nikt mu nie zaprzeczył.
      - Dobrze - rzekł. - A o co tak się rzucam? - Powstrzymał ich uśmiechy, wbijając w nich swoje poważne, zmęczone, błękitne spojrzenie. - Powiem wam. Źle jest być mniej niż ludzkim i źle jest być więcej niż ludzkim. Co jest więcej niż ludzkie? Nasz przyjaciel... - miał na myśli Leventhala - mówił o tym wcześniej. Cezar, jeśli sobie przypominacie, chciał być w sztuce jak bóg. Czy bóg może mieć choroby? Jest to więc wyobrażenie o Bogu powstałe w umyśle chorego człowieka. Czy posąg ma wosk w uszach? Oczywiście, że nie. Nie poci się również, chyba że krwią w święta. Jeśli potrafię sobie wmówić, że nigdy się nie pocę, i sprawić, że wszyscy inni będą się zachowywali, jakby to było prawdą, to może zdołam zrobić to samo z umieraniem? Wiemy, czym jest umieranie, tylko dlatego, że niektórzy ludzie umierają, więc jeśli staniemy się od nich odmienni, być może nie będziemy musieli umierać? Odwrotną stroną tego jest bycie mniej niż ludzkim. Dojdę do tego. Tak więc cała rzecz wygląda. Dobre aktorstwo jest dokładnie ludzkie. I

kiedy mówicie, że jestem surowym krytykiem, chcecie przez to powiedzieć, że mam wysokie mniemanie o tym, co jest ludzkie. To cała moja idea. Jeśli jesteś więcej niż ludzki, czy potrzebne ci jest do czegoś życie? Jeśli jesteś mniej niż ludzki, również nie jest ci ono potrzebne.

Zrobił pauzę - nie była to jednak pauza, która zachęcała do przerwania jego wywodu - po czym ciągnął dalej:

- Ta dziewczyna Livia w *Tygrysicy*. Co się z nią dzieje? Popelnia morderstwo. Co przy tym czuje? Żadnej miłości, żadnej nienawiści, żadnych płuc, żadnego serca. Wstydzę się wspomnieć, czego jeszcze brakuje. Nic! Biedny mąż. Zabija go nic, coś, co jest mniej niż ludzkie. Zero. I powinno to być tak straszne, żeby cała widownia wręcz bała się jej spojrzeć w twarz. Ale ja nie wiem, czy ona jest zbyt ładna, czy co, żeby mieć uczucia. Od razu widać, że nie ma pojęcia o tym, co jest ludzkie, bo śmierć jej męża nic dla niej nie znaczy. Wszystko jest w opakowaniach i najpierw opakowanie oddycha, a potem nie oddycha, i ubezpieczyło się opakowanie, żeby poślubić inne opakowanie i wyjechać na zimę na Florydę. Ktoś może mi odpowie: „To brzmi bardzo interesująco. Mówisz: więcej niż ludzkie, mniej niż ludzkie. Powiedz mi proszę, co jest ludzkie”. I rzeczywiście, badamy teraz ludzi tak bardzo, że po przyjrzeniu się raz, drugi i dziesiąty ludzkiej naturze - sam pisuję artykuły naukowe - po przyjrzeniu się jej i zważeniu, i obróceniu na drugą stronę, i umieszczeniu pod mikroskopem można by

powiedzieć: „O co cały ten krzyk? Człowiek jest niczym, jego życie jest niczym. Albo nawet jest nędzne i byle jakie. Ale jeśli to nie odpowiada waszej królewskiej wysokości, to może je podretuszować. Czym?

Wielkością i pięknem. Piękno i wielkość? Czerń i biel znam; nie wymyśliłem ich. Ale wielkość i piękno?”. Ale ja mówię: „Co można wiedzieć? No, powiedz mi, co można wiedzieć? Zamykasz jedno oko i patrzysz na coś, i wydaje ci się to jakieś. Zamykasz drugie oko i to coś jest inne. Wiem równie wiele o wielkości i pięknie, co ty o czerni i bieli. Jeśli ludzkie życie jest dla mnie czymś wspaniałym, to j e s t ono czymś wspaniałym. Czy potrafisz powiedzieć coś mądrzejszego? Mam do tego takie samo prawo jak ty. I czemu być tak żałośnie małym? Czy to konieczne? Czy ktoś trzyma cię za kark? Miej godność, rozumiesz mnie? Wybierz godność. Nikt nie wie dostatecznie dużo, by ją odrzucić”. No więc dla kogo powinno to mieć jakieś znaczenie, jeśli nie dla aktora? Jeśli nie opowiada się za godnością, to mówię wam, że gdzieś tu tkwi wielki błąd.

- Brawo! - rzekł Harkavy.

- Amen i jeszcze raz amen! - zaśmiał się

Shifcart. Wyciągnął z portfela wizytówkę i rzucił ją w jego stronę. - Odwiedź mnie kiedyś, załatwię ci zdjęcia próbne.

193

Wizytówka upadła obok Leventhala, który jako jedyny zdawał się nie pochwałać żartu. Nawet sam Schlossberg się uśmiechnął. Słońce wpadało przez duże okno ponad ich głowami. Leventhalowi wydawało się, że Shifcart, chociaż się śmiał, patrzył na niego z

osobliwą dezaprobatą. Nie przyłączył się jednak do ogólnej wesołości. Podniósł wizytówkę. Tamci wstawali.

- Nie zapomnijcie kapeluszy, panowie! - zawołał Harkavy.

Melodyjny łoskot maszyny do wydawania kwitów wypełniał ich uszy, gdy czekali na swoją kolej przy połyskliwej kabinie kasjerki.

## 11

- Widziałem się wczoraj wieczorem z Willistonem - powiedział Leventhal do Harkavy'ego, gdy znaleźli się na zewnątrz.

- Jak się Stan miewa? Ach tak, w tej sprawie, o której mi mówiłeś. - Być może Harkavy powiedziałby więcej, ale pozostali czekali na niego. - Słuchaj, któregoś dnia musisz mi opowiedzieć, jak sobie z tym radzisz, dobrze?

- Pewnie - odparł Leventhal. I Harkavy oddalił się nieśpiesznie Czternastą Ulicą na wschód, z Goldstone'em i swoimi przyjaciółmi. Był z nich najwyższy. Jego żółte włosy rozwiewały się leciutko i jedwabście na łysinie. Leventhal patrzył, jak odchodzi. Nie chciał przyznać przed samym sobą, że czuje się opuszczony. „Może to dobrze, że nie jest zainteresowany” - pomyślał. „Nie wiem, czy w ogóle potrafiłbym to wytłumaczyć. To się staje zbyt skomplikowane. A on udzieliłby mi wszelkiego rodzaju bezużytecznych rad - tych, co zwykle. W każdym razie jestem zadowolony. Nie sądzę, bym naprawdę chciał o tym rozmawiać”. Przez chwilę stał niezdecydowany w miejscu, po czym odszedł,

ściskając pod pachą grube niedzielne wydanie gazety. Nie miał przed sobą żadnego określonego celu i odczuwał niejasny lęk, że jest jedynym człowiekiem w mieście, który go nie ma.

Przecznicę dalej przypomniał sobie, że nie zadzwonił do Eleny, żeby się upewnić, czy Philip bezpiecznie dotarł do domu, i porozmawiać o Mickeyu. Wstąpił do sklepu tytoniowego i wykręcił numer Villaniego. Siedział w kabinie z jedną nogą wystawioną za drzwi. Nikt nie odpowiadał. Wychylając się, spojrzął na zegar, którego tarcza osadzona była w ścianie wyłożonej wzorzystą blachą. Było wpół do trzeciej i Elena prawdopodobnie poszła odwiedzić Mickeya. Zadzwonił do szpitala, choć dobrze wiedział, że informacje, jakich udzielano o pacjentach, nie są godne zaufania. Usłyszał, że Mickey czuje się dobrze, czyli to, co spodziewał się usłyszeć. W szpitalu było ponad trzy tysiące łóżek. Czy można było oczekiwać, że wiedza dziewcząt w centrali telefonicznej będzie wykraczała poza podstawowe fakty na temat każdego pacjenta - to znaczy, czy żyje, czy też umarł? Słowo „umarł”, oddzielone od tego, o czym myślał wcześniej, towarzyszyło mu złowieszczo po wyjściu ze sklepu i pośpiesznie się od niego uwolnił, jednocześnie uświadamiając sobie w innej części umysłu, jak bardzo staje się przesądny. Miał na myśli jedynie to, że szpital jest zbyt wielki, i nagle musiał wymazywać przypadkowe słowo. Przecież każdy, kto się urodził, od czasu do czasu chorował. Nikt nie dorastał bez chorób.



On sam przeszedł zapalenie płuc i infekcję ucha, a Max również chorował - nie przypominał sobie na co.

Zaczął się zastanawiać, jak długo Max będzie odwlekał przyjazd do domu. „Może obawia się, że jest podstępem skłaniany do powrotu” - pomyślał. „Będę mu miał to i owo do powiedzenia, kiedy go zobaczę. Ten jeden raz w życiu. Już czas, żeby ktoś sprowadził go na ziemię. Elena nawet o tym nie myśli, więc jest przyzwyczajony do robienia tego, na co ma ochotę”. I co Max miałby do powiedzenia na swoją obronę? Coś naiwnego i głupiego, był tego pewien. Bo był głupi. Philip już teraz miał więcej zdrowego rozsądku niż jego ojciec. Leventhal wywołał w myślach obraz wzburzonej twarzy swego brata i wyobraził sobie wypowiediane przez niego niedorzeczności. „Wysłała im pieniądze i myśli, że to czyni go ojcem. Na tym kończy się jego odpowiedzialność. To jest ojcostwo” - powtarzał sobie. „To jest jego wyobrażenie 0 obowiązku”.

Z ciemnej klatki schodowej i korytarza wszedł do jasno oświetlonego pokoju dziennego. Usiadł na brzegu łóżka i zsunął buty. Pod palcami czuł ciepło pościeli. Ciężkie fałdy zasłony, brązowe drzwi, delikatne czerwone kwiaty na dywanie, powoli ginące w lekkim obłoku kurzu, dawały mu poczucie zawieszenia i spokoju. Na siatce okiennej wisiała długa nić pajęcza, drżąca czerwono, niebiesko i granatowo na tle drucików jak ostatnia giętka, zmienna rzecz w usztywniającym, zasklepiającym w bezruchu upale. Ze stopami w skarpetkach ułożonymi jedna na drugiej i ze

zwieszonymi ramionami, Leventhal siedział, przyglądając się, z senną twarzą i dłońmi wyglądającymi tak, jakby potrzebny był wielki wysiłek, żeby je rozpleść.

Po chwili wszedł do kuchni. W roztargnieniu opłukał kilka naczyń pod bulgoczącym kranem i wróciwszy do pokoju dziennego, rozpiął pasek, zaciągnął zasłony i nie zwracając uwagi na niedzielną gazetę leżącą pod nogami, zasnął.

Obudził go niski dudniący dźwięk. Z początku myślał, że dobiega on od dołu, z metra. Nie towarzyszyło mu jednak drzenie budynku. Szybko umiścisł odgłos na zewnątrz i ponad sobą. Był to grzmot. Wyjrzał na dwór. Przeszła burza. Siatka na oknie wciąż pełna była kropli deszczu. Ulicę łagodnie przyciemniały chmury i mokry piaskowiec. W jednym z pokoi naprzeciw paliła się dwuramien- na zielona lampa. Na kanapie leżała kobieta, osłaniając zgiętym ramieniem oczy. Przy kolejnym odgłosie oddalającej się burzy poruszyła nogami.

Leventhal spojrział jeszcze raz na mgłę i wodę na ulicy, po czym podszedł do telefonu i wykręcił numer Villaniego. Wciąż nikt nie odpowiadał. Najwyraźniej gdzieś wyszli, żeby przyjemnie spędzić dzień. Przytrzymał słuchawkę nad widelkami, wycelował i upuścił ją na miejsce.

Wcisnął stopy do butów, przydeptując zapiętki, i zszedł do restauracji na wczesną kolację. Kelner, ten sam łysy, szczupły mężczyzna, który poprzedniego

tygodnia uprzedził jego protest z powodu złego stolika gestem nieszczerzej bezradności, wydawał się zaprzątnięty własnymi myślami. Jego czarny garnitur sprawiał wrażenie wilgotnego, a skórzana muszka nie była zapięta, lecz zwisała na gumce z dziurki od guzika. Przyniósł Leventhalowi kotlet cielęcy i butelkę piwa, po czym, kołysząc muskularnym ciałem, oddalił się pośpiesznie i cicho - jego podeszwy były oblepione trocinami - żeby usłużyć przy długim stole zajęтым przez graczy w *boccie*, których partia została przerwana przez deszcz i którzy pili wino i kawę. Bardzo wyraźny był zapach mokrego drewna. Leventhal nie zabawił długo przy posiłku. Wkrótce znalazł się znowu na zewnątrz. Powietrze było ciemniejsze niż przedtem i gorętsze. Przy Osiemnastej Ulicy skręcił na zachód i zobaczył Allbeego, który oczekiwał go na rogu. Musiał spojrzeć dwukrotnie, żeby go rozpoznać w drżących, wydłużonych szarościach i cieniach mokrej ulicy.

Leventhal nie przystanął, dopóki Allbee go nie zatrzymał, zastępując mu drogę. Nieśmiało i niezgrabnie opuścił głowę, jakby prosząc Leventhala, by zrozumiał, że jest zmuszony to zrobić.

- No i? - zapytał Leventhal po chwili milczenia.

- Dlaczego się pan nie zatrzymał? Widział mnie pan przecież...

- A jeśli nawet? Nie szukam pana. To pan to robi. Wszędzie pan za mną chodzi.

- Jest pan wściekły o wczoraj, prawda? To był zbieg okoliczności.

- O tak, z pewnością.  
- Tak się składa, że chciałem z panem wczoraj porozmawiać. Pan nie będzie próbował mnie wytropić. Jeśli chcę z panem porozmawiać, sam muszę znaleźć po temu sposobność.

- Więc tak pan to określa?

- Ale kiedy sobie przypominałem, że jest sobota, a wy w sobotę nie prowadzicie interesów, odłożyłem to.

Powiedzenie tego zdawało się sprawiać mu wielką przyjemność. Ale potem wyraz jego twarzy się zmienił. Wydawało się, że dostrzegł słabość swego dowcipu, a nawet był nią przygnębiony. Spojrzał ponuro i poważnie na Leventhala, który rozumiał, że Allbee chce, by znał uczucia, które ten żart wywołały, a także by wiedział, że ponieważ uczucia te są złowrogie i potężne, maskujący je dowcip jest właściwie uprzejmością.

- Nie obchodzę święta - rzekł Leventhal powoli i oschle.

- Och, oczywiście, że nie - rzekł Allbee i znowu zaczął się uśmiechać. Chwilę później dodał: - Co się tyczy „chodzenia za panem”, to nie jest to właściwe określenie. Mam pełne prawo spotykać się z panem. Zachowuje się pan tak, jakbym prowadził jakąś grę, podczas gdy to pan ją prowadzi.

- Jak pan to rozumie?

Allbee uniósł rękę.

- Udaje pan, że nie mam powodu do odczuwania wobec pana żalu. To gra.

Jego palce przesunęły się po piersi; następnie za-

słonił dłonią usta i odchrząknął.

- Niech pan posłucha... to z chłopcem - takie rzeczy muszą się skończyć.

- Nie wiedziałem, że jest z panem.

- Skądże znowu! No więc panu mówię. Poza tym powiedziałem panu za pierwszym razem, że nigdy nie chciałem panu zaszkodzić.

- Co do tego się różnimy. I był jeszcze drugi raz.

- Zilustrował to pchnięciem, które zatrzymało się tuż przed ramionami Leventhala. - To było już trochę za dużo gry jak dla mnie. Czy też może usiłował mnie pan odstraszyć?

- Jeśli nawet usiłowałem, to uważa pan, że nie jestem w stanie, tak?

- No cóż - podsunął Allbee - mógł mnie pan wysłać do szpitala i w ten sposób pozbyć się mnie na jakiś czas. - Uśmiechnął się szeroko. - Powiedział pan, że powinien być mi skrócić kark.

Leventhal rzekł z pogardą:

- Ale w inny sposób... przestraszyć pana? Prześstraszenie pana jest niemożliwe, prawda?

- Rok temu nie mógłbym do pana przyjść. Ale teraz, kiedy to zrobiłem, zdecydowałem się, jest to niemożliwe.

- Co było inaczej rok temu? - zapytał Leventhal.

- Wtedy jakoś sobie radziłem i nie przyszłoby mi do głowy zbliżać się do pana - odparł zupełnie poważnie.

- A teraz?

- Żona zostawiła mi trochę pieniędzy. Nie było tego wiele, ale oszczędnie nimi gospodarowałem. Dopóki były... no cóż, gdybym wciąż sobie radził, nigdy by pan o mnie nie usłyszał. Powtarzam to raz jeszcze. Ale być może nie mam prawdziwego poczucia honoru, bo inaczej nie postawiłbym się w takim położeniu. Mam na myśli prawdziwy honor. Myślę, że nie ma od tego ucieczki, honor to honor. Albo ma się go potąd - przeciągnął palcem na wysokości gardła - albo się go nie ma. Nie czyni człowieka szczęśliwszym mówienie sobie, że powinno się go mieć. Jest jak wszystko inne, co się w życiu liczy. Trzeba ponosić dla niego ofiary. Wie pan, pochodzę ze starej rodziny z Nowej Anglii. Jeśli chodzi o honor, to nie dochowuję zbyt wysokich standardów, przyznaję. Gdybym jednak urodził się hojnie nim obdarzony, moja sytuacja w Nowym Jorku byłaby jeszcze gorsza. Mój Boże - Nowy Jork! Honor z pewnością zaczął się przed Nowym Jorkiem. Nie zobaczy się go tutaj w nocy wypisanego ognistymi literami na niebie. Zobaczy się inne słowa. Takie rzeczy po prostu giną bez śladu w tych warunkach - nowoczesnego życia. Mam więc szczęście, że nie odziedziczyłem więcej poczucia honoru. Konkurowałbym z Don Kichotem. Z panem rzecz ma się zupełnie inaczej. Czuję się pan w tym jak u siebie w domu, jak te, jak im tam, które żyją w płomieniach... salamandry. Kiedy ktoś pana zrani, oddaje pan w jakikolwiek sposób, i wszystkie chwytaki są dozwolone. Tak właśnie jest tutaj. Jest ciężko. I potrafię to docenić. Oczywiście ten rodzaj honoru, jaki

znam, nie pozwala na to. Mój mówi mi, żeby nie domagać się odszkodowania i tak dalej. Ale ja go mam w rozcieńczonej postaci, to oczywiste.

Mimo że Allbee powiedział to swobodnym tonem i rzeczowo, Leventhal usłyszał w tym zjadliwą nutę. Nie dał jednak niczego po sobie poznać i powstrzymał się od komentarza.

- Wydaje mi się, że to jedna z tych rzeczy, które muszą zniknąć.

- Wydał pan wszystkie pieniądze - rzekł Leventhal, nie zwracając uwagi na resztę. - Dlaczego nie poszukał pan sobie pracy?

- W imię czego miałem chcieć pracować? Zresztą jaką pracę mogłem dostać? Nikt nie chciał mi dać tego, czego szukałem. A czy uważa pan, że mogłem przyjąć posadę gońca, jak uczeń? Chłopiec na posyłki? Poza tym nie śpieszyło mi się. Czemu miałbym się śpieszyć?

- Czy był pan na czarnej liście? - Leventhal nie był w stanie ukryć niepokoju. - Czy to jest powód?

Allbee nie odpowiedział na to wprost.

- Przecież Rudiger nie przyjąłby mnie z powrotem nawet do opróżniania popielniczek.

Potem obaj przez chwilę milczeli. Kulista lampa w pobliżu zaczęła świecić pod płaskim kloszem w szaroniebieskiej głębi powietrza, ukazując nagle pot na twarzy Allbeego. Ciemne kręgi pod oczami nadawały mu wygląd człowieka trawionego przez gniew i nienawiść. Zdawał się jednak nie zauważać, że został w

ten sposób obnażony, i mówił ze spokojem.

- Nie, nie chciałem pracować - rzekł. - Miałem koszmarny okres po śmierci żony i postanowiłem na jakiś czas wycofać się z rynku. Żyłem jak džentelmen.

Leventhal powiedział posępnie do siebie: „Aha, džentelmen. To by się zgadzało. Wspaniały džentelmen”.

- No więc czego pan chce ode mnie? - zapytał Allbeego. - Żył pan jak džentelmen. Oznacza to zapewne, że wstawał pan codziennie o jedenastej albo dwunastej. Ja wstaję o siódmej i idę do pracy. Miał pan długie wakacje. Mimo to chce pan, żebym coś dla pana zrobił. Nie wiem, czego pan chce. Czego pan chce?

- Potrzebowałbym pomocy. Wakacje trwały trochę za długo.

- Jakiego rodzaju pomocy?

- Nie wiem, jakiego rodzaju. Chciałem o tym z panem porozmawiać. Mógłby mi pan pomóc, gdyby pan zechciał. Musi pan mieć znajomości. Chciałbym wyrwać się ze swojej dawnej branży, spróbować czegoś nowego, zupełnej zmiany.

- Na przykład?

- Czy sądzi pan, że mógłby mi pan coś załatwić w banku?

- Ach, chce pan iść prosto tam, gdzie je trzymają, gdzie są pieniądze - rzekł Leventhal.

- Albo w biurze maklerskim?

- Niech pan przestanie żartować - odparł dość ostro Leventhal. - Nie gustuję w tego rodzaju żartach.



Nie mam wobec pana żadnych zobowiązań. Zrobię coś dla pana, jeśli będę w stanie. Tylko niech pan pamięta: nie oznacza to, że się do czegokolwiek przyznaję. Myślę, że jest pan szalony. Ale Stan Williston uważa, że powinienem panu pomóc, i przez szacunek dla niego spróbuję.

- Co?! - wykrzyknął Allbee. - Rozmawiał pan o mnie z Willistonem? Co mu pan o mnie powiedział?

- Och, nie podoba się to panu? Widzę, że nie - odparł Leventhal. - Niczego nie zmyśliłem.

- Co mu pan powiedział? - zapytał ponownie, ze wzburzeniem.

- A co według pana mogłem mu powiedzieć? Boi się pan, że pana oczerniłem? Jest pan drażliwy na punkcie swojej reputacji? Zdawało mi się, że utracił pan poczucie honoru?

- Nie miał pan prawa, żadnego prawa, do cholery! - wykrzyknął Allbee w nagłym przyplywie wściekłości i z tak głębokim uczuciem wstydu, że Leventhal mimo woli odczuł niepokój.

- Ależ z pana szalony, pokręcony drań - powiedział. - Co się z panem dzieje? Przychodzi pan do mnie z jakimiś banialukami o tym, że stoczył się pan zbyt nisko, żeby mieć jeszcze jakąś dumę - że może pan nawet przyjść do mnie i inne takie rzeczy.

Wiedziałem, że to wszystko błaga. W jednej minucie jest pan na dnie, już niżej nie mógłby upaść, a w następnej staje się pan prawdziwym lordem Byronem.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której Allbee

zdawał się walczyć o zachowanie panowania nad sobą. Potem powiedział cichym głosem:

- Williston to mój stary przyjaciel. Tak się składa, że mam do niego i Phoebe szczególny stosunek. Ale to chyba nie ma większego znaczenia. - Na jego twarz stopniowo powrócił uśmiech. Odwracając wzrok od Leventhala i rozpoczynając przeciągłą obserwację migotliwej ulicy za sobą, powiedział:

- Powinienem był się spodziewać, że nie przegapi pan kolejnej sposobności, żeby się do mnie dobrać.

- Czy pan jest przy zdrowych zmysłach? - zapytał Leventhal. - Ma pan dobrze w głowie? Czy to ta woda, czy co? Boże wszechmogący! Co dzień odkrywam nowe dziwactwa. - Spojrzał w stronę nieba i zaśmiał się krótko. - Jak mi Bóg miły, to jak jakaś menażeria. Mówi się, że człowiek chodzi do zoo, żeby zobaczyć w zwierzętach samego siebie. Nie ma na świecie wystarczająco dużo zwierząt, byśmy mogli się w nich zobaczyć. Trzeba by miliona nowych piór i ogonów. Dziwactwom nie ma końca.

Wydawało się, że Allbee, zaprzątnięty gasnącymi fioletami i szarościami zmierzchu oraz skupiskami światła, też uważa to za komiczne.

- Cóż, nie jest pan w niczym ode mnie lepszy - powiedział.

- Tak pan sądzi?

- Mnie pan tak samo wydaje się potworem.

- Naprawdę?

- Do diabła, tak. Przede wszystkim wygląda pan

jak Kaliban - rzekł Allbee niemal poważnie. - Ale nie tylko to mam na myśli. Pan osobiście jest tylko jednym z wielu. Spośród wielu rodzajów. Pan nie byłby w stanie tego zobaczyć. Czasami czuję się - i mówię to poważnie - czuję się, jakbym znajdował się w czymś na kształt egipskich ciemności. Wie pan, Mojżesz ukarał Egipcjan ciemnością. I tak właśnie często o tym myślę. Kiedy się urodziłem, kiedy byłem chłopcem, wszystko wyglądało inaczej. Wydawało nam się, że zawsze będzie jasny dzień. Czy pan wie, że jednym z moich przodków był gubernator Winthrop? Gubernator Winthrop! - Jego głos drżał gwałtownie; pobrzmiwał w nim tłumiony śmiech. - Świetnie nadaję się do tego, żeby mówić o tradycji, musi pan sobie myśleć. Ale jednak przynależę do niej z racji urodzenia. I niech pan sobie spróbuje wyobrazić, jak działa na mnie Nowy Jork. Czy to nie absurdalne? Czy nie jest rzeczywiście tak, jakby dzieci Kalibana zarządzały wszystkim? Schodzi się do metra i Kaliban daje człowiekowi dwie pięciocentówki za jego dziesięciocentówkę. Jedzie się do domu, a on ma sklep ze słodyczami na ulicy, przy której człowiek się urodził. Stare rody zniknęły. Ulice noszą ich imiona. Ale czym są one same? Zaledwie pozostałościami.

- Więc tak to wygląda: jest pan właściwie arystokratą - rzekł Leventhal.

- Być może nie rzuca się to panu w oczy tak, jak rzuciło się mnie - powiedział Allbee. - Ale od czasu do czasu chodzę do biblioteki, żeby się rozejrzeć, i w zeszłym tygodniu zobaczyłem książkę o Thoreau i

Emersonie napisaną przez człowieka o nazwisku Lipschitz...

-1 co z tego?

- Takie nazwisko? - zapytał Allbee z wielką powagą. - W końcu wydaje mi się, że ludzie o takim pochodzeniu po prostu nie mogliby zrozumieć...

- Co za cholerna bzdura! - krzyknął Leventhal.

- Niech pan posłucha, mam sprawy do załatwienia. Muszę zatelefonować. To ważne. Niech mi pan powie, czego, u diabła, pan chce, i niech się pan streszcza.

- Zapewniam pana, że nie chciałem być złośliwy. Po prostu mówiłem o tym...

- Zapewniam pana, że chciał pan, zapewniam pana! - wyrzucił z siebie Leventhal. - O co więc panu chodzi? Pewnie o parę dolarów na whisky.

Allbee zaśmiał się głośno.

- Mówi się, że picie to taka sama choroba jak inne - rzekł. - Jak choroba serca albo syfilis. Nie byłby pan taki surowy dla kogoś chorego na serce, nieprawdaż? Miałby pan więcej współczucia. Mówi się nawet, że zbrodnia jest rodzajem choroby i gdyby było więcej szpitali, nie potrzeba byłoby tylu więzień. Niech pan zobaczy, ilu mordercom darowuje się karę i poddaje leczeniu, zamiast wieszać. Jeśli są chorzy, to nie ponoszą winy. Dlaczego nie może pan podejść do tego w ten sposób?

- Dlaczego? - bezwiednie powtórzył Leventhal.

Był oszołomiony.

209

- Bo musi mnie pan obwiniać, oto dlaczego -

rzekł Allbee. - Nie chce pan przyjąć do wiadomości, że to nie wyłącznie moja wina. Musi pan wierzyć, że zasługuję na to, co mnie spotyka. Nie przychodzi panu do głowy, nieprawdaż, że człowiek może nie być w stanie bronić się przed siłami, które go spychają w dół? Co pan na to? Może nie jest w stanie sobie pomóc? Nie, jeśli człowiek jest na dnie, człowiek taki jak ja, to jest to jego wina. Jeśli cierpi, to jest to kara. W życiu jako takim zła nie ma. I wie pan co? To żydowski punkt widzenia. Znajdzie go pan wszędzie w Biblii. Bóg nie popełnia błędów. Jest urzędem miar i wag. Jeśli pan jest w porządku, on również jest w porządku. To właśnie mówią Hiobowi jego przyjaciele. Ale coś panu powiem. Obrywamy za nic i cierpimy za nic, i nie da się zaprzeczyć, że zło jest tak prawdziwe jak słońce. Niech mi pan wierzy, wiem, co mówię. Dla pana wszystko sprowa-

<sup>14-Ofiara</sup> dza się do tego, że muszę zasługiwać na to, co mnie spotyka. Ma pan dzięki temu czyste ręce i nie musi się przejmować. Nie wymagam bynajmniej, żeby mi pan współczuł, ale z pewnością nie jest pan w stanie zrozumieć, co sprawia, że człowiek pije.

- W porządku, więc nie jestem w stanie. Co z tego? Po to mnie pan zatrzymał, żeby mi to powiedzieć?

- Nie, nigdy nie był pan w stanie i powiem panu dlaczego. Ponieważ wy troszczycie się przede wszystkim o siebie. Trzymacie swego ducha pod szczelnym zamknięciem. Tak jesteście wychowywani. Czyniecie z niego swego pomocnika w interesach, a on jest ostrożny i potulny i nigdy nie prowadzi was do niczego

ryzykownego. Niczego niebezpiecznego i niczego chwalebного. Nigdy nie macie pokusy, żeby się otworzyć. Po co? Jaki w tym interes? Żadnych procentów.

Na twarzy Leventhala malowało się niezrozumienie i przerażenie. Miał zmarszczone czoło. Jego serce biło boleśnie i wybelkotał:

- Nie pojmuję, jak może pan tak mówić. To czczy gadanina. Zabito miliony z nas. Co pan na to powie?

Zdawał się czekać na odpowiedź, lecz zanim mogła zostać udzielona, odwrócił się i szybko odszedł, pozostawiając Allbeego samego pod latarnią.

Leventhal szedł do domu na oślep, szybkim krokiem, i ten niezwykle u niego chód wstrząsał jego masywnym ciałem. Pot spływał z jego bujnych, pozbawionych połysku włosów na ciemną skórę. Myślał o tym, że powinien był coś zrobić, dzielić Allbeego po głowie, nie darować mu. Czuł, że odpowiadał głupio, chociaż nie wiedział, co powinien był mu powiedzieć; nie był w stanie przypomnieć sobie wszystkiego, co zostało powiedziane. Gdy jednak pierwsze porywy gniewu zaczęły przechodzić w obojętność, wydało mu się, że przez cały czas, podczas całej rozmowy, wiedział, co powinien zrobić, i nie zrobił tego, że nie sprostał temu, co było oczywiste, jasne i konieczne. „Powiniennem był to zrobić - pomyślał - nawet gdyby to oznaczało, że mam go zamordować”.

W tym właśnie momencie błysk złotego światła na środku ulicy sprawił, że puścił się truchtem. W twarz uderzył go kłęb spalin. Znajdował się za autobusem. Ze zgrzytem przerzucanych biegów autobus pojechał dalej i Leventhal wbiegł zdyszany na chodnik. Przez chwilę odpoczywał, po czym znów ruszył przed siebie, zwalniając stopniowo do swego normalnego tempa. Bolała go głowa. Jedno miejsce między oczami było szczególnie bolesne; również skóra była tam wrażliwa na dotyk. Nacisnął je. Wydawało się, że stanowiło wcześniej samo centrum całego jego wpatrywania się i koncentracji. Czuł, że jego nerwy są w gorszym stanie niż kiedykolwiek przedtem i że jego wściekłość zaszkodziła mu, zatruiła nawet jego krew. Miał wizję złej krwi jako czegoś czarnego, gęstego, słonego, wywołanego przez chorobę, żądzę albo nadmierny gniew. Jego serce znowu zaczęło bić szybciej. Obejrzał się do tyłu. Kilku ludzi szło w przeciwnym kierunku. „Lepiej niech się do mnie nie zbliża” - mruknął. Jego umysł był jaśniejszy i pojedyncza myśl o morderstwie, jaka się w nim zrodziła, ulotniła się. Żałował jednak, że nie uderzył Allbeego, i niemal z radością powitałby kolejną sposobność po temu. Jaki sens miało trwonienie słów na takich ludzi? Należało ich bić! Tylko to rozumieli. Kobieta w kinie, którą Mary poprosiła

o zdjęcie kapelusza, przed dwoma albo trzema laty, odwróciła się i wygłosiła jakąś obraźliwą uwagę o „tupecie Żydów”. Choć była to kobieta, Leventhal miał ogromną ochotę uderzyć ją pięścią w głowę i zerwać jej kapelusz. Sprzeczał się potem z Mary, twierdząc, że w niektórych przypadkach powinno się to robić. „Dokąd by cię to zaprowadziło?” - zapytała na to Mary. Z praktycznego punktu widzenia niewątpliwie miała rację; znała wartość zachowywania spokoju. Ale żałował tego. Och, jak bardzo czasem żałował, że nie strącił tamtego kapelusza. W przypadku jego ojca było to przynajmniej „*gib mir di grosz-ke*”<sup>\*1</sup> potencjalnie realna rekompensata. „Ale co ze mną?” - zapytał Leventhal ze znieruchomiałym, skierowanym ku górze spojrzeniem swoich dużych refleksyjnych oczu. Chmury okrywała mroczna czerwona poświata, wchłonięta z neonów i wieży zegarowej przy Piątej Alei. Jego ojciec przynajmniej dążył do uzyskania tego, co mu się należało. I zawierała się w tym pewna mądrość. Nie można było czuć się panem samego siebie, gdy istniało tak wielu ludzi, którzy mogli człowieka upokorzyć. Jeśli chodzi o Mary, to zadając swoje pytanie, musiała myśleć o wieczorze, kiedy ją popchnął przed laty w Baltimore. Być może chciała mu o tym przypomnieć. Oczywiście nie było dla tego żadnego usprawiedliwienia. Wciąż jednak uważał, że trzeba było zerwać



kobiecie kapelusz z głowy i odrzucić go na bok.

Mimo woli zaśmiał się cicho, przypominając sobie, jak stał, tylko stał, nie mając dość przytomności umysłu, by zdać sobie sprawę, że jest obrażany. Bo miało to związek z przytomnością umysłu, podobnie jak wtedy z Dunhillem, zecerem, który sprzedał mu niechciany bilet. W przypadku Allbeego dodatkowo dezorientujące było to, że wypowiadał on swe obelgi tonem rzeczowej dyskusji. Na początku zdawał się rozprawać bezosobowo, chociaż tu i ówdzie wplatał jakiś podstępny żart. Lecz nagle mówił z powagą coś strasznego. Oczywiście, był chory. Sam poruszył temat choroby, musiał więc być tego świadom. Czy jednak jego choroba, cokolwiek to było, leżała u podstaw tego, co mówił, czy też dobre zdrowie dałoby mu jedynie siły do zachowania tego dla siebie? Niektórzy ludzie, już z natury łagodni, stawali się podczas choroby pełni dobroci. Leventhal powiedział do siebie zniecierpliwiony: „Na świecie są dwa miliardy ludzi czy coś koło tego, a to j e m u dzieje się krzywda. Co w nim takiego specjalnego?”.

Pani Nunez stała na schodach z brunatnego piaskowca. Ona i jej mąż wrócili właśnie z niedzielnej wycieczki. Miała na dłoniach rękawiczki i trzymała w nich czerwoną torebkę z lakierowanej skóry. Nakrycie jej głowy stanowił biały słomkowy kapelusz z wiśniami na rondzie. Jej indiańska twarz była drobna, co kontrastowało z niezgrabną, szeroką w

biodrach figurą. Była ubrana w obcisły kostium w paski z wywatowanymi ramionami i podniesioną talią, a usta miała rozchylone, jak przy końcu długiego oddechu. Mary, której nic nie umykało, powiedziała kiedyś o kostiumach pani Nunez: „Nie wiem, dlaczego je nosi. Byłoby jej bardzo ładnie w tkaninach z drukowanego jedwabiu”. Do tamtego czasu Leventhal ledwie ją zauważał. Teraz, kiedy powiedziała dobry wieczór, a on skinął jej głową, przypomniał to sobie i przez chwilę odczuwał intensywną tęsknotę za żoną.

- Złapał pana deszcz? - zapytała pani Nunez.

- Nie, przespałem całą burzę.

- Byliśmy w Prospect Park obejrzeć kwiaty. Mój brat pracuje w cieplarni. Boże, to było straszne. Przewróciło się drzewo. Uderzył w nie piorun.

- To musiało być przerażające.

- Straszne. Byliśmy w środku. Ale bardzo się bałam. Och, okropne - powiedziała, z głębokim westchnieniem. - Pańska żona już wraca?

- Jeszcze nie.

Ściągnęła rękawiczki i skubała je długimi brązowymi palcami, których wielkość i siłę odnotował z roztargnionym zdziwieniem.

- Przyjedzie niedługo?

- Nie sądzę.

- Och, to niedobrze, niedobrze - rzekła na swój lekki, bezbarwny, szybki sposób. Leventhal często

przystawał pod drzwiami Nunezów, żeby posłuchać z rozbawieniem ich wartko płynącej hiszpańszczyzny, z której nie rozumiał ani słowa. - To niedobrze - powtórzyła i Leventhal, zerkając podejrzliwie na jej drobną twarz pod białym rondem kapelusza, zastanawiał się, jaką aluzję może skrywać jej współczucie. Nad nimi nagle rozległa się muzyka; ktoś szeroko otworzył okno.

- Będę kawalerem jeszcze przez jakiś miesiąc - powiedział.

- Och, może i tak dobrze się pan bawi, na jakiś czas ma pan odmianę.

- Nie - odparł szorstko.

Wszedł do sieni, gdzie pies Nunezów podbiegł do niego, podskakując. Pochylił się, przycisnął zwierzaka do siebie i poczochnął go po głowie. Pies polizał go w twarz i wepchnął pysk pod rękaw jego marynarki.

- Ona szaleje za panem - powiedział Nunez od drzwi. - Wydaje mi się, że wyczuwa węchem, kiedy pan nadchodzi.

Polerował okulary kwiecistą chusteczką żony. Obok łóżka w jego pokoju stały puszki z piwem i leżały gazety.

- To przyjazny pies. Sam mam słabość do psów.

- Wstawaj, Smoke - powiedział Nunez. - Czy psy czasem mdleją, panie Leventhal? Nieraz wydaje

mi się, że ten zemdleje, kiedy go pan drapie po brzuchu.

- Nie wiem. Czy zwierzęta mdleją? Czy ktokolwiek mdleje z przyjemności?

- Pewnie jest ktoś taki - zażartował Nunez. - Może jakaś damulka ze słabym sercem. Popatrz pan, leży na grzbiecie. Popatrz pan na jej pierś. - Włożył okulary i schwycił ręką krawędź drzwi. Na ich czarnej płycinie odbijała się czerwień sieni i żółć jego mieszkania. Sportową koszulę miał rozpiętą i nad kosmykiem włosów między mięśniami jego ciemnej, czerwonej klatki piersiowej kołysał się medalik.

- Niech pan wstąpi na piwo - powiedział.

- Nie mogę, dziękuję, mam coś do zrobienia. - Leventhal przypomniał sobie, że nie skontaktował się jeszcze z Eleną. Przyszło mu poza tym do głowy, że Nunez był świadkiem jego szarpaniny z Allbeem w sieni. Spojrzał na niego z niewyraźną miną i ruszył w stronę schodów.

Po raz trzeci nikt u Villaniego nie odebrał telefonu i zaczął się niepokoić. Villani mieli małe dzieci, a małe dzieci trzeba kłaść spać. Było już po ósmej. „Może będzie lepiej, jeśli pojedę odwiedzić Elenę i Philipa” - powiedział do siebie. „Nie mam dziś wieczór nic do roboty”. Ale w skrytości ducha myślał, że nieobecność Villaniego to zły znak. Znowu wyszedł z domu, kiwając pani Nunez głową na zewnętrznych schodach, jakby widział ją po raz pierw-

szy.

Zastał Villaniego i starą kobietę siedzących z Phi- lipem i Eleną w salonie. Właśnie wrócili ze szpitala, z czego wynioskował, że stan Mickeya pogorszył się. Chłopiec zdawał się tracić na wadze. Villa- ni zdradzał nękające go obawy tonacją swego optymizmu. Wołał:

- Nie martwcie się o nich tam. Zmuszają ich do jedzenia. W szpitalu nie ma czegoś takiego, jak nie- jedzenie. Dbają o to. Umieją postępować z dziećmi, mają wprawę.

Elena zachowywała chłodne milczenie. Najwy- raźniej oskarżyła wcześniej szpital o to, że nie karmi dziecka. Miała woskową twarz. Wszystko - jej czarne włosy, ciemne nozdrza i białe usta, brak reakcji na jego pojawienie się, a nawet to, że była ubrana do wyjścia, a nie w swoją bawełnianą sukienkę z nocną koszulą pod spodem - niepokoiło Leventhala.

- Dajcie im czas - powiedział Villani. - Nie jest tam jeszcze długo. Co pan powie?

Leventhal wydał potwierdzający pomruk i prze- niósł spojrzenie z Eleny na ubraną na ciemno starą kobietę. Jej szczupłe nadgarstki, poznaczone na- brzmiałymi, ciemnoniebieskimi żyłami, spoczywały na kolanach. Zauważył, że kostki jej nóg ponad niemodnymi czarnymi butami są spuchnięte - praw- dopodobnie od chodzenia długimi szpitalnymi ko- rrytarzami. Usta miała wąskie, dolna warga nie cał-

kiem pasowała do pozbawionej wyrazu górnej, ponieważ podbródek był cofnięty. Odchylona pozycja ciała w fotelu i skrzyżowane stopy nadawały jej pozór spokoju, a jednak właśnie spokojowi zdawała się stawiać opór, odwodząc ramiona od poduszki za plecami. Jej oczy, za każdym razem, gdy powieki unosiły się, ukazywały zaciekłość równie przesywającą jak u koguta. Leventhal był wbrew sobie zafascynowany jej twarzą. Inni ludzie mogli się jeszcze zmienić; było to trudne, nie musiało się udać, ale mogli próbować. Ta kobieta, taka jaka była, była ukształtowana raz na zawsze.

Skorzystał z pierwszej sposobności, by szepnąć do Villaniego, że może należałoby teraz wezwać Maksa, a Villani zamknął oczy na znak, że się z nim zgadza. Sytuacja była więc poważna. Postanowił, że rano zadzwoni do lekarza i zasięgnie u niego informacji. Denisart obiecał, że mu powie, kiedy będzie trzeba powiadomić Maksa.

Pod pretekstem, że chce sobie przynieść szklankę wody, wymknął się na chwilę do kuchni. Tak naprawdę bał się, że jeśli jeszcze jakiś czas będzie siedział naprzeciw Eleny, może stracić panowanie nad sobą. Twarz może mu na przykład zacząć drgać albo głos się załamywać. Co jednak byłoby najgorsze, mógłby ją zapytać, dlaczego uważa, że to jego wina, a to byłoby całkowicie niewłaściwe i być może niebezpieczne. Najwyraźniej jednak obarczała go od-

powiedzialnością. Nalegał na nią, by wysłała chłopca do szpitala. Ale lekarz też to robił. Czego więc mógł się spodziewać później, skoro już teraz przypisywała mu winę? To był dopiero początek, sądząc ze znaków, jakie dawał Villani; można było oczekiwać więcej. Oni sami, rodzice, byli odpowiedzialni, jeśli w ogóle ktokolwiek. Zwłaszcza Max. Dlaczego odwlekał przyjazd do domu? Bo myślał, że jakoś się z tego wywinie. Ale mógł się wywinąć tylko wówczas, gdyby Mickey, którego życie w szpitalu wisiało na włosku, się wywinął. Nie chodziło o to, że obecność Maksa w domu mogła mieć naprawdę jakieś znaczenie dla dziecka, ale przynajmniej nie byłoby ono wówczas tak bardzo wydane na łaskę tego ogromnego szpitala, a Max dałby wyraz temu, iż poczuwa się do swoich obowiązków. W końcu człowiek się żeni i ma dzieci, a to pociąga za sobą łańcuch konsekwencji. Na początku trudno powiedzieć, co się wydarzy. I może to niesprawiedliwe, że w wieku czterdziestu lat człowiek musi się rozliczać z czegoś, co zrobił w wieku lat dwudziestu. Ale jeśli nie jest się więcej niż ludzkim ani mniej niż ludzkim, jak to ujął pan Schlossberg, trzeba regulować rachunki. Leventhal nie zgadzał się z określeniem „mniej niż ludzkie”. Skoro robiło to tak wielu, czyż nie było to „ludzkie”? „Więcej niż ludzkie” dotyczyło znacznie mniejszej liczby. Ale większość ludzi nosiła w sobie strach -

strach przed życiem, strach przed śmiercią, być może bardziej przed życiem niż przed śmiercią. Faktem było jednak, że się boją, a kiedy strach brał nad wszystkim górę, nie chcieli żadnych innych ciężarów. W wieku dwudziestu lat mieli wiele energii, a co za tym idzie, byli beztroscy, później zaś czuli się za słabi, by poczuwać się do odpowiedzialności. Mówili: „Zostawcie mnie w spokoju, tylko o to proszę”. Lecz albo znajdowali siły, by ponieść koszty, albo odmawiali i poddawali się oszołomieniu - całkowitemu oszołomieniu, oszołomieniu rozkoszy przed katastrofą. Być może odmowę można było nazwać „mniej niż ludzką”; chciałby wierzyć, że „ludzki” oznaczało odpowiedzialny pomimo wielu słabości - w ostatnim momencie dość twardy, by wytrwać. Ale sądząc na podstawie tego, co działo się w większości przypadków, najbardziej typowe było oszołomienie i najbardziej zasługiwało na to miano.

Na chwilę wrócił do salonu. Kiedy oznajmił, że wychodzi, Elena spojrzała na niego, ale nie powiedziała dobranoc.

Philip, z ciężkimi powiekami, przygnębiony, siedział poza kręgiem dorosłych, oplatając ramionami oparcie krzesła. Jego koszula była po bokach wyciągnięta ze spodni, a buty rozwiązane.

„Zmęczony bieganiem za nimi cały dzień” - powiedział Leventhal do siebie. Wypełniła go czułość dla chłopca.



- Idź spać, Philip - rzekł.
- Zaraz pójdę.
- Dobrze się wczoraj bawiłeś?
- Tak, super.

- Kiedy mały wyjdzie ze szpitala, zrobimy sobie wycieczkę statkiem dookoła wyspy. Podobno są one naprawdę wspaniałe.

Philip ułożył policzek na górnej poprzeczce krzesła w sposób, którego nie mogło wytłumaczyć samo zmęczenie. Leventhal przeciągnął dłonią po jego krótkich włosach, mówiąc:

- Już dobrze, chłopcze.

Ale poza tym nie był w stanie niczego z siebie wydobyć. Opadł z sił, odrobina otuchy zagubiła się, współczucie dla dzieci zaparło mu w piersi nawet oddech, który mógł mu posłużyć do jej udzielenia. Zbiegł po brudnych, wyłożonych kafelkami schodach. Kilkadziesiąt jardów przed mm wyłonił się autobus i Leventhal przebiegł na drugą stronę ulicy. Chociaż wokół niego były wolne miejsca, jechał na stojąco, przytrzymując się błyszczącej poręczy, ledwie słysząc syk powietrza wydobywającego się z hamulców oraz pneumatycznych drzwi i oczami pełnymi łez widząc jedynie bezładnie przemieszane barwy. Philip musiał zauważyć, jak szeptał do Villanigo. Ale prawdopodobnie już wcześniej zaczął rozumieć. Leventhal był przekonany, że wie. I być może nawet mały Mickey w szpitalu pojmował to

wszystko na swój sposób, podatny na to tak, jak płomień świecy podatny jest na zmieniające się prądy powietrza, jak wszystko, co chce być tym, czym zostało stworzone, reaguje na to, co je odżywia albo mu zagraża.

Zataczając szerokie łulci i gwałtownie skręcając, autobus dotarł do nabrzeża. Do świadomości Leventhala przeniknął zapach portu i migotliwe światła salonów gry. Szedł przez słabo oświetloną przestrzeń wiaty do dziobu statku i spoglądał na wodę, jasne gwiazdy oraz szkarłatne i żółte plamy zwisające z dźwigów i kadłubów kołyszących się między przystanią a rozświetloną niską skorupą brzegu.

Następny tydzień był dla niego okropny. Doktor Denisart nie był w poniedziałek dobrej myśli, a ponieważ wcześniej dowiedział, że nie ma w sobie nic z panikarza, Leventhal zrozumiał, że na swój profesjonalny sposób daje do zrozumienia, iż jest bardzo mała nadzieja. We wtorek powiedział, że uważa za wskazane, by Max przyjechał do domu. „Co pan chce przez to powiedzieć? Czy to już koniec?” Doktor odparł: „Ojciec powinien być na miejscu”. „Innymi słowy, wszystko się teraz rozstrzyga” - rzekł Leventhal. Wysłał telegram i tego wieczora oraz następnego jeździł do szpitala, dokładając wszelkich starań, by uniknąć spotkania z Eleną. Mickey był teraz nieprzytomny i karmiono go dożylnie. Leventhal pochylał się nad jego łóżkiem

zgrzany i brudny po długiej podróży. Twarz chłopca pociemniała od gorączki; igła była przyklejona do jego ramienia kawałkami plastra wystarczająco szerokimi dla dorosłego mężczyzny. Poziom płynu w butelce przymocowanej zaciskiem do wysokiego stojaka zdawał się nie zmieniać. Leventhal podszedł do okna i palcem wskazującym uniósł nieco brzeg rolety, spoglądając w dół na kamienne donice z pnączami i pelargoniami, zbyt masywne jak na mały, zapadnięty dziedziniec. Następnie wyszedł, zawahawszy się jeszcze w nogach łóżka. Jechał dwie godziny, by spędzić w pokoju Mickeya dziesięć minut.

Powtarzał sobie: „Nadchodzi rozstrzygnięcie” - z poczuciem winy, bo w głębi serca nie miał nadziei. Samo słowo było unikiem, i to on, a nie lekarz, użył go jako pierwszy. Było to jednak pojemne słowo; obejmowało więcej niż kryzys Mickeya albo Eleny, czy jego własne kłopoty z Allbeem. Były one w nim zawarte; temu, co działo się z Allbeem, na przykład, nie można było pozwolić trwać w nieskończoność. Tym jednak, co chciał wyrazić owym absorbującym go słowem „rozstrzygnięcie”, był kryzys mający zakończyć jego opór przeciwko czemuś, czemu nie miał prawa się opierać. Choroba, szaleństwo i śmierć zmuszały go do zmierzenia się z własną winą. Uży-

wał wszystkich możliwych środków, a zwłaszcza obojętności i lekceważenia, by uniknąć przyznania się do niej, i wciąż nie wiedział, na czym ona polega. Lecz wynikało to stąd, że postarał się, by nie wiedzieć. Zrobił bardzo wiele, by ułatwić sobie życie, tonując, łagodząc, odwracając wzrok. Ale im bardziej próbował poskromić to, czemu się opierał, tym bardziej to szalało, i nadchodził moment, kiedy jego zdolność do stawiania oporu się skończy. Już teraz był niemal zupełnie wyczerpany.

Dochodziła północ, gdy wrócił w środę do domu. Jeszcze zanim otworzył kluczem drzwi, usłyszał lodówkę dyszącą, jakby próbowała naładować energią powietrze pustego mieszkania. Włączył światło w pokoju dziennym i w łazience, gdzie się rozebrał i włożył piżamę. Otworzył apteczkę, wpatrywał się w nią jak ktoś, kto zapomniał, czego szuka; rzeczywiście miał pustkę w głowie. Jego dłoń dotknęła maszynki do golenia i bezwiednie zmienił w niej żyłkę, po czym ułożył aparat z powrotem w czerwonym aksamitnym zagłębieniu pudełka. Na bosaka wszedł do pokoju dziennego. Na biurku leżał papier i przyszło mu do głowy, żeby wysłać list do Mary. Usiadł, zaczepiając stopy o nogi krzesła, napisał kilka słów i zatrzymał się, by pomyśleć, co powinien, a czego nie powinien mówić. Miał bardzo wiele do wyboru. Że za nią tęskni? Że ciągle jest gorąco? Odłożył pióro i oparł się o biurko, przyciskając pierś do brzegu kartki.

Niemy i nieruchomy w cichym pokoju, słyszał na zewnątrz zatraskiwanie drzwiczek samochodów i wycie silników. Nagle rozległo się przeciągłe brzęczenie dzwonka. Czyjś palec wcisnął bezlitośnie guzik do gniazdka. Pośpiesznie podszedł do drzwi i krzyknął:

-Tak?

Usłyszał swoje nazwisko wymówione kilka razy i zawołał w odpowiedzi:

- Kto tam?

225

Pochyliwszy się nad balustradą, dojrzał Allbeego na podeście poniżej i cofnął się do przedsiönka, zamykając drzwi. Po chwili ktoś przekręcił gałkę, po-  
15 - Ofiara nownie ją cicho przekręcił, a potem nią potrzęs-  
nął.

- Tak, tak, czego pan znowu chce? Czego pan chce?

- zapytał Leventhal.

Allbee zapukał. Leventhal gwałtownie otworzył drzwi i zobaczył go z uniesionymi knykciami, gotowego, by ponownie zapukać.

- O co chodzi?

- Chcę się z panem zobaczyć - odparł Allbee.

- No więc widzi się pan ze mną. - Wykonał ruch, jakby chciał zamknąć drzwi, lecz Allbee szybko wysunął głowę do przodu w geście melancholijnego protestu, patrząc jednak na Leventhala bez urazy.

- To nie w porządku - powiedział. - Zbieram się

na odwagę, żeby przyjść się z panem zobaczyć. Zabiera mi to niemal cały dzień.

- Uknucie czegoś nowego.

Wyraz twarzy Allbeego był poważny. Rys szaleństwa, objawiający się zwykle w jego uśmiechach, był nieobecny.

- Tamtego wieczora, w zeszłym tygodniu, zmierzalem do czegoś - rzekł. - Chciałem coś panu powiedzieć.

- Nie chcę już żadnych dyskusji. Żadnych więcej nie będę tolerował. Zresztą jest już po północy.

- Tak, wiem, że jest późno - przyznał Allbee. - Ale było coś ważnego do powiedzenia. Odbiegliśmy wtedy od tematu.

- Pan odbiegł - rzekł ciężko Leventhal. - Ja nawet w niego nie wszedłem.

- Chyba wiem, o czym pan mówi. Ale niezależnie od tego, co powiedziałem, nie zamierzałem pana urazić. Nie powinien pan sądzić...

- Co? Wszystko to była teoria, teoretyzowanie?  
- zapytał sarkastycznie.

- No tak, po trosze. Po trosze żartowałem - wyjaśnił z wysiłkiem Allbee. - To taki mój głęboko zakorzeniony narów. Wiem, że jest zły.

- Przykro mi, ale pana nie rozumiem. Może nie rozumiem również Emersona. Jedno z drugim idzie w parze.

- Proszę... - rzekł przybity.

Na klatce schodowej, pod ciemnymi prętami świat-

lika i zamglonym szkłem, panowała cisza.

- Niewłaściwie pan to wszystko odczytuje - kontynuował.

- A jak powinienem to odczytywać?

- Powinien pan zdać sobie sprawę, że nie całkiem... - zająknął się - że nie całkiem panuję nad sobą. - Cienie padające na jego bladą, mięsistą twarz sprawiały, że wydawała się mizerna. Sińce pod oczami przywodziły Leventhalowi na myśl obtłuczenia pod skórką jabłka. - Rzeczy wymykają mi się z rąk. Nie próbuję się usprawiedliwiać. Ale nie uwierzyłoby pan, ile—

- No cóż, dzisiaj można uwierzyć niemal we wszystko - rzekł Levental i zaśmiał się krótko, lecz bez rozbawienia.

Poważnym spojrzeniem Allbee zaapelował do niego, by nie kontynuował w tym tonie. Jego brwi uniosły się ku górze, przeciągnął palcami przez brudnawe blond włosy i Leventhal powiedział sobie w duchu, że we wszystkim, co tamten robi, zawarty jest element aktorstwa. Nagle jednak nawiedziła go dziwna, namacalna świadomość obecności Allbeego, jego twarzy i ciała, uczucie intymnej bliskości, jakiej wcześniej doświadczył w zoo, gdy wyobraził sobie, że znajduje się za plecami Allbeego i widzi z mikroskopijną dokładnością zmarszczki na jego skórze oraz najmniejsze włoski, i wdycha jego zapach. Te same wrażenia powtórzyły się teraz; czuł niemalże ciężar jego ciała i dotyk jego ubrania. Więcej nawet:

uderzyła go realność jego twarzy, obwisłej na policzkach, jędrnej na czole i szczękach, jej wyrazistość; a pełne zrozumienia spojrzenie, jakie Allbee na niego skierował, powielalo tylko jego własne spojrzenie. Był tego pewien. Niemniej jednak wciąż żywa w jego umyśle była myśl, że Allbee go nienawidzi, i dlatego rozsądek, choć przytępiony przez osobliwe uczucie bliskości - bo było to uczucie - nie opuścił go. Jego krzepka, pełna napięcia postać ani na krok nie cofnęła się w przodu, tkwiła nieruchomo jak pręty w świetliku.

- Wpuści mnie pan? - zapytał w końcu Allbee.

- Po co?

- Chcę z panem porozmawiać.

- Powiedziałem panu, że jest późno.

- Jest późno dla pana, ale mnie wszystko jedno, która jest godzina. Powiedział pan, że mi pan pomoże.

- Nie chcę teraz zaczynać rozmowy o pańskiej przyszłości. Niech pan sobie idzie.

- Chodzi o teraźniejszość, a nie przyszłość.

Leventhal czuł się wobec niego niewytłumaczalnie słaby. „Czy zapominam wszystko, co mi powiedział, jaki byłem wściekły, wszystkie te okropne rzeczy?” - zapytywał siebie. I prawdą było, że jego poczucie zranienia przestało być dotkliwe, a jego samooskarżenia nie czyniły go dotkliwszym. Na klatce schodowej było duszno, jak w pokoju Mickeya. Łak-



nał swobodnego oddechu. Zmęczone oczy piekły go i wydawało się, że uczucie duchoty wyparło albo osłabiło wszystkie inne doznania.

- Jak to terazniejszość?

- No cóż, pan może wejść do środka, pogasić światła i pójść spać - odparł Allbee. - Nie musi pan sobie niczym zaprzętać głowy. Ale ja nie mam dokąd pójść. Już od kilku nocy. Kazano mi się wynieść. Leventhal przyglądał mu się w milczeniu. Następnie odsunął się na bok i powiedział:

- Dobrze. Niech pan wejdzie.

Wpuścił Allbeego przodem do pokoju dziennego i wskazał mu krzesło. Sam podszedł do okna i wystawił głowę na zewnątrz, dostrzegając na chwilę, gdy wciągał głęboki oddech, poczerwieniałe i przyciemnione masywne kształty ulicy. Usiadł na skrzypiącym łóżku. Nie było ścielone od tygodnia i leżały na nim rozrzucone papiery i tekturowe półksiężycy, którymi pralnia usztywniała jego kołnierzyki. Zakładając nogę na nogę, Allbee podciągnął poplamione, luźno wiszące spodnie. W niektórych rzeczach uparcie zachowywał się jak džentelmen. Splótł palce na kolanie.

- Wróćmy do tego, co pan mówił. Co się stało, wyrzucono pana? Gdzie pan mieszkał, w hotelu, pokoju?

- W wynajętym pokoju. Gospodarz skonfiskował moje rzeczy. Nie było tego zresztą wiele. - Uśmiech zakradł się na chwilę w kąciuki ust

Allbeego, po czym zniknął. - Ale tyle, ile było.

- Za zaległy czynsz?

- Tak.

- Dużo się tego uzbierało?

- Nie mam pojęcia, ile mu byłem winien. A raczej im. Jest jeszcze gospodyni. Właściwie to ona się wszystkim zajmuje. Puntowie. Para Niemców. Ona to gruba stara baba z wyszczerbionymi zębami. Siostrzeniec jest robotnikiem portowym. Nie jest taki zły. To wina tej cuchnącej staruchy. Ciągłe mu wymyślała. Starzy ludzie, zwłaszcza stare kobiety, to najtwardsze sztuki. Im się udało, więc do diabła ze wszystkimi innymi.

- Co się udało? O czym pan mówi?

- To, że tak długo żyli. Przetrwali. Długie życie  
- odparł Allbee. - Wszystkie trudy. Bogaci wyżywiają się na biednych z tego samego powodu. Weteran wyżywa się na nowicjuszu. Od góry do dołu. Sam pan wie...

- Ile jest im pan winien? Dziesięć dolarów, dwadzieścia...? - zapytał Leventhal, przerywając mu ze zniecierpliwieniem.

- Raczej koło czterdziestu albo pięćdziesięciu. Prawdę powiedziawszy, nie potrafię nawet tego oszacować. Od czasu do czasu dawałem im coś na poczet rachunku. Nie wiem. Mniej, niż oni mówią, tego może być pan pewien.

- Nie powiedzieli?

- Nie pamiętam.

- Niech pan nie opowiada!

Allbee nic nie odrzekł.

- Nie chce pan tam wrócić, zapłacić im chociaż trochę? Jeśli to czterdzieści dolarów, to nie mam pod ręką takiej sumy, ale jeśli da im pan cokolwiek...?

- Nie, dziękuję, cały ten dom cuchnie. Niech mi pan wybaczy, ale ta stara Puntowa... nie cierpię takiego nieporządku.

- Założę się, że jest pan również wzorowym lokatorem.

- Nie jestem najgorszy.

- Przepraszam, zapomniałem, że jest pan arystokratą - mruknął Leventhal i zaśmiał się krótko. Allbee spojrział na niego jakby nigdy nic, bez najmniejszego wyrzutu.

- No więc gdzie pan ostatnio mieszkał?

- Na szczęście była ładna pogoda. Spałem na dworze. Pod gołym niebem. Mogłem pójść do schroniska albo misji. Mówiłem sobie, że kiedy pogoda się zepsuje, to tak zrobię. Na jakiś czas stanę się religijny. Ale było pięknie.

- Nie rozumiem, jak mógł pan dopuścić, by sprawy zaszły tak daleko. Jeśli mówi mi pan prawdę.

- Gdybym powiedział panu całą prawdę, nie brzmiałoby to prawdopodobnie, więc mówię panu tylko jej część. Skracam ją. Pewnie nie powinienem był pozwolić sprawom do tego stopnia wymknąć się spod kontroli. W zeszłym tygodniu napominałem samego siebie, żeby się pośpieszyć i coś zrobić, ale z

jakiegoś powodu nie wziąłem się w garść, a potem Puntowa mnie wyrzuciła i tak to się skończyło. - Zwrócił rękę w swoją stronę w geście autoprezentacji. - Z moim wyglądem jedyną pracą, jaką mógłbym dostać, jest poławianie pereł.

- Ile pieniędzy zostawiła panu żona? - zapytał nagle Leventhal.

Allbee zaczerwienił się.

- Co to pana obchodzi? - zapytał.

- Człowieku, powinien być pan coś z tym zrobić, zamiast używać życia.

- Nie można rzucić świata na kolana odrobiną pieniędzy z ubezpieczenia... - zawahał się i dodał:

- Nie jestem panu chyba winien wyjaśnić?

- Nie jest mi pan nic winien. Ja również nie jestem panu niczego winien.

Allbee nie zaakceptował tej konstatacji, swój brak zgody wyraził jednak tylko wzruszeniem ramion. Po tem przez długą chwilę przyglądał się Leventhalowi.

- Miałem powody, żeby zrobić tak, jak zrobiłem

- powiedział. - Znajdowałem się w osobliwym stanie ducha i chciałem wysiąść z tej karuzeli. Pana żony teraz nie ma. A gdyby zginęła w wypadku samochodowym? Wtedy miałby pan prawo zadać mi takie pytanie.

- Jest pan idiotą! - rzekł Leventhal.

- Mówię tylko, że nie jedziemy na tym samym wózku. Niech pan zaczeka, aż tak będzie.

- Uchowaj Boże!

- Oczywiście. Kto chce, żeby komuś innemu stała się krzywda? Ale wypadki chodzą po ludziach. Powinien pan zdawać sobie z tego sprawę.
- Niech pan posłucha - rzekł Leventhal - jest tak, jak mówię. Nie jestem panu niczego winien. Ale dam panu parę dolców. Niech pan idzie do swojego pensjonatu albo jakiegoś hotelu.
- Nie mogę tam wrócić. To niemożliwe. Nie mogę zadzwonić do drzwi Puntowej w środku nocy. Poza tym wynajęli ten pokój komuś innemu. Dlatego mnie wyrzucili. A jaki hotel by mnie przyjął? W takim stanie? Bez walizki? Chyba, że ma pan na myśli noclegownię?
- No cóż - odparł Leventhal. - Po co owijać w bawełnę? Widzę, że uparł się pan, żeby spać dziś tutaj. Od początku to wiedziałem.
- Czy może mi pan polecić jakieś miejsce, gdzie mógłbym pójść?
- Po prostu się pan wprasza. Jest po pierwszej, wie pan o tym?  
Allbee nie odpowiedział.
- Zważywszy na to, jak pan się zachowywał, powinienem pana wyrzucić. A jeśli naprawdę wierzy pan w połowę z tego, co mi pan powiedział, nie powinien pan chcieć przebywać ze mną pod jednym dachem. Jest pan nędznym oszustem.
- Przecież ma pan całe mieszkanie dla siebie. Może mnie pan przenocować - rzekł Allbee, uśmiechając się spokojnie. - Nie sprawiłbym panu

kłopotu. Ale jeśli pan chce, żebym to zrobił w odpowiednim duchu...

I ku zdumieniu Leventhala - był zbyt skonster-  
nowany, kiedy to się stało, by wymówić słowo - All-  
bee osunął się z fotela i upadł na kolana.

Wtedy Leventhal krzyknął:

- Niech pan wstanie!

Allbee dźwignął się na nogi.

- Na miłość boską, niech pan skończy z tą cho-  
lerną błazenadą! Co to właściwie ma być?

Z rozbawioną miną i nieruchomym spojrzeniem  
szeroko rozwartych oczu Allbee zdawał się smako-  
wać najpierw jedną wargę, a potem drugą.

- Ostrzegam pana - rzekł Leventhal - nie będę  
lolerował pańskich wygłupów. Te pańskie żarty! -  
Nie posiadał się z obrzydzenia. - Pan wie, że to nie są  
żarty, nie mają być zabawne. Próbuje pan wyrzucić  
na mnie presję. Myśli pan, że wytrąci mnie pan z  
równowagi i nie będę wiedział, co się dzieje.

- Nic rozumie pan. Chciałem jedynie zrobić  
coś stosownego do sytuacji.

- No więc dobrze - rzekł ponuro Leventhal,  
nie słuchając go. - Chcę, żeby pan to dobrze  
zrozumiał... jeśli o mnie chodzi, pozwalam panu spać  
tu dzisiejszej nocy w rewanżu za przysługę, i to  
wszystko. Słyszysz mnie pan?

- Och, więc jednak jest mi pan coś winien.

- Czy ja jeden? Czy nigdy nikomu innemu  
nie wyświadczył pan przysługi? Wygląda na to, że je-

stem jedyny. I cóż takiego jestem panu winien? Już dostatecznie dużo pan ze mnie wycisnął swoim nastawianiem. Mógłbym z czystym sumieniem wypchnąć pana na klatkę schodową i zatrzasnąć panu drzwi przed nosem.

- Na pańskim miejscu - gdybym na nim był, a nie mówię, że mógłbym być - nie miałbym czystego sumienia.

- No proszę, sumienie! Nie chcę dyskutować z panem o moim sumieniu - rzekł Leventhal. - Jest późno.

Wyjął z szafki pościel i wchodząc do pokoju słołowego, rzucił ją na leżankę.

- Jest miękki - powiedział Allbee, obmacując materac.

- Czego jeszcze pan potrzebuje? Chce się pan umyć? Tam jest łazienka.

- Chciałbym wziąć prysznic - odparł Allbee. - Już dawno tego nie robiłem.

Leventhal dał mu ręcznik i znalazł dla niego stary szlafrok w szafie. Usiadł na łóżku w zmiętej piżamie i słuchał zaniepokojony wody uderzającej o zasłonię prysznicową i lejącej się do wanny. Allbee wkrótce wyszedł z łazienki, niosąc ubranie. Jego żółte włosy, mokre i uczesane, nadawały mu zupełnie inny wygląd. Leventhal z osobliwą niechęcią przyglądał się jego stopom. Podbicie było czerwone, szorstkie i obrzmiałe, a palce długie i zdeformowane, z grubymi paznokciami.

- To zdumiewające, jak dobrze może człowiekowi zrobić prysznic.
- Idę spać - rzekł Leventhal. Zgasił nocną lampkę.
- Dobranoc - powiedział Allbee. - Jestem naprawdę wdzięczny za tę gościnność.
- W porządku. W lodówce jest mleko, jeśli chce pan coś przelknąć.
- Dzięki, może wypiję szklankę. -- Poszedł w stronę pokoju stołowego. Leventhal przykrył się i poprawił poduszkę. Drzwi lodówki otworzyły się z lekkim stuknięciem i pomyślał: „Bierze sobie trochę”. Zasnął już, gdy usłyszał, jak się zamykają.

14

Snął, ale nie wypoczął. Jego serce biło szybko i wciąż wypełniały go emocje dnia. Miał niewyraźny sen, w którym trzymał się na uboczu jak niechętny widz; a jednak to on wszystko robił. Był na dworcu kolejowym z ciężką walizką i przepychał się z nią przez tłum. Odgłos szurających nóg wznosił się aż po flagi wiszące setkami w łukach sklepienia. Nie zdążył na pociąg, ale głośnik oznajmił, że następny odjeżdża za trzy minuty. Ledwie było widać bramę; w żadnym razie nie mógł dotrzeć do niej na czas. Tłum cofnął się gwałtownie - strażnicy widocznie spychali go do tyłu - i on sam znalazł się w świeżo wybrukowanym i pomalowanym tunelu. Zdawał się on prowadzić do torów. „Może dopiero co go otworzyli i ja pierwszy go znalazłem” - pomyślał. Zaczął



biec i nagle dotarł do barierki, ruchomej ramy przypominającej koziół do piłowania. Trzymając walizkę przed sobą, odepchnął barierkę na bok. Zatrzymało go dwóch mężczyzn. „Nie może pan przejść, pracują tu moi ludzie” - powiedział jeden z nich. Miał na sobie garnitur i filcowy kapelusz i wyglądał jak przedsiębiorca budowlany. Drugi był w kombinezonie. „Muszę, koniecznie muszę dostać się na peron” - odparł Leventhal. „Na górze jest wejście. Ten tunel jest zamknięty dla podróżnych. Nie widział pan tablicy na drzwiach? Przez które drzwi pan wszedł?” „Nie wszedłem przez żadne drzwi” - odparł gniewnie Leventhal. „To bardzo pilne, mój pociąg odjeżdża”. Drugi mężczyzna wydawał się życzliwym, współczującym człowiekiem, lecz był tylko pracownikiem i nie mógł się wtrącać. „Nie może pan również wrócić drogą, którą pan przyszedł” - rzekł przedsiębiorca. „Na górze jest tablica. Będzie pan musiał wyjść tędy”. Leventhal odwrócił się i pchnięty w ramię poszło go do jakiegoś przejścia. Jego twarz była zalana łzami. Zauważyło to kilkoro ludzi, ale nie przejmował się nimi.

Nie był całkowicie przebudzony, lecz jednak na tyle, by sobie uświadamiać, że leży w ciemności. Pod koniec snu miał uczucie cudownej ulgi. Wydawało mu się, że znajduje się w stanie wielkiej jasności umysłu, i doświadczał rzadkiego, niezmaconego uczucia szczęścia. Był przekonany, że zna prawdę, i powiedział sobie z satysfakcją: „Tak, znam ją, zde-

cydowanie. Czy będę ją znał rano? Znam teraz”. Bo to, co myślał, byłoby bardzo dziwne dla jego umysłu na jawie, trudne do zaakceptowania, jeśli nie wręcz głupie. Ale dlaczego tak było? „Dlaczego?”

- zastanawiał się. „Dobry Boże, jestem taki leniwy, taki słaby, czy moja dusza jest taka gnuśna jak moje ciało?” Jego serce biło nierówno i boleśnie; a jednak czuł się pewny siebie i szczęśliwy. Co to było? Co robił on i inni? Rzeczywiście zawinił, tak jak inni. To także nie było takie ważne. Wszyscy popełniali błędy i występki. Ale było dla niego absolutnie jasne, że wszystko, wszystko bez wyjątku, wydarzało się jak gdyby w pojedynczej duszy lub osobie. A jednak - w tym miejscu miał niemal ochotę uśmiechnąć się do siebie - jednak podejrzewał, więcej niż podejrzewał, wiedział, że jutro stanowisko to będzie nie do utrzymania. „Nie będę w stanie go utrzymać”

- pomyślał. Coś stanie temu na przeszkodzie.

Szczególnie żywo przypominał sobie uderzający wyraz zrozumienia w oczach Allbeego, odzwierciedlający niewątpliwie coś w jego własnych. Skąd się to brało? „Jak w tym o czerni i bieli” - rozmyślał. Czerni i biel to były słowa pana Schlossberga, do których często wracał. Albo prawda jest prosta, albo musimy zaakceptować fakt, że nie możemy jej poznać, a jeśli nie możemy jej poznać, to nie ma się na czym oprzeć.

„Możemy zrobić tylko tyle a tyle. Po co mordować się na próżno?” - mówił Leventhal do siebie. Nie, prawda musi być czymś, co rozumiemy od razu, bez wstępów

czy wyjaśnień, lecz czymś tak zwykłym i dobrze znanym, że nie zawsze dostrzegamy ją wokół siebie.

Zaciskając ręce na poduszce, obrócił się i zamknął oczy. Był jednak zbyt wzburzony, by spać. Słyszał oddech Allbeego i wstał, żeby zamknąć drzwi między pokojami.

Zapomniał nastawić budzik i zbudził się za późno. Dzień był szary i gorący. Zirytowany tym, że zasnął, szybko ubrał się i ogolił. Po zmyciu piany wciąż wyglądał na nieogolonego. Nasypał na ręcznik trochę talku, wtarł go w podbródek i wciągnął przez głowę koszulę. Nie miał czasu, by wstąpić do restauracji na śniadanie. Wziął z kuchni pomarańczę, by zjeść ją po drodze do metra.

Wszedł do pokoju stołowego, gdzie Allbee leżał twarzą do dołu, ciasno owinięty prześcieradłem. Jego grube łydki były nagie, a ramiona wyciągnięte do przodu, przy czym jedna ręka dotykała krzesła, na którym w nieładzie leżało ubranie. Leventhal pociągnął za materac, lecz Allbee się nie poruszył. Już miał nim potrząsnąć, lecz zawahał się zdenerwowany i rozzłoszczony, uznając, że byłoby to nierozsądne. Gdyby go bowiem teraz obudził, straciłby prawdopodobnie pół poranka na pozbycie się go z domu. Nie wiedział, co z nim począć. Teraz - spojrzal na zegarek - nie było jednak czasu się nad tym zastanawiać. Pełen obaw wyruszył do biura.

Niemal z radością powitał swoje zielone metalowe biurko założone setkami papierzysek. Wielka, wypeł-

niona chmurami szara przestrzeń, na którą wychodziły jego okna, wydawała się nieruchoma. Trwająca wokół krzątania, kołysanie się drzwi wahadłowych, kiedy przechodziły przez nie dziewczęta, drżenie i migotanie wentylatorów na długich prętach, działały na niego uspokajająco. Intensywnie pracował. Do jedenastej skończył wszystkie korekty i poszedł do pana Bearda omówić artykuł wstępny do następnego numeru. Millikan, zięć, był obecny i siedział obok starego. Nie brał udziału w rozmowie. Beard wysunął bez przekonania kilka zastrzeżeń, po to tylko, jak wydawało się Leventhalowi, by zaznaczyć swój autorytet - nie dlatego, że miał coś innego do zaproponowania, ale dlatego, że nie chciał się od razu zgodzić. Daszek przeciwsłoneczny oddzielający jego pokryte białymi plamami czoło od reszty twarzy, skrywał nieco jego minę, lecz można było wywnioskować, że jest całkiem zadowolony. Zdradzały to usta i szczeka. „I co, radzę sobie jakoś z tą pańską cholerną pracą?“, chciał zapytać Leventhal. Nie powiedział tego, miał beznamiętny wyraz twarzy. Przebiegł go jednak głęboki dreszcz satysfakcji.

- Wszystko idzie gładko - rzekł.

241

Żaden nie odpowiedział. Leventhal przeciągał milczenie przez niemal minutę, aż w końcu wymusił na Beardzie kiwnięcie głową, po czym wyszedł. Nie twierdził, że jest niezbędny; z drugiej strony <sup>16</sup> - Ofiara jednak nie spałaby im korona z głowy, gdyby czasem przyznali, że jest dla nich cenny. Pomimo

wszystkich kłopotów i rozterek wciąż terminowo wykonywał swoją pracę. A Beard zdawał sobie sprawę, jaki jest wydajny, i właśnie dlatego poczynił wobec pana Faya tamtą nieprzyjemną uwagę. „Naprawdę dośkwiera mu to - pomyślał Leventhal - że musi przyznać, iż potrzebuje kogoś do swego interesu. Chce być tym jednym jedynym i najważniejszym. Nowoczesnego koncertu nie prowadzi się w ten sposób. Dlatego zawsze będzie płotką”.

Wracając do swojego biurka, spotkał pana Faya. To, że Fay tamtego dnia usiłował go bronić, sprawiło, że Leventhal miał nadzieję na więcej, na wskazówkę odnośnie do tego, co się wydarzyło, próbę ostrzeżenia go albo doradzenia mu. Wystarczyłby jeden znak. Nie zaszkodziłoby mieć przyjaciela w redakcji. Ponadto chciał podziękować Fayowi za wstawienie się za nim. „Może któregoś dnia przemówi” - powiedział sobie. Fay zatrzymał go i wspomniął o reklamodawcy kończącym budowę nowej fabryki, o której należałoby napisać. Mówił już o tym wcześniej. Tym razem Leventhal słuchał uważnie, poprosił o więcej szczegółów, porobił notatki w bloku piśmiennym i powiedział:

- To da się bez trudu załatwić.

Patrzył na Faya tak wyczekująco, że ten zdawał się myśleć, iż chce jeszcze coś powiedzieć, i zatrzymał się, pytając kierując na niego ciemne oczy, osadzone pod siwiejącymi, krótkimi brwiami i przesłonięte błyszczącymi szklami okularów.

- Tak - rzekł Leventhal - napiszę to dla pana - i odwrócił się z mieszaniną doznań, a przede wszystkim z uczuciem, że Fay go zawiedzie.

Dzwonek telefonu przypominający mu o chorym

bratanku i o Alibeem, którego pozostawił śpiącego, sprawił, że do twarzy napłynęła mu krew. Niezgrabnie wykręcał szyję, gdy umieszczał słuchawkę między ramieniem a uchem, modląc się, żeby to była rozmowa służbowa. Jedną ręką manipulował gorączkowo przy splątanych przewodach.

Z początku nie usłyszał nikogo i usiłował dać sygnał telefonistce. Po chwili zgłosiła się jakby nigdy nic, mówiąc:

- Ktoś o nazwisku Williston do pana.

By odzyskać panowanie nad sobą, na chwilę wstrzymał oddech. Potem powiedział:

- Proszę połączyć.

Powoli odchylił się do tyłu w fotelu o skórzanym oparciu, wyciągając czubkiem buta szufladę i układając na niej nogę.

- Halo - powiedział Williston.

- Dzień dobry, Stan, jak się pan miewa?

- Całkiem nieźle.

- Dzwoni pan w sprawie Allbeego? - Leventhal wiedział doskonale, że ta bezpośredniość nie mogła być w smak Willistonowi, który wołał mówić ogródkami.

Ale dlaczego miałby na to pozwolić?

Tamten nie odpowiedział od razu.

- Czy tak nie jest?

- Chyba tak. Tak - odparł Williston z wyraźną niechęcią. - Zastanawiałem się, czy się pan z nim widział.

- Ależ tak, widziałem się z nim. Przychodził do

mnie. Prawdę mówiąc, pojawił się zeszłej nocy. Powiedział, że wyrzucono go z domu, w którym wynajmował pokój. Przyjąłem go do siebie. Został na noc.

- Wyrzucono? - zapytał Williston z powątpiewaniem.

- O co chodzi, myśli pan, że przesadzam? Nie widział go pan. Gdyby rzucił pan na niego okiem, nie wydałoby się to panu takie niemożliwe.

- Co zamierza robić?

- Też chciałbym to wiedzieć, ale on prawdopodobnie sam nie ma pojęcia. Jeśli to pana interesuje, to myślę, że chyba jest chory. Coś musi być z nim nie w porządku.

Williston zdawał się nad tym zastanawiać, bo przez chwilę nie było odpowiedzi. Potem rzekł:

- Nie dał panu jakoś do zrozumienia, czego chce?

- Dał zbyt wiele do zrozumienia. Ale nie mogę wydobyć z niego żadnego konkretnego, na tym polega kłopot. - Zdjął nogę z szuflady i pochylił się nad biurkiem, trzymając słuchawkę w obu dłoniach. - Powinien go pan usłyszeć: szybko by się pan zorientował, że coś jest nie tak.

Głos Willistona powrócił z przeciągłym śmiechem. „Usiłuje mnie uspokoić” - pomyślał Leven- thal z uczuciem zniechęcenia. „Uważa, że przesadnie narzekam, i chce to obrócić w żart”.

- No, chyba nic jest aż tak złe, co? - zapytał Williston.

- Jest bardzo źle. Nie zdaje pan sobie sprawy, jak źle. Mówię panu, nie widział go pan ani nie słyszał, co ma do powiedzenia, jakie rzeczy wygaduje. Rzeczywiście popełniłem błąd z Rudigerem, wiem o tym. Cała tamta sprawa była niefortunna. Nie będę próbował się od tego wymigać, chociaż mógłbym, gdybym chciał. Ale niech mi pan wierzy, nie ma pan pojęcia, w jakim on jest stanie. Prawdopodobnie należałoby mu załatwić pracę. Czy ją przyjmie, czy nie, to już inna historia. Może nie chce pracować. Nie potrafię panu powiedzieć. Chce wszystkiego, a nie wydaje mi się, żeby chciał coś robić. Wciąż odgrywa przede mną komedię. - Przerwał na chwilę i mruknął do siebie: „Powiem mu otwarcie, co myślę, czy tego chce, czy nie”.

- Ależ to zwykła dziecinada - rzekł Williston. Le- venthal nie był w stanie się zorientować, któremu z nich zarzuca dziecinadę. Szukał słów, boleśnie napinając twarz, by podjąć trudowi kontynuowania rozmowy. Była bezcelowa, stanowiła dodatkowe brzemie.

- Może pan mógłby mi coś użytecznego doradzić, Stan.

- Powiedziałem, że zrobię wszystko, co w mojej mocy. - Williston sprawiał wrażenie, jakby sam czuł się oskarżony.

- W końcu ja jestem podobno jego wrogiem. Pan jest jego przyjacielem.

Nie dosłyszał całej odpowiedzi. Wychwycił z niej tylko coś o „praktycznym kroku” i zrozumiał, że



Williston jest zniecierpliwiony przebiegiem rozmowy.

- Pewnie, że jestem za czymś praktycznym - odparł. Lecz gdy tylko wypowiedział te słowa, uświadomił sobie, że on i Williston dalej niż kiedykolwiek, beznadziejnie daleko, odbiegli od prawdziwych problemów. W rozmowie telefonicznej „praktyczny krok” był czymś bliżej nieokreślonym i kiedy próbował odnieść go do Allbeego, przestawał cokolwiek znaczyć. Dla niego samego praktycznym krokiem było pozbycie się tego człowieka, a Willistonowi nie o to chodziło. - Niech pan coś wymyśli - nalegał. - Zna go pan. Może pan jest w stanie dociec, co by go usatysfakcjonowało

- On musi mieć jakiś określony cel. Gdybym mógł z nim porozmawiać, może bym się czegoś dowiedział.

- Jak miałyby dojść do takiej rozmowy? On nie chce, żeby pan cokolwiek o nim wiedział. Był wściekły, kiedy usłyszał, że rozmawiałem o nim z panem. Ale zaproponuję mu to i zobaczę, co się stanie.

- W takim razie będę oczekiwał wiadomości od pana - rzekł Williston. - Nie zapomni pan zadzwonić, prawda?

- Zadzwonię - obiecał Leventhal. Odłożył słuchawkę i stawiając telefon na jakichś papierach jako przycisk, ogarnął roztargnionym wzrokiem biurko, sięgnął marynarkę z oparcia krzesła i wyszedł na lunch.

Zjechał na dół windą w otoczeniu gromady dziewcząt ze szkoły handlowej piętro wyżej, w dużej mierze nieświadomyi przyjemności, jaką sprawiały mu ich

gładkie ramiona i twarze. Winda zsuwała się wolno w zatęchłym szybie z brzęczeniem dzwonek sygnalizacyjnych i rozbłyskiwaniem maleńkich strzałek. Na ulicy kupił gazetę i przejrzał ją w kafeterii. Po lunchu udał się w stronę rzeki, przechodząc przez uliczne targowiska, między workami z ziarnami kawy. Zapach prażenia mieszał się z wonią benzyny. Przez tupot nóg i warkot ciężarówek przebijał się czasem gwizd holownika albo niskie buczenie parowca, a bomby jachtów jeżyły się jak kolce agawy, przedzielając biel nieba, tak jak mola przedzielały biel wody.

Wrócił do biura jako pierwszy; pomieszczenia były puste. Lekki podmuch wiatru przemknął po papierach leżących na biurku albo pozostawionych w maszynach do pisania i okrył cieniem zielone płócienne rolety na oknach. Leventhal wyszedł na schody przeciwpożarowe, żeby dokończyć cygaro, i właśnie zgasił je na poręczu i odrzucił niedopałek, gdy jeden z telefonów zaczął dzwonić. Obracając się gwałtownie, uderzył ramieniem o framugę drzwi i przez chwilę nic nie widział - wnętrze biura wydawało się czarne. Przerażliwe dzwonienie wypełniało powietrze, nadbiegając ze wszystkich czterech rogów pokoju naraz. Czuł, jak przerażenie ściska mu serce, a przejmujące dreszczem, przenikliwe brzęczenie dzwonka było nieskończenie szybsze od przepływu jego krwi. Dotarł do biurka. Telefon był do niego.

- Tak? Kto chce ze mną rozmawiać? - krzyknął do telefonistki.

Był to Villani.

Leventhal zamknął oczy. Stało się to, czego się spodziewał. Mickey nie żył. Słuchał przez chwilę Villaniego, a potem ryknął:

- Gdzie jest mój cholerny brat!  
- Przyjechał wczoraj wieczorem - odparł Villani. - Pojechał prosto do szpitala. Było już za późno. Biedny chłopczyk.

Leventhal odłożył słuchawkę. Nie był w stanie powstrzymać drgania mięśni na szyi. Odepchnął się od krawędzi biurka, jakby miał wstać; wraz z przyprawiającym o mdłości przyplywem pełniejszego zrozumienia jego szeroka twarz zupełnie pobladła, a rysy stężały.

Po pewnym czasie wziął do ręki notatnik i zamaszystymi pociągnięciami kredki napisał wielkimi literami nazwisko pana Bearda, a pod spodem: „Śmierć w rodzinie”, po czym wstał, żeby zanieść kartkę na jego biurko.

Pełen gniewnej energii poszedł do toalety i zaczął polewać głowę wodą. Ból rozsadzał mu czaszkę. Nad umywalką, z mokrą twarzą, zaczął płakać. Wyrwał z pojemnika papierowy ręcznik i przycisnął go do oczu. Potem usłyszał, że ktoś nadchodzi, i po omacku wszedł do kabiny. Zamknął drzwi i oparty o nie plecami, stopniowo, z milczącym wysiłkiem, odzyskał panowanie nad sobą.

15

Na promie był tylko prąd słonawego powietrza

zamiast tej co zwykle świeżej bryzy. Statek pruł wodę z ponurym łoskotem pod szeroką krawędzią dzioba. Powietrze było kredowobiałe, a popołudniowe słońce wydawało się blade. Jeden z marynarzy pokładowych siedział oparty nagimi plecami o sterówkę, z głową ułożoną na kolanach, obejmując potężnymi przedramionami nogi. Gdy na przystani schodził ślamazarnie po drabinie, żeby opuścić łańcuch, Leventhal przeskoczył obok niego i pośpiesznie przeszedł przez wiatę. Jego autobus właśnie odjeżdżał, popędził więc za nim, waląc w drzwi otwartą dłońią. Autobus przystanął, składane drzwi otworzyły się i Leventhal wcisnął się między pasażerów stojących na dolnym stopniu. Kierowca uniósł się na siedzeniu i krzyknął coś przenikliwym głosem. Jego szyja była napięta i gniewna, a szary kołnierzyk poczerniały od potu. Ponieważ nikt nie odpowiedział, po chwili zwłoki przesunął w dół dźwignię zmiany biegów i ruszył znowu. Leventhal dyszał. Nie zwracał uwagi na pot spływający mu po twarzy ani na pieczenie dłoni. Podobnie jak na statku, myślał o tym, że musi się przygotować na zarzuty. Elena na pewno będzie go obarczać winą, a jej matka będzie ją do tego podjudzać. To on opowiadał się za szpitalem, on sprowadził specjalistę; wtrącał się. Starsza pani nie miała znaczenia, ale bardzo bał się Eleny. Choroba była już prawdopodobnie w beznadziejnym stadium, gdy Denisart zajął się tym przypadkiem. W szpitalu Mickey miał przynajmniej szansę i gdyby posłuchała rady

pierwszego lekarza, być może by go uratowano. Jeśli więc była to czyjakolwiek wina, to jej samej. Ale obawiał się Eleny właśnie z powodu niedorzeczności zarzutów. Niemniej jednak musiał stanąć z nią twarzą w twarz. Nie mógł się teraz trzymać z dala.

Poszukał wśród rzędów dzwonek, znalazł ten, który należał do jego brata, zadzwonił i wszedł na górę. Drzwi mieszkania były lekko uchylone. Popchnął je i był zaskoczony, natrafiwszy wewnątrz na opór. Puścił gałkę i cofnął się o krok. Przemknęło mu przez głowę, że za tymi drzwiami nie znajduje się dziecko, nie Philip. A czemu Max miałby próbować go nie wpuścić? Czy mogła to być Elena? Gorąca fala strachu wezbrała w nim na myśl, że jego pchnięcie powstrzymała energia szaleństwa.

- Kto tam jest? - zapytał ochryłym głosem. - Kto to?

Ponownie podszedł do drzwi. Tym razem otworzyły się pod samym jego dotknięciem. W korytarzu była matka Eleny. Od razu zrozumiał, co się stało. Stojąc przy zawiasie, żeby zobaczyć, kto idzie, została przyciśnięta do ściany w wąskim przedsionku.

- Co pani robi? - jego ton był szorstki.

Milczała, a jej spojrzenie zbiło go z tropu; pod mściwością tego wzroku kryło się coś obłąkańczo przypominającego rozbawienie.

- Gdzie są wszyscy?

- Wyjść. Ja sama - odparła swoim ostrym głosem. Nigdy wcześniej nie słyszał jej mówiącej po

angielsku. Zdziwiło go to. Jeśli chodzi o rozbawienie, to musiał się mylić. To jej świdrujące spojrzenie nasunęło mu coś takiego na myśl. W końcu chłopiec był jej wnukiem.

- Dokąd poszli?

Albo nie wiedziała, albo nie była w stanie wytłumaczyć. Wydała z siebie kilka dźwięków. Z kuchni wydobywała się para; widział ją za jej plecami. Czy gotowała kolację?

- Gdzie są, w kaplicy? Czy pogrzeb jest dzisiaj? i Wzruszyła jedynie ramionami; nie chciała odpowiedzieć i rzuciła mu kolejne z tych strasznych spojrzeń pełnych złości i triumfu, jakby był diabłem.

- Przyjdą chyba do domu, żeby coś zjeść... *man-gare?* Kiedy?

To była strata czasu. Chciała się go tylko pozbyć. Odwrócił się od niej i zszedł na dół.

U Villaniego nikt nie odpowiedział na jego pukanie. Ból głowy stawał się coraz mocniejszy. Zmarszczył czoło i rozpaczliwie załomotał w drzwi. Potem przyszło mu na myśl, żeby spróbować u dozorca. Zastał go na podwórzu, czytającego gazetę w cieniu schodów do kotłowni.

- Czy nie wie pan, gdzie mógłbym znaleźć moją rodzinę? - zapytał. - Jestem bratem Maksa Leven-thala.

Dozorca wstał. Stary i powolny, wsparł ciężar ciała na wygiętych i obrzmiałych knykciach.

- Tak, chłopiec będzie chowany z domu pogrzebowego Boldiego.

- Stara teściowa jest na górze, ale nie chciała mi powiedzieć. Gdzie jest ten zakład Boldiego?

- Dwie przecznice stąd. Niech pan po wyjściu z budynku skręci w lewo. Po tej samej stronie ulicy. Na rogu jest kościół. - Pochylił się, żeby podnieść gazetę, którą wcześniej rozłożył na swoich brązowych filcowych pantoflach.

Słońce przesunęło się na bardziej bezchmurną część nieba i jego blask był obezwładniający. Leventhal zdjął marynarkę. Gorący dotyk kamieni brukowych przenikał przez podeszwy jego butów; czuł go aż po kości stóp. Na długim, czarnym podwórzu w kształcie półwyspu rósł rząd szorstkich, zgniłozielonych krzewów. Chropowate mury płonęły i wszystkie przedmioty - wynędzniałe krzewy, twarz kobiety pojawiająca się obok zasłony, góra melonów przed sklepem spożywczym - ukazywały mu się, jak gdyby powietrze tchnęło w nie nową siłę i nadało im inną jakość; a kolory, ziarniste i krwawe, czerń, zieleń, błękit, drżały niczym obłoki gazu ponad niezachwianymi liniami cienia. Otwarte drzwi sklepu spożywczego przypominały wejście do jaskini albo kopalni; puszki świeciły jak osadzone w ziemi skały. Gdy ujrzał kościół, o którym wspomniał dozorca - jego ogrom, wspaniałość, stan zniszczenia, ogrodzony dom parafialny, ogród i małą fontannę, grubo pokrytą bielą ołowianą i przesłoniętą lekką mgiełką wody - przez chwilę miał wrażenie, że znajduje się w cudzoziemskim mieście.

Przeszedł przez biuro Boldiego i wszedł do poczekalni. Ujrzał tam Philipa siedzącego w wiklinowym fotelu. Jego nogi były skrzyżowane na podnóżku, a głowa spoczywała na uniesionym ramieniu.

-Jak się masz, chłopcze? - zapytał spokojnie Leventhal.

- Dzień dobry, wujku - odparł Philip. Wydawał się apatyczny.

- Słyszałem, że wrócił twój ojciec.

- Tak, przyjechał.

Przez owalne okna nabijanych ćwiekami skórzanych drzwi Leventhal zauważył blask świec. Wszedł do kaplicy. W środku było chłodno. Gdzieś w budynku szumiał duży wentylator. Za spiętrzonymi zniczami płonącymi na ołtarzu wisiał Chrystus naturalnej wielkości. Leventhal zdjął kapelusz i podszedł do trumny. Uderzyła go miękkość twarzy chłopca, brak oznak cofnięcia się czy strachu. Zwrócił uwagę na zakrzywienie jego nosa, wygląd zaczesanych do góry włosów, których końce dotykały fałd atlasu, ułożenie małego podbródka nad piersią, i powiedział do siebie: „Stałby się podobny do Maksa i do mnie. Byłby Leventhalem”. W zamyśleniu przesunął palcami po gładkiej miedzianej barierce z umieszczonym na niej węzłem z ciemnego pluszu i spojrzął w górę. Kaplica nie podobała mu się. Elena niewątpliwie upierała się przy katolickim pogrzebie. Miała do tego prawo. Ale z punktu widzenia Leventhalów, a chłopiec był również jednym z nich, osobliwe po tylu pokoleniach było to, co



się teraz działa. Powodowany niejasnym uczuciem, pomyślał sobie: „Nie zadawajcie sobie trudu, dzięki, poradzimy sobie sami...”

Odwrócił się od barierki i ujrzał przed sobą brata.

Jego widok uderzył Leventhala ze straszliwą siłą. Był nastawiony na to, że powita go z gniewem; jego pierwszym słowem miała być przygana. Teraz jednak, zamiast mówić, przyglądał się bratu, ciemności i obolałości jego spuchniętej twarzy, bliźnie w kącie ust po ranie, jaką odniósł przed laty w ulicznej bójkę w Hartford. Był ogorzały od pracy na świeżym powietrzu; utrata kilku zębów sprawiła, że jego szczęka wydawała się dłuższa. Jego garnitur - takie ubrania robotnicy kupowali niegdyś w sklepie jego ojca. Nowe czarne buty były zakurzone.

- Nie zdążyłem na czas - powiedział.
- Słyszałem, Max.
- Wyjechałem, kiedy tylko przyszedł telegram.

Przybyłem o jakieś dziesięć minut za późno.

- Kiedy pogrzeb?
- O czwartej. - Max poprosił go gestem, by odeszli na bok. W przejściu przy ścianie, ściskając rękę

Leventhala i pochylając się nad nią, wybuchnął płaczem. Szeptął, lecz czasem jego szloch albo na w pół wyartykułowane słowo wyrywały się głośniejsz i rozbrzmiewały w całym pomieszczeniu. Leventhal usztywnił ramię, aby podtrzymać brata. Usłyszał, jak mówi: - Był przykryty - i stopniowo, po wielu powtórzeniach, dowiedział się, że Max wszedł do sali,

nie zdając sobie sprawy, że Mickey nie żyje, i zobaczył prześcieradło zaciągnięte na jego głowę.

- Straszne - powiedział. - Straszne.

Wpatrywał się w szerokie plecy Maksa i jego opalony kark, a kiedy przesunął wzrokiem po wypolerowanych rzędach ławek, zobaczył Elenę siedzącą między Villanim i księdzem. Rzuciła mu spojrzenie pełne zapiekłego gniewu. Pomimo słabego światła nie mogło być co do tego wątpliwości. Jej twarz była biała i napięta. „Co ja takiego zrobiłem?” - pomyślał; ogarnęła go panika tak wielka, jakby tego wcześniej nie przewidział. Bał się, by nie pochwyciła jego wzroku, i nie odwzajemnił jej spojrzenia. Pomógł Maksowi przejść dalej i usiadł obok niego, wciąż trzymając go za ramię. Co by zrobił, gdyby tu i teraz - wyobraził sobie najgorsze - zaczęła na niego wrzeszczeć, oskarżając go? Raz jeszcze obróciła przez ramię twarz w jego stronę, twarz jakby płonąca w swej bieli. Musiała być obłąkana.

Była obłąkana. Nie pozwolił sobie ponownie użyć tego słowa. Rozpaczliwie powstrzymywał je jak człowiek, który boi się szeptać, żeby nie zacząć krzyczeć.

Wyjechał na cmentarz z Villanim i księdzem, za limuzyną wiozącą Maksa, Elenę, Philipa i panią Villani. Podczas pogrzebu schronił się pod drzewem, trzymając się z tyłu za pozostałymi, którzy stali w pełnym słońcu przy grobie. Gdy zaczęto zasypywać dół, poszedł z powrotem do samochodu. Szofer czekał na stopniu auta, na skraju wysypanego żwirem podjazdu. Blask słońca w akacjach nadawał jego uniformowi

żółtawy połysk. Miał białe włosy i nabiegłe krwią oczy, a jego usta były niecierpliwie wykrzywione, gdy tak chwila za chwilą i oddech za oddechem znosił ten upał. Wkrótce podeszli Villa- ni i ksiądz. Ksiądz był Polakiem, otyłym i bladym. Odepchnął z czoła czarny filcowy kapelusz, zapalił papierosa, zaciągając się głęboko, i wypuścił dym między drobnymi zębami. Wyciągnąwszy chusteczkę, wytarł twarz i kark oraz grzbiet dłoni.

-Jest pan krewnym, hę? - zapytał, po raz pierwszy zwracając się do Leventhala.

Villani odpowiedział za niego.

- Jest bratem ojca, proszę księdza.

- Och tak, smutna historia. - Jego palce, niemal pozbawione paznokci i wygięte na końcach, ugniaty papierosa. Spojrzał uważnie na niebo, marszcząc grubą białą skórę na czole, i powiedział coś o upale. Rodzina zbliżała się teraz do samochodów i szoferzy uruchomili silniki.

257

- Za gorąco tam z tyłu dla trzech - rzekł Leventhal i usiadł na przednim siedzeniu. Chciał uniknąć towarzystwa księdza. Dotykając rozgrzanego metalu klamki, rzekł w duchu: „Bywaj, chłopcze”, i spój-  
17 - Ofiara rzał na przesuwającą się za oknem żółć i brąz gruboziarnistej ziemi oraz dwóch mężczyzn w wysokich butach, którzy pracowali łopatami. Od czasu do czasu widział Maksa na tylnym siedzeniu cadil- laca i próbował przypomnieć sobie Elenę, uporczywie odtwarzając w myślach jej obraz, gdy szła między Maksem i Villanim do grobu, jej pełną figurę w czarnej sukni, dłonie zacisnięte na obu ramionach, gwałtowne

ruchy głowy. Biedny Max, co miał z nią począć? A co będzie z Philipem? „Wziąłbym go choćby zaraz do siebie” - pomyślał.

Nie pożegnał się z rodziną. Słońce już zaszło, gdy dotarł na prom. Statek płynął wolno po ospałej zatoce. Rozbiła się o niego fala większej jednostki i Leventhalowi mignął przed oczami mroczny pomarańczowy kadłub, niczym wnętrze pieca ukazujące się na wodzie. Przesunął się po nim reflektor z mostka i po chwili kadłub zniknął, zgaszony jak świeca. Lecz jego gigantyczne brodenie wciąż było słyszalne od strony morza w gorącym, czarnym powietrzu.

Po wyjściu z metra zwlekał z powrotem do domu. Zatrzymał się w parku. Tego wieczora tłum był niezwykle gęsty. Na chodniku stała ta sama orkiestra ruchu odnowy religijnej. Jakaś kobieta śpiewała. Jej głos i akompaniament organów były bardzo nikłe, jedynie kilka tonów wydobyło się z ogromnego, nieskończonego gwaru. Długo szukał, nim znalazł miejsce do siedzenia w pobliżu stawu, w którym pluskało się kilkoro półnagich dzieci. Drzewa były spowite duszącym kurzem, a gwiazdy widoczne przez jego chmurę wydawały się blade i rzadko rozsiane. Ławki tworzyły gęsty podwójny ludzki krąg; ścieżki były zatłoczone. Panowało przytłaczające ludzkie zagęszczenie i ścisk, i Leventhal odczuwał obecność nie tylko tłumu w tym parku, ale niezliczonych milionów, mijających się, dotykających, cisnących. Co to była za historia, którą kiedyś słyszał, o tym, jak piekło otworzyło się z powodu gniewu boga mórz i wszystkie

stłoczone dusze wyrzały na zewnątrz? Ale ci tutaj byli żywi, ta młoda para z nagimi ramionami, ta kobieta w zaawansowanej ciąży, przechadzająca się nieśpiesznie, ten pucybut wlokący swoją skrzynkę na długim rzemieniu.

Leventhal pomyślał, że dla jego ojca to, co wydarzyło się dzisiaj na Staten Island, byłoby niepojęte. W Hartford stary wskazywał na kosze kwiatów w drzwiach domów i mówił, ile cudzoziemskich dzieci, włoskich albo irlandzkich, umierało. Był zdumiony wielkością rodzin, liczbą rodzących się i umierających. Jakież byłoby jego zdziwienie, gdyby się dowiedział, że jego własny wnuk jest jednym z nich, pochowanym na katolickim cmentarzu. Z kwiatami, tak jak inne. I ochrzczonym. Leventhalowi po raz pierwszy przyszło do głowy, że Elena na pewno go ochrzciła. I że jego syn jest robotnikiem, nieróżniącym się od tych, którzy przychodzili do sklepu kupować skarpetki, czapki i koszule. Nie rozumiałby tego.

O dziesiątej, przybity i zmęczony, Leventhal wyruszył do domu. O Allbeem pomyślał dopiero, gdy zaczął wchodzić na górę, a wtedy przyśpieszył kroku. Przekręciwszy klucz, otworzył z hukiem drzwi i zapalił światła. Prześcieradła, szlafrok i ręcznik leżały skotłowane na kanapie w pokoju stołowym. Na podłodze stało pół szklanki mleka.

Wrócił do pokoju dziennego i wyciągnął się na łóżku, zamierzając przez chwilę odpocząć przed zdjęciem ubrania i zgaszeniem światel. Z jękiem położył

rękę na twarzy. Niemal od razu zasnął.

W nocy usłyszał jakiś hałas i usiadł w łóżku. Światła nadal się paliły. Ktoś był w mieszkaniu. Wszedł cicho do ciemnej kuchni. Drzwi do pokoju stołowego były otwarte i przy oknie zobaczył Allbeego, który się rozbierał. Stał w majtkach i ściągał przez głowę koszulę. Strach, jaki odczuł Leventhal, choć głęboki, trwał tylko przez chwilę, jak pojedyncze dźwięczenie. Również jego oburzenie było krótkotrwałe. Wrócił do pokoju dziennego i zdjął ubranie. Pogasiwszy światła, ruszył w ciemności w stronę swego łóżka, mrużąc: „Idź, zostań - wszystko mi jedno”. Ogarnęła go obojętność zbliżona do odrętwienia i położył się bardziej świadomy upału niż jakiegokolwiek uczucia w sobie.

Pan Millikan, który nadzorował w drukarni łamanie, reprezentował firmę na konferencji branżowej i Leventhal musiał w południe pojechać do zakładu na Brooklyn Heights, żeby go zastąpić.

Czekał na peronie metra w nieruchomym brązowym powietrzu i czuł się wyczerpany. Nie wiedział, jak zdoła przetrwać dzień. Wjechał pociąg i Leventhal usiadł apatycznie pod wolno obracającym się wentylatorem, który rozgarniał upał. Ciągle myślał o śmierci dziecka. Tak wcześnie przykryty i zasypany. Tak wcześnie. Powtarzał to bezwiednie, podczas gdy jego głowa kołysała się w rytm wstrząsów wagonu podczas długiej jazdy pod rzeką, zakończony pod hotelem St. George. Wysiadł z pociągu i wyjechał windą na poziom ulicy.

Millikan opracował cztery strony, pozostawiając mu kolejne cztery. Praca postępowała wolno; zrobił się senny i popełniał błędy prowadzące do nudnych przeliczeń. Około czwartej zaczął zasypiać. „To ta maszyna” - pomyślał. Prasy drukarskie znajdowały się na górze i pracowały bezustannie przez cały dzień. Zrobił sobie przerwę na spacer. Było dziwne, że czuł się taki niemrawy i ociężały, choć jednocześnie tak pełen niepokoju.

Wszedł do restauracji na filiżankę kawy. Krzesła stały na stołach i chłopiec z rudą, kanciastą głową i piegawatymi, zgarbionymi ramionami zmywał posadzkę. Kelnerka obesła przesuając się naprzód linię brudnej wody, żeby poprosić Leventhala o odsunięcie się na bok. Wypił przy barze kawę, wytarł usta podłużną papierową serwetką, nie zadając sobie trudu jej rozłożenia, powąłęsał się w holu hotelu St. George, przeglądając kilka czasopism, i wrócił do drukarni. Przypatrując się stronom z pustymi miejscami, westchnął i wziął do ręki nożyczki. Maszyny drukarskie zatrzymały się, zanim skończył.

O wpół do siódmej nakleił ostatni pasek i wytarł ręce w kawałek makulatury.

W drodze na kolację wstąpił do domu, żeby zajrzeć do skrzynki na listy. Była w niej kartka od Mary informująca, że pisze ona długi list, który spodziewa się

wysłać za dzień albo dwa. Rozczarowany wsunął wiadomość do kieszeni koszuli. Nie wszedł na górę. Niedaleko rogu ulicy spotkał Nuneza w kombinezonie i słomkowym kapeluszu, niosącego siatkę pełną zakupów.

- Ej, ej, hej! Jak się pan miewa, panie Leventhal?

Widzę, że znalazł pan sobie towarzystwo pod nieobecność żony.

- Skąd pan wie? - zapytał Leventhal.

- My, dozorczy, mamy oko na wszystko, co dzieje się w budynku. Musimy być wścibscy. Nie w tym rzecz, człowiek dowiaduje się, nawet kiedy mu nie zależy. Nie da się temu zaradzić. Lokatorzy się dziwią. *Brujo*, widzę przez ściany. A oni nie wiedzą, co?

- Zakreślił palcami spiralę, świetnie się bawiąc. - Nie.

Wychodzi pan rano, a potem słyszę, że gra pańskie radio. Dziś po południu winda kuchenna pojechała na czwarte piętro. A później, co w niej było? Pusta puszka po zupie i butelka po whisky.

„A więc tym się zajmuje” - pomyślał Leventhal.

„Chleje cały dzień. Po to wpuściłem go do domu”.

Do Nuneza powiedział:

- Zatrzymał się u mnie przyjaciel.

- Ależ nie obchodzi mnie, kogo pan ma u siebie.

- Nunez zaśmiał się znacząco i z zadowolenia zmarszczył nos, aż na czole pokazały mu się żyły.

- A kogo mam pańskim zdaniem?

- Wszystko w porządku. Sądząc po tym, jak winda pojechała na górę, to nie żadna damulka ciągnęła za linę, to pewne. Niech się pan nie martwi. - Grubym w stawach, muskularnym ramieniem, na którym



wytatuowane było krwawiące serce, zakolysał siatką. Leventhal poszedł dalej w stronę restauracji.

- Nie ma pieniędzy na czynsz - powiedział, schodząc po schodach i schylając się pod markizą. - Ale na wódę to ma. Na wódę potrafi je zdobyć. Gdzie?

Przyszło mu do głowy, że Allbee ukradł jakiś przedmiot z mieszkania i zastawił go. Ale co tam było cennego? Futro z fok Mary zostało oddane na przechowanie. Łyżki? Srebra nie były warte kradzieży. Ubranie? Ale właściciel lombardu podejmowałby wielkie ryzyko, robiąc z Allbeem interesy, zważywszy na to, jak był ubrany. Nie, lombardy musiały dbać o koncesje. Leventhal nie bał się zbytnio o swoje ubrania. Miał tweedowy garnitur wiszący w antymolowym worku w szafie; reszta nie była warta zastawienia. A garnitur stanowił dość niską cenę za pozbycie się Allbeego. Był on z pewnością dostatecznie bystry, aby zdawać sobie z tego sprawę. Oczywiście pijacy, kiedy byli wystarczająco spragnieni, wystarczająco zdesperowani, stawali się nierozważni. „Ale jemu nie chodzi o tych parę dolców” - rozumował Leventhal. Bo już proponował mu pieniądze. Allbee musiał mieć jakieś własne zasoby, skoro stać go było na kupno whisky. Co w takim razie z tą historią o wyrzuceniu z mieszkania, czy to był wymysł? Ale znowu ten jego w<sup>7</sup>y- głąd, brudny garnitur, koszula, długie włosy. Leventhal chwilowo uznał, że Allbee zachował trochę pieniędzy na whisky, oszczędzając na czynszu i innych rzeczach. „Ale na razie będzie lepiej, jeśli zamknę wartościowe przedmioty” - powiedział sobie.

Zjadł lekką kolację w postaci pieczonej cielęciny,

zbyt mocno przyprawionej tymiankiem, wypił szklanke mrożonej herbaty z piaszczystym, nierozpuszczonym cukrem i zapalił cygaro. Max i rodzina zajęli miejsce Allbeego w jego myślach. Czy powinien zadzwonić? Jeszcze nie teraz, nie dziś wieczór - skwapliwie wynajdywał dobre wymówki, wzdrygając się nieco na myśl o leżącym za nimi cieniu jego własnej słabości. Wiedział o jego istnieniu. Ale nie był to rzeczywiście dobry moment, żeby dzwonić. Później, kiedy sprawy się ułożą, Max szybko się zorientuje

- zakładając, że ostatnie spojrzenie Eleny w kaplicy oznaczało to, co myślał - z czym ma do czynienia. Chociaż być może w zaistniałych okolicznościach nie było nic takiego niezwykłego w tamtym spojrzeniu. Być może - Leventhal przyglądał się spoinie na długim popiele swego cygara - dał się za bardzo ponieść wyobraźni. Zgryzota, nadmierne obciążenie serca... „Przerażenie, wiesz” - wyjaśnił milcząco. Płaczący ludzie, gdy ich twarze są wykrzywione, mogą wyglądać tak, jakby się śmiali, i tak dalej.

- Cóż, mam wielką nadzieję, że się mylę - powiedział. - Mam nadzieję. I jeśli uda mu się przepędzić z domu starą kobietę, to może zdołają przetrwać.

Śmierć chłopca powinna przynajmniej zbliżyć członków rodziny do siebie. Stara kobieta miała zły wpływ na Elenę; a teraz szczególnie mogła ją wziąć w obroty. Dla dobra Philipa Max powinien pokazać starej wiedźmie drzwi. Gotując i prowadząc gospodarstwo, mogła próbować, w takim okresie, wyrobić sobie potężną pozycję w domu. Musi uzmysłowić to niebezpieczeństwo

Maksowi, który może być skłonny pozwolić jej zostać.

- Wyrzuć ją, nie dawaj jej szansy! - wykrzyknął Leventhal.

Gdyby Max zdał się na nią, wówczas... I mógłby, gdyby go to uwolniło, wyjechać, gdzie będzie miał ochotę, pozostawiając Philipa w jej rękach. Nie, trzeba ją wyrzucić. Siedział przez chwilę przy swoim mrocznym stoliku w rogu, a jego czarne oczy zdradzały bardzo niewiele z mrocznego niepokoju, który go wypełniał.

Po przyjściu do domu zdjął w przedśionku marynarkę. Przez okno, w przejrzystej głębi ponad snującym się brązowym dymem i nisko zalegającą czerwienią spowitych zmierzchem chmur, zobaczył gwiazdę wieczorną. Wszedł przez wąską kuchnię do pokoju stołowego, który był pusty. Wróciwszy do pokoju dziennego, nie od razu uświadomił sobie obecność Allbeego. Dopiero kiedy opadł na fotel obok okna, zobaczył go siedzącego między biurkiem a rogiem pokoju, i wykrzyknął z wściekłością:

- Co to znowu ma znaczyć?!

Zerwał się na nogi i włączył lampę na biurku.

Trzęsły mu się ręce.

- Rozkoszowałem się wieczorną atmosferą.

- Akurat, wieczorną atmosferą! - mruknął Leventhal. - Pijane bydlę!

Potem uparcie milczał, uznając, że to Allbee powinien odezwać się jako pierwszy. Elektryczny zegar szybko terkotał. Głowa Allbeego spoczywała na oparciu fotela, jego długie nogi były szeroko rozrzucone, a ich ciężar wspierał się na piętach. Ręce, luźne w

nadgarstkach, miał skrzyżowane na piersi. Po pewnym czasie poruszył się lekko i westchnął:

- Ten morderczy upał odbiera mi całą energię.  
- A może coś jeszcze poza upałem ją panu odbiera, nie sądzi pan?

- Co...?  
- Whisky - odparł Leventhal. - Podobno szuka pan pracy. Co pan robił? Siedział tutaj i pił? Kiedy pan tu przyszedł, myślałem, że znajdzie pan sobie jakieś zajęcie i poszuka pokoju.

Allbee wysunął głowę do przodu.

- Nie chcę niczego robić pochopnie - odparł i zaczął się uśmiechać. - W każdym interesie - pan to wie, musi pan to instynktownie wiedzieć - najgorszą rzeczą jest pośpiech. Zanim człowiek się zdecyduje... czy zadowolony się byle czym... Trzeba wszystko przemyśleć - zakończył z rozanielonym i głupim wyrazem samozadowolenia na rozedrganej twarzy. Czy jest pijany?, zastanawiał się Leventhal.

- P a n i interes - powiedział z pogardą. - Jakie pan może mieć interesy?

- Och, może mam. Może jakieś mam.  
- Poza tym, jak pan tu wchodzi i wychodzi? Zamknąłem wczoraj wieczorem drzwi na klucz. Jestem tego pewien.

- Mam nadzieję, że nie ma mi pan tego za złe. W kuchni były jakieś klucze i jeden z nich pasował.

Twarz Leventhala zachmurzyła się. Czy Mary zapomniała swojego klucza? A może ten był zapasowy? „Na samym początku agent dał nam dwa - pomyślał - a poza

tym kluczyki do skrzynki na listy i klucz do szafki w piwnicy. A może były trzy klucze do domu?”

- Nie byłem pewien, czy wrócę - rzekł Allbee. - Ponieważ jednak istniała taka możliwość, uważałem, że będzie wygodniej mieć klucz. Próbowałem wczoraj zadzwonić do pana do redakcji, ale pana nie zastałem.

- Niech pan nie zaczyna niepokoić mnie w biurze - rzekł z irytacją Leventhal. - Czego pan chciał?

- Po pierwsze chciałem zapytać pana o pozwolenie w sprawie klucza. A poza tym przyszło mi do głowy coś jeszcze, a mianowicie, że może jakimś trafem jest w firmie Beard i Spółka wolne miejsce dla kogoś takiego jak ja, o które mógłbym się ubiegać. Pan jest w stanie mi tam pomóc.

- U Bearda? To nie przyszło panu tak po prostu do głowy! Nie wierzę w to.

- Ależ tak - zaczął szybko Allbee, ale przerwał sobie. Jego duże pełne usta były rozchylone, a głośny oddech wskazywał na tłumiony śmiech; patrzył na Leventhala z komicznym zaciekawieniem. Ale natrafiwszy na jego nieruchome spojrzenie, zaczął od nowa, bardziej serio: - Nie, naprawdę, naszło mnie to nagle, kiedy jadłem śniadanie. „Dlaczego Leventhal nie miałby mi pomóc w zdobyciu posady w swojej firmie?” To chyba uczciwe? Ja wprowadziłem pana do Rudigera. Nie będziemy liczyli tego, co się stało. Zapomnimy o tym. Traktujmy to jedynie jako odwzajemnioną grzeczność. Umówi mnie pan na spotkanie z panem Beardem - czy on zajmuje się tam osobiście przyjęciami do pracy? - i będziemy kwita.

- Nie potrzebują nikogo.
- Niech mi pan pozwoli samemu to sprawdzić.
- Tak czy owak, nie mogliby panu dać takiej posesady, jakiej pan chce.
- Ale przecież panu jest wszystko jedno, jakiej chcę posesady. To nie miałyby dla pana znaczenia, prawda?
- rzekł, uśmiechając się szeroko. - Niezależnie od tego, czy zostałbym pomywaczem, czy zamiataczem ulic, albo wynajął się jako ludzka przynęta.
- Nie, nie miałyby, to prawda - odparł Leventhal.
- Dlaczego więc miałyby się pan przejmować rodzajem pracy, jaki zaoferowano by mi w pańskiej firmie?
- Czy przypadkiem nie mówił pan przed chwilą o interesach? - zapytał Leventhal. Podszedł do gzymsu kominka, pogrzebał w słoju w poszukiwaniu papierosa, a kiedy już siadał, przesunął dłoń po parapecie okiennym, sięgając po pudełko zapalek leżące w popielniczce. Allbee przyglądał mu się.
- Wie pan, kiedy widzę, jak działa pański umysł, to właściwie mi pana żal - rzekł w końcu.
- Leventhal głęboko zaciągnął się papierosem; przykleił mu się on do warg i oderwał go.
- No więc odpowiedź brzmi stanowczo nie. Nie ma nawet o czym mówić. I bez tego mam mnóstwo kłopotów. Darujmy sobie dyskusje. - Jego opanowa nie było chwilowe, jak odbicie w wodzie, które może zburzyć pierwsza fala.
- Rozumiem. Boi się pan, że odwrócę role i zrobię panu to, co pan zrobił mi w „Dill’s”. Myśli pan, że

chcę tam pójść i wziąć odwet, doprowadzając do pańskiego zwolnienia. Mogę panu narobić kłopotów bez tego.

- Proszę bardzo.

- Wie pan, że mogę.

- Więc niech pan to zrobi! - zaczęły nim wstrząsać fale. - Sądzi pan, że ta posada jest dla mnie taka cenna? Mogę żyć bez niej. Niech więc pan zrobi najgorszą rzecz, na jaką pana stać. Do diabła z tym wszystkim!

- Uwierzyłem w to, co mówił o panu Williston.

Powiedział, że jest pan w porządku, więc umówiłem pana na spotkanie z Rudigerem. Widzi pan? Nie byłem podejrzliwy. Nie leży to w mojej naturze, dzięki Bogu. Nie wiedziałem nawet, kim pan jest, poza tym, że widziałem pana kilkakrotnie na jego przyjęciach.

- Czuję się zbyt podle, żeby grać z panem komedię. Jestem gotów, w panu pomóc. Już to mówiłem. Ale żeby mieć pana w tym samym biurze, gdzie mógłbym pana codziennie oglądać - co to, to nie! I bez tego jest tam mnóstwo ludzi, których nie mam ochoty codziennie oglądać. Pasowałby pan do nich lepiej niż ja. W ich przypadku nie mam żadnego wyboru. Ale w pańskim mam. Więc jest to wykluczone. Nie! I koniec na tym. Nie mógłbym tego znieść.

Allbee zdawał się zastanawiać nad czymś w słowach Leventhala, co mu sprawiło przyjemność, bo jego uśmiech pogłębił się.

- Tak - przyznał. - Nie musi pan mieć mnie w pobliżu siebie. I ma pan rację. Myślę, że naprawdę ma pan rację. Ma pan wybór. Zazdroszczę panu, Leventhal. Bo

kiedy wydarzały się ważne rzeczy w moim życiu, nigdy nie miałem szansy wybierać. Nie chciałem, żeby moja żona umarła. I gdybym mógł wybierać, to by mnie ona nie opuściła. Nie wybrałem również tego, że ktoś wbił mi nóż w plecy w „Dill’s”.

- Kto?! Ja wbiłem panu nóż w plecy? - zapytał Leventhal z furią, zaciskając pięść.

- Nie wybrałem tego, że Rudiger mnie wyrzucił, czy to się panu bardziej podoba? W każdym razie pan ma niezależną pozycję, a ja nie. - Wpadał już w ów ton poważnych spekulacji, którego Leventhal nie cierpiał. - Otóż myślę, że szczęście... naprawdę jest coś takiego jak szczęście i tacy, którzy je mają albo go nie mają. Nie wiem, kto na długą metę lepiej na tym wychodzi. Wszystko musi się wydawać bardzo nierealne, kiedy ma się szczęście przez cały czas. Ale w niektórych sprawach jest to błogosławieństwo, zwłaszcza gdy daje człowiekowi szansę dokonywania wyboru. To się nie zdarza zbyt często, prawda? W przypadku większości ludzi? Nie, bynajmniej. Trudno jest się z tym pogodzić, ale nie mamy innego wyjścia. Nie wybieramy zbyt wielu rzeczy. Nie wybieramy na przykład tego, że się rodzimy, i jeśli nie popełniamy samobójstwa, nie wybieramy również momentu śmierci. Ale jeśli między jednym a drugim człowiek może parę razy wybierać, to wydaje się sobie mniej przypadkowy. Czuje dzięki temu, że jego życie jest potrzebne. Świat jest zatłoczonym miejscem, niech mnie diabli, jeśli tak nie jest. Nadmiernie zatłoczonym. Jest dość miejsca dla zmarłych. Choć podobno nawet oni są grzebani w warstwach. Jest dla nich dość miejsca,



ponieważ niczego nie chcą. Ale żywi... Chce pan czegoś? Czy jest coś, czego pan chce? Jest sto milionów innych, którzy chcą tej samej cholernej rzeczy. Nie ma dla mnie znaczenia, czy jest to kanapka, czy miejsce w metrze, czy cokolwiek innego. Nie wiem dokładnie, co pan o tym sądzi, ale gdybym miał mówić za siebie, to trudno mi uwierzyć, że moje życie jest potrzebne. Nie zna pan chyba katechizmu katolickiego, w którym zadaje się pytanie: „Dla kogo świat został stworzony?”. Coś w tym rodzaju. I odpowiedź brzmi: „Dla człowieka”. Dla każdego człowieka? Tak, dla każdego bez wyjątku. Każdego człowieka. Drogiego Bogu, proszę pana, i stworzonego dla Jego większej chwały, i obdarowanego całą błogosławioną ziemią. Jak Adam. Nadał zwierzętom nazwy i były mu one posłuszne. Chciałbym móc to zrobić. Czy to nie sprytnie? Dla każdego, kto powtarza „Dla człowieka”, oznacza to „Dla mnie”. „Świat został stworzony dla mnie i jestem absolutnie niezbędny, nie tylko teraz, ale zawsze”. Czy to ma sens?

Zadał to pytanie z niedokończonym teatralnym gestem i Leventhal spojrział na jego spoconą twarz, dopiero teraz uświadamiając sobie, jak bardzo jest pijany.

273

- Kto chce, żeby wszyscy ci ludzie byli tutaj, zwłaszcza na zawsze? Gdzie ich wszystkich pomieścić? Komu są oni wszyscy potrzebni? Niech pan spojrzy na wszystkie nędzne „ja”, dla których świat został stworzony i z którymi go dzielę. Kochaj bliźniego swego jak siebie samego? Kto do diabła jest moim bliźnim? Chcę się dowiedzieć. Tak, proszę pana, kto i co? Nawet gdybym

chciał nienawidzić go jak siebie samego, kim on jest?  
Kimś podobnym do mnie?

IK - Ofiana

Niech mnie Bóg ma w opiece, jeśli jestem podobny do tego, co widzę wokół. A jeśli chodzi o życie wieczne, to nie zdradzę panu żadnego sekretu, gdy powiem, iż większość ludzi spodziewa się, że umrze...

Leventhal miał ochotę się roześmiać.

- Niech pan tak nie hałasuje - powiedział. - Nic na to nic poradzę, że świat wydaje się panu zbyt zatłoczony, ale niech pan mówi ciszej.

Allbee również się zaśmiał, z wyraźnym wysiłkiem, wytrzeszczając na Leventhala oczy; cała jego twarz wydawała się rozciągnięta. Wykrzyknął niewyraźnie:

- Gorące gwiazdy i zimne serca, taki jest wasz wszechświat!

- Niech pan przestanie wrzeszczeć. Wystarczy już tego. Niech pan lepiej idzie spać. Niech pan idzie i to prześpi.

- Ach, dobry, stary Leventhalu! Pocziwy Leventhalu, głęboki Hebrajczyku...

- Dosyć, niech pan przestanie! - przerwał mu Leventhal.

Allbee usłuchał, choć nadal szeroko się uśmiechał. Od czasu do czasu wypuszczał nagromadzone w płucach powietrze i osuwał się głębiej w fotelu.

- Czy naprawdę zamierza pan coś dla mnie zrobić? - zapytał.

- Najpierw musi pan zaprzestać tych sztuczek.

- Och, nie chcę spotykać się ze starym Beardem

- zapewnił go Allbee. - Nie będę tam panu wchodził w paradę, jeśli to pan ma na myśli.

- Musi pan spróbować coś z sobą zrobić.

- Ale czy pan naprawdę się postara? No wie pan, użyje dla mnie swoich koneksji?

- Na miłość boską, nie mogę zrobić wiele. I dopóki będzie się pan zachowywał tak, jak się pan zachowuje...

- Tak, ma pan rację. Muszę się wziąć za siebie. Muszę się zmienić. Zamierzam to zrobić. Mówię poważnie.

- Sam pan to widzi, nieprawdaż?

- Oczywiście, że tak. Czy pan uważa, że jestem zupełnie pozbawiony rozumu? Muszę wziąć się w garść, zanim wszystko wymknie mi się z rąk... znowu stać się tym, kim byłem, kiedy żyła Flora. Czuję się nic niewart. Wiem, jaki jestem. Nic niewart. - Do oczu napłynęły mu deliryczne łzy. - Były we mnie dobre rzeczy. - Wysilał się i szukał po omacku, na wpół odpychający w gorące swego samoupodlenia, a na wpół... ach, na wpół nie można się było powstrzymać przed odczuwaniem dla niego współczucia. - Willis- ton panu powie. Flora zrobiłaby to, gdyby tutaj była, aby przemówić i mi wybaczyć. Myślę, że by to zrobiła. Kochała mnie. Widzi pan, jak nisko upadłem, skoro mówię do pana w ten sposób. Gdyby żyła, nie bolałoby mnie tak bardzo, że jestem nieudacznikiem.

- Och, niech pan przestanie...!

- Nadal bym się wstydził, ale przynajmniej nie musiałbym się obwiniać o tyle rzeczy.

- Pan? Hipokryto, nigdy w życiu nie obwiniliby pan siebie o cokolwiek. Znam takich jak pan.

- Tak, jestem winien. Wiem to. Moja kochana!  
- Przyłożył nasadę dłoni do mokrego czoła, szeroko rozdziawił usta i zalkał.

Leventhal przyglądał mu się z czymś w rodzaju pełnej zakłopotania litości. Podniósł się i stał przez chwilę, zastanawiając się, co zrobić.

„Trzeba mu chyba zaparzyć kawę” - zdecydował. Szybko poszedł napełnić wodą czajnik i zapaliwszy zapalną, przyłożył ją do palnika. Płomienie buchnęły z gwiazdźście ułożonych otworów. Ostukał słoik łyżeczką i odmierzył kawę.

Kiedy wrócił do pokoju dziennego, Allbee spał. Krzyknął:

- Niech się pan obudzi, robię panu kawę.

Zaklaskał w ręce i potrząsnął nim. W końcu uniósł jedną jego powiekę i zajął mu w oko.

- Odpłynął na dobre - powiedział. I pomyślał z ponurym niesmakiem: „Czy mogę pozwolić mu tak tutaj zostać? Może się zsunąć z fotela i leżeć na podłodze całą noc”. Myśl o spędzeniu w ten sposób nocy, z mogącym się nagle obudzić Allbeem na podłodze, trochę go przerażała. Poza tym zaczynał wyczuwać obrzydliwy zapach alkoholu, unoszący się od niego. Ściągnął Allbeego z fotela i zaczął go wywlekać z pokoju. Przy drzwiach do kuchni dźwignął go sobie na plecy, trzymając za nadgarstki, i zaniósł do pokoju stołowego, gdzie upuścił go na leżankę.

Zbliżało się Święto Pracy; nadchodzący tydzień został skrócony. Druk przesunięto na wcześniejszy termin i cały materiał musiał być gotowy do piątku. Beard zwołał zebranie redaktorów, żeby to ogłosić. Był w rozmownym nastroju i obracał się tam i z powrotem na krześle, zahaczając jego kółkami o czerwone nitki dywanu. Przy co drugim zdaniu unosił rękę i opuszczał ją bezwładnie. Z powodu święta nadał zebraniu oficjalny charakter. Powiedział, że nie zamierza ich długo zatrzymywać. Mają swoją pracę, a zwięzłość jest istotą dowcipu. Był to jednak dobry rok dla firmy i chce, żeby personel wiedział, jak wysoko ceni jego lojalność i ciężką pracę. Gdy mówi się praca, ma się na myśli przyzwoitość. Idą one z sobą w parze. Nie tyle więc dziękuje swoim pracownikom, ile raczej wyraża im uznanie. Lepiej jest się zużyć, niż zardzewieć, jak często się mawia. On sam ciężko pracuje. Mieszka pięć mil w prostej linii od redakcji i zawsze zostawia sobie w zapasie dość czasu, by zdążyć przejść tę odległość przed dziewiątą, gdyby nastąpiła awaria metra. Jeśli praca jest warta zachowania, to warta jest również lojalności. Życie bez lojalności jest jak - Szekspir to powiedział - męty zwietrzałego wina\*. Leventhal, w białej koszuli i z wyrazem twarzy niezdradzającym ponurej i pełnej znużenia irytacji, wiedział, że jest to skierowane do niego. Miał oczy utkwione w odbiciu pociętej światłem rolety, wydymającej się jak żagiel na szkle wysprzątane go już na święto biurka.

„*Groser jilosof!* Idąc przez biuro, Leventhal potwórzył powiedzenie swego ojca z całą jego satyryczną

kaśliwością. Właśnie dzisiaj zmarnować tyle czasu. Zabrał się znowu do pracy, zanim jeszcze lampa nad jego papierami osiągnęła pełnię swego błękitnego blasku. Obiecał sobie wcześniej, że zrobi dzisiaj krótką przerwę, żeby wszystko przemyśleć. Ale tak naprawdę nie żałował, że jest na to zbyt zajęty.

Pan Millikan, z bladą twarzą i rozchylonymi nozdrzami, kroczył przez biuro, niosąc w obu rękach odbitki korektorskie. Pan Fay zatrzymał się, żeby przypomnieć Leventhalowi o swoim fabrykancie, który życzył sobie artykułu na rozkładówkę.

- Zajmę się tym na początku przyszłego tygodnia  
- odparł Leventhal. - We wtorek.

- Przy okazji, przykro mi słyszeć, że w pańskiej rodzinie wydarzyło się takie nieszczęście... utrata bli-

*Zob. Troilus i Kresy da, IV, 1 (przyp. tłum.).*

skiej osoby. - Usta pana Faya zwężyli się, jego ton był formalny, a na czole zaczęła mu się marszczyć skóra. - Kto to był?

- Dziecko mojego brata.

- Ach, dziecko.

- Chłopczyk.

- To bardzo smutne. Beard wspomniał mi o tym.

- Ściągnięcie ust nadało jego twarzy wyraz chłodu graniczącego z cierpieniem. Leventhal rozumiał, co go spowodowało.

- Są inne dzieci?

- Mają jeszcze jednego syna.

- To czyni to nieco łatwiejszym.

- Tak - odparł Leventhal.

Zostawił na chwilę pracę, spoglądając za panem Fayem. On przynajmniej był przyzwoity. Beard mógł znaleźć chwilę, żeby coś powiedzieć. A Millikan przemknął obok i nie miał nawet czasu, żeby skinąć głową. Pokazywało to niską klasę tych ludzi, ich pośledniość i małość. Nie żeby miało to dla niego jakieś znaczenie. Ten Millikan, kiedy w końcu zadał osobiste pytanie, nigdy nie słuchał odpowiedzi, a tylko udawał. Był jak skorupiak w mokrym piasku, ty zaś byłeś dla niego szumem wody. Leventhal rzucił okiem na biurko - papiery, szklanka pełna kolorowych ołówków, gruba podstawka pod kałamarz i pióro, druciana tacka na listy. Na szpikulcu było kilka wiadomości i zerwał je z niego. Jedna, z wczorajszą datą, była od Willistona; chciał, żeby do niego zadzwonił. Leventhal trzymał kartkę w dłoni przy piersi i spoglądał na nią. Pomyślał: „Zadzwonię do niego, kiedy uwolnię się od tej presji. Nie mogło to być takie pilne, bo inaczej próbowałby mnie złapać w drukarni albo wczoraj wieczorem w domu”.

W południe zadzwoniła recepcjonistka i powiedziała, że w poczekalni jest mężczyzna, który go szuka.

- Jak się nazywa?

- Nie podał nazwiska.

- No to niech go pani zapyta, dobrze? - Telefon umilkł. Nikt nie odbierał, gdy usiłował się z nią połączyć parę minut później. Wyszedł na korytarz, żeby zajrzeć do centrali. Miejsce telefonistki było puste. Zdjął z wieszaka swój słomkowy kapelusz i włożył go. Jego pierwsze przypuszczenie było takie, że gościem jest Max. Ale Max podałby swoje nazwisko. Był to prawdopodobnie Allbee.

Tyle warte było jego przyrzeczenie, że nie będzie go niepokoił w pracy. W poczekalni nie było nikogo. Próbując przesunąć matową szybę, żeby zobaczyć, czy telefonistka wróciła do centrali innym wejściem, Leventhal usłyszał ją za sobą. Wchodziła przez drzwi do biura.

- No i co, znalazła go pani?

- Tak, jest na korytarzu, ale nie chce podać nazwiska ani wejść do środka. - Śmiała się zakłopotana, a jej małe oczy zdawały się pytać Leventhala, co to ma znaczyć. Wyszedł na korytarz.

Allbee przyglądał się kablom i unoszącemu się balastowi na tylnej ścianie szybu windy. Marynarkę przewiesił przez ramię; jego twarz była żółta i nieogolona, a brudna koszula rozpięta; stał w niedbalej pozie, z jedną ręką zgiętą na piersi. Miał rozwiązane buty. Sprawiał wrażenie, jakby narzucił na siebie ubranie zaraz po wstaniu z łóżka i nie tracąc sekundy, wyszedł z domu, żeby się z nim spotkać. Nic dziwnego, że dziewczyna się śmiała. Ale Leventhal nie był tak naprawdę zaniepokojony ani jej śmiechem, ani samą obecnością Allbeego. Dolna połowa czerwonej kuli nad drzwiami zapaliła się i winda przystanęła z łagodnym wstrząsem. On i Allbee wcisnęli się między dziewczęta ze szkoły handlowej piętro wyżej.

- Milutkie - szepnęła Allbee. Byli zmuszeni stać tuż obok siebie. Leventhal ledwie mógł poruszyć ramieniem. - Milutkie, małe, delikatne stworzenia. Niedługo pan i ja będziemy za starzy, żeby zwracać na to uwagę.

Leventhal milczał. „Wczoraj w nocy płakał za żoną”



- myślał, gdy zjeżdżali wolno wzdłuż muru.

Allbee wyszedł za nim przez hol na ulicę.

- Powiedział pan, jak mi się zdawało, że nie będzie pan tutaj przychodził.

-Zauważył pan pewnie, że czekałem na zewnątrz.

- Nie chcę, żeby pan się tutaj pokazywał. Mówiłem to panu.

Oczy Allbeego połyskiwały z pełną wyrzutą ironią. Były zupełnie klarowne, zważywszy na to, jaki był wcześniej pijany. Głos miał jednak ochrypli.

- Obiecałem, że nie narobię panu tutaj kłopotów.

Ponieważ sprawy między nami wyglądają tak, jak wyglądają, powinien pan mieć do mnie trochę zaufania.

- Tak? - zapytał Leventhal. - A jak sprawy między nami wyglądają?

- Poza tym, przyjrzałem się temu, co się dzieje tam w środku. To nie dla mnie.

- No więc, co panu chodzi po głowie? Niech pan się pośpieszy. Muszę zjeść lunch i zaraz wracać.

Allbee długo nie mógł zacząć. Czy to możliwe, zastanawiał się Leventhal, że jest nieprzygotowany i coś improwizuje? Czy też sprawianie wrażenia nieporadności, w taki sposób jak teraz, stanowi element jego gry?

- Wiem, że jest pan do mnie nastawiony nieufnie.

- Do rzeczy, niech pan to już z siebie wydusi. Przesunął dłonią po oczach. U nasady nosa miał zmarszczki wywołane napięciem.

- Muszę ruszyć z miejsca.

- Co, wyjeżdża pan?

- Nie, tego nie powiedziałem. A właściwie tak,

najwcześniej, jak będę mógł. To się rozumie. Przede wszystkim chciałem powiedzieć... - Zastanowił się.

- Wczoraj mówiłem śmiertelnie poważnie; chcę coś z sobą zrobić. Ale zanim będę mógł zacząć, muszę mieć pewne rzeczy... doprowadzić się do porządku, zrobić coś, żeby trochę przyzwoicie] wyglądać. W tym stanie nie mogę się nikomu pokazać.

Leventhal przyznał mu rację.

- Powiniennem się ostrzyć. I ta koszula... - Szarpnął za nią. - Mój garnitur wymaga wyczyszczenia. A przynajmniej uprasowania. Potrzebuję trochę pieniędzy.

- Na whisky znajduje pan pieniądze. Z tym nie ma pan żadnego kłopotu.

Mina Allbeego była poważna, a nawet nieco wyniosła, pomimo niezdrowej bladości jego twarzy.

- Może nie był pan wczoraj wieczorem pijany? Czym się pan urząnął, wodą ze zlewu?

- To była absolutna końcówka pieniędzy Flory, ostatnich parę dolarów. Ostatnia namacalna rzecz - wypowiedział te słowa powoli - jaka mnie z nią łączyła.

Leventhal sceptycznie podniósł na niego oczy. W jego spojrzeniu zawarty był cały komentarz, jaki uważał za konieczny. Wzruszył ramionami i odwrócił twarz.

- Nie oczekiwałem, że pan to zaaprobuje albo choćby okaże współczucie. Wy w gruncie rzeczy - i jest to tylko spostrzeżenie, nic ponadto, niech pan je przyjmie jako takie - potraficie tolerować jedynie uczucia podobne do waszych własnych. Ale to było pożegnanie z moją żoną. Wcale nie sentymentalne. Wręcz przeciwnie. Sentymentalne byłoby ostrzyżenie się albo kupienie

koszuli za tych parę ostatnich dolarów. Gorzej. To byłaby obłuda. - Jego szerokie usta prychnęły z obrzydzeniem. - Czysta obłuda! Te pieniądze musiały pójść tak jak reszta. Byłoby nędzne i nieuczciwe wydać ostatni grosz inaczej niż pierwszy.

- Innymi słowy, wszystko to było dla pańskiej żony.

- Właśnie tak. Nie zamierzałem użyć ani jednego centa z tych pieniędzy na poprawienie swego losu. Czuję się zobowiązany do postąpienia w taki sposób bez względu na to, jak bardzo by mnie to bolało. A bolało. - Przyłożył rękę do piersi. - Ale w ten sposób przynajmniej zachowałem się przyzwoicie. Nie osiągnąłem powodzenia jej kosztem. Nie stałem się kimś, kim nie byłem przed jej śmiercią. I dlatego mogę sobie dzisiaj spojrzeć w twarz. - Stał, kołysząc się nad nim, niezgrabny, a jego usta zaczęły się szyderczo wydymać. - Pan by tego nie zrobił, Leventhal.

- Może bym nie musiał - odparł Leventhal z obrzydzeniem.

-Łatwo panu mówić. Nie doświadczył pan czegoś takiego. Niech pan poczeka, aż pan tego doświadczy.

- Słucham?

- Niech pan poczeka, aż coś przytrafi się pańskiej żonie.

Leventhal wybuchnął.

- Niech pan przestanie truć o tym, że coś się stanie... i czynić te aluzje. Już wcześniej pan to robił. Do cholery, niech pan przestanie!

- Nie chcę, żeby coś się stało. Próbowałem tylko

pokazać, że miał pan więcej szczęścia niż ja. Ale powinien pan pamiętać, że fortuna kołem się toczy, i być przygotowany, a kiedy znajdzie się pan w moim położeniu - jeżeli kiedykolwiek się pan w nim znajdzie... Od tego „jeżeli” wszystko zależy. - Odnalazł swój ulubiony ton i rozpogodził się. - „Jeżeli” robi z nami, co mu się żywnie podoba. Ale jeżeli...! I będzie pan musiał dojść ze wszystkim do ładu, z każdym błędem, jaki pan kiedykolwiek popełnił, z wszystkimi grzechami przeciwko niej, wówczas być może przyzna pan, że nie jest to takie proste. To wszystko, co chciałem powiedzieć.

- A więc doszliśmy do moich grzechów.

- Nie mówię o zdradzaniu żony. Nie wiem, jak z tym się rzeczy mają, ale to bardzo mało ważna część całości - to, czy pan ją albo ona pana zdradza. To, o czym mówię, pozostaje mimo wszystko prawdą. Nie może pan zapominać, że jest pan zwierzęciem. Właśnie tutaj zaczyna się wiele niepotrzebnych kłopotów. Nie żebym opowiadał się za niewiernością. Wie pan, co myślę o małżeństwie. Ale widzi się mnóstwo małżeństw, w których jedno z partnerów bierze zbyt dużo od drugiego. Kiedy kobieta bierze za dużo od mężczyzny, próbuje on odzyskać, co się da, od innej kobiety. Tak samo żona. Wszyscy usiłują osiągnąć stan równowagi. Natura jest czasami zbyt gwałtowna z punktu widzenia ludzkich ideałów i ideały powinny jej zostawiać szerokie pole do działania. Nie jesteśmy jednak również małpami i powinniśmy żyć dla ideałów, a nie dla natury. To prowadzi nas z powrotem do grzechów i błędów. Słyszałem o przypadku...

Leventhal krzyknął:

- Sądzi pan, że będę tu stał i słuchał o pańskich przypadkach?

- Myślałem, że może to pana zainteresować - rzekł uspokajająco Allbee.

- Ale tak nie jest.

- W porządku.

Leventhal ruszył w stronę restauracji, a Allbee siedł obok niego. Przesuwały się po nich ukośne linie cienia z torów kolei nadziemnej. Szyby i metalowe elementy okien drżały i rozbłyskiwały.

- Gdzie pan tutaj jada?

- Kawalek stąd.

Doszli do rogu.

- Nie ma sensu, żebym siedł z panem dalej - rzekł Allbee. - Wypiłem kawę, zanim wsiadłem do metra.

- Do widzenia - odparł obojętnie Leventhal, prawie się nie zatrzymując. Spojrzał na światła sygnalizacji ulicznej. Allbee wciąż siedł za nim, nieco z tjr- łu.

- Chciałem pana zapytać... czy pożyczycy mi pan kilka dolarów? Pięć czy coś koło tego...?

- Na rozpoczęcie nowego życia? - zapytał Leventhal, nadal na niego nie patrząc.

- Przed chwilą zaproponował mi pan trochę pieniędzy.

- Niech mi pan powie, dlaczego miałbym panu cokolwiek dawać. - Leventhal odwrócił się twarzą do niego.

Allbee odpowiedział na to niepewnym, zdziwionym uśmiechem, podczas gdy Leventhal czuł się bardziej

zrównoważony i pewny siebie.

- No, niech mi pan powie - powtórzył.

- To pan je zaproponował. Dostanie je pan z powrotem. - Allbee opuścił wzrok i nie tylko przez jego przymknięte powieki, okrywające wypukłe gałki oczne, lecz również przez skronie przebiegło dziwne drżenie.

- Tak, oczywiście, że je dostanę - rzekł Leventhal. - Jest pan człowiekiem honoru.

- Chcę pożyczyć jakieś dziesięć dolarów.

- Podniósł pan kwotę. Poprzednio powiedział pan pięć i tyle pan ode mnie dostanie. Ale już teraz ostrzegam, że jeśli pojawi się pan pijany...

- Niech pan się o to nie martwi.

- Martwi? To nie mój problem.

- Nie jestem pijakiem. Nie prawdziwym. Leventhal miał wielką ochotę go zapytać, kim właściwie jest, za kogo się tak naprawdę uważa. Ale zamiast tego powiedział z niedbałą ironią:

- A ja uwierzyłem, kiedy pan powiedział, że jest taki lekkomyślny. - Otworzył portfel i wyjął pięć banknotów jednodolarowych.

- Dziękuję panu - rzekł Allbee, składając pieniądze i zapinając je na guzik w kieszeni koszuli. - Zwrócę je panu co do grosza.

- W porządku - sucho odparł Leventhal.

Allbee odwrócił się, a Leventhal pomyślał: „Jeśli wypije kieliszek - a prawdopodobnie sądzi, że na jednym poprzestanie - wypije dwa, a potem tuzin. Tacy oni są”.

Tego wieczora czekał na niego list od Mary. Z wdzięcznością wyciągnął go ze skrzynki. Aluzjami

Allbeego przejął się bardziej, niż to sobie uświadamiał. Wcześniej je zlekceważył. Jakie miał powody, żeby się o nią niepokoić? Zdarzały się jednak zbiegi okoliczności; mówiono o czymś, a potem to się wydarzało. Wsunął palec pod skrzydełko koperty i rozerwał ją. List był gruby. Usiadł na schodach i przeczytał go ze skupieniem i głęboką przyjemnością. Był datowany we wtorek wieczorem; właśnie wróciła z kolacji u wuja. Prosiła o wiadomości o Mickeyu - Leventhal odkładał pisanie o nim - i narzekała łagodnie na matkę. Było komiczne i dziwne, że matka traktowała ją jak dziecko. Nie parzyła rano wystarczającej ilości kawy dla dwóch osób, zakładając, że jej córka wciąż pije mleko, i nie mogąc pojąć faktu, że jest ona nie tylko dorosłą, ale już nawet nie laską młodą kobietą. Tego ranka pojawiło się parę siwych włosów. Stara! Leventhal uśmiechnął się, ale jego uśmiech zabarwiony był troską. Odwrócił kartkę. Miała tyle czasu i tak mało do roboty, że kupiła materiał i szyla sobie kilka halek, obrębiając je koronkami ze starych bluzek matki: „są wciąż w dobrym stanie i bardzo ładne, jak zobaczysz, kiedy wrócę do domu”. Reszta listu poświęcona była dzieciom jej brata. Przyłożył go do ust, jakby po to, by stłumić kaszel, i dotknął papieru wargami.

Gdyby wciąż była w Baltimore, pojechałby tam na święto. Ale z Charleston nie mógłby wrócić do wtorku, chyba że poleciałby samolotem. A poza tym w Charleston była jej matka, niedawno owdowiała i niewątpliwie trudna w obcowaniu. Pomyślał, że poczeka i za parę tygodni, kiedy wszystko się uspokoi, będzie miał Mary dla siebie. Ona by to uspokoiła. Miał wielką wiarę

w jej zdolność do przywracania normalności.  
289

Myśl o jej przyjeździe sprawiła, że powrót do domu stał się jeszcze trudniejszy. Przed wejściem do <sup>19 - Ofiara</sup> środka nasłuchiwał pod drzwiami. Chciał uniknąć ponownego zaskoczenia. Z wnętrza nie dobiegały żadne odgłosy. „Niech tylko wróci pijany” - powiedział Leventhal do siebie. „O nic więcej nie proszę”.

W ciągu niewielu dni w mieszkaniu zrobiło się brudno. Zlew był pełen naczyń, a śmieci i gazety leżały porozrzucane na podłodze pokoju dziennego, popielniczki były przepełnione, a powietrze cuchnęło. Leventhal w przegnębieniu otworzył okna. Gdzie podziewała się Wilma? Czy nie przychodziła zwykle w środy? Być może Mary zapomniała ją poprosić, żeby podczas jej nieobecności nadal to robiła. Postanowił, że nazajutrz poprosi panią Nunez, aby posprzątała mieszkanie. Podniósł popielniczkę i zaniósł ją do łazienki, żeby wyrzucić niedopałki do sedesu. Kafelki były śliskie. Schwycił załonę prysznicą, żeby się przytrzymać; była mokra. W ciemności jego stopa natrafiła na coś nasączonego wilgocią. Postawiwszy popielniczkę w umywalce, schylił się i podniósł z podłogi swój bawełniany płaszcz kąpielowy. Zrobił szybki, gniewny krok do pokoju dziennego i rozpostarł ociekającą wodą płaszcz w świetle lampy. Były na nim odciski butów, a wokół kieszeni bładoniebieskie plamy wyglądające na ślady po atramencie. Opróżnił kieszeń i znalazł kilka ogłoszeń wydartych z gazety, wizytówkę Jacka Shifcar- ta, tę samą, którą w żartach rzucił on Schlossbergo- wi, oraz dwie kartki pocztowe, pogięte i



pomazane, które kilka tygodni wcześniej otrzymał od Mary. Z wściekłością cisnął płaszcz kąpielowy do wanny. Jego twarz była ściągnięta, a usta gniewnie rozchylone. „Ten... cholerny gnój!” - wyrzucił z siebie ledwie zrozumiale, zmagając się zaciekłe z dławiącym uciskiem w gardle. Odepchnął na bok krzesło przed biurkiem, zrzucił na podłogę podkładkę do pisania, wyrwał z przegródek i szuflad papiery i zaczął je przeglądać - jakby w swym odrętwieniu i ślepotcie był w stanie stwierdzić, czego brakuje. Rozkładał je niezdarnie sztywnymi rękami: listy, rachunki, zaświadczenia, pliki anulowanych czeków, stare książeczki bankowe, przepisy kulinarne, które Mary nakleiła na tekturki i schowała. Następnie znowu ułożył je w stos, podniósł podkładkę, kolaniem uniósł z trzaskiem klapę biurka i wepchnął je razem z podkładką i całą resztą do szuflady. Zamknął ją na klucz, włożył klucz do kieszonki na zegarek i usiadł na łóżku. Wciąż miał przy sobie kartki i wycinki, które wyjął z kieszeni płaszcza kąpielowego. „Zabiję go!”

- krzyknął, mocno waląc pięścią w materac między kolanami; polem siedział w milczeniu, wpatrując się wielkimi oczami przed siebie, jakby próbował uchylić wieko wewnętrznej ślepoty cienkim ostrzem czegoś rzeczywistego. Mocno potarł palcami czoło. Po chwili zaczął czytać kartki Mary, intymne słowa, przeznaczone tylko dla niego. Było tam kilka osobistych odniesień i skrótów, których nikt inny nie mógł zrozumieć; sens wszystkiego poza tym był łatwy do uchwycenia. „Tak je z sobą nosić, trzymać je, żeby móc na nie popatrzeć!” Poczul nagłą falę wstydu, spływającą mu jak gorący płyn

po karku i ramionach. „Jakież to wstrętne, wynaturzone, odrażająco brudne!” Napawało go to obrzydzeniem. Jeśli Allbee zobaczył je przypadkiem... to również byłoby dla niego okropne. Ale tu nie było przypadku; Allbee dobrał się do jego rzeczy, jego biurka - dowodziła tego wizytówka Shifcarta, bo Leventhal był pewien, że ją schował- i węszył w jego korespondencji, i zatrzymał te kartki, żeby się nimi zabawiać.

I być może widział najwcześniejsze listy Mary, pojednawcze listy po zerwaniu zaręczyn. Były gdzieś w biurku. Czy z tego właśnie powodu wygłosił dzisiaj te uwagi o małżeństwie i całej reszcie? Mógł je poczynić, nie mając leż wiedzy, a jedynie zakładając, że jest to dla niego wrażliwy temat. Jak niemal dla każdego. Leventhal pomyślał z ukłuciem w sercu o tamtym zdarzeniu sprzed ich ślubu i o zachowaniu Mary, którego nadal nie rozumiał. Jak mogła to zrobić? Ale już dawno postanowił się z tym pogodzić i przestać łamać sobie głowę nad przyczyną. Allbee, który być może przeczytał listy, musiał to uznać za wspaniałą sposobność: Mary wyjechała, więc czemu nie napomknąć o tym? Nie wiedział jednak, że stary rywal Leventhala nie żyje. Zmarł przed dwoma laty na serce. Brat Mary przywiózł tę wiadomość podczas swej ostatniej wizyty na Północy. Nie było tego w żadnym liście.

Do siebie powiedział: „Dużo taki plugawy pijaczyna może wiedzieć o kobiecie takiej jak Mary?”.

18

Zapadł zmrok. Leventhal nie zapalił lampy przy łóżku, lecz siedział, wciąż z kartkami w ręku, i czekał na

Allbeego, nasłuchując kroków i słysząc zamiast nich rozmaite odgłosy z dołu, muzykę radiową grzmącą przez podłogę, przemieszane głosy, szuranie lin windy kuchennej; przez wszystko inne przebijały się okrzyki chłopców biegnących ulicą, wyraźne jak iskry w ogniu. Wraz z zachodem słońca kolorowe, lśniące bałwany chmur coraz szybciej przetaczały się w szarość i błękit, podczas gdy na szczytach budynków rozbłyskiwać zaczęły czerwone światła, lampy ostrzegawcze dla samolotów, jak latarnie sygnalizacyjne wzdłuż wybrzeża. Skazy szyby, przez którą patrzył Leventhal, przywodziły na myśl zgęstnienie wody na wielkiej głębokości, gdy spogląda się w górę ku powierzchni. Powietrze miało słony zapach. Zerwał się lekki wiatr; kołysał zastonami i szeleścił wśród papierów na podłodze.

Po pewnym czasie Leventhal uniósł nadgarstek ku słabym, złocistym cętkom światła pod oknem i spróbował odczytać godzinę na zegarku. Było dobrze po ósmej; siedział więc tak przez ponad godzinę. Spojrzał w zamyśleniu na ulicę. Pierwszy gniew mu minął. Od oczekiwania na konfrontację z All- beem przeszedł stopniowo w stan beczynnego odpoczynku; teraz poczuł się głodny i wstał, żeby pójść na kolację. Nie miało sensu czekać na Allbeego, który prawdopodobnie przepijał resztki pięciu dolarów w jakimś barze, rozwiązując tym samym problem własnej osoby w najszybszy możliwy sposób. To nawet dobrze, pomyślał, że Allbee się nie zjawił, bo niewątpliwie chciał być traktowany poważnie. Gdyby mu się to udało, mógłby robić z nim, Leventha-lem, na co by miał ochotę. A to najwyraźniej było jego

celem.

Restauracja była pełna; wokół małego baru tłoczyli się ludzie. Ruszył w głąb sali w poszukiwaniu stolika.

- Muszę najpierw obsłużyć klientów przy barze  
- powiedział kościsty, śniady kelner - ale zobaczę, co się da dla pana zrobić.

Trzymał w każdej ręce filiżankę kawy i spieszenie się oddalił. Leventhal nie mógł się zdecydować, czy czekać z innymi, czy stanąć przy drzwiach do kuchni. Nie było zbyt prawdopodobne, by kelner dał mu stolik poza kolejnością, gdyby dołączył do pozostałych. Poszedł dalej, w stronę pochyłej ściany kuchennego przejścia. Przez łukowate wejście zobaczył, jak jeden z kucharzy ściera sobie mąkę z ramion i dla ochłody wachluje fartuchem twarz. Leventhal otarł się o kogoś, kto niechcący, jak się zdawało, zagroził mu ramieniem drogę. Nie patrząc, powiedział:

- Przepraszam.

Jakiś mężczyzna zapytał, śmiejąc się:

- Dlaczego pan nie uważa?

I chociaż było dziwne, że powiedziano to ze śmiechem, Leventhal nie odwrócił się, a jedynie skinął głową i szedł dalej, gdy nagle poczuł, że ktoś ciągnie go za marynarkę. Był to Williston. Towarzyszyła mu Phoebe.

- No, dzień dobry - powiedziała. - Nie poznaje pan już ludzi?

Leventhalowi przyszło do głowy, że oskarża go o to, iż umyślnie ich ominął.

- Byłem myślami gdzie indziej - odparł, a jego policzki gwałtownie się zaczerwieniły.

- Niech pan usiądzie. Jest pan sam?
- Tak. Obiecano mi stolik, więc nie chciałbym...
- Ależ śmiało. Proszę. - Williston wysunął krzesło. Leventhal zawahał się i Phoebe rzekła:
- O co chodzi, Asa? - w sposób, który dawał do zrozumienia, że nie można ani chwili dłużej okazywać niechęci, nie obrażając jej.
- Och, Mary wyjechała - odparł - a ja nie przywiązuję zbyt wielkiej wagi do posiłków. Po prostu wyskakuję z domu i coś przetrącam. A państwo już prawie skończyli.
- No, niechże pan siada - powiedział Williston.
- Co wyjazd pańskiej żony ma z tym wspólnego? Mój Boże!

Leventhal patrzył na śmiertelnie bladą cerę Phoebe, jej gęste poziome brwi i krótkie, równe zęby, które odstaniała w uśmiechu. Zgiełk panujący w restauracji przerwał na chwilę ich rozmowę. Zajął oferowane mu krzesło i przy stoliku zrobiło się bardzo ciasno, gdy za jego plecami przechodził kelner. Z niespokojnym wyrazem twarzy dźwignął się znowu, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Usiadł z powrotem, mówiąc sobie, że nie powinien zachowywać się tak nerwowo. Czemu mieliby tak wytrącać go z równowagi? Z ręką na czole czytał menu, czując żar i wilgoć pod palcami i usiłując doprowadzić do porządku swoje rozedrgane uczucia. „Co się dzieje; czy nie jestem w stanie stawić im czoła?” - zapytał samego siebie. To wyzwanie dodało mu sił. Gdy zamknął menu, był pewniejszy siebie. Podeszedł kelner.

- Jaka jest specjalność dnia?
- Zupa. Życzy pan sobie zupę fasolową? Mamy

też dzisiaj lazanię.

- Widzę małże. - Wskazał na muszle.

- Bardzo dobre - rzekła Phoebe.

- *Ala Posillipo*. - Kelner zapisywał.

- 1 butelkę piwa, a na początek talerz zupy.

- Już się robi.

- Usiłowałem się z panem skontaktować - rzekł Williston.

- Tak? - Leventhal obrócił się do niego. - W jakiejś konkretnej sprawie?

- Tej samej.

- Dostałem pańską wiadomość. Zamierzałem odzwonić, ale byłem zajęty.

- Czym? - zapytała Phoebe.

Leventhal zastanowił się nad odpowiedzią. Nie miał ochoty opowiadać o swojej rodzinie; nie chciał sprawiać wrażenia, że zabiega o współczucie, a poza tym nie był w stanie wspominać o śmierci Mickeya w towarzyskiej rozmowie. Myśl o tym napawała go odrazą.

- Och, różnymi rzeczami - odparł.

- Spiętrzenie przed Świętem Pracy, co? - zapytał Williston.

- To i pewne sprawy osobiste. Głównie praca.

- Co robi pan w weekend? - zapytała Phoebe. -

Wybiera się pan gdzieś? My jesteśmy zaproszeni na Fire Island.

- Nie, nigdzie nie jadę.

- Ma pan przed sobą trzy samotne dni w mieście? Biedaku.

- Nie jestem, dokładnie mówiąc, sam - odparł spokojnie

Leventhal, spoglądając na nią. - Zatrzymał się u mnie państwa przyjaciel.

- Nasz? - krzyknęła. Widział, że ją zaskoczył. - Ma pan na myśli Kirby Allbeego?

- Tak, Allbeego.

- Chciałem pana o to zapytać - rzekł Williston.

- Czy ciągle jest u pana?

- Ciągle.

- Niech mi pan powie, jak on się miewa? - powiedziała Phoebe. - Nie wiedziałam, że tamtego wieczora przyszedł pan w jego sprawie. Nie siedziałabym w kuchni.

- Nie przypuszczałem, że to panią tak interesuje.

- Cóż, teraz chciałabym przynajmniej wiedzieć, jak on się miewa - powiedziała.

Leventhal zastanawiał się, jak wiele z jego opisu Williston jej powtórzył.

- Czy Stan pani nie mówił?

- Tak, ale chcę usłyszeć więcej od pana. - Zwykły spokojny, dobry nastrój Phoebe gdzieś zniknął. Pod jej oczami pojawił się lekki rumieniec i Leventhal rzekł do siebie: „Dla odmiany wysła z ukrycia”. Zwlekał z odpowiedzią, sądząc, że Williston może się wtrącić.

Kelner postawił przed nim czarne i zielone małże, a on powiedział, unosząc widelec w taki sposób, jakby chciał go zważyć:

- Och, radzi sobie.

Zaczął jeść.

- Jest bardzo rozbity z powodu Flory?

- Swojej żony? Tak, jest rozbity.

- To musiało być dla niego straszne. Nigdy nie

sądziłam, że się rozejdą. Tak wspaniale zaczęli.

„Wspaniale?” - pomyślał Leventhal. Zamilkł, dając im zauważyć, że to słowo go zaskoczyło. „Co ona ma na myśli? Kobiety po prostu w ten sposób mówią o małżeństwie. Co w tym mogło być wspaniałego? On, Allbee, wspaniał?” Wykonał obojętny gest oznaczający zgodę.

- Byłam na ich ślubie, jeśli chce pan wiedzieć, dlaczego mnie to interesuje.

- Phoebe i Flora były współlokatorkami w college'u.

- Doprawdy? - zapytał Leventhal z pewnym zaciekawieniem. Nalał sobie piwa. - Spotkałem ją kilkakrotnie u państwa.

- Tak, z pewnością - rzekł Williston.

Phoebe na krótką chwilę odzyskała swój zwykły sposób bycia.

- Pamiętam, że zamierzali wynająć do kościoła śpiewaczkę i nie zrobili tego ze względu na jego matkę. Nie chcieli ranić jej uczuć. Wszyscy komplementowali ją z powodu jej śpiewu. Przez wiele lat studiowała w Bostonie. Liczyła sobie około sześćdziesięciu lat i być może kiedyś miała głos, ale z pewnością nie miała go wtedy. Zaśpiewała mimo to. Musiała to zrobić na ślubie swojego syna. Nie mogli jej powstrzymać. Biedny Kirby. Ale starsza pani była bardzo miła. Opowiadała mi, że jako dziewczyna miała piękne nogi i była z nich taka dumna; czy to nie szkoda, że musiała nosić długie spódnice? Mówiła, że za wcześnie się urodziła.

- Przepraszam, że o to pytam - przerwał jej Le-



Leventhal - ale czy uważano to małżeństwo za korzystne z punktu widzenia jego żony?

- Co pan ma na myśli?
- Czy jej rodzina go lubiła?

- Była nastawiona nieufnie. Ale mnie wydawał się bardzo obiecujący. Inteligentny i uroczy. Wielu innym ludziom także. Zawsze uważałam, że zostawi w tyle wszystkich naszych przyjaciół.

Williston to potwierdził:

- Tak, jest łebski, a także czytany. Niesamowicie dużo czytał.

- I nagle wszystko się wali. Zastanawiam się, kto ponosi za to winę. - Phoebe westchnęła i zwróciła swą długą, piękną, zamyśloną twarz z mocno zarzysowanymi, poziomymi brwiami najpierw w stronę męża, a potem w stronę Leventhala.

- No, chyba ona nie była temu winna? - zapytał Leventhal. - Jego żona?

- Nie... - Phoebe wydawała się zakłopotana. - Czemu by miała być? Kochała go.

- A więc jeśli nie ona była winna, to kto pozostaje? - zapytał Leventhal. - Odeszła od niego, nieprawdaż?

- Tak, to prawda. Nigdy nie dowiedzieliśmy się dlaczego. Nie poruszała ze mną tego tematu. Oglądaliśmy to głównie z zewnątrz. Trudno to było zrozumieć, bo był taki uroczy.

„Uroczy!” - pogardliwie powtórzył sobie w duchu Leventhal. „Wspaniałe początki!” Co ta kobieta mogła właściwie widzieć tymi swoimi oczami? Co pozwalała sobie zobaczyć? Czy cokolwiek, co zaczęło się tak

dobrze, jak obiecująco, mogło się tak źle skończyć? Już na początku musiała być jakaś skaza, widoczna dla każdego, kto chciał widzieć. Ale Phoebe nie chciała widzieć. A jeśli o Allbeego chodzi, to nic dziwnego, że trzymał się z dala od Willis- tonów, którzy mieli o nim taką pochlebną opinię.

Powiedział z rezerwą:

- Mówi się, że ludzie którzy piją, zwykle robią dobre wrażenie. Są podobno sympatyczni.
- Ciągłe pije, co? - zapytał półgłosem Williston.
- Ciągłe? - Leventhal wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Po co w ogóle pytać?”
- Nie, był dokładnie taki, jak mówię. Niech pan zapyta Siana. Zanim jeszcze zaczął pić. Ale nie powiedział mi pan, jak mu się wiedzie i co porabia.
- Nie robi nic. I nie powiedział mi również, co zamierza robić.
- No cóż, niech go pan poprosi, żeby przyszedł się z nami zobaczyć, dobrze? - Jej twarz drżała od skrytego rozdrażnienia.
- Z przyjemnością. - Głos Leventhala brzmiał dość ostro. Williston obracał w krótkich palcach łyżeczkę. Mówił bardzo niewiele, uświadamiając sobie być może, że Phoebe nie ma racji, i bał się pogarszać sprawę, wtrącając się. Leventhal ukrywał swoją irytację. Chcieli się zobaczyć z Allbeem - jeśli o niego chodzi, mogli go sobie wziąć na zawsze
- ale nie mówili, że chcą, aby u nich zamieszkał, a tylko, żeby ich odwiedził. Leventhal chętnie by się również dowiedział, dlaczego Phoebe nie przyszło do głowy

zapytać, z jakiego powodu Allbee jest u niego, a nie u przyjaciół? Logicznie rzecz biorąc, to do nich powinien pójść. Ale przyglądając się jej bladej twarzy, odnosił wrażenie, że są pewne logiczne pytania, których ona nie chce zadawać. Nie interesowały jej fakty; odsuwała je od siebie. Był pewien, że w gruncie rzeczy rozumiała je całkiem dobrze. Chciała jedynie mieć pewność, że ktoś zajmie się Allbeem. I było całkiem możliwe, że nie bardziej chciała go widzieć w jego obecnym stanie niż on ją. Prawdopodobnie wiedziała, jaki teraz jest. Oczywiście, że wiedziała. Ale chciała, żeby zmienił się z powrotem w takiego, jakim był przedtem. „Droga pani - zaprotestował Leventhal w myślach - nie proszę, żeby patrzyła pani na sprawy w ten sam sposób, co ja, ale żeby pani w ogóle patrzyła. To by wystarczyło. Niech pani spojrzy!” Jednakże, i zawsze do tego powracał, Willistonowie okazali mu kiedyś życzliwość; był ich dłużnikiem. Chociaż to, co zrobił dla niego Williston, było niczym w porównaniu z tym, co on miał - jak aluzyjnie dawano mu do zrozumienia - zrobić dla Allbeego.

Williston otrząsnął się z odrętwienia, w każdym razie tak wydawało się Leventhalowi.

- Nie sądzę, by Kirby chciał się z nami teraz zobaczyć, kochanie - rzekł. - Przyszedłby już do tej pory.
- Szkoda, że tego nie zrobił - powiedział Leventhal. Okazał przy tym więcej emocji, niż zamierzał, i Phoebe od razu na niego naskoczyła.
- Nie bardzo to rozumiem, Asa - rzekła.
- Powinna go pani zobaczyć. Sądząc ze sposobu, w jaki pani o nim mówi, nie wydaje mi się, żeby go pani

rozpoznała. Ja również nie rozpoznaję w nim tego samego człowieka.

- No, to już chyba nie moja wina. - Urwała, krótko wydechając powietrze. Pod jej oczami znowu zaczęły się pojawiać czerwone plamy.

- Przypuszczam, że się zmienił - rzekł wolno Williston.

- Niech mi pan wierzy, nie jest taki, jak mówi o nim Phoebe. Zapewniam pana. - Leventhal z uporem ograniczał się do tego stwierdzenia, żeby trzymać na wodzy rosnące poczucie rozżalenia.

- Powinien pan być bardziej wyrozumiały - powiedziała Phoebe.

Słyszając to, niemal stracił panowanie nad sobą; wpatrywał się w nią, podczas gdy rumieniec rozlewał się na jej policzki. Odsunął talerz i mruknął:

- Nie mogę się zmienić dla pani przyjemności.

- Co? - zapytał Williston.

- Powiedziałem, że jeśli kimś nie jestem, to nie jestem!

- Nie sądzę, żeby Phoebe miała dokładnie na myśli to, co powiedziała. Phoebe? Wydaje mi się, że Asa odniósł mylne wrażenie.

- Widzę, że źle mnie pan zrozumiał - powiedziała niechętnie.

- No cóż, to niczego nie zmienia.

- Miałam jedynie na myśli, że Kirby rzeczywiście był obiecujący i tak dalej. Tylko to mówiłam.

Co ona o nim wie? - pomyślał z goryczą Leventhal. Ale milczał.

- Telefonowałem, bo chciałem się dowiedzieć, czy nie mógłbym pomóc jakąś niewielką sumą - powiedział Williston. - Nie byłem w stanie wymyślić dla niego żadnej pracy, ale musi potrzebować różnych rzeczy. Pewnie przydałoby mu się parę dolarów.

- To prawda - rzekł Leventhal.

- Chcę panu dać dziesięć czy coś koło tego. Nie musi mu pan mówić, skąd pochodzą. Mógłby nie chcieć przyjąć pieniędzy ode mnie.

- Dam mu je - rzekł Leventhal. - To bardzo miło z pańskiej strony.

Willistonowie poszli. Leventhal przyglądał im się w niebieskim lustrze baru ponad słoczonymi rzędami butelek. Stan poczekał, gdy Phoebe zatrzymała się, by poprawić kapelusz, po czym weszli razem po schodach, przechodząc pod markizą.

19

Z sieni zobaczył panią Nunez siedzącą po turec-ku na sofie i upinającą świeżo umyte włosy. Przyciskała podbródek do piersi, trzymając w ustach szpilki; inne leżały rozsypane na brązowo-białych kwadratach jej spódnicy. Kiedy zapukał, odgarnęła włosy z oczu, ale nie zmieniła pozycji ani nie okryła nóg z niesymetrycznie zapiętymi podwiązkami.

- Nie chciałbym pani przeszkadzać - powiedział, patrząc na jej nogi. - Pomyślałem sobie... mieszkanie jest dość brudne. Czy mogłaby mi pani polecić jakąś sprzątaczkę? Nasza nie pokazywała się ostatnio.

- Sprzątanie? Nie, nie znam nikogo. Jeśli trzeba tylko uporządkować, to zrobię to dla pana. Nie wykonuję

ciężkich prac.

305

- Nic ciężkiego, chcę po prostu, żeby mieszkanie wyglądało trochę czystiej.

20 - Ofiara

- Dobrze, uporządkuję je dla pana.

- Będę bardzo wdzięczny. To zaczyna mnie przerażać.

Wygląd jego pokoju dziennego w świetle lampy napawał go obrzydzeniem. Obejrzenie go dobrze zrobiłoby Phoebe. Żałował niemal, że nie zaprosił Willistonów do siebie. Zabrał się do roboty, zbierając papiery z podłogi, rozesał czyste prześcieradła na łóżku i wyłożył piżamę. W łazience namoczył i wypłukał płaszcz kąpielowy, po czym szczotką i mydłem w proszku usunął plamy z atramentu. Następnie zaniósł płaszcz na dach, gdzie go wykręcił i powiesił na sznurze. W lekkim wietrze wyczuwalny był zapach zbliżającej się jesieni. Leventhal podszedł po kamykach i smole do obmurowania dachu. Na wschodzie światła obu brzegów połączyły się w jedną długą linię na środku rzeki. Wkrótce po święcie miało się skończyć lato i wraz z nastaniem jesieni wszystko miało się zmienić; Leventhal był o tym w niewytłumaczalny sposób przekonany. Niebo było zachmurzone. Przez chwilę się rozglądał, po czym wrócił na klatkę schodową, uważając w ciemności na sznury i druty. Przechodząc, dotknął płaszcza kąpielowego. Szybko schnął na wietrze.

Z podestu usłyszał, że ktoś nadchodzi, i spojrzał w dół. Był to Allbee. Jego ręka, gdy wchodził do góry, regularnie chwytła i puszczała balustradę. Ujrzawszy Leventhala na ostatnim zakręcie schodów, przystanął,

uniósł głowę i zdawał mu się badawczo przyglądać. Słabe światło padało na jego twarz do wysokości brwi i oczu, nadając jej, zapewne zupełnie przypadkowo, wyraz nieskrywanej złośliwości. Leventhalowi na chwilę zrobiło się nieswojo. Natychmiast przypomniał sobie jednak, że jest kilka spraw, z których Allbee musi mu się wytłumaczyć. A przede wszystkim, czy był pijany? Ale miał już zupełną pewność, wyczuwał, że jest trzeźwy.

- Słucham?

Dotarłszy na podest, Allbee powściągliwie skinął mu głową. Miał przystrzyżone włosy. Po bokach głowy i na policzkach widać było wyraźnie biały pasek wygolonej skóry. Jego twarz błyszczała. Miał na sobie nową koszulę i czarny krawat, a w ręce trzymał papierową torbę. Gdy zobaczył, że Leventhal badawczo mu się przygląda, powiedział:

- Kupiłem te rzeczy przy Drugiej Alei, w sklepie dyskontowym.

- Nie pytałem pana o to.

- Jestem panu winien wyjaśnienie - odparł rzeczowo. Leventhal nasłuchiwał prowokacyjnej nuty w jego odpowiedzi, ale jej nie wyczuł. Patrzył na niego podejrzliwie.

- Nic dzisiaj nie piłem - rzekł Allbee.

- Niech pan wejdzie. Chciałbym się czegoś dowiedzieć.

- A mianowicie?

- Nie tutaj, w mieszkaniu.

Allbee nie poruszył się.

- W czym rzecz? - zapytał.

Leventhal chwycił go za marynarkę i pociągnął do siebie. Allbee opierał się, więc złapał go obiema rękami i z wyrazem posępnej determinacji na twarzy, na nowo uniesiony gniewem, wciągnął go do mieszkania i zatrzasnął stopą drzwi. Okręcił go. Allbee ponownie spróbował się uwolnić i Leventhal krzyknął:

- Ile, u diabła, jestem według pana w stanie wytrzymać?

- O czym pan mówi?

- Odpowiedz mi pan. Nie wymiga się pan od tego.

Allbee wyrwał marynarkę z uchwytu Leventhala i odskoczył na bok.

- Co to ma znaczyć? - zapytał zdumiony z drżącym, krótkim śmiechem. - Postanowił pan mnie pobić?

- Ile jeszcze według pana zniosę z pańskiej strony? - Leventhal dyszał. - Myśli pan, że wszystko ujdzie panu na sucho?

- Ależ niech pan nie traci głowy. - Przestał się śmiać i patrzył na niego z powagą. - Mimo wszystko oczekuję, że będę traktowany uczciwie. Jestem w pańskim domu i ma pan pewne przewagi nade mną... W każdym razie powinien mi pan powiedzieć, o co w ogóle chodzi.

- O to chodzi. - Leventhal wyciągnął kartki. - Przeszukiwał pan moje biurko jak cholerny oszust albo szantażysta. O to właśnie chodzi.

- Ach, więc to to? - Niedbale machnął w ich stronę ręką.

Głos Leventhala załamał się, gdy krzyknął:

- To? Czy to jest nic? Przedtem chodził pan za



mną i węszył. Wpuściłem pana tutaj, a pan grzebał swoimi brudnymi łapami we wszystkich moich rzeczach, moich prywatnych sprawach, moich listach.

- Ależ to nieprawda. Nie dotykałem pańskich listów. Nie interesują mnie pańskie sprawy.

- A gdzie je znalazłem? - Leventhal rzucił kartki na stół. - W moim płaszczu kąpielowym, który pan nosił.

- Tam właśnie je znalazłem. Nie mam ochoty bronić się przed takimi oskarżeniami. Nie są uczciwe.

Właśnie przez takie rzeczy ludzie pakują się w kłopoty.

- To nie jest pańskie? - Leventhal podniósł wycinek z drobnych ogłoszeń.

- Och, wiem, co było w tej kieszeni. Ale niektóre z tych rzeczy tam były, kiedy włożyłem płaszcz. Może ma pan coś przeciwko temu, że go używałem. Przepraszam, ja...

Leventhal nie dał się jednak odwieść od tematu.

- Chce pan powiedzieć, że nie przeszukiwał pan mojego biurka?

Allbee wykonał gest szczerzego, jednoznacznego zaprzeczenia.

- No a to? Skąd pan to wziął? - Leventhal wskazał wizytówkę Shifcarta.

- Znalazłem ją na podłodze. No, tutaj przyznam... jeśli zrobiłem coś naprawdę niewłaściwego, to wziąłem tę wizytówkę. Leżała na podłodze obok pańskiego łóżka. Nie miałem prawa jej zatrzymywać. Być może potrzebował jej pan. Powinienem być zapytać. Ale nie pomyślałem o tym. Zainteresowała mnie. Prawdę mówiąc, miałem zamiar wspomnieć

o niej w związku z czymś, o czym myślałem, ale wciąż zapomniałem.

- Kłamie pan.

Allbee milczał. Stał, patrząc na niego.

- Nie włożyłem pocztówek do płaszcza kąpielowego

- rzekł Leventhal - a wizytówka Shifcarta była w biurku.

Allbee odparł z prostotą:

- Jeśli pan ich tam nie włożył, musiał to zrobić ktoś trzeci. Ja wiem, że to nie byłem ja.

- Ale je pan przeczytał! - Powiedział to gwałtownie, ale miał ochotę zapaść się pod ziemię.

- Tak, przeczytałem. - Allbee spuścił oczy, jakby chciał go oszczędzić.

- Niech pana szlag trafi! - krzyknął Leventhal z bólem i oburzeniem. - Nie tylko to pan przeczytał. Co jeszcze?

-Nic.

- A właśnie, że tak!

- Nie, to było wszystko. Nie mogłem ich nie obejrzeć. To nie było zamierzone. Ale wyjąłem je z kieszeni, więc musiałem zobaczyć, co to takiego. To głównie wina pańskiej żony. Powinna była włożyć je do koperty... takie rzeczy. Nigdy nie wyciągnąłbym listu z koperty. Ale to przeczytałem, zanim jeszcze sobie uświadomiłem, co to jest. To chyba nic takiego złego? Co jest takiego specjalnego w pańskich pocztówkach? Każda żona mogłaby tak napisać do męża, albo mąż do żony. I taki stary żonaty mężczyzna jak ja... co innego, gdyby dostały się w ręce jakiejś młodej osoby, dajmy na to młodej dziewczyny. Ale nawet wtedy wątpię, żeby ktoś był taki

niewinny. A wreszcie nie sędzę, że miałyby to jakieś znaczenie dla pańskiej żony. Tego rodzaju rzeczy nie pisze się na kartkach pocztowych. Gdyby przywiązywała do tego wagę, napisałaby to w liście.

- Nadal myślę, że pan kłamie.

- No cóż, jeśli tak pan myśli, nic na to nie poradzę. Ale nie kłamie. Czemu nie zamyka pan biurka na klucz, skoro mi pan nie ufa?

- Teraz jest zamknięte.

- Powinien był pan zamknąć je wcześniej. Nikt nie lubi, żeby tak na niego napadano. Niech pan je trzyma zamknięte. Ma pan prawo tracić panowanie nad sobą, kiedy jest jednoznaczny dowód, że ktoś grzebie w pańskich osobistych rzeczach. To niezbyt miłe. Ale takie oskarżenia również. Gdybym nawet zajrzał do pańskiego biurka, a kategorycznie temu zaprzeczam, czemu miałbym chcieć nosić te kartki przy sobie?

- Czemu miałby pan chcieć? Skąd ja mam to wiedzieć!

- Jak jakiś czubek? Nie ja, trafił pan na niewłaściwą osobę.

Leventhal nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć. Być może się mylił. To, co mówił Allbee, miało sens - poza uwagą o młodych dziewczętach, ale nawet ona, gdyby ją dokładniej wyjaśnić, nie byłaby może tak całkiem niedorzeczna. Poza tym nowa fryzura, koszula i krawat, a także to, że był trzeźwy, wiele zmieniło. Głównie fryzura; nadawała mu nowy wygląd. Jego twarz wydawała się solidniejsza. Leventhal nagle przestał odczuwać silne emocje; Allbee budził w nim tylko pewne

zaciekawienie. Usiadł obok biurka. Allbee opadł na fotel i wyciągnął nogi.

Po kilku minutach ciszy powiedział:

- Widział pan dzisiejszą gazetę?

- Dlaczego, co jest w gazecie?

- Jest tam artykuł, o którym sądziłem, że mógł zwrócić pańską uwagę. Dotyczy Rudigera. A właściwie syna Rudigera, ale o nim również wspomniano. Syn jest w wojsku i wczoraj został awansowany. Do stopnia majora.

- I co z tego?

- Przypadkiem to zauważyłem. Przeglądałem u fryzjera gazetę i zobaczyłem zdjęcie tego chłopca. Przez jakiś czas pracował w biurze. To bardzo zwyczajny chłopiec. Miły... Nie mogę powiedzieć o nim złego słowa. Po prostu chłopak po studiach; bardzo zwyczajny, bez specjalnej iskry. To nie moja sprawa; to znaczy, nie może mi to ani pomóc, ani zaszkodzić. Ale zawsze mnie ciekawi, co w trawie piszczy. Oto ktoś bez koneksji spędza dwadzieścia lat w wojsku, najpierw w jednym zapyziałym garnizonie, potem w innym, żyje z miejscowymi dziewczynami, bo nie może sobie pozwolić na małżeństwo. Może dochra- puje się w końcu jakiejś niskiej rangi, zostaje podporucznikiem. Nie powie mi pan, że nie odgrywają tu roli koneksje.

- Zapewne tak - bezmyślnie odparł Leventhal.

- Tak. Nie żebym miał coś przeciwko niemu, dla- tego że przypadkiem jest synem swojego ojca. Czemu nie miałby korzystać z pozycji swego starego? I co innego starszek może dla niego zrobić? - Nagle zmienił temat, zaśmiaawszy się krótko. - Zauważył pan moją fryzurę?

-Tak.

- No i nie piłem. Nie tego się pan spodziewał, co?
- Ależ proszę, niech mnie pan zaskakuje.
- Myślał pan na pewno, że znowu się urżnę.
- Może.
- Mówiłem panu, że nie jest jeszcze ze mną tak

źle.

- Miło mi to widzieć.
- Naprawdę? - W jego wesołości zabrzmiała nuta ekscytacji.

- Oczywiście - odparł Leventhal. Czuł, jak w reakcji na rozbawienie tamtego w jego piersi narasta śmiech, i stłumił go. - Czego pan chce, kosza róż?

- Czemu nie?
- Medalu? - Leventhal zaczął się uśmiechać.
- Tak, medalu. - Zakaszła ciężko. - Należy mi

się.

- Należy się panu.
- No cóż, nie kusiło mnie nawet, jeśli mam być szczyry. Nie musiałem walczyć z pragnieniem; nie miałem najmniejszego problemu.

Allbee pochylił się do przodu i położył rękę na oparciu fotela Leventhala. Przez chwilę obaj mężczyźni patrzyli na siebie i Leventhal poczuł osobliwe przyciąganie, połączone z czymś w rodzaju czułości. Uczucie to dręczyło go, było odrażające. Nie wiedział, co o nim myśleć. Ale jednocześnie przyjmował je z radością. Niepokoilo go nieco, że jest taki zmienny. W tym momencie nie wydawało się to jednak poważną wadą.

- Po bokach kazałem się ostrzyć maszynką. - All-

bee uniósł do głowy końce palców. - Tak się przyzwyczaiłem. Przekonałem się, że w ten sposób jest czyściej. Ze względu na wszy. Pan pewnie nic na ten temat nie wie, prawda?

Leventhal wzruszył ramionami.

- Och, gdyby zagnieżdżyły się w pańskich włosach, takich włosach... Pańskie włosy mnie zdumiewają. Za każdym razem, kiedy pana widzę, muszę się im przyglądać. U niektórych ludzi ma się czasami wątpliwości, czy są prawdziwe, i chce się sprawdzić, czy taki ktoś nie nosi peruki. Ale pańskie włosy... często próbowałem sobie wyobrazić, jak by to było mieć takie włosy. Czy trudno je czesać?

- W jakim sensie trudno?

- Chodzi mi o to, czy się nie płaczą. Muszą wyłamywać zęby w grzebieniach. Czy mógłby mi pan pozwolić raz ich dotknąć?

- Niech pan się nie wygłupia. To włosy. Włosy, i tyle - odparł.

- Nie, to nie są zwyczajne włosy.

- Och, wynoś się pan - rzekł Leventhal, odchylając się do tyłu.

Allbee wstał.

- Tylko dla zaspokojenia ciekawości - powiedział z uśmiechem. Pomacał palcami włosy Leventhala i ten przez chwilę był uwięziony pod jego dotykiem i niezdołny do zrobienia czegokolwiek. Ale potem odepchnął jego rękę, krzycząc:

- Odczep się pan!

- To zdumiewające. Są jak sierść zwierzęcia. Mu-

si pan mieć niezwykle silny organizm.

Leventhal gwałtownym ruchem odsunął swój fotel, marszcząc czoło pod wpływem zmieszania i wzbierającego gniewu. Potem wrzasnął:

- Niech pan siada, pomyłeńcu jeden! - i Allbee wrócił na swoje miejsce. Usiadł pochylony do przodu, niezgrabnie, z dłońmi pod udami i przekrzywioną szczęką, dokładnie tak samo, jak tamtego wieczora, kiedy po raz pierwszy siedział twarzą w twarz z Leventhałem w parku. Biel przystrzyżonych skroni i ogolona twarz podkreślały błękit jego oczu.

Przez jakiś czas nie padło ani jedno słowo. Leventhal usiłował uspokoić swoje uczucia i zdecydować, w jaki sposób odzyskać pole, które stracił przez ten ostatni akt szaleństwa.

- Trudno jest zachować we wszystkim właściwe proporcje - zaczął nagle Allbee.

- Do czego pan teraz pije? - zapytał Leventhal.

- Och, do tego, że nazywa mnie pan pomyłeńcem, kiedy ulegam impulsowi. Nikt nie może być pewien, że zachował właściwe proporcje. Chciałbym panu dać przykład. Ostatnio, kilka tygodni temu, w metrze, na torach, stał mężczyzna. Nie mam pojęcia, jak się tam dostał. Ale stał na torach i nadjechał pociąg, i przygniótł go do muru. Mężczyzna się wykrwawiał. Na dół zszedł policjant i od razu zakazał wszystkim dotykać tego człowieka, dopóki nie przyjedzie ambulans. Wynikało to stąd, że miał zalecenia dotyczące wypadków. Otóż zbyt duży nacisk położono tu na jedną rzecz - niepodejmowanie ryzyka. Impuls nakazuje ratować

człowieka, lecz zasada postępowania jest taka, by trzymać się przepisów. Przyjechał ambulans, mężczyzna został wyciągnięty i natychmiast umarł. Nie jestem lekarzem i nie wiem, czy miał szansę w jakimkolwiek momencie. Ale przypuśćmy, że mógł zostać uratowany? To właśnie mam na myśli, mówiąc o proporcjach.

- Czy krzyczał o pomoc? Jaka to była linia? - zapytał Leventhal, boleśnie marszcząc czoło.

- Linia East-side. No, oczywiście, kiedy człowiek jest taki rozplaszczony... Wypełniał cały tunel swoim krzykiem. A tłum! Pociągi zostały zatrzymane i stacja była zatłoczona. Ludzie wciąż napływali. Powinni byli odepchnąć policjanta i ściągnąć faceta. Ale wszyscy stali i słuchali go. To prawdziwe chorągiewki.

- Chorągiewki?

- Nie trzymają ani z Bogiem, ani z lucyferem.

Sądzą, że trzymają z samymi sobą, ale nawet tak nie jest.

„Po co on mi to mówi?” - pomyślał Leventhal. „Czy chce grać na moich uczuciach? Może sam nie wie po co?”

Allbee zaczął się uśmiechać.

- Powinien pan zobaczyć, jaką miał pan zdziwioną minę, kiedy zjawiłem się zupełnie trzeźwy. A zdziwi się pan jeszcze bardziej, wie pan?

- Czym?

- Żartował pan ze mną dzisiaj rano o nowym początku. Nie chciał mnie pan brać poważnie.

- A pan sam w niego wierzy?

- Niech się pan nie martwi - rzekł pewnym siebie głosem. - Wiem, co naprawdę się we mnie dzieje. Zdradzę coś panu. Nie ma na świecie człowieka, który by tego nie



wiedział. Całe to zawracanie głowy z „poznaj samego siebie”! Wszyscy wiedzą, ale nikt nie chce się do tego przyznać. W tym rzecz. Niektórzy pływacy potrafią bardzo długo wstrzymać oddech - ci greccy poławiacze gąbek - i jest to interesujące. Ale to, jak trzymamy zamknięte oczy, również jest niemałym wyczynem, ponieważ są one stworzone do tego, żeby być otwarte.

- No tak. Znowu pan zaczyna. Może pan to robić bez whisky. A ja myślałem, że to whisky.

- W porządku! - krzyknął Allbee. - Chciałbym teraz coś panu wytłumaczyć. To chrześcijańska myśl, ale nie widzę powodu, dla którego nie miałby pan być w stanie jej zrozumieć. „Czyń pokutę!” Tak mówi Jan Chrzciciel, powracając z pustyni. Zmień się, mówi, i bądź innym człowiekiem. Musisz nim być, a to z tego powodu, że możesz nim być, i kiedy twój czas tutaj nadejdzie, będziesz nim. Coś jeszcze tkwi za tym „czyń pokutę”, to mianowicie, że wiemy, co mamy odpokutować. Skąd? - Jego pozbawiona uśmiechu twarz przykuwała uwagę Leventhala. -Ja wiem. Wszyscy wiedzą. Ale trzeba przepędzić strach przed przyznaniem się do tego jeszcze większym strachem. Słyszałem, że lekarze zaczynają aplikować swoim pacjentom wstrząsy elektryczne. Rozdzierają ich one niemal żywcem, ale potem przechodzi im ochota do żartów. Widzi pan, trzeba doprowadzić się do stanu, kiedy nie będzie już można znieść życia po staremu. Kiedy osiągnie się ten etap... - Splótł dłonie i na przegubach wystąpiły mu ścięgna. - Trwa bardzo długo, zanim człowiek będzie gotów przestać lawirować. A w tym czasie ból jest straszliwy. -

Kilkakrotnie mrugnął, wywracając oczy, jakby chciał usunąć z nich jakieś obce ciało. - Jesteśmy uparci jak muły i dlatego musimy przyjmować takie razy. Kiedy nie możemy znieść kolejnego uderzenia, nie umierając od niego, wówczas się zmieniamy. Ale niektórzy nigdy się nie zmieniają. Stoją, dopóki nie padnie ostatni cios, i umierają jak zwierzęta. Inni mają dość siły, by zmienić się na długo przedtem. Ale czynić pokutę trzeba t e r a z, w tej minucie i wiecznie, nie tracąc więcej czasu.

-I ta minuta nadeszła już dla pana?

-Tak.

- Nie wiem, kogo pan teraz zwodzi, mnie czy siebie.

- Każde słowo jest szczere, szczerusieńkie! - odparł Allbee, pochylając głowę i wpatrując się w niego. Zawahał się, jego szerokie usta pozostały rozchylone, przy czym górna warga, z długą bruzdą, poruszała się lekko.

- Idźże pan! - zaśmiał się nagle Leventhal.

- No cóż, pomyślałem sobie, że przynajmniej spróbuję to panu wytłumaczyć. - Obrócił się nieznacznie w fotelu, opierając jedno ramię na poduszce, i wolno pocierał bok swojej wyciągniętej nogi.

- Nie jestem religijny czy coś takiego, ale wiem, że nie muszę być w przyszłym roku tym, kim byłem w zeszłym. Byłem na jednym końcu i mogę dotrzeć na drugi. Nie ma granic dla tego, czym mogę być. A nawet gdyby nie udało mi się stać kimś tak olśniewającym, to jednak wiem, że sama myśl o tym jest prawdziwa.

- Zobaczmy, kim pan będzie w przyszłym roku.

- Pan będzie ten sam, to wiem. Wy... - Potrząsnął głową i jego policzek otarł się o kołnierzyk.

- Jeśli znowu pan zacznie, za chwilę wyląduje pan na schodach. - Leventhal uniósł się groźnie z siedzenia.

- Dobrze już, dobrze, zostawmy to. Tylko że kiedy człowiek mówi coś poważnego o sobie, chce, aby mu wierzone - odparł Allbee. - Wydaje mi się sensowne, że człowiek może się ponownie narodzić. Na razie podziękuję za królestwo niebieskie, ale jeśli będę zmęczony swoim obecnym stanem, mogę się stać nowym człowiekiem. Tylko to mówię.

Wyprostował się w fotelu i zamilkł, delikatnie składając swoje wielkie dłonie. Po wygięciu jego ust Leventhal rozpoznawał, że jest z siebie bardzo zadowolony. Rzeczywiście, ułożenie rąk wskazywało bardziej na aplauz niż na odpoczynek. Garb cienia za jego plecami od czasu do czasu wydłużał się za sprawą nieznacznych poruszeń głowy. Lampa pod abażurem z zielonej mory tworzyła drugą, łagodniejszą plamę światła na politurze biurka. Z ulicy nadleciał szum stłumionych odgłosów, a podmuch powietrza wydał i rozdzielił zasłony, które po chwili znowu się złączyły.

W tym momencie Leventhal odczuwał obecność Allbeego i wszystko, co go dotyczyło, jako wielki, męczący ciężar i patrzył na niego śmiertelnie znużony, z palcami spoczywającymi bezruchu na udach. Coś wisiało w powietrzu, coś, czego nie był w stanie przewidzieć. Wiedział, że cokolwiek to jest, będzie zbyt ogłupiały i zmęczony, żeby z tym sobie poradzić. Był wyczerpany.

Wróciła dawna słabość, jego nerwy nigdy nie były w tak złym stanie; nie potrafił utrzymać koncentracji wystarczająco długo, by rozwiązać jakikolwiek ze swoich problemów, musiał czekać na sposobność do zwrócenia na to lub owo swojej uwagi i myślał powoli i zrywami. Powinien był myśleć o tym, co dzieje się na Staten Island, już choćby przez wzgląd na Philipa, i powinien choć raz zatelefonować do Maksa. Max trzymał się go kurczowo w kaplicy; nie miał nikogo innego, kogo mógłby się trzymać. Do tej pory musiał się zorientować, że nie ma nikogo na świecie. Ale powodem, dla którego Leventhal wzdragał się przed dzwonieniem, było to, że nie był w stanie wyklarować myśli ani skupić ich na jednej rzeczy, a brakowało mu energii, żeby nadal próbować. A poza tym iskry - czysta iskra życia Mickeya, iskra zdrowia psychicznego Eleny, iskry myśli i odwagi, nawet odwagi tak ufniej w siebie, jak odwaga Mary - jak takie iskry były ścigane i doganiane, zatapiane, gaszone! Jaki więc był pożytek z myślenia? Jego ciemna, zamyślona twarz 0 pełnych policzkach i nastroszonych matowych włosach była pochylona ku piersi. Głęboko i nieregularnie wdychał powietrze i unosił ręce z kolan w geście egzorcysty odpędzającego urok zamętu  
I rozpaczy. „Bóg mi pomoże” - przemknęło mu przez myśl, lecz nie zatrzymał się, by zadać sobie pytanie, co dokładnie przez to rozumie.

- Co do tej karty, którą podniosłem - powiedział Allbee. - Wizytówki. Czy ten człowiek jest kimś w rodzaju agenta filmowego? Chcę wytłumaczyć, dlaczego ją podniosłem. Zapewne go pan zna.

- Trochę.
  - Czym on się zajmuje? Jaka jest jego specjalność?
  - Zdaje się, że wyszukuje talenty.
  - Jest wpływowy? Chodzi mi o to, czy ma... - Ale Allbee zrezygnował z tego pytania, jakby było ono oznaką jego uporczywej naiwności lub braku obycia w świecie.
  - Czy co ma?
  - Och... dojścia. - Jego warga zaczęła się wydymać, a oczy były rozszerzone i spoglądały z wyzbytą humoru bezpośredniością. - Doszedłem do wniosku, że jeśli człowiek chce dzisiaj dawać sobie w życiu radę, musi trzymać z potęgami. Nie ma sensu im się przeciwstawiać.
  - Kto panu powiedział, że Shifcart jest potężny? Allbee nie udzielił odpowiedzi. Uniósł ramiona i pogardliwie spojrzął w bok.
  - Kto? - powtórzył Leventhal.
  - Powiedzmy więc, że może mi pomóc, i pomińmy inne względy.
  - Chce pan zostać aktorem?
  - A nie byłbym dobrym?
  - Pan?
  - Czy to takie zabawne?
- Po ocienionej twarzy Leventhala przemknął słaby uśmiech.
- O ile wiem, pańska matka uważała się za śpiewaczkę - rzekł. - A pan uważa się za aktora.
  - Och, słyszał pan o mojej matce. Kto panu o niej powiedział, Phoebe?
  - Tak. Śpiewała na pańskim ślubie, nieprawdaż?

- Rewelacyjnie - odparł Allbee nieokreślonym tonem; i po chwili: - Nie, oczywiście, że nie chcę grać. Ale sądziłem, że z całym moim doświadczeniem w czasopiśmie mógłbym się dostać do branży filmowej. Słyszałem kiedyś o kimś, znajomym znajomego, który wykonywał jakieś wstępne prace scenariuszowe, wyszukiwał historie i sporządzał ich streszczenia, i gdybym mógł zaczepić się przy czymś takim... Może pański przyjaciel mógłby mi powiedzieć, jak to zrobić.

- To nie jest mój bliski przyjaciel. Jak dawno temu słyszał pan o tym?

- Już nie pamiętam. Kilka lat temu.

- Skąd więc pan wie, że wciąż może pan dostać taką pracę? Dlaczego nie dowie się pan od tego swojego znajomego? Na czym się pan opiera? Niech pan jego o to zapyta.

Allbee odparł szybko:

- To niemożliwe. Nie wiedziałbym, gdzie go znaleźć ani jak w ogóle go szukać. Poza tym on nie jest mi nic winien, Leventhal. Dlaczego miałbym iść do niego?

- Dlaczego? No a dlaczego do mnie? To ma dokładnie tyle samo sensu.

Ta odpowiedź ogromnie wzburzyła Allbeego.

- Dlaczego? Z dobrych powodów, najlepszych na świecie! - Zaszokował Leventhala, zaciskając pięść pr/ed jego piersią, jakby z wielką pasją groził, że porzuci wszelką powściągliwość. - Daję panu szansę postąpienia uczciwie, Leventhal, i zrobienia tego, co właściwe. I chcę tego, co właściwe, od pana. Niech pan nie wciąga w to nikogo innego. To sprawa wyłącznie między nami

dwoma.

- Niech pan nie będzie szalony.
- Tylko pan i ja. Tylko my dwaj.
- Ja nigdy... ja nigdy... - wyjąkał Leventhal.
- Nie mogę sobie pozwolić na wygłupy. Wygłupy

zostały mi wybite z głowy. Przeszedłem twardą szkołę, taką, za którą płaci się latami życia. - Opuścił głowę i przyglądał mu się, zanim zaczął mówić dalej. Po bokach jego twarzy, na wysokości oczu, widoczne było wyraźne pulsowanie, a w samych oczach pojawił się błysk, który zdumiał Leventhala; nie przypominał niczego, co znał z doświadczenia. - Niech pan posłucha - rzekł Allbee zdecydowanie, chociaż cichszym głosem. - Wie pan, że kiedy mówię, iż chcę być przedstawiony temu Shifcartowi, to znaczy to, że jestem gotów się z panem ułożyć. Proponuję uregulowanie rachunków. Proponuję złożenie przeze mnie broni. Jeśli on mi pomoże. Rozumie pan?

- Nie, nie rozumiem - odparł Leventhal. - Nie pojmuję z tego ani słowa. I dopóki pan mówi o regulowaniu rachunków, nie kiwnę dla pana palcem.

- Niech pan posłucha - rzekł Allbee. - Wiem, że chce pan uregulować rachunki. I ja także. I wiem również, o czym mówię, kiedy oświadczam, że się z panem ułożę. Świat przeszedł z rąk do rąk. Jestem jak Indianin, który widzi pociąg jadący przez prerię, gdzie wcześniej wędrowały bizona. No więc teraz, kiedy bizona zniknęły, chcę zsiąść z konika i zostać kierownikiem tego pociągu. Nie proszę o to, by uczyniono mnie udziałowcem w firmie. Wiem, że to niemożliwe. Niemożliwych jest wiele

rzeczy, które wcześniej takie nie były. Kiedy byłem młodszy, miałem całe życie zaplanowane w głowie. Wyobrażałem sobie, jakie będzie, przy czym wychodziłem z założenia, że wywodzę się od panów ziemi. Miałem wszelkiego rodzaju oczekiwania. Ale to Bóg nosi kule. Nie ma sensu się oszukiwać.

Leventhal, z oczami zwróconymi ku sufitowi, zdawał się zapytywać: „Czy ty coś z tego rozumiesz? Bo ja nie”.

Rozległo się pukanie do drzwi.

20

Był to Max. Stał przed Leventhałem ze zwiniętą gazetą pod pachą, koszulą rozpiętą na szyi, tak że widać było czarne włosy na jego piersi, i miękkim kołnierzykiem wyłożonym na kłapy marynarki, tak samo jak kołnierzyk Philipa w dniu wycieczki. Był ubrany w ten sam dwurzędowy garnitur, który miał na sobie na pogrzebie. Kiedy drzwi się otworzyły, zdawał się wahać na klatce schodowej, i Leventhal wykrzyknął załamującym się głosem:

- Max! Wejdz, na miłość boską!

- Jesteście w domu? - zapytał ochryple Max, wciąż niezdecydowany.

Leventhala uderzyło, że jego brat zachowuje się, jakby miał wejść do mieszkania obcego człowieka. Nigdy przedtem tu nie był.

- No, ja na pewno. Ostatnio nie miałem okazji ci tego powiedzieć. Mary wyjechała. Ale wejdźże do środka.

Wprowadził go przez próg i skręcił do pokoju dziennego, pełen obaw z powodu tej nowej komplikacji. Nie wiedział, czego się spodziewać po All-beem, co



powie on, dowiedziawszy się, kim jest Max. Wychylał się już z zaciekawieniem. Leventhal stał przez chwilę w bezruchu, niezdolny do powiedzenia czegokolwiek ani postąpienia naprzód. Zaglądając do pokoju i widząc Allbeego, Max rzekł przepraszająco:

- Słuchaj, jesteś zajęty. Przyjdę później.
- Nie jestem - szepnął Leventhal. - Chodź.
- Powiniennem być najpierw zadzwonić.

Ale Leventhal trzymał go za ramię i wpychał do środka.

- To mój brat Max. To Kirby Allbee.
- Pański brat? Nie wiedziałem, że ma pan brata.
- Mam, jednego.

Max, powściągliwy i ponury, spuścił wzrok, być może przyznając się w ten sposób do części winy za to, że odsunęli się od siebie.

- Nie wiem dlaczego, ale myślałem, że jest pan jednakim, jak ja. - Allbee był rozmowny i ożywiony, toteż Leventhal zastanawiał się, co on nowego szykuje, lecz ukrywał swój strach pod maską obojętności. Przyniósł krzesło i Max usiadł na nim. Czubki jego zakurzonych butów były zwrócone do wewnątrz. Bok pochylonej twarzy i potężna szyja tworzyły jedną płaszczyznę, od wygięcia nosa po zgrubienie wywatowanego ramienia.

- Często żałowałem, że nie jest nas dwóch - rzekł Allbee/

- Jak się mają sprawy w domu, Max? - zapytał Leventhal.

- Och - odparł Max. - Wiesz... - Leventhal ocze-

kiwał, że dokończy zdanie, ale wybrzmiało ono bez dalszego ciągu.

Allbee wydawał się z uśmiechem komentować na własny użytek coś w wyglądzie obydwu braci. Leventhal ukradkiem wskazał głową drzwi. Brwi All- beego uniosły się pytająco. Cała jego mimika mówiła: „Dlaczego miałbym to zrobić?”. Leventhal pochylił się do niego i mruknął:

- Chcę porozmawiać z bratem.
- Co się stało? - zapytał głośno Allbee.

Leventhal z surową miną uczynił ten sam gest głową.

Ale Max usłyszał.

- Czy mnie pan pytał, co się stało? - zapytał.

Allbee spojrział na Leventhala i wzruszył ramionami, przyznając się w ten sposób do popełnienia niezręczności. Nie odpowiedział.

- Sądzę, że musi być to po mnie widać - rzekł Max.
- Mieliśmy ostatnio śmierć w rodzinie - wyjaśnił Leventhal.

- Mój młodszy syn.

Po twarzy Allbeego przemknął wyraz, którego Leventhal nie był w stanie zinterpretować, chłodne ściągnięcie rysów.

- Och, przykro mi to słyszeć. Kiedy?
- Cztery dni temu.
- Nie wspomniał mi pan o tym - rzekł Allbee do Leventhala.

- Nie - odparł sucho Leventhal, wpatrując się w brata.

Allbee pochylił się szybko w fotelu.

- Niech pan powie, czy to był tamten chłopiec... niedawno temu?

- Nie, nie ten, który był ze mną. Ma na myśli Phi- la

- Leventhal wyjaśnił Maksowi. - Jakiś czas temu wziąłem go do kina i spotkaliśmy przypadkiem pana Allbeego.

- Ach, Phil. Odpukać w niemalowane. Ten, którego pan widział, to mój drugi syn.

- Ach, rozumiem, dwoje dzieci...

- Idzie pan? - zapytał go Leventhal na stronie.

- Załatwi mi pan spotkanie z Shifcartem?

Leventhal zacisnął rękę na jego ramieniu.

- Wyjdzie pan?

- Powiedział pan, że mi pan pomoże.

- Porozmawiamy o tym później. - Leventhal stawał się wściekły ze zniecierpliwienia. - Niech się panu nie wydaje, że może mnie pan szantażować.

- Nie chcę przeszkadzać w interesach - rzekł Max.

- Jakich interesach! Nie mamy żadnych interesów.

Allbee wstał i Leventhal wyszedł z nim do przedpokoju.

- Wróć po pańską odpowiedź - rzekł Allbee. Spoglądał w twarz Leventhala, jakby zobaczył w niej coś nowego. - Jestem naprawdę zaskoczony. Spotyka pana coś takiego... pański bratanek. A ja jestem w tym samym domu i nie mówi mi pan o tym ani słowa.

- Czemu miałbym chcieć z panem o tym rozmawiać?

- Zanim Allbee zdążył się znowu odezwać, zamknął drzwi.

- Kto to taki? - zapytał Max, kiedy Leventhal wrócił. - Przyjacieli?

- Nie, po prostu facet, który ciągle do mnie przychodzi.

- Dziwnie wygląda... - Max przerwał sobie i powiedział: - Mam nadzieję, że niczego nie zakłóciłem.

- Ależ skąd. Miałem do ciebie dzwonić, Max. Ale pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli jakiś czas zaczekam.

- Trochę tego oczekiwałem, ponieważ okazałeś zainteresowanie i przyszedłeś na pogrzeb, i w ogóle.

Max zwracał się do niego nieśmiało, nieco oficjalnie, badając grunt z dziwaczną uprzejmością, niemalże uprzejmością obcego człowieka. Przygaszony, wyczerpany i wyraźnie, w odczuciu Leven-thala, udręczony, starał się jednak znaleźć odpowiedni ton, nie nazbyt poufały. Poczucie winy mocniej tłoczyło krew do serca Leventhala. Chciał coś o tym powiedzieć Maksowi. Nie wiedział jak i bał się, że wszystko jeszcze bardziej utrudni. Jak mieli rozmawiać, skoro nigdy od czasów dzieciństwa nie spędzili ze sobą ani godziny? Domyślał się również, że mieszkanie, kontrast między jego tapicerowanymi fotelami i dobrymi dywanami a tandetnymi meblami na Staten Island, wytartymi, zanim jeszcze spacono połowę rat, sprawiało, że zachowanie Mak-sa wobec niego było nacechowane szacunkiem.

- Więc jak się sprawy mają? - zapytał. Sądził, że Max będzie mówił o Elenie. Był nawet pewien, że przyszedł głównie po to, żeby z nim o niej porozmawiać.

- Myślę, że nie gorzej, niż mogłem się spodziewać.

- Z Philem wszystko w porządku?

- No cóż, kiedy jedno dziecko umiera, dość mocno

odbija się to na drugim.

- Dojdzie do siebie.

Max nic na to nie powiedział i Leventhal zaczął myśleć, że zastanawia się, czy w ogóle wspominać

o Elenie, nie mogąc się w ostatniej chwili zdecydować i zmagając się ze sobą.

- Tak, dzieci dochodzą po czymś takim do siebie

- powtórzył Leventhal.

- Chciałem cię o coś zapytać - powiedział Max.

- Chcę uregulować z tobą tę sprawę ze specjalistą.

Powiedział mi, że dałeś mu dziesięć dolarów za pierwszą wizytę. - Jego dłoń wsunęła się do wnętrza marynarki.

- Ależ nie.

Ale Max otworzył portfel i na wpół się podnosząc, położył banknot dziesięciodolarowy obok lampy na biurku.

- To niepotrzebne.

- Chcę ci zwrócić. Dzięki.

„Teraz bierze sprawy w swoje ręce” - skomentował to w duchu Leventhal. Jego pierwotne rozdrażnienie na Maksą ożyło i powiedział dość chłodno:

- Nie ma za co.

- Nie tylko za pieniądze - powiedział Max. - Za resztę także.

Emocje Leventhala wzięły nad nim górę.

- Za zrobienie niewielkiej części tego, co ty powinienś być zrobić, gdybyś był tutaj.

Max zastanowił się, unosząc pobrużdżoną twarz

o szerokiej szczęce i zakrzywionym, piegowatym nosie.

- Tak - powiedział - powinienem być tutaj być.

Zachowywał się ulegle, jakby nie znajdował w sobie nic, co pozwoliłoby mu stawić opór.

Leventhal nie mógł powstrzymać następnego pytania.

- Co mówi Elena?

- O czym?

- O mnie.

Max wydawał się zaskoczony.

- Co miałyby mówić? Powiedziała tylko, że dziwi się, dlaczego nie przyszedłeś do domu po pogrzebie. Ale nie mówi wiele. Przez większość czasu leży w łóżku i płacze.

Leventhal przesunął się do przodu. Światło lampy padało na jego włosy i ramiona.

- Czy sprawia ci dużo kłopotu, Max?

- Kłopotu? Zastanów się tylko. To straszny cios.

Płacze. To całkiem naturalne.

- Możesz ze mną mówić zupełnie otwarcie.

Zdziwienie Maksa wzrosło.

- A co tu jest do ukrywania?

- Jeśli ty nie wiesz, to ja także. Ale masz okazję, żeby się wygadać, jeśli chcesz. Zdaję sobie sprawę, że nie jesteśmy sobie zbyt bliscy. Ale czy masz kogoś innego, z kim mógłbyś porozmawiać? Może masz przyjaciół. Na pogrzebie nie zauważyłem ich wielu.

Max powiedział niepewnie:

- Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz.

- Zapytałem, czy Elena sprawia ci kłopot.

Ciemna krew napłynęła do twarzy Maksa pod grubą maską źle ogolonej brody. W jego oczach pojawił się strach i konsternacja. Niechętnie zaczął wykonywać gest

zaprzeczenia dłońmi o czarnych paznokciach;  
zrezygnował jednak i nie dokończył go.

- Uspokaja się.
- Co mówi?

- Rozmaite rzeczy - odparł Max z wyraźnym trudem, wciąż unikając bezpośredniej odpowiedzi.

Ale Leventhal nie potrzebował bezpośredniej odpowiedzi. Potrafił sobie wyobrazić Elenę w mosiężnym łóżku, w którym wcześniej leżał Mickey, w tamtym strasznym pokoju, płaczącą i wściekającą się; i Maksą siedzącego tak, jak widział go siedzącego teraz, słuchającego z rezygnacją. Bo co mógł zrobić?

I Philip również musiał słuchać. Myśl ta ugodziła go głęboko. Ale jak można było ochronić chłopca? Musiał słuchać i uczyć się. Leventhal wierzył w to, co powiedział Maksowi o dzieciach - że przetrzymują ciężkie próby. Są maltretowane przy porodzie i prostują się, rosnąc, ponieważ ich kości są miękkie. Maltretowane potem, potrafią wracać do sił. Jest jego matką, więc niech patrzy i słucha. Czy takie podejście jest okrutne? Był pełen miłości dla chłopca. Ale nie ma sensu być miękkim. Być miękkim, kiedy życie jest twarde? Nie oznacza to, że miękkość należy potępiać, lecz czasami to tylko inne określenie słabości. Miękkość? Z całego stworzenia tylko człowiek jest do niej zdolny, a i on jest na połę twardy.

- Wzywałeś do niej lekarza? - zapytał.
- Dlaczego uważasz, że go potrzebuje?
- Przypomnij sobie mamę!

Max wzdygnął się.

- O czym ty mówisz? - zapytał w nagłym przypiływie oburzenia.

- Nie dziwię się, że nie chcesz, aby o tym wspomiano.

- Czemu mieszasz w to mamę? Czy ona przypomina ci mamę?

Leventhal zawahał się.

- Od czasu do czasu tak... Ale przyznajesz, że masz z nią kłopoty.

- A czego się spodziewasz? Miota się.

Oczywiście, że się miota. W końcu to dziecko. To boli. Ale wyjdzie z tego. Już teraz jej stan się poprawia.

- Max, sądzę, że tego nie rozumiesz. Ludzie łatwo tracą rozum. Nie są chyba tak silni pod tym względem jak dawniej i kiedy robi się ciężko, załamują się. Jest coraz więcej takich przypadków. Wszyscy to czują. Ja również, często. Elena zachowywała się bardzo dziwnie w związku z dzieckiem i szpitalem. O tym wykrzykuje, nieprawdaż? O szpitalu? - Stawał się coraz mniej pewny siebie. - Więc myślałem...

- Ja też dość często przypominam sobie mamę, i Hartford, i całą resztę. Nie jesteś jedyny.

- Nie? - zapytał Leventhal. Spojrzał na niego bawczo.

- I mylisz się co do Eleny.

- Nie sądzisz chyba, że chcę mieć rację?

- Główny kłopot, jaki z nią mam, jest taki, że chcę przenieść rodzinę na południe. Szukałem czegoś w Galveston. To właśnie zajęło tyle czasu. Znalazłem mieszkanie i wpłaciłem zaliczkę. Zamierzałem ich tam



wszystkich sprowadzić.

- To dobrze To najlepsza rzecz, jaką mogłeś zrobić. Zabierz Philipa z Nowego Jorku. Nie powinien się tutaj wychowywać.

- Ale nie mogę do tego przekonać Eleny.

- Dlaczego?

- Może zacząłem za szybko po pogrzebie. Ale ona mówi, że nie chce wyjeżdżać.

- Powiedz, czy stara kobieta często u was bywa  
- jej matka?

- O tak, cały czas się kręci.

- Na miłość boską, wyrzuć ją!

Jego gwałtowność zdumiała Maksa.

- Ona nie ma z tym nic wspólnego

- Nie pozwól, żeby nad wami zapanowała. Chroń się przed nią.

Max po raz pierwszy zaczął się uśmiechać.

- Nic mi nie robi.

- Założę się, że radzi Elenie, żeby nie wyjeżdżała.

Skąd wiesz, co jej mówi? Nie rozumiesz, o czym rozmawiają.

Wyraz twarzy Maksa zmienił się; znowu spowaźniał, a kąćki jego ust wykrzywiły się ku dołowi.

- Trochę rozumiem - powiedział. - Uważasz pewnie, że powinienem był się ożenić z Żydówką.

- Nigdy tego ode mnie nie usłyszałeś - zdecydowanie odparł Leventhal. - Nigdy.

-Nie.

337

-I nigdy nie usłyszysz. Mówię o jej matce, a nie

o Elenie. Sam mi mówiłeś przed laty, że stara kobieta cię nienawidzi. Naszkodzi ci, ile zdoła. Może przyzwyczyłeś się do tej starej diablicy i nie widzisz już, jaka naprawdę jest. Ale ja ją obserwowałem. To dla mnie jasne jak słońce, że według niej

22-Ofiara

śmierć dziecka była karą boską za to, że Elena wyszła za ciebie.

Max wzdrygnął się, po czym jego usta się zacisnęły, a pod naturalną ciemną karnacją i dodaną ciemną barwą troski pojawił się stłumiony płomień oburzenia.

. ^ - Co ty wygadujesz? - zapytał. - W życiu nie słyszałem czegoś równie dziwnego. Najpierw masz jakieś pomysły na temat Eleny, a teraz na temat starej kobiety.

- Nie było cię - odparł Leventhal. - Nie wiesz, jak się zachowywała. Ta kobieta to zaraza.

- Aleś ty się zrobił podejrzliwy. - Twarz Maksa zaczęła przybierać łagodniejszy wyraz, a on sam westchnął.

- Jest pełna nienawiści - upierał się Leventhal.

- Daj spokój, to nieszkodliwa stara kobieta.

Jeśli mylił się co do Eleny, myślał Leventhal, jeśli przeholował i błędnie zinterpretował tamto jej ostatnie spojrzenie w kaplicy, to pomyłka ta była straszna i godna pożałowania; zamęt w nim samym, który ją spowodował, był jeszcze straszniejszy. Kiedy się uspokoi i nabierze sił, będzie musiał się z sobą rozliczyć. Teraz było to niemożliwe. Ale co do starej kobiety, miał rację, był tego pewien.

- Musisz się pozbyć swojej teściowej, Max! - po-

wiedział z zacieklą powagą.

- Ach, o czym ty mówisz? - zapytał tamten z pewnym znużeniem. - To tylko stara wdowa, stara i zdziwaczała. Elena jest jej jedyną córką. Nie mogę jej powiedzieć, żeby nie przychodziła. W tym tygodniu pomagała, prowadziła dom i gotowała dla nas. Wiem, że mnie nie lubi. Co z tego? Zmęczona stara kobieta. Czasami jest mi smutno, kiedy na nią patrzę. Nie, pojedziemy do Galveston. Phil zacznie tam jesienią naukę w szkole. On chce tam jechać i Elena też. Zdołam ją do tego przekonać. Chce wyjechać z Nowego Jorku, tylko że ciągle jest zagubiona. Ale pojedzie. Muszę wracać do pracy, a nie chcemy być znowu rozdzieleni. Nie wiem, dlaczego jesteś taki zaniepokojony z powodu starej kobiety. Gdyby była najgorszym problemem, z jakim muszę się zmagać... - Długa poła jego marynarki sięgała jak kilt niemal do kolan, na których spoczywały jego dłonie. Niekształtne palce grubiały tam, gdzie powinny się zwięzać, a zmarszczki na stawach przypominały gwinty spłaszczonych śrub. - Nie widziałeś Eleny w naprawdę trudnej sytuacji - ciągnął dalej. - Jest pobudliwa i nieposkładana, zanim coś się wydarzy, ale kiedy to już się stanie, jest zwykle silniejsza ode mnie. W okresie kryzysu, kiedy byłem bezrobotny, ona wychodziła i handlowała, wędrując od domu do domu.

- Nigdy nie słyszałem, że byłeś bezrobotny.

- Ale byłem. A potem, kiedy żyliśmy z zasiłku, jej brat, który jest typem spod ciemnej gwiazdy, chciał mnie wciągnąć do jakiegoś przekrętu, jaki robił w Astorii. Mogłem zarobić trochę pieniędzy, ale ona

powiedziała nie i broniła się przed tym rękami i nogami, tak że odmówiłem i pozostaliśmy na zasilku. Inna kobieta powiedziałaby: „Proszę bardzo”.

- Rozumiem.

•S - Potem sytuacja zaczęła się poprawiać i pomyśleliśmy, że możemy powiększyć rodzinę. Mickey nigdy nie był zdrowym dzieckiem jak Phil. A poza tym musieliśmy popełnić jakieś błędy. Ale co można na to poradzić? To nie jest tak jak z Bogiem, wiesz, w Biblii, który ożywia swoim tchnieniem Adama, czy kogo tam. Mówiłem ci chyba, że kiedy przyjechałem do szpitala, zapytałem pielęgniarkę, w której jest sali. Wszedłem tam, a on leżał już przykryty. Ściągnąłem prześcieradło i przyjrzałem mu się.

- To głupcy! - zachnął się Leventhal. - Że też nie ustawili tam kogoś.

Max rozgrzeszył ich machnięciem ręki.

- Nie wszystkie pielęgniarki wiedziały. To duży szpital. - Następnie dodał: - Jadę na południe z zamiarem rozpoczęcia wszystkiego od nowa. Wpłaciłem zaliczkę i tak dalej. Ale prawdę powiedziawszy, nie oczekuję zbyt wiele. Czuję się już na wpół wypalony.

Leventhal uczył wstrząs w sercu.

- Na wpół wypalony? - zapytał. - Jestem starszy od ciebie i nie mówię tego.

Max nie odpowiedział. Jego potężny tors wyglądał niezgrabnie w dwurzędowej marynarce.

- Bywało, że też się tak czułem - kontynuował Leventhal. - To przemijające uczucie.

Jego brat uniósł ku niemu swą toporną, ciemną twarz i

głos Leventhala zamarł.

Siedzieli razem w milczeniu, aż w końcu Max poruszył się i wstał. Leventhal odprowadził go do metra. Nad ulicą zalegała gęsta mgła. Przy kołowrocie wrzucił do otworu dwie monety i Max powiedział przez ramię:

- Nie musisz ze mną czekać.

Ale Leventhal przepchnął się przez barierkę. Stali na krawędzi peronu, dopóki nie dobiegł ich łoskot nadjeżdżającego pociągu.

- Jeśli będziesz ode mnie czegoś potrzebował...

- rzekł Leventhal.

- Dzięki.

- Mówię poważnie.

- Dziękuję. - Max wyciągnął rękę. Leventhal niezręcznie rozpostarł ramiona i objął go. Poczuli wstrząsy wywołane przez pociąg i pokryty smugami przód czołowego wagonu, ze swoim snopem światła, wystrzelił w ich stronę w obłoku kurzu; obok przemknęły okna. Max odważemnił uścisk.

- Dzwoni do mnie - powiedział Leventhal ochryple do ucha Maksa.

Tłum kotłował się wokół nich przy drzwiach. Kiedy pociąg ruszył, zobaczył Maksa trzymającego się skórzanego uchwyty i pochylającego się nad głowami pasażerów, żeby wyrzeć na zewnątrz.

Leventhal wyciągnął chusteczkę i otarł pot. Zaczął się mozolnie wspinać po długich, zaopatrzonych w stalowe listwy betonowych schodach, otwierając usta, żeby ułatwić sobie oddychanie. W połowie drogi pochylił się i przywarł do muru, by pozwolić innym przejść;

wyglądał tak, jakby brak powietrza doprowadzał go do szału. Było mu słabo od nagłego rozszerzenia się jego serca.

Potem ruszył dalej. Mgła zgęstniała, przechodząc w lekki deszcz. Na szczycie schodów zobaczył otwierający się nagle parasol, wyglądający w zimnym prądzie powietrza jak nietoperz. Metalowe uchwyty drzwi obrotowych wirowały, pobrzękując. Zapiął płaszcz, podniósł kołnierz, a jego oczy przeniosły się z oślepiającego blasku samochodów nadpływających ulicą na niebotyczne światła wznoszące się daleko z przodu, nie całkiem stabilne w bezmiernej ciemności.

21

W sobotniej poczcie było zaproszenie od pani Har-kavy na przyjęcie tego samego wieczora z okazji siódmych urodzin jej wnuczki. Wręczył je Leventhalowi listonosz, którego spotkał on we mgle na zewnętrznych schodach. Od Mary nic nie przyszło i w skrytości ducha był z tego zadowolony, bo prawdę powiedziałwszy, czuł, że się wykrada, pozostawiając dom w posiadaniu Allbeego. Niby to szedł na kawę. Po wstaniu z łóżka stwierdził, że w mieszkaniu jest zimno, okna ociekają parą i są szare jak cyna. Allbee spał jeszcze w pokoju stołowym, rozwalony i niezgrabny, obejmując nagimi ramionami wąski materac. Jego ubranie leżało na podłodze, a w pokoju było duszno. Leventhal wszedł do kuchni i nastawił kawę, ale kiedy wyobraził sobie, jak siada w ponurym pokoju dziennym, żeby ją wypić, skrzywił się, wyłączył gaz i zszedł zjeść u Greka. Nie miał jednak zamiaru wracać po śniadaniu.

Wokół zaproszenia pani Harkavy na wpół nieświadomie i w zawile okrężny sposób ułożył sobie harmonogram. Z początku nie był pewien, czy weźmie udział w przyjęciu. Czy powinien tam iść tak szybko po śmierci Mickeya? Ale uznawszy, że dobrze zrobi mu towarzystwo ludzi, pojechał do północnej części miasta, żeby kupić dziewczynce prezent. A znalazłszy się w południe w pobliżu biblioteki, spędził kilka godzin na przeglądaniu czasopism fachowych, żeby zobaczyć, co robi konkurencja. Był więc już niemal wieczór, gdy wychodząc z kina na Times Square wyświetlającego kroniki filmowe, zdał sobie sprawę, że za wszystkim, co wymyślił, by wypełnić ten nużący dzień, stoi jego niechęć i niezdolność do zajęcia się Allbeera. Wcześniej ruszył zdecydowanie Broadwayem, ale teraz coś zdawało się utrudniać miarowe ruchy jego nóg; potykał się i zaczął iść wolniej.

„W porządku, wyślę go do Shifcarta” - postanowił. „Co mi szkodzi? Zrobię to, a jeśli mu to nie wystarczy, to zobaczymy. Tylko co Shifcart sobie pomyśli?” Ale i tak był już w niełasce u Shifcarta, który w kafeterii spojrzął na niego z irytacją, gdy nie zaśmiał się z jego dowcipu. „Lepiej byłoby przyjść do niego z ulicy niż z rekomendacją ode mnie. Skoro jednak Allbee tak bardzo wierzy w koneksje, niech pójdzie i sam się przekona”.

Przed kolacją wstąpił do domu, żeby włożyć czystą koszulę. Allbeego nie było. Brud i bałagan w mieszkaniu wzbudziły w Leventhalu obrzydzenie. Na podłodze w kuchni leżały śmieci, a na stole resztki posiłku.

„Zachowywałby się lepiej w noclegowni. Po prostu chce

się przede mną popisać” - pomyślał Leventhal. Pozamiatał kuchnię. Schylając się z szufelką, poczuł dziwne napięcie skóry na twarzy. Rzucił miotłę w kąt, umył ręce i wyszedł.

Pani Harkavy powitała go w progu i wprawiła w zakłopotanie, mówiąc:

- Bardzo zmartwiła mnie wiadomość o pańskim bratanku.

Bo właśnie przed chwilą, w windzie, myślał o Mickeyu.

- Doktor Denisart mi o tym powiedział. Jestem pewna, że zrobił wszystko, co w jego mocy.

Leventhal mruknął, że on również tak sądzi. Ponieważ był przygnębiony, bardziej niż zwykle uświadamiał sobie krzepiący wpływ, jaki miało na niego każde spotkanie z którymś z Harkavych. Lubił ich, byli życzliwi, ale nigdy nie udało mu się osiągnąć zadowalająco zrównoważonych relacji z nimi. Wyraz twarzy pani Harkavy był taki jak jej syna, ożywiony i zmienny. W jej ożywieniu zawarta była jednak trwała, ukryta nuta melancholii, która od czasu do czasu dochodziła do głosu i zaskakiwała go.

- Nauka pokona kiedyś śmierć - rzekła. - W zesłą niedzielę był na ten temat zbiór wypowiedzi w „Timesie”.

Leventhal wystarczająco się opanował, by odpowiedzieć:

- Mam nadzieję...

- Och, wydaje się to pewne. Trzeba będzie wówczas kontrolować liczbę ludności. Ale nauka z tym



również sobie poradzi. Inteligencji wystarczy na wszystko. Pewien człowiek odkrył coś, co pozwoli tkankom żyć wiecznie. Nie sędzę, byśmy mogli oczekiwać wiele za naszego życia. To dla przyszłych pokoleń. Tymczasem musimy się zadowolić tym, co mamy. Wydaje mi się, że ojciec pana Bantinga zmarł na cukrzycę mniej więcej na rok przed odkryciem insuliny. A ten pan Bogomolec nie mógł posłużyć się własną surowicą z powodu słabego serca i umarł. Asa, ile lat miało dziecko?

- Trzy i pół, cztery...

Dziwaczny rys zdawał się znikać z jej twarzy. Tylko jej oczy poruszały się, napotykając jego własne ze znajomym, pełnym znaczenia wyrazem.

- To ten brat, który mieszka w Queens?

- Na Staten Island.

- Asa, czasami wydają się sobie podła, że wciąż tu jestem w moim wieku, podczas gdy umierają dzieci.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Ale nikomu niczego nie odbieram - powiedziała, popadając z powrotem w ekscentryzm; drżał on w kącikach jej obwiedzionych na zielono oczu.

- Mamo! - zawołała Julia.

- Mężczyźni są w pokoju stołowym, Asa. Na kredensie jest wino i trunki. - Miała zaczerwienioną twarz i odwróciła się, rozłożysta w niebieskiej sukni, wyszywanej na ramionach.

Goście, z których żadnego nie znał, grali w bezika. Był zawiedziony. Miał nadzieję zobaczyć Schlossberga albo Shifcarta.

- Zagraj z nami - powiedział Harkavy.

- Nie, raczej nie. Czy przyjdzie ktoś jeszcze, Dan?

- Spodziewamy się jeszcze kilku osób - odparł Harkavy. Był pogrążony w swoich kartach.

Leventhal nalał sobie kieliszek wina i wziął posypany cukrem herbatnik w kształcie rombu. Nagle przypomniał sobie o prezencie, który przyniósł. Dopił wino, wyciągnął z kieszeni paczkę i wszedł do kuchni. Nad kuchenką unosiła się chmura dymu. Julia wyjmowała z oleju cedzak z frytkami, odwracając twarz od przyskającego tłuszczu i krzycząc nerwowo:

- Mamo, mam, przytrzymaj Libbie.

- Nie zbliżaj się, kochanie. Julio, nie śpiesz się z tymi kartoflami. Będą surowe.

Leventhal podszedł z paczką.

- Przyniosłem coś dla dziewczynki.

- Och, jak to miło z pańskiej strony - powiedziała pani Harkavy. - Teraz, kiedy ma pan tyle własnych zmartwień.

Leventhal nie zareagował.

- Proszę - powiedział. - Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

Na bibułce naklejona była złota pieczęć i Libbie, ledwie rzuciwszy na niego okiem, zaczęła ją odrywać.

- Nie powiesz nawet „dziękuję, wujku Leventhal”?

- Julia wydawała się wściekła.

-Julio, to tylko nieśmiałość, nerwowość.

- Powiedz dziękuję, ty mały potworze.

Dziewczynka wybiegła na korytarz i Leventhal wrócił do pokoju stołowego. Wypił drugi kieliszek słodkiego wina, a potem trzeci.

- Proszę, niech się pan dosiadzie - powiedział do niego Goldstone.

Potrząsnął głową i stanął w niedbałej pozie przy kredensie, wspierając się na łokciu i popijając wino. Był to jego czwarty kieliszek i zaczął odczuwać ciężkie, obezwładniające, łagodne ciepło. Uświadamiał sobie, że ma niezwykle przenikliwy wzrok, widzi wszystko, dostrzega każdy ruch jak gdyby w nadzwyczajnym oświetleniu. Kiedy karty stukwały i pstrykały na czerwonej skórzanej podkładce, zabawiał się obserwacją rąk, tasujących, rozdających, przesuwających pieniądze, różnorodności knykci i palców. Te Harkavy'ego były białe, szpiczaste i wyglądały zwyczajnie. Ręce mężczyzny obok niego były żylaste i owłosione, a jego kciuk odgięty do tyłu i poczerniał, być może od ołowiu - mógł być drukarzem. Wnętrze jego dłoni było czerwone i brutalnie pocięte krzyżującymi się bruzdami. „Nawykle do ciężkiej pracy” - pomyślał Leventhal. Ręce te jednak zwinnie posługiwały się monetami, liczyły i rzucały je ze swobodą świadczącą o głębokiej zażyłości.

Oddalając się od kredensu, wszedł wolnym krokiem do ciemnego salonu i zapalił cygaro. Czuł, że krew w jego sercu i mózgu jest bardzo bogatą i silną mieszanką, w przeważającej mierze przyjemną. Również trochę bolesną. Lekkie cierpienie stanowiło jednak część przyjemności. Wypił łyk wina, obliżał podstawkę kieliszka i wytarł ją o nadgarstek, żeby nie pozostawiła śladu, po czym postawił kieliszek na małym stoliku. W korytarzu rozległ się głos pani Harkavy. „Przyszłe pokolenia!” - rozciągnął usta w

uśmiechu. „Mój Boże!” Usiadł znużony, z uczuciem ciężaru w kończynach.

Po pewnym czasie zobaczył, jak do pokoju wchodzi Harkavy, najwyraźniej go szukając.

- Hej, tutaj!

- Och, schowałeś się i spokojnie sobie palisz.

Dom się zapelnia. Mama i Julia zaczynają podawać. - Leventhal usłyszał szuranie krzeseł na parkiecie pokoju stołowego.

- Powiedz, spodziewasz się dzisiaj Shifcarta?

- Nie wydaje mi się, żeby został zaproszony. Do czego jest ci potrzebny?

- Czy myślisz, że ostatnio zrobiłem na nim złe wrażenie?

- Wiem, że na mnie zrobiłeś. Nigdy nie widziałem takiego pokazu psychologii getta. Stanowisko, jakie zająłeś w kwestii Disraelego, zdumiało mnie.

- Nie, nie o to mi chodzi. Czy coś ci powiedział?

- Nic. Czy to napad twojej dawnej słabości: zamartwiania się o to, czy ludzie cię lubią?

- Chciałem go wysondować na temat czegoś...

Zobaczyć, co by powiedział. Czy by mi pomógł w czyjejś sprawie.

- Dla kogo ta przysługa?

- To chyba nieważne dla kogo - odparł Leventhal.

- Nie. Nie musisz mi mówić. - W jego głosie pobrzmiewała już irytacja.

- To nie ma znaczenia, dla kogo.

- Zapytałem, bo chciałem być pomocny. Ale nie będę się z tobą bawił w zgadywanki. Zwłaszcza, że jesteś

podchmielony. Widziałem, jak pijesz.

- Och, mogłeś znaleźć wiele sposobności do tego, żeby być pomocnym - odparł Leventhal.

- Ależ to musi być tamten jak mu tam, który ci się naprzykrzał - rzekł Harkavy z nagłym chichotem, rozbawiony swoim odkryciem.

Leventhal w milczeniu skinął głową.

- Cóż to więc za tajemnica?

- Nie ma żadnej - mruknął Leventhal.

- Dlaczego potrzebujesz w związku z nim pomocy? Czego on chce? Nie rozumiem, co do tego ma Shifcart.

- Otóż, Dan, ten Allbee jest zainteresowany pracą przy scenariuszach, a ponieważ kiedyś wprowadził mnie do „Dill’s”, chce, żebym załatwił mu to samo u Shifcarta, jako że pracuje on w branży filmowej. Robię to głównie po to, żeby się nazywało, że próbowałem.

- Wiesz przecież, że Shifcart nie ma nic wspólnego ze scenariuszami. Zajmuje się aktorami, talentami.

- Allbee sądzi, że może mieć gdzieś znajomości.

Ja tak nie uważam, ale poprosił mnie i pomyślałem...

Prawdę powiedziawszy, Dan, nie wiedziałem, co myśleć. Miałem wątpliwości. Ale on załatwił mi rozmowę o pracę u Rudigera. Pomyślałem więc: „No więc niech odwiedzi Shifcarta. Czemu miałbym odpowiadać w imieniu Shifcarta? Okażę dobre chęci i zrewanżuję się”, i tak dalej. To wszystko.

- Nie wierzę. Wydaje mi się, że wodzi cię na pa-sku.

Za Leventhałem stała jedna z roślin pani Harka- vy. Kiedy zamknął oczy i odchylił się do tyłu, poczuł, jak o

jego włosy ociera się liść.

- Jak on w ogóle zdołał ci wcisnąć taki kit? - zapytał Harkavy. - Gdzie usłyszał o Shifcartie?

- Był przypadkiem u mnie i zobaczył jego wizytówkę.

- A więc wciąż do ciebie przychodzi. Musisz go zachęcać. Sądziłem, iż doszliśmy do wniosku, że jest pomyłony.

- Ty doszedłeś do tego wniosku! - Leventhal, nie posiadając się ze wzburzenia, wyrzucił do przodu ramię. - To ty. To właśnie powiedziałeś. Porównałeś go do swojej ciotki.

- Ależ ty jesteś dzisiaj impulsywny. Obaj doszliśmy do tego samego wniosku.

- Nie, nie! - Leventhal nie chciał go słuchać. - Stanowczo temu zaprzeczam. Stanowczo!

- Skąd to wzięłem, jeśli ty tego nie powiedziałeś? Nie mogę cię zrozumieć. Nie widziałem tego człowieka na oczy. Zresztą jakie to ma znaczenie? Czemu mielibyśmy się o to sprzeczzać? Widzę, że zaczynasz gonić w piętękę. Oczywiście masz w organizmie całkiem sporo wina; może to częściowo wyjaśnia twoje dziwne zachowanie. Tak, jest bardzo dziwne. Zawsze uważałem, że nie potrafisz dbać o siebie. Widzę, że jesz temu człowiekowi z ręki. Przychodzi do ciebie, denerwujesz się, kiedy o nim mówisz, zamierzasz go wysłać do Shifcarta...

- Wysłałbym go gdziekolwiek, żeby się go pozbyć - powiedział Leventhal.

- O właśnie, nie powiedziałabyś czegoś takiego,

gdybyś nie tkwił w bagnie po uszy. Widzę, że coś ukrywasz; nie trzeba być wielkim jasnovidzem, żeby to zauważyć. Nie mogę ci lepiej pomóc, niż przypominając ci, że gra toczy się na serio. Nie jesteś już chłopcem.

- Dan, znasz Shifcarta. To trzeba zrobić. Powiedz mi... - Chwycił Harkavy'ego za rękę.

- Sam z nim o tym porozmawiaj.

- Tak, zrobię to, ale chcę cię zapytać...

- Lepiej wejdźmy do środka. Pewnie na nas czekają. Pomówimy o tym jutro, kiedy będziesz miał jaśniejszy umysł i jeśli zechcesz otwarcie ze mną rozmawiać.

Goście, sami mężczyźni, zdjęli marynarki i siedzieli na krzesłach o wysokich oparciach. W drzwiach do kuchni, rozmawiając z panią Harkavy, stał pan Schlossberg, który właśnie przyszedł i miał jeszcze na sobie brązowy płaszcz. Leventhal powiedział do niego dobry wieczór, na co Schlossberg odparł:

-Jak się pan miewa?

Nie wydawał się go jednak pamiętać.

- Czternasta Ulica parę tygodni temu - rzekł Leventhal.

- Ma kiepską pamięć - szepnął Harkavy. Pociągnął Leventhala w stronę rzędu krzesel stojących wzdłuż bufetu z przekąskami.

Po drugiej stronie stołu Leventhal rozpoznał posiadacza czerwonych rąk, które obserwował podczas gry w karty. Nazywał się Kapłan, a jego twarz, podobnie jak ręce, była czerwona i pomarszczona. Miał świdrującego niebieskiego zeza, jakby - pomyślał Leventhal - próbował

wcześniej przewiercić wzrokiem niebo i zwichnął sobie przy tym oczy. Teraz właśnie wznosił kieliszek brandy i mówił:

- Zdrowie wszystkim.

- Wypijcie do dna - powiedział ktoś. - Następnego roku w Jerozolimie.

353

Leventhal usłyszał, jak Julia mówi:

23 - Ofiara

- W zeszłym roku urządziliśmy przyjęcie dla dzieci. To było zbyt wyczerpujące nerwowo. Tym razem postanowiliśmy, że zaprosimy starszych ludzi.

- Mamy zacząć jeść? - zapytał Goldstone.

- Najpierw powinien zostać wniesiony tort - odparła pani Harkavy. Wyjaśniła zgromadzonym: - Nie obchodzono się z nim zbyt ostrożnie w piekarni. Trochę kremu odkleiło się razem z woskowanym papierem. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby go naprawić.

Julia postawiła tort z siedmioma świeczkami na stole. Libbie stała, wpatrując się w płomień. Miała oczy bardzo podobne do oczu babki i wuja.

- Zdmuchnij, dziecinko - powiedział Harkavy.

- Za jednym razem, to przynosi najwięcej szczęścia.

Ale Libbie wyciągnęła rękę i próbowała schwycić kroplę topniejącego wosku.

- Libbie, kochanie... - ponaglał ją ojciec.

- Wszyscy czekają! - niecierpliwie krzyknęła Julia. - Wolisz wisieć głową na dół w szafie?

Dziewczynka pochyliła twarz nad jasnym kręgiem



świec. Leventhal ujrzał ich płynne odbicie w jej oczach i na białym czole. Dmuchięła i nad stołem uniośl się biały, wonny woskowy dym. Goście klaskali i wznosili okrzyki.

- Słodkie maleństwo - powiedział Harkavy do Leventhala, który skinął głową i nadal wpatrywał się sennymi oczami w świec. Julia i babka pocałowały dziewczynkę.

Rozpoczęła się kolacja. Ubranie Leventhala, zwłaszcza koszula, krępowało jego ruchy i ocierało go, więc rozpiął kołnierzyk, burcząc do Harka- vy'ego:

- Wrzyna mi się w szyję.

Ale Harkavy podjął już rozpoczęty wcześniej tego wieczora spór z jakimś panem Benjaminem, siedzącym między Goldstone'em a Julią. Leventhal zauważył go wcześniej w korytarzu, ciężko stąpającego w ortopedycznym bucie. Miał karnację Hindusa, krótkie szpakowate loki i wzdardliwie skrzywione usta, pokryte brązowymi cętkami; w jego szeroko rozstawionych czarnych oczach była odrobina żółtej barwy. Benjamin sprzedawał polisy na życie

i Harkavy zaatakował towarzystwa ubezpieczeniowe.

- Wszystko to jest opisane w raporcie komisji Car- dozo. Czy trzeba mówić coś więcej? Te same pieniądze, które bierze się od klientów, są używane przeciwko nim.

- Nie rozumiem, Harkavy - odparł pan Benjamin - dlaczego jedna branża musi być bardziej krytykowana niż inne. Powinien pan być przeciwko nim wszystkim. I przeciwko rządowi. Jest pan amatorem, Harkavy,

amaterem. Słyszałem pańskie argumenty od fachowców.  
Za kontrolę i porządek trzeba płacić.

Ma się do wyboru jeden rodzaj uprzęży albo inny. Ludzie potrzebują uprzęży. A ta jest lekka w porównaniu z niektórymi innymi.

- Och, mój drogi, większych reakcjonistów od pana już chyba nie ma - powiedział Harkavy.

- Jest pan przeciwko wszystkim bankom i przedsiębiorstwom? - zapytał Benjamin.

- Do diabła, oczywiście, że tak. - Głos Harka- vy'ego stał się donośniejszy.

- Dowiedzmy się zatem, jakiego rodzaju system pan sobie wyobraża. - Zjadliwość pana Benjaminą niemal starła uśmiech z jego twarzy.

- Przestań się sprzeczać, Dan, na miłość boską  
- rzekł Goldstone.

- Ułatwię to panu - powiedział Benjamin. - Nie chce pan zabezpieczyć ludzi, których pan kocha? Nie spierajmy się o najlepszy system. Obecny jeszcze się trzyma.

- Już może niedługo. Nigdy nie wiadomo, kiedy wszystko zostanie z dnia na dzień zmiecione z powierzchni ziemi.

- Ale tymczasem...

- Daniel, chodzi ci tylko o to, żeby szokować - przerwała pani Harkavy. - Nie lubię, kiedy wygadujesz takie rzeczy.

- Mamo, to, co mówię, jest absolutną prawdą. W przeszłości istniały już wielkie organizacje i ludzie, którzy myśleli, że będą one trwały wiecznie.

- Ma pan na myśli Insull? - zapyła mężczyzna siedzący na lewo od niego.

- Mam na myśli Rzym, Persję, wielkie cesarstwa chińskie!

Pan Benjamin wzruszył ramionami.

- Musimy żyć dzisiaj - powiedział. - Gdyby miał pan syna, Harkavy, chciałby pan, żeby zdobył wyższe wykształcenie. Kto będzie czekał na Mesjasza? Jest taka historia o małym miasteczku w starym kraju. Leżało na uboczu, w dolinie, w związku z czym Żydzi bali się, że Mesjasz przyjdzie i ich przeoczy, zbudowali więc wysoką wieżę i wynajęli jednego z miejscowych żebraków, żeby w niej siedział przez cały dzień. Żebraka tego spotyka przyjaciel i pyta go: „Jak ci się podoba twoja posada, Baruch?” A on na to: „Nie zarabia się dużo, ale sądzę, że to praca na stałe”.

Przy stole wybuchła salwa śmiechu.

- Otóż i morał dla pana! - krzyknął Benjamin nagle wzmocnionym głosem. Leventhal poczuł, że również zaczyna się śmiać.

- Tak jest! - zawołał pan Kapłan, kładąc rękę na ramieniu Benjamina. Pani Harkavy, rumieniąc się, uniosła z zachwytem brwi i zakryła usta chusteczką.

- W każdym razie nie uważam za właściwe - rzekł Harkavy - napędzania ludziom strachu, jak wy to robicie.

- Och? Co znowu?

Harkavy zmarszczył brwi.

- Wiem, jak wy, panowie od ubezpieczeń, pracujecie - powiedział. - Odwiedzacie potencjalnego klienta. Siedzi sobie za biurkiem albo kontuarem, wciąż jeszcze w niezłym stanie, można powiedzieć.

-Ma swoje drobne dolegliwości i kłopoty, ale ogólnie biorąc, wszystko jest w porządku. Nagle wy się zjawiacie i mówicie: „Czy pomyślał pan o przyszłości rodziny?”. Ładnie i pięknie, każdy umiera, ale wy gracie nieuczciwie i uderzacie tam, gdzie wiecie, że zaboli. On myśli o tych rzeczach samotnie w nocy. Większość z nas to robi. Ale teraz podkopujecie jego ufność w ciągu dnia. Kiedy dobrze go już nastraszyście, pyta: „Co mam zrobić?”. A wy czekacie już z umową i wiecznym piórem.

-Ależ Dan - rzekł uspokajająco Goldstone. Benjamin spojrział na niego swoimi żółto-czarnymi oczkami, jakby chciał powiedzieć, że nie potrzebuje obrońcy.

-No to co? - zapytał. - Wyświadczam im przysługę. Czy nie powinni być przygotowani?

-O, Śmierci! - zacytował ktoś przy drugim końcu stołu. - Przybywasz, gdy cię czekał najmniej 1.

- Tak, o to właśnie chodzi - rzekł Benjamin, podnosząc się z szurnięciem obcasa i wskazując palcem.

- Właśnie o to.

- Mój Boże - powiedziała pani Harkavy. - Cóż za makabryczny temat na przyjęcie urodzinowe. Z całym tym jedzeniem na stole. Czy nie możemy znaleźć jakiegoś lżejszego tematu do rozmowy?

- Mięsiwa, które piekło się na stypę, poszły na zimno na weselne stoły<sup>2</sup>.

- Skąd u diabła bierze się ta poezja? - zapytał

---

1 *Każdy (Everymcm). Średniowieczny moralitet angielski*, przeł. Stanisław Helsztyński, Warszawa 1933.

2 William Szekspir, *Hamlet*, I, 2, pr/cł. Władysław Tamawski.

Goldstone.

- To Brimberg. Jego ojciec umarł, więc mógł pójść na uniwersytet.

Goldstone uśmiechnął się.

- Bądźcie poważni, wy tam - powiedział. - To moi kuzyni - wyjaśnił Leventhalowi, pochwycając przypadkiem jego spojrzenie.

- Moja matka uszyła własny całun - rzekł Kapłan, podnosząc na nich swoje zezowate i błyszczące niebieskie oczy.

- Zgadza się, taki był zwyczaj - rzekł Benjamin.

- Wszyscy starzy ludzie to robili. I był to dobry zwyczaj, nie sądzi pan, panie Schlossberg?

- Wiele przemawia na jego rzecz - odparł Schlossberg. - Przynajmniej wiedzieli w tamtych czasach, na czym stoją i kim są. Teraz nie wiedzą, kim są, ale nie chcą się poddać. Na ostatnim pogrzebie, w którym uczestniczyłem, ułożyli na grobie papierową trawę, żeby zakryć ziemię.

- Więc jest pan po stronie Benjamina? - zapytał Harkavy.

- Nie, niezupełnie - odparł stary mężczyzna. - Oczywiście, fach Benjamina polega na straszaniu ludzi.

- Więc jest pan po mojej stronie?

Pan Schlossberg wydawał się zniecierpliwiony.

- Tu nie chodzi o uczucia ludzi - powiedział. - Nie trzeba im o niczym przypominać. Nie zapominają. Ale są zbyt zajęci i zbyt sprytni, żeby umierać. Łatwo to zrozumieć. Kiedy tutaj siedzę, moje myśli mogą wędrować po całym świecie. Czy istnieje jakaś granica

dla tego, co mogę pomyśleć? Ale w następnej minucie mogę umrzeć, tu, na tym miejscu. Istnieje granica dla mnie. Ale muszę być sobą w pełni. To znaczy kimś, kto umiera, nieprawdaż? Tym właśnie byłem od początku. Nie jestem trzema ludźmi, czy czterema. Raz się urodziłem i raz umrę. Chce pan być dwoma ludźmi? Więcej niż ludzki? Może to dlatego, że nie potrafi pan być jednym człowiekiem. Każdy jest zajęty. Każdy człowiek przekształca samego siebie w całą korporację, żeby zawiadywać tym interesem. I tak jeden akcjonariusz jeździ windą, a inny stoi na dachu i patrzy przez teleskop, jeden je cukierka, a drugi siedzi w kinie i ogląda ładną buzię. Kto pozostaje? I jak może umrzeć korporacja? Jeden akcjonariusz umiera. Korporacja żyje i nadal je i jeździ windą, i ogląda ładną buzię. Ale to zrozumiałe, że papierowa trawa na grobie zmienia wszelką trawę w papier...

- Schlossberg zawsze ma w zanadrzu coś nowego  
- powiedział Kapłan. Dziwnie odmienił swojego zeza, unosząc brwi. - Co w sercu, to na języku.

- Rzeczywiście - wtrąciła się Julia. - Mama ma rację. Co to za gadanina na urodziny?

- Nigdy nie na miejscu - rzekł Benjamin.

- Nie na miejscu? - zapytał Brimberg siedzący u końca stołu. - To rzecz gustu. Słyszałem o francuskiej damie lekkich obyczajów, która ubierała się dla swoich klientów w welon panny młodej.

- Sammy! - krzyknęła z przyganą pani Harkavy. Znowu rozległ się śmiech i gwar, z którego zrodziła się nowa rozmowa. Leventhal nie słuchał jej jednak.

Ponieważ Harkavy nie patrzył, nalał sobie jeszcze jeden kieliszek wina.

22

Zanim jeszcze Leventhal przebudził się w pełni na kanapie Harkavy'ego, gdzie spędził noc, uświadomił sobie, że boli go głowa, i kiedy otworzył oczy, nawet szare światło pochmurnego dnia było dla niego zbyt mocne, wtulił więc twarz w poduszki i zaciągnął kołdrę na ramię. Był w podkoszulku i miał bose stopy, ale nie zdjął wcześniej spodni. Pasek był mocno ściągnięty, więc go poluzował, po czym wyciągnął spod kołdry rękę i zaczął przyciskać i ugniatać skórę na czole. Ponad oparciem kanapy patrzył na stylowe meble, paprocie, zmarszczony i przyozdobiony pętelkami jedwab staromodnych lamp, oraz smoki, kwiaty i pawie oczka na dywanie. Znał ten dywan. Stary Harkavy dostał go z masy spadkowej po maklerze, który popełnił samobójstwo w Czarny Piątek.

Od czasu do czasu mocny wiatr zatrząskiwiał okna i kiedy to się działo, oszklone drzwi z firankami lekko się trzęsły. W rurach syczała para i wokół unosił się jesienny zapach włączonych grzejników. Leventhal miał sucho w nosie. Moher drapał go w policzek. Nie zmienił pozycji. Zamknąwszy oczy, próbował przedrzemkać męczący ból głowy.

Gdy coś poruszyło się za oszklonymi drzwiami, powiedział głośno:

- Proszę!

Nikt jednak nie wszedł i Leventhal zepchnął z siebie pościel. Pasek jego zegarka był luźny i tarcza przekręciła się na niewłaściwą stronę nadgarstka. Na widok późnej

godziny zmarszczył czoło - było niemal wpół do drugiej. Usiadł i pochylił się do przodu w podkoszulku wiszącym bezkształtnie na jego pulchnej piersi. Miał już sięgnąć po buty i skarpetki, lecz jego ręce pozostały na kolanach; nagle był niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu, a w dodatku coś ogromnie utrudniało mu oddychanie. Miał dziwne uczucie, że nie ma takiej jego części, na którą świat nie naciskałby pełnym ciężarem - na jego ciało, na duszę, w piersi prac ku górze, a we wnętrznościach w dół. Skoncentrował się, poruszając ustami jak ktoś, kto ma zaraz przemówić, i wypuścił przez nos udęczonego oddech. Wyczuwał tymczasem, że ta przerwa w rytuale codziennych ruchów, jakie bezwiednie wykonywał przy wstawianiu z łóżka, pomimo wielkiego bólu, jaki sprawiała, stanowi utajoną sposobność do odkrycia czegoś o wielkim znaczeniu. Próbował skorzystać z tej sposobności. Wyteżył wszystkie siły, żeby się opanować, i zaczął od zasadniczej pewności, że świat przygniata go i przez niego przechodzi. Poza to nie potrafił wyjść, choć bardzo się starał. Był zdumiewająco wzruszony. Siedział wciąż w tej samej pozie, potężnie zgarbiony, z mroczną twarzą zwróconą w stronę paproci, których miękkie kontury odcinały się na tle szarego szkła. Jego nozdrza drgały. Przyszło mu do głowy, że jest jak człowiek w kopalni, który czuje zapach dymu i żar, ale nigdy nie widzi płomieni. A potem skurcz i tajemnicza sposobność skończyły się jednocześnie. Nogi drżały mu, gdy przesuwiał stopy tam i z powrotem po dywanie. Podszedł do okna i usłyszał głośnie wycie wiatru. Potrząsał on drzewami w małym zakątku parku sześć piętér niżej,



szarpiąc druty na dachach, rozpościerając dym pod chmurami i rozpraszając go jak sadzę na parafinie.

Gdy się ubierał, czuł się już trochę spokojniejszy. Mankiety jego koszuli były zabrudzone; odwrócił je na drugą stronę i przełożył spinki. Wepchnął krawat do kieszeni z zamiarem zawiązania go po umyciu się. Ściągnął z kanapy pościel, złożył prześcieradła oraz jedwabną koldrę i ułożył je na krześle. Otwierając przeszkłone drzwi, spodziewał się spotkać w korytarzu panią Harkavy albo kogoś z rodziny, i zastanawiał się, dlaczego w domu jest tak cicho. Ciemny pokój Harkavy'ego był otwarty, łóżko puste. Włączył światło i zobaczył spodnie zwisające schludnie z górnej szuflady toaletki oraz szelki splątane na podłodze. Lampa była przykryta otwartym czasopismem.

Harkavy siedział sam w kuchni. Przy jego łokciu tykał toster, a na elektrycznej płytce grzał się dzbanek z kawą. Harkavy miał włożoną na piżamę sztruksową marynarkę z paskiem i dużymi skórzanymi guzikami. Jego nagie stopy leżały skrzyżowane na krześle. Zielone pantofle spadły na podłogę.

- Dzień dobry. - Harkavy spojrzał na niego rozbawiony. - Birbant.

- Dzień dobry. Gdzie rodzina?

- Pojechali do Shifcarta seniora na urodzinowy obiad.

- A ty czemu nie pojechałeś?

- Na Long Island, kiedy mam szansę dłużej pospać? Wyjechali o dziewiątej.

- Mam nadzieję, że nie zostałeś tu z mojego powodu.

- Twojego? Nie, chciałem pospać. Dni świąteczne są przekleństwem, jeśli muszę wcześniej wstawać.

- Poglądził złotozieloną marynarkę. - Lubię zjeść późne, spokojne śniadanie. Kawalerskie nawyki. Dopóki nie jestem żonaty, muszę korzystać z dobrych stron tego stanu.

Kuchenne światło odbijające się w kafelkach i białej lodówce było za ostre dla Leventhala. Odwrócił się nieco od niego, krzywiąc twarz.

-Jak się czujesz? Niezbyt dobrze?

- Boli mnie głowa.

- Nie jesteś przyzwyczajony do alkoholu.

- Nie - odparł Leventhal. Ta przekomarzanka irytowała go.

- Byłeś wczoraj wieczorem podochocony.

Dość markotnie spojrzał na Harkavy'ego.

- A jeśli nawet, to co?

- Nic. Nie mam ci za złe, że trochę się wstawiłeś.

Zapewne masz dobre powody.

- Gdzie trzymasz aspirynę?

- W łazience. Przyniosę ci. - Harkavy zaczął wstawać.

- Nie ruszaj się. Sam znajdę.

- Napij się kawy. Bardziej ci pomoże. - Zdjął stopy z krzesła. Były długie i białe, z palcami smukłymi jak u rąk.

Leventhal nalał sobie filiżankę czarnej kawy. Była gorzka i pokryła mu język osadem, lecz czuł, że dobrze mu zrobi.

Harkavy westchnął.

- Sam jestem trochę niedysponowany. Nie z powodu picia; to przez emocje, dyskusje i takie rzeczy. Za to mama już o siódmej była na nogach i wszystko uporządkowała. Ależ ona jest żywotna! Jej matka - to też było żywe srebro. Żyła dziewięćdziesiąt cztery lata. Pamiętasz ją? Na Joralemon Street?

- Nie. - Leventhal, usiłując odtworzyć uczucie, które nawiedziło go, kiedy się ubierał, stwierdzał, że nie pozostało z niego prawie nic.

- Ja należę do innego typu - powiedział Harkavy. - Miecz zużywający pochwę. Ale niektórzy z tych starych ludzi... Weź na przykład Schlossberga, który wciąż utrzymuje rodzinę, syna nicponia i córki. Staruszek czasem bywa samochwałą, ale to trzeba mu oddać. Kiedy się go dotyka, dotyka się człowieka, a dzisiaj nie zawsze można być pewnym, czego się dotyka. Od czasu do czasu ustawiam się w opozycji do niego, bo lubię dobrą dyskusję. Nie ufam ludziom, którzy unikają sporu.

Zachowanie Harkavy'ego stopniowo ulegało zmianie. Siedział w niedbałej pozie na krześle, jego pięty były szeroko rozstawione na linoleum, a ramiona przewieszane przez oparcie; na jego rękach porośniętych białawymi włosami ukazały się nabrzmiałe żyły. Powieki pod wyraźnymi zmarszczkami nagle wydawały się zaczerwienione i podrażnione, a kiedy znowu zaczął mówić, nerwowo wykręcał głowę, jakby z góry odrzucał jakieś zastrzeżenie.

- Dlaczego nie wyznasz mi całej prawdy o tej sprawie, o której rozmawialiśmy wczoraj wieczorem? - zapytał.

- Co tu jest do wyznawania?  
- Zdumiewa mnie ta historia. Zastanawiałem się nad nią trochę. Że też po tym, co o nim mówiłeś, próbujesz załatwić to...

Leventhal nie uniósł twarzy znad filiżanki.

- Rozmawialiśmy o tym wczoraj. Opowiedziałem ci o „Dill’s”.

- Musi cię trzymać w garści.

Leventhal pomyślał: „To tylko ciekawość z jego strony. Czemu miałbym ją zaspokajać? Tamtej niedzieli, kiedy mógł mi pomóc, wyjechał z Goldstone’em i przyjaciółmi, a teraz, ponieważ bardzo chce wiedzieć, to ja mam mówić”. Postanowił nie dawać mu tej satysfakcji. Spodek trząsł się jednak w jego ręce, toteż przycisnął go do piersi, pochylając głowę tak mocno, że pod jego podbródkiem i wzdłuż szczęki pojawiły się fałdy skóry. Rozmyślał o swojej słabości. Jak słaby się staje. Nawet Harkavy mógł go przyprawić o drżenie.

- Czemu zmieniłeś zdanie o nim? Mówiłeś, że jest pomyłony.

- Nie, to ty tak mówiłeś.

- Na podstawie informacji od ciebie. Mogłem się opierać jedynie na tym, co mi powiedziałeś. Wygląda na to, że naprawdę cię otumaniał i wcisnął ci kit.

Leventhal uparcie powstrzymywał się od udzielania odpowiedzi. Miał opuszczoną głowę, a na jego twarzy malował się wyraz świadczący o tym, że jest u kresu wytrzymałości.

Harkavy nie ustępował.

- Może nie?

Leventhal otarł usta, przyciskając wargi do zębów.

- Widocznie sam się o to prosiłem - odparł.

- Nie pojmuję tego. Kiedy przyszedłeś do mnie, żeby o nim porozmawiać, byłeś tak wściekły, że chciałeś go powiesić. Oskarżał cię o jakąś zbrodnię i winił cię za to, co stało się z jego żoną, i Bóg wie, o co jeszcze. Teraz chcesz go wysłać z referencjami do Shifcarta. I jeśli się nie mylę, chciałeś uzyskać moją pomoc. Nie mogłem uwierzyć własnym uszom, kiedy zapytałeś o Shifcarta. Jakie wrażenie zrobi na nim ktoś taki? I dlaczego pozwalasz mu kręcić się koło siebie? Czy nie mówiłeś mi, że znalazł wizytówkę Shifcarta u ciebie w domu? Poza tym wiesz, że Shifcart nie może nic dla niego zrobić.

- Chyba nie.

- A na jakiej podstawie on sądzi, że Shifcart może mu pomóc?

Chociaż Leventhal wiedział, że popełnia błąd, powiedział, do pewnego stopnia bezwiednie:

- Wydaje mi się, że on uważa to wszystko za żydowską sitwę i że Shifcart może go zaprotegować... Żydzi mają wpływ na innych Żydów.

- Nie! - krzyknął Harkavy. - Nie! - Złapał się rękami za głowę. - I ty próbujesz coś dla niego zrobić? Chłopcze, czy wiesz, jak to wpływa na moją opinię o tobie? Czy ty postradał rozum?

Jego przerażenie wstrząsnęło Leventhalem.

- Posłuchaj, Dan, nie chcę głębiej w to wchodzić. Nie naciskaj na mnie. Zapytałem cię o Shifcarta. Powiedziałeś mi, co myślisz... Zakończmy na tym.

- Ale jak on to robi? - grzmiał Harkavy. - Co ma na ciebie? Czy to szantaż? Zrobiłeś coś?

- Nie, nic... Miałem mnóstwo kłopotów. Moja rodzina... słyszałeś o tym. I nie ma Mary, to też mocno dało mi się we znaki. Moje nerwy nie są w najlepszym stanie. Czuję się, jakbym próbował coś z siebie zrzucić. Nie jesteś zbyt pomocny. Po prostu zostaw mnie w spokoju, żebym mógł się tym zająć po swojemu.  
369

Jak na niego była to cała przemowa; brzmiała przesadnie, jak apel. Jego dłonie drżały bardziej niż  
<sup>24</sup> - Ofiara kiedykolwiek. Odstawił kawę, rozlewając trochę na spodek.

- Co jest między wami? Jak on to z tobą robi? Najpierw przychodzisz, żeby się na niego poskarżyć. A zaraz potem dowiaduję się, że gada *jakPro- tokoly*, a tobie to nie przeszkadza. - Z wściekłością walił pięścią w metalowy stół, a jego twarz i wyciągnięta szyja płonęły. - Wpływ na Żydów! - krzyknął.

Leventhal w milczeniu robił sobie wyrzuty. „To był prawdziwy błąd. Nie powinienem być tego mówić. Dlaczego pozwoliłem się temu wymknąć. Nie jestem nawet pewien, czy Allbee naprawdę tak myśli”.

Do Harkavy'ego powiedział:

- Nie wściekaj się. Zdaję sobie sprawę, że to wygląda niedobrze, ale nie znasz faktów. Mogę to ocenić lepiej od ciebie. - Mówił cicho, żeby panować nad głosem.

- Faktów? Co ty pozwalasz temu człowiekowi z sobą robić? Czy ci odbiło?

- Nie bądź niemądry, Dan! - krzyknął. - Wiem, że chcesz dobrze, ale cię ponosi. I pamiętaj, proszę, o mojej matce, zanim coś takiego powiesz. Wiesz o mojej matce. Powiedziałem ci o niej jak przyjaciel przyjacielowi. Ale znaczenie tego nie dotarło do ciebie.

To na krótko uciszyło Harkavy'ego. Zdawał się patrzeć spode łba. W rzeczywistości odchrząkiwał tylko. Przyglądał się przez chwilę Leventhalowi, po czym rzekł:

- No cóż, naprawdę jesteś uprzywilejowanym osobnikiem. Jedynym człowiekiem na świecie, którego matka zwariowała i umarła. - Natychmiast zmienił ton, głośno klaskając w dłonie. - A więc między nami, przyjaciółmi, jakie są fakty? Ta sprawa z Shifcartem to taki absurd, że nawet nie warto o tym mówić. Ale ty musisz być w transie. Powiedz mi, co się dzieje. Spójrz tylko na siebie!

- O co chodzi?

- Wyglądasz, jak z krzyża zdjęty.

- Naprawdę? Mówiłem ci przecież. Przede wszystkim była śmierć dziecka.

- Zdobyłeś się na większą szczerłość wczoraj wieczorem, kiedy byłeś pijany. Przyznałeś, że chcesz się pozbyć tego człowieka. Nie chowaj się za dzieckiem. To nieładne. Nieuczciwe. Obudź się! Czym jest życie? Przemianą materii? Tym jest dla insektów. Jezu Chryste, nie! Czym jest życie? Świadomością, oto czym jest. Tego właśnie masz za mało. Na miłość boską, potrząśnij sobą i weź się w garść. Ta sprawa, Asa, jest niebezpieczna.

Leventhal patrzył na Harkavy'ego z tępą konsternacją.

- Niech mnie diabli, jeśli to widzę - rzekł w końcu. - Po pierwsze, to ty powiedziałeś mi o Willisto- nie, kiedy do ciebie przyszedłem...

-No i?

Ale Leventhal nie chciał mówić dalej.

- No i? Co dalej? - zapytał Harkavy, pochylając się na krześle.

Nastąpiła krótka przerwa, po czym Leventhal powiedział:

- Słuchaj, muszę wziąć tę aspirynę.

Wstał.

- W porządku, nie chcesz mojej pomocy. Nie mogę cię zmusić do jej przyjęcia. Bóg z tobą. Miałeś szansę, żeby się zwierzyć i uzyskać radę. Ilu masz przyjaciół? - Włożył do tosterka kromkę chle- ba i mocno przesunął dźwignię w dół.

W apteczce pani Harkavy, wśród butelek płynów kosmetycznych i wody kolońskiej oraz pudełek z pudrem, Leventhal znalazł aspirynę i połknął tabletkę, popijając łykiem wody z kranu. Napelnił umywalkę ciepłą wodą i podciągnął rękawy; jasnozielony kolor przyjemnie na niego podziałał. Zanurzył ręce, po czym rzucił okiem na wannę z masywnym niklowanym kranem. Bieliźniarka była otwarta i unosiła się z niej sucha woń mydła. Leventhal wziął ręcznik i opuścił metalowy korek.

- Wykąpię się, jeśli nie masz nic przeciwko temu - zawołał do Harkavy'ego.

- Nie krępuj się.

Woda lała się głośno. Leventhal zamknął drzwi i zaczął się rozbierać. W łazience zrobiło się gorąco.



Usiadłszy na obrzeżu wanny, wśród huku parującej wody, energicznie i w pełnym skupieniu namydlił swoje owłosione ciemne ciało. Z jakiegoś powodu zgiełk dobywający się z kranu przynosił mu ulgę. Kładąc się w napierającej i kołyszącej się wodzie, powiedział do siebie, jakby to był komplement: „Niczego ze mnie nie wyciągnął”. Przesunął ręką po piersi, uwalniając z włosów małe bąbelki. „Lepiej będzie, jeśli zajmę się wszystkim sam” - pomyślał. Zakręcił kurek z zimną wodą, a gorąca łała się nadal, zielona z białym rdzeniem i smuzką pary.

Zastanawiał się, jak Max radzi sobie z Eleną. Niepokoił się oczywiście o niego, ale martwił się głównie o Philipa; gdyby się okazało, że Max myli się co do Eleny, zrobiłby wszystko, żeby go ratować. Odkładał na później myślenie o sobie. Kiedyś będzie musiał do tego wrócić - o ile Max miał rację co do Eleny, a on się mylił. Przyczyny takiego błędu nie można zlekceważyć; trzeba ją znaleźć. Ale dopiero wtedy, kiedy będzie miał na to siły, nie teraz. Na wodzie rozpostarł się krąg rozpuszczonego mydła z kostki w jego rękę.

Serce biło mu szybko, kiedy się wycierał. Ból głowy prawie już jednak minął; czuł się odświeżony i niemal pogodny. Wszedł do kuchni. Harkavy rozstawił talerze i robił jajecznicę.

Dopiero pod koniec posiłku tamto znowu wróciło, jego nadwężone nerwy przebiegł dojmujący, bolesny prąd. Nie mógł w ten sposób ciągnąć dalej sprawy z Allbeem. Dosyć już tego. Trzeba to było skończyć. Niemal każdego dnia spodziewał się wiadomości o

powrocie Mary. Co by było, gdyby wróciła, zanim to się skończy? Uwolnił się od tej obawy tak, jak można by strzepnąć z twarzy owada. A Allbee mógłby sobie pomyśleć, ponieważ zeszłej nocy nie spał w domu... co mógłby sobie pomyśleć - że się go boi? Dałoby mu to dość pewności siebie, by stawiać nowe żądania. Mógł dostać list polecający do Shifcar- ta. Ale nic ponadto. I musiałby opuścić mieszkanie. „Dość!” - postanowił w milczeniu. „Dość, dość!” Z hałasem upuścił widelec. Pod pytającym spojrzeniem Harkavy’ego jak zwykle wyglądał na nieporu- szonego; trochę osowiałego, ale opanowanego i spokojnego. Podniósł widelec i dotknął nim jedzenia. Ale nie był w stanie przełknąć następnego kęsa.

23

O wpół do piątej ruszył w drogę do domu. Wiatr osłabł, niebo było zimne i szybko ciemniało. W małym parku zwinięte rdzawe łupiny liści szeleściły na ścieżce i chrzęściły pod stopami. Bardzo niewiele zieleni pozostało w tych, które powiewały niespokojnie na drzewach. Z metra unosiło się wilgotne ciepło, pachnące kamieniem, i przez kratę wentylacyjną Le- venthal ujrzał na chwilę nieruchome światło na podtorzu i szynach, twarde i szarych w swym równoległym biegu. Ścieśnione domy z brunatnego piaskowca wyglądały jesiennie, podobnie jak wypolerowane przez stopy stalowe pokrywy kanałów, które połyskiwały ostro. Wydawało się, że lato skończyło się przedwcześnie w ciemności i chłodzie. Ludzie, którzy wyjechali z miasta na święto, zapewne palili ogniska na plaży, o ile nie tłoczyli się już w pociągach powrotnych do miasta.

Leventhal zatrzymał się na chodniku naprzeciwko swojego mieszkania. Wszystkie okna w budynku były ciemne. Mała czerwona lampka w sieni zdawała się być osadzona w półkolistym oknie nad drzwiami i promieniowała swą krwawą barwą w kąty pomieszczenia aż po błyszczącą, ozdobną głowicę balustrady w głębi. Pnącza pani Nunez, rozpościerające się gęstą masą ku górze, kołysały się na napiętych sznurkach. „Nie ma go” - powiedział Leventhal do siebie. Był rozdrażniony, niemal jakby Allbee wyszedł, żeby mu popsuć szyki. Ale właściwie było dla niego korzystne, że będzie pierwszy w domu, bo jeszcze nie zdecydował, jak z nim postąpić. I teraz, wchodząc po schodach, od czasu do czasu dotykał zakurzonych zagłębień ściany i myślał: „Co zrobić?” Był jednak zdecydowanie zbyt wzburzony, by cokolwiek planować. Wchodził szybko, trochę zaskoczony ilością podestów i dziwiąc się, dlaczego to miejsce nie wydaje mu się bardziej znajome - dopóki nie rozpoznał wiadra przeciwpożarowego z niedopałkami papierosów w piasku. Dotarłszy na trzecie piętro, oparł się plecami o ścianę, obmacując obydwie kieszenie w poszukiwaniu klucza. Wyjął garść drobniaków i kluczy i zaczął je przeglądać w słabym świetle. Po chwili wydało mu się, że ktoś porusza się w mieszkaniu. Było możliwe, że Allbee spał wcześniej i właśnie wstał. To wyjaśniałoby ciemne okna. Zapukał i przyłożył ucho do drzwi. Był pewien, że słyszy kroki.

Pełen niepokoju przekręcał klucz w zamku. Drzwi ustąpiły na kilka centymetrów, po czym uderzyły w coś i zatrzymały się z grzechotem. Wsunął rękę przez szparę i wymacał łańcuch. Czy w domu byli złodzieje? Już miał

zbiec na dół po Nuneza albo żeby zadzwonić na policję, kiedy usłyszał, jak Allbee mówi:

- Czy to pan?
- Po co założony jest łańcuch? - zapytał.
- Później panu wytłumaczę.
- Nie, nie później, wytłumaczy to pan natychmiast.

Ale łańcuch pozostał na miejscu. Leventhal nakazał sobie nie tracić głowy, lecz chwilę później uderzył w drzwi tak mocno, że się zatrzęsły, i czekał, wpatrując się w stare czarne strużki i krople farby na nich. Potem znowu zaczął wściekle walić, krzycząc:

- No! Otwieraj pan!

Kiedy przestał, usłyszał cichy odgłos i zaglądając przez szparę, ujrzał twarz Allbeego, a raczej fragment jego twarzy, nos, pełne usta i oko, z widocznymi jeszcze śladami oszołomienia, i znajomą plamę pod nim.

- No już!
- Nie mogę - szepnął Allbee. - Niech pan wróci trochę później, dobrze? Proszę mi dać jakieś piętnaście minut.

- Nic panu nie dam.
- Dziesięć minut. Bądź pan człowiekiem.

Leventhal rzucił się na drzwi, wykonując półobrót i uderzając je bokiem ciała i opuszczonym barkiem; jego stopy zaszurały na posadzce. Uchwycił framugę i popchnął. Słyszał teraz wewnątrz dwa głosy. Raz jeszcze rzucił się naprzód, z większą desperacją. Łańcuch się zerwał i Leventhal wpadł na ścianę przedśionka. Pozbierał się i wbiegł do pokoju dziennego. Allbee stał tam, nagi i

niezgrabny, obok ubierającej się w wielkim pośpiechu kobiety. Pomagał jej, podając pończochy i bieliznę ze sterty na krześle przy łóżku. Miała na sobie spódnice, ale od pasa w górę była naga. Odepchnęła jego rękę z oferowaną pończochą i pochyliła się, żeby wcisnąć stopę do pantofla, wsuwając palec za piętę. Włosy zakrywały jej twarz, mimo to Leventhalowi wydawało się, że ją rozpoznał. Pani Nunez! Czy to była pani Nunez? Myśl ta przejęła go zgrozą i okrzyk, jaki już miał wydać, uwiązł mu w gardle.

Kobieta pochyliła się w stronę światła - paliła się tylko lampka nocna, rzucając ograniczony krąg blasku na skotłowaną pościel i dywan - i wyrzuciła bluzkę na prawą stronę. Jej przerażone oczy połyskiwały ku niemu, a piersi zwisały ciężko, gdy wpychała ramię do rękawa. Tymczasem Allbee pośpiesznie podszedł do drzwi i zamknął je. Wrócił i włożył koszulę, tę nową, którą kupił przy Drugiej Alei. Sztywna obręcz kołnierzyka odstawała od szyi. Następnie wciągnął spodnie, niemal tracąc równowagę, gdy przenosił ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Ciężko oddychając, spojrział w dół i, zapinając się, powiedział cicho do Leventhala:

- Niech pan przynajmniej pójdzie na chwilę do innego pokoju, dopóki ona nie wyjdzie.

- Pan też niech się wynosi.

Allbee opuścił głowę i Leventhal nie mógł wyczytać z wyrazu jego twarzy, czy go błaga, czy mu rozkazuje. Spojrzął na niego z gniewem i pogardą i ruszył w stronę kuchni. Kobieta obróciła się i teraz zobaczył ją wyraźnie. Poprawiała włosy, poruszając szybko łokciami nad głową.

Była to nieznajoma osoba, nie pani Nunez. Odczuł ogromną ulgę, lecz jednocześnie myśli o jego podejrzeniu przeszły go bólem. Była to postawna kobieta o szerokich biodrach; miała wystające ramiona, a proste linie jej bluzki sprawiały, że wydawały się one kwadratowe. Była wysoka i miała czarne włosy, i na tym podobieństwo się kończyło. W jej oczach była jakaś nie- symetryczność; jedno było mniejsze od drugiego. Na jego spojrzenie odpowiadała większym, bardziej błyszczącym okiem. Jej uśmiech był niepewny i pełen urazy. Przez jakiś czas stał obok niej, wdychając ciężki zapach pudru albo perfum, unoszący się od niej w gorącym pokoju. Wpięła we włosy biały grzebyk i odsunęła się od niego.

Zatrzasnął drzwi kuchni i czekał w ciemności, obok warczącej lodówki, słysząc ciche odgłosy rozmowy. Nie usiłował jej śledzić. Rozległy się kroki; była to kobieta, która szła w stronę drzwi. Głównie ze względu na nią się wycofał - żeby ją oszczędzić. To nie była jej wina. Allbee prawdopodobnie nie powiedział jej, że mieszkanie należy do kogoś innego. Ależ ma tupet, ależ tupet! Leventhal niemal krzyknął z obrzydzenia. Okropnie wykrzywił twarz, rozciągając usta. Co za ohyda! Lodówka zacinęła się i drżała, ale za każdym razem odzyskiwała moc i pracowała, chaotycznie i bez końca, pracowała i pracowała. Jej biały agregat znajdował się na poziomie jego oczu; widział niebieskie iskry w środku. Jediną inną rzeczą widoczną w pomieszczeniu był płomień pilota, również niebieski, choć znacznie ciemniejszy, w czarnych zagłębieniach i pod pająkowatymi prętami kuchenki gazowej.

Wciąż miał w oczach spojrzenie kobiety. Czuł również jej zapach; całe mieszkanie wydawało się nim przesiąknięte. Głosy było teraz słycać w przedsiönku. Leventhal wszedł do pokoju stołowego. Na zmiętej pościeli leżanki - poduszka była szara, niemal czarna - walały się gazety, bielizna i skarpetki. Między zastonami, na parapecie, odkrył filiżankę kawy z pływającymi w niej strzępkami pleśni, a także okruchy i resztki jedzenia.

Kiedy drzwi mieszkania zostały zamknięte, wszedł do pokoju dziennego.

- Niech pan posłucha - rzekł Allbee, gdy tylko wyłonił się z kuchni. - Sądziłem, że wyjechał pan z miasta na weekend. Nie wrócił pan zeszłej nocy do domu. Pomyślałem...

- Pomyślał pan, że przyprowadzi pan sobie dziwkę z ulicy.

- Nie... niech pan zaczeka. - Zaśmiał się pośpiesznie i z lekką zadyszką. - Wiem, że mam grzeszną naturę. Nigdy nie udawałem kogoś innego, niż jestem. Po co całe to zamieszanie? Mógł mi pan dać parę minut.

Mówił pojednawczo, z żartobliwym rozgoryczeniem. Był żółty na twarzy i miał suche wargi. Jego uśmiech utrzymywał się skrycie w kącikach ust; był chełpliwy.

Leventhal zaczerwienił się mocno.

- W moim łóżku!

- No cóż, leżanka jest raka wąska. Nie nadaje się na przyjęcie damy... Chciałem mieć trochę więcej miejsca. - Wcale nie był pewny siebie i jego głos drżał, kiedy tak żartował. - Nie widzę powodu, żeby robić o to tyle hałasu.

- Och, nie widzi pan! Sprawilo panu frajde polozenie pańskiej zdzirowy tam, gdzie spię.

Gwałtowność jego odrazy sprawila, że uśmiech Allbeego zmienil zabarwienie; stal się szyderyczy, a w jego przekrwionych oczach pojawil się gorący żółtawy odcień. Leventhal uslyszal, jak mruzczy coś o „pedanterii”.

- Hipokryto! Myślalem, że nie może pan przeboleć utraty żony.

- Niech pan nie miesza do tego mojej żony! - krzyknął Allbee.

- Dlaczego, przecież wciąż pan ją oplakuje, nieprawdaż?

- Powiedzialem, żeby pan tego nie robil! Niech pan zostawi w spokoju rzeczy, których nie jest pan w stanie zrozumieć.

- Czego nie jestem w stanie zrozumieć?

- Tego na pewno nie! - szorstko odparł Allbee.

Miał rozpaloną twarz; jego kości policzkowe wygladaly, jakby wypalono na nich piętno. Opanował się jednak i rumieniec powoli ustapil. Pozostal jedynie kilka uporczywych plam. Zdawal się zmuszac do uczynienia gestu cofajacego jego wcześniejsze slowa. - Chodzi mi o to - powiedzial - że ona nie żyje. Co ona ma z tym wspólnego? Mam oczywiscie swoje potrzeby, jak każdy.

- A co miała wspólnego z tamtymi rzeczami? Obłudniku, poslugival się pan nią, żeby grac na moich uczuciach. Zresztą, co mnie to obchodzi? Idź ..pan do diabla. Ale nie wystarczylo panu, że tak zabrudzil pan to mieszkание, iż brzydę się do niego wchodzic;



musiał pan przyprowadzić tę kobietę do mojego łóżka.

- Ale czym się tutaj tak denerwować? A gdzie, jeśli nie w łóżku...? - Znowu wydawał się rozbawiony i mrugał przekrwionymi oczami. - Jak pan to robi? Może ma pan jakiś inny sposób, bardziej wyrafinowany, odmienny? Czyż nie twierdzicie, że jesteście tacy sami jak wszyscy inni? To wasz sposób na powiedzenie, że stoicie wyżej od innych. Wiem.

- Zabieraj pan swoje rzeczy z pokoju stołowego i wynoś się pan. Nie chcę więcej pana widzieć.

- Nie obchodzi pana ta kobieta. Posługuje się pan nią tylko, żeby zrobić z tego wielką sprawę i złamać daną mi obietnicę. A wydawało mi się, że widziałem już wszystko, jeśli chodzi o cynizm. Na Boga, mógłby pan dawać lekcje! Nigdy nie spotkałem nikogo, kto mógłby się z panem równać. Sądzę, że na świecie istnieją okazy wszystkiego, co można sobie wyobrazić, jakkolwiek by to było wielkie czy przerażające. Ale pan z pewnością nie jest taki sam jak wszyscy inni. - Patrzył na niego przenikliwie, bystro, z bezczelnym wyrazem triumfu w oczach. - Co pana obchodzi moja żona! Ale instynkt podpowiedział panu, gdzie dźgnąć, tak samo, jak owady wiedzą, gdzie znajdują najwięcej soku.

- Nędzny krętaczu! - chrapliwie krzyknął Leventhal. - Odrażający, plugawy oszuście. Powiedziałem to, bo jest pan skończonym kłamcą, z pańskimi udawanymi łzami i imieniem pańskiej żony na ustach przy co drugim słowie. Biedna kobieta, wspaniałe życie musiała mieć przy panu, takim dziwolągu, prosto z lunaparku. Wszystko panu jedno, co pan mówi. Powie pan

wszystko, co panu ślina na język przyniesie. Nie jest pan nawet człowiekiem, jeśli chce pan znać moje zdanie. Nic dziwnego, że od pana odeszła.

- To bardzo ciekawe, że bierze pan jej stronę. Ona była taka jak ja. Co pan o tym sądzi? Byliśmy podobni! - krzyknął.

- No, niech się pan wynosi! Zjeżdżaj pan! Powiedziałem panu, żeby pan sobie poszedł, już kiedy tamta kobieta wychodziła.

- Co z pańską obietnicą?

Leventhal popchnął go w stronę drzwi. Allbee zatonął się kilka kroków do tyłu, po czym schwyciwszy szklaną popielniczkę, zamierzył się nią groźnie i krzyknął:

- Niech pan się nie zbliża!

Leventhal rzucił się na niego i wytrącił mu popielniczkę z ręki. Przytrzymując jego ramiona, okręcił go i wyprowadził do przedsonka.

- Niech pan puści. Sam pójdę - wysapał Allbee.

Drzwi, kiedy Leventhal gwałtownie je otworzył, uderzyły Allbeego w twarz. Nie opierał się, gdy Leventhal wypchnął go na podest, i nie odwracając się, ruszył w dół po schodach.

Leventhal opadł zdyszany na fotel, szarpiąc za kołnierzyk koszuli. Do oczu spływał mu pot, a jego klatkę piersiową przeszywał ból rozpoczynający się w barkach. Nagle pomyślał: „Może ciągle jeszcze kręci się tutaj. Lepiej sprawdzę”. Zmusił się do powstania i wyszedł na schody. Trzymając się balustrady, wpatrywał się w studnię klatki schodowej. Panowała w niej cisza. Wracając do mieszkania, pomyślał: „Nawet nie miał

odwagi stawić oporu. Chociaż tak mnie nienawidzi. A przecież jest większy ode mnie; mógłby mnie zabić”. Zastanawiał się, czy Allbee został ogłuszony przez drzwi, kiedy uderzyły go w twarz. Wciąż miał w uszach odgłos tego uderzenia.

Zatrzymał się, żeby obejrzeć łańcuch. Skobel był tylko obluźowany i można go było z powrotem przybić. Ale jedno z ogniw puściło. Odrzucił zerwaną połówkę. Na fałdach dywanu w pokoju dziennym leżała długa, wygięta smuga popiołu. Otarł rękawem pot i ogarnął wzrokiem pokój, rozgniewany, ale również radosny; czuł niejasno, że ten nieporządek i zamieszanie stanowią cenę, jaką musi zapłacić za swoje oswobodzenie.

Grzejniki prychały parą i w pokoju było nieznośnie gorąco. Podsunął okno do góry i wychylił się na zewnątrz. Natychmiast usłyszał łoskot pociągu przy Trzeciej Alei, unoszący się ponad nieustającym, wezbranym zgiełkiem ulicy. Ludzie chodzili wśród pasów światła na bruku, światła padającego z okien, przez które widać było pokryte dywanami podłogi i zarysy mebli; przechodzili przez blask szklanej klatki wybrzuszającej się przed kinem i wchodzili w cienie, dopływy prowadzące w głębsze regiony cienia, i dalej, do potężnych jam wypełnionych światłem i stłumionym rykiem „Czy jest gdzieś w pobliżu?” - Leventhal zapytał sam siebie. Wątpił w to, by Allbee był blisko. Z pewnością wiedział, że nie może liczyć na nic więcej po tym, co stało się dzisiaj. A na co w ogóle liczył, pozostawało tajemnicą. Pomysł przedstawienia go Shifcartowi utracił wszelki sens; było to wymyślone na poczekaniu żądanie, wyjęte z kapelusza.

To, że jest w stanie to dostrzec, dawało Leventhalowi poczucie, że po długim czasie znowu staje się sobą.  
385

Lekki wietrzyk chłodził go zbyt szybko. Drżąc, cofnął głowę do środka i usiadł, ścierając z dłoni kurz z parapetu. Gardło miał obolałe i wypełnione gorzkim smakiem, a w boku czuł obezwładniający ciężar. Posiedział jednak przez chwilę i odpoczął, i wkrótce poczuł się lepiej. Kiedy wstał, zaczął niesystematycznie porządkować mieszkanie, przechodząc powoli i bez zapału od jednej czynności do drugiej;

Ściągnął z łóżek pościel i wrzucił ją do kosza na brudną bieliznę. Potem, nie zadając sobie trudu usunięcia resztek jedzenia z otworu odpływowego, posypał naczynia w zlewie proszkiem do zmywania i pozwolił gorącej wodzie lecieć do czasu, aż utworzyła się piana i wszystko zakryła. Pościelił łóżko świeżą bielizną, niezręcznie wpychając poduszki do poszewek i odsuwając łóżko od ściany, żeby podwinąć koc. W pokoju stołowym odwrócił na drugą stronę materac leżanki i z niemałym wysiłkiem przesunął do góry rzadko otwierane okna. Na jednym z krzeseł znalazł błyszczącą torbę ze sklepu z męską konfekcją przy Drugiej Alei. Zawierała starą koszulę Allbeego i kilka innych rzeczy, których nie obejrzał. Wrzucił torbę do windy kuchennej, razem ze skarpetkami, podkoszulkami i gazetami, jakie Allbee zgromadził. Następnie zdjął w łazience ręczniki, odkręcił prysznic, żeby splukać wannę, i zabrał się do czyszczenia umywalki. Po kilku ruchach zrezygnował i powiesił ścierkę z powrotem na rurze syfonu.

Przesuwając krzesła na miejsce, zobaczył na dywanie

grzebyk. Musiał stanowić parę do tego, który kobieta wpięła we włosy. Oglądając go, nie mógł się ustrzec przed wdychaniem jego zapachu. Był to biały kościany grzebyk z pożółkłymi zębami o nierównej krawędzi. Z jednej strony ozdobiony był szkiełkiem w kształcie rombu; po drugiej stronie szkiełko wypadło z oprawy. Nie poświęcił grzebykowi zbyt wiele czasu; upuścił go do kosza na śmieci. Przypomnił sobie kobiety, które obserwował podczas szarpaniny na rogu ulicy przed kilkoma tygodniami, i nawet przyszło mu do głowy, że ta mogła być jedną z nich. Mogła, z powodzeniem. W końcu, gdzie Allbee ją poderwał? Prawdopodobnie w jakiejś knajpie w sąsiedztwie.

Kiedy zmiatał popiół z dywanu, przez mieszkanie przebiegł lekki podmuch wiatru, sprowadzając do pokoju chłód i pustkę z zewnątrz. Mimo to zapach grzebyka raz po raz powracał, przynosząc z sobą, niczym wyrzut sumienia, jakiś fragment tego, co wydarzyło się w ciągu wieczora. Musiała być przerażona i pełna obrzydzenia, gdy usłyszała trzaśnięcie drzwi, a potem wyskoczyła z łóżka - kolejnego łóżka. I nawet jeśli przyjąć, że była w stanie znieść brutalność lepiej niż inna kobieta (niejedna płakałaby ze strachu albo upokorzenia), było mu przykro, że naraził ją na to. Stwierdził, że żałuje całego zajścia ze względu na nią, i miał sobie niemal za złe, że nie usłuchał Allbeego i nie odszedł. Mógł zająć się nim później. Kilka związanych z kobietą wrażeń zachowało się wyraźnie w pamięci Leventhala - ociążałość jej postaci w spódnicy, sposób, w jaki przykucnęła, żeby wcisnąć stopę do

pantofla, spojrzenie, które mu posłała z oczu o dziwnym kształcie. Teraz wydawało mu się, że w spojrzeniu tym było więcej rozbawienia niż strachu, i był nawet w stanie zrozumieć, że przy odrobinie dystansu mogła uznać cały incydent za zabawny. Zaczął sobie przypominać, jak Allbee się potknął, wciągając spodnie, i jak komicznie podawał kobiecie pończochy. Było to trywialne, było bolesne, ale również śmieszne. Odślonił zęby w uśmiechu, a jego oczy rozszerzyły się i zabłyszczały; wybuchnął gwałtownym śmiechem, energicznie przesuwając miotłą po podłodze. „Pończochy! Te cholerne pończochy! Stał tam zupełnie golusieńki i podawał pończochy!” Nagle zaniósł się kaszlem. Kiedy skończył się śmiać i kaszleć, jego twarz pozostała nadzwyczaj ożywiona. Tak, i nie powinien wyłączać z tego obrazka samego siebie, piorunującego wzrokiem ich oboje. Tymczasem Allbee kipiał ze złości, a jednak starał się nie tracić głowy. Kobieta musiała pojąć, że nie ma odwagi powiedzieć, co czuje. Być może chwalił się jej wcześniej, opowiadając kłamstwa o sobie, i dlatego jego kłopotliwe położenie bawiło ją.

Gdy jednak na chwilę usiadł na łóżku, cały komizm sytuacji rozwiął się i uleciał. Mylił się co do wyrazu twarzy kobiety; usiłował go przekształcić w coś, co był w stanie znieść. Prawda była przypuszczalnie zupełnie inna. Zaczął od patrzenia na to, co się stało, jej oczami, a skończył na zastąpieniu ich własnymi, co pozwoliło mu ustawić ją po swojej stronie, podczas gdy w rzeczywistości była bliższa Allbeemu. Oboje, Allbee i kobieta, podążali albo płynęli ku niemu z głębin życia, w

której on sam byłby zagubiony, zdławiony, skończony. Była tam zgroza, zło, wszystko to, od czego trzymał się z dala. W czasach, gdy pracował jako recepcjonista w hotelu na East Side, znalazł się najbliżej niej, jak był to w stanie znieść. Zajrzał jej wtedy prosto w twarz. A od tego czasu poznał ją lepiej kątem oka. Czemu nie powiedzieć raczej serca niż oka? To jego serce jej doświadczało, ze strasliwym bólem i lękiem, przyjmując ciężkie ciosy. Jeśli więc strach i ból były tak wielkie, to co go przyciągało?

Podniósł miotłę i powrócił do swoich czynności. Pochylając się na drżących nogach, żeby zmieść popiół, myślał: „Może nie zrobiłem tego, co trzeba. Nie wiedziałem, co to jest. Nadal nie wiem. I prędzej czy później musiało dojść do konfrontacji. Co zamierzałem z nim zrobić? Nienawidził mnie. Nienawidził mnie wystarczająco, by poderznąć mi gardło. Nie zrobił tego, bo był zbyt wielkim tchórzem. Dlatego wykręcał wszystkie te numery. Wykręcał je w równym stopniu sobie, jak mnie, a było to spowodowane tym, że nienawidził siebie za brak odwagi, ale dzięki błaznowaniu mógł zagłuszyć własne uczucia. Wszystkie te rzeczy, musztarda i padanie na kolana, cała ta gadanina. Temu to służyło. Musiałem coś z nim zrobić. Chyba źle to załatwiłem. Najważniejsze jednak, że to się skończyło...”

Krzesła nie wyglądały dokładnie tak, jak wówczas, gdy Mary je ustawiała; łóżko było nierówno postane. Na dywanie wciąż widoczna była smuga popiołu. Sprawy zaczynały jednak wracać do normy, a to, że miał zajęcia, uspokajało go. Otworzył puszkę zupy jarzynowej i

postawił ją na kuchence. Kiedy się podgrzewała, umył naczynia i po raz pierwszy od kilku tygodni włączył radio, po prostu po to, żeby usłyszeć czyjś głos. Zadzwonił telefon. Był to Max, który dzwonił, jak powiedział, z drogerii przy Czternastej Ulicy. Nie chciał przychodzić drugi raz bez zapowiedzi. I dobrze się stało, pomyślał Leven- thal; nie odpowiedziałby na dzwonek do drzwi.

Kiedy dziesięć minut później kończył jeść zupę, zjawił się Max. Elena zgodziła się w końcu wyjechać z Nowego Jorku. Taką wiadomość przyniósł. Przychodził z Pennsylvania Station, gdzie odebrał rezerwacje. Brat Villaniego, handlarz starzyzną z Blee- cker Street, kupował meble.

- Nowe rzeczy na południu będą nas kosztowały dwa razy więcej niż Lo, co dostaniemy tutaj - rzekł.

- Chyba nie chcesz tych gratów.

- A czego im brakuje? Po prostu transport jest za drogi. - Potem uśmiechnął się do Leventhala. -

I co...? - zapytał.

- Chodzi ci o to, że myliłem się co do Eleny?

- No pewnie. I co do starszej pani.

- Och. No cóż, zastałeś mnie tamtego wieczora w złym nastroju, Max. Nie zawsze taki jestem. Mam nadzieję, że nie uraziłem twoich uczuć.

Zmarszczki rozchodzące się promieniście od oczu Maksa pogłębiły się.

- Och, miałem niezły ubaw z tego, jak demoni- zowałeś staruszkę - powiedział.

- Cieszę się, że w końcu przekonałeś Elenę. To wyjdzie wam na dobre. Cieszę się zwłaszcza ze względu



na Phila. Kiedy się urzędzicie, przyjedziemy was odwiedzić.

- Jasne, będziecie mile widziani. Kiedy tylko zechcecie. Czy ona wkrótce wraca?

Leventhal zauważył, że Max nie nazwał Mary po imieniu. Podobnie jak Elena, prawdopodobnie nie wiedział, jak ma na imię.

- Mary? Kiedy tylko zdołam ją ściągnąć do domu. Mam zamiar do niej zadzwonić dziś wieczór.

- Twoje radio gra dość głośno. Chcesz odpędzić demony?

Uśmiechnęli się obydwaj.

- Chyba rzeczywiście jestem dość zagubiony, kiedy jej nie ma.

Max nalał sobie szklankę wody, nie chciał jednak usiąść na kawę.

- Mam za dużo spraw do załatwienia - powiedział. Nasunął kapelusz głębiej na czoło. Jego baczki były długie i źle przystrzyżone, tak że zarastały mu uszy.

- Przyjdę was pożegnać - powiedział Leventhal.

- Kiedy wyjeżdżacie?

- W piątek o czwartej, Natchez Prince.

- Będę tam.

Po rozmowie z żoną Leventhal szykował się do snu w stanie przypominającym odurzenie. Chodził tam i z powrotem po pokoju, rozbierając się, a następnie przystanął przed zdjęciem Mary na biurku i pogładził jej twarz kciukiem przez szkło. Pod sklepieniem klatki piersiowej czuł mocne, wyraźne uderzenia, które wydawały mu się znacznie wolniejsze niż rzeczywiste,

ledwie wyczuwalne, radosne kołatanie jego serca. Nogi robiły mu się miękkie z podniecenia. Mary prawdopodobnie pakowała walizki, bo obiecała, że wyjedzie najwcześniejszym pociągiem następnego dnia. Ze sposobu, w jaki mówiła, wywnioskował, że czekała na telefon od niego. Kiedy zapytał: „Czy możesz wkrótce przyjechać?” odparła: „Jutro”, z gorliwością, która go zdumiała. Powiedziała, że przyjedzie wczesnym rankiem we wtorek, jeśli ścisk panujący w związku ze Świętem Pracy zbytnio jej nie zatrzyma. Tymczasem musiał zająć się mieszkaniem; powinna zastać je w takim samym stanie, w jakim je zostawiła. Pół godziny wcześniej miał wrażenie, że wygląda ono znośnie. Teraz wydawało mu się okropnie brudne. Narzucił na piżamę marynarkę i już miał zejść na dół do pani Nunez, przypomniał sobie jednak, że Nunezowie mają telefon, i zawrócił. Zbeształ samego siebie za to, że najprostszy, najsensowniejszy sposób jak zwykle przychodzi mu do głowy jako ostatni. Znalazł numer w alfabetycznym notesie Mary i wykręcił go. Po chwili usłyszał wymawianą z przydechem hiszpańszczyznę pani Nunez:

- Allo?

Szybko załatwili sprawę; miała przyjść na górę następnego ranka. Po odłożeniu słuchawki przeprosił ją w duchu za swoje podejrzenie. Ale w jego obecnym nastroju nie było miejsca na skruchę ani nawet na zastanowienie.

Zamknął na klucz drzwi wejściowe. Powinien był porozmawiać z Nunezem o zerwanym łańcuchu, kiedy do nich dzwonił. A poza tym Allbee wciąż miał klucz; należało wymienić zamek. Ponieważ nie zapamiętał

numeru, ponownie wziął do ręki notes, potem jednak postanowił odłożyć sprawę do rana. Nie obeszłoby się bez wyjaśnień. Dlaczego łańcuch jest zerwany? Dlaczego trzeba wyjmować zupełnie dobry zamek? Potrzebował na to czasu; nie mógł wymyślać powodów przez telefon.

Wszedł do łóżka, spiętrzył poduszki przy ścianie i usiadł z czasopiśmem na kolanach. Nie czytał; nie miał ochoty, a poza tym wszystko rozmywało mu się przed oczyma. Niepokojnie przewracał strony, słysząc niekończące się senne westchnienia pary w grzejnikach i powracający łoskot metra pod domem. W końcu rzucił pismo na podłogę i obrócił się, wciskając twarz w poduszkę. Zajęczał ze zniecierpliwienia. Z trudem wytrzymał leżenie w bezruchu. Wciąż na nowo widział peron dworca, wagony w tunelu i rozpoznawał twarz Mary w tłumie podróżnych - jej kapelusz, jasne włosy, a w końcu całą twarz. Obejmował ją, całował i pytał: „Dobrą miałaś podróż?”. Czy to by wystarczyło? Męczył się z wyborem powitania. Potem raz jeszcze wyobraził sobie, jak biegnie po peronie. To było nie do zniesienia. Postanowił zasnąć i zgasił lampę. Ledwie jednak to zrobił, wstał - w pokoju nie było zupełnie ciemno, bo w łazience paliło się światło - i zaciągnął ciężkie krzesło spod biurka do drzwi. Wcisnął jego oparcie mocno pod gałkę i wrócił do łóżka.

- Na miłość boską - mruknął - niech uda mi się dziś w nocy wypocząć.

Okna połyskiwały blado; wszedł księżyc. Stając na łóżku, Leventhal zasunął zasłony, po czym z powrotem opadł na poduszki. Zaciągnął koc na głowę i wkrótce

zasnął.

Z początku spał głęboko, lecz po pewnym czasie zaczął się wiercić. Było mu za ciepło; zrzucił kilka nakryć; jego nogi poruszały się, jakby nie chciały się odprężyć, i raz czy dwa był już bliski tego, żeby się zerwać i włączyć lampę. Trzymał jednak głowę uparcie między poduszkami i niebawem zaczął śnić.

Znajdował się na nadmorskiej promenadzie pod szerokim, otwartym, błękitnym letnim niebem. Morze lśniło po jego prawej stronie, a brzeg był czarny od kąpiących się ludzi. Po lewej stronie znajdował się park rozrywki z kasami biletowymi i Leventhal widział okrągłe żółte i zielone samochodziki, które obracały się gwałtownie i zderzały ze sobą. Wszedł do budynku, który przypominał hotel - była tam kolista weranda, na której siedzieli ludzie spoglądający na zatokę - ale okazał się domem towarowym. Był tutaj, żeby kupić trochę różu dla Mary. Ekspedientka demonstrowała rozmaite odcienie na własnej twarzy, ścierając je po kolei zabrudzonym ręcznikiem i pochylając się w stronę okrągłego lustra na ladzie, by namalować nową plamę. Otaczał ich wielki, pusty blask szkła i metalu. O co tu może chodzić? - zastanawiał się Leventhal. Bo miał absolutną pewność, że widział kiedyś planszę z wszystkimi tymi kolorami. Ten trud był zbędny. Mimo to przyglądał się, jak ekspedientka smaruje różem swoją twarz

0 ostrych rysach, i nie przerywał jej. Zapach ręcznika od początku wydawał mu się znajomy. Dokonywał tak wielkiego wysiłku, by go rozpoznać, że niemal się obudził, nagle świadomy, iż zapach wydobywa się z jego

łóżka. Miał otwarte oczy, a jego nieogolony podbródek drapał o poduszkę. Czy zapach kobiety mógł przeniknąć poszewkę i poszycie? Uniósł głowę z uczuciem duszenia się i zobaczył oślepiającą ścianę łazienki, ziejący otwór kosza na brudną bieliznę, czarną pletwę wagi. Wydawało mu się, że słyszy parę w rurach, a jednak w pokoju nie było ciepło. Zadrzał i zapalił lampę. Serce niemal pękło mu ze strachu, bo krzesło leżało na podłodze, a drzwi do mieszkania były szeroko otwarte. W kuchni usłyszał jakiś ruch. Owinięty pościelą, pochylił się do przodu, nasłuchując; zaskrzypiały sprężyny łóżka. Wydawało się, że jego przerażenie, jak zimny płyn, jak słona woda, zostało uwolnione przez wybicie w nim jakiegoś otworu. „Mój Boże!” - krzyknął do siebie. Jego usta były spieczone i wargi miały smak zaschniętej krwi. A jeśli krzesło osunęło się i drzwi same się otworzyły? I jeśli kuchnia była pusta? Znowu te jego nerwy, jego chora wyobraźnia. Ale dlaczego nerwy - jako wymówka dla jego tchórzostwa? Żeby nie musiał iść do kuchni i sprawdzać? Czy zamknął drzwi na klucz? Gotów był przysiąc, że tak.

I jeśli teraz były otwarte, to dlatego, że Allbee, który miał klucz, je otworzył. Nogi Leventhala były sprężone do skoku, lecz powstrzymał się, czując, że gdyby nerwy splątały mu teraz figła, załamałoby go to. Nagle jednak wyskoczył z łóżka, wlokąc za sobą prześcieradła, w które zaplątała mu się stopa. Kopnięciem uwolnił się od nich i pobiegł do kuchni. Zderzył się z kimś, kto siedział tam przykucnięty, i mimowolnie krzyknął. Powietrze cuchnęło i trudno było oddychać. Z kuchenki wydobywał się gaz.

„Muszę go teraz zabić” - pomyślał, kiedy się mocowali. Złapał zębami materiał jego marynarki, szybko zmieniając uchwyt i zaciskając rękę na twarzy Allbeego. Wrywał się on spazmatycznie, ale Leventhal przygniótł go w kąciku ciężarem swego ciała. Pięść Allbeego opadła ciężko na jego kark, tuż przy barku.

- Chce mnie pan zamordować? Zamordować? - wykrztusił Leventhal. Syczenie uchodzącego gazu było niemal ogłuszające.

- Siebie, siebie samego! - szepnął rozpaczliwie Allbee, jakby ostatnim tchnieniem. - Siebie...!

Potem jego głowa podskoczyła nagle, uderzając Leventhala w usta. Z bólu opuścił ręce, a wtedy Allbee odepchnął go i wypadł z kuchni. Potykając się, Leventhal zbiegł za nim pół piętra w dół, usiłując krzyczeć i obtłukując nagie stopy o metalowe krawędzie stopni. Usłyszał, jak Allbee skacze, i zobaczył go wbiegającego do sieni. Schwyciwszy butelkę na mleko z progu sąsiada, rzucił ją za nim. Rozbiła się na posadzce.

Popędził z powrotem, żeby wyłączyć gaz. Obawiał się wybuchu. W świetle gwałtownie kołyszącej się lampy zobaczył krzesło ustawione przed otwartą kuchenką, z którego Allbee, jak się zdaje, wstał, kiedy on wbiegał do środka.

Leventhal szeroko otworzył okno pokoju dziennego i wychylił się na zewnątrz; w zimnym powietrzu po jego twarzy spływały łzy. Długie szeregi latarni zwieszały swe żółte ziarna w szaroniebieskiej poświacie ulicy. Nie zobaczył nikogo, żadnej żywej istoty.

Gdy już zaczerpnął dość powietrza, pokuśtykał do

łazienki. Przygryzł sobie wcześniej język i przeplukał teraz usta wodą utlenioną. Pomimo stoczonej walki, obrzydliwie słodkiej woni gazu, przypominającej cierpkosłodki zapach ścieków, mimo odrętwienia w karku, a teraz jeszcze widoku krwi, nie wydawał się szczególnie poruszony. Pod gęstwą włosów jego twarz sprawiała wrażenie beznamiętnej. Wypłukał usta i wypłuł wodę, przemył umywalkę, starł płamy z otworu butelki wody utlenionej i poszedł zebrać prześcieradła, które wcześniej zwlókł na podłogę. Zanim na nowo posłał łóżko, gaz niemal zupełnie ulotnił się z mieszkania. Choć właściwie nie sądził, by Allbee miał jeszcze wrócić, zamknął drzwi i zabarykadował je komodą. Chciał spać spokojnie; nie zależało mu na niczym innym. Ospale poszedł ponownie sprawdzić, czy z kuchenki nie uchodzi już gaz. Potem opadł na łóżko. O jedenastej, kiedy przyszła pani Nunez, żeby zacząć sprzątać, wciąż jeszcze spał. Obudziło go jej wielokrotne pukanie.

24

Tamtej jesieni jeden z redaktorów gazety Harkavy'ego, „Antique Horizons”, przeszedł do czasopisma o ogólnokrajowym zasięgu i Leventhal za wstawiennictwem Harkavy'ego otrzymał jego miejsce. W charakterystyczny dla siebie sposób Beard początkowo odmawiał wyrównania oferty, po czym przebił ją o dwieście dolarów, ale Leventhal od niego odszedł.

W następnych kilku latach dobrze mu się wiodło. Świadomość nieustającej codziennej walki, choć nadal obecna, była słabsza i mniej niepokojąca. Poprawił się

stan jego zdrowia i zaszły zmiany w jego wyglądzie. Wydawało się, że wyzbył się jakiejś nieustępliwości; trudno go było uznać za przystępnego, lecz uporczywie nieprzenikniony wyraz jego twarzy złagodniał. Mimo że sama twarz była bledsza, a we włosach pojawiła się siwizna, wydawał się o całe lata młodszy.

Z upływem czasu opuściło go przeświadczenie, że - jak mawiał - „upiekło mu się”, obarczone kompleksem winy poczucie ulgi i towarzyszące mu wrażenie, że narusza jakieś tabu. Był wdzięczny za swoją pracę w „Antique Horizons”; potrafił ją docenić; nie było wielu lepszych posad w tej branży. Oczywiście miał szczęście. Jest zrozumiałe, że człowiek cierpi, nie mając posady. Z drugiej strony godne politowania jest to, że zazdrości komuś, kto ją ma. Zdaniem Leventhala nie była to nawet prawdziwa niesprawiedliwość, bo jak można nazwać coś tak przypadkowego niesprawiedliwością? Wszystko to była loteria, wszystko przypadek i ślepy traf. A poza tym na coś niewłaściwego kładziono nacisk. Tak jakby człowiek mógł być naprawdę stworzony do pracy w Burke-Beard i Spółka na przykład, jakby była to prawdziwa praca, a nie spowalniający labirynt, który trzeba codziennie pokonywać w udręczeniu doznawanym tak regularnie, że człowiek przestaje je zauważać. To było niesłuszne. Lecz błąd brał się z czegoś bardzo tajemniczego, a mianowicie z przekonania albo złudzenia, że na początku życia, a może nawet wcześniej, złożona została obietnica. Myśląc o tej obietnicy, Leventhal porównywał ją do biletu w teatrze. Z tym biletem człowiek upoważniony do przeciętnego miejsca mógł



czuć się zbyt obdarty, by zajmować miejsce na pierwszym balkonie albo siedzieć na nim wyzywająco i butnie; inny, upoważniony do najlepszego miejsca na sali, mógłby wykrzyknąć coś z wściekłością do biletera prowadzącego go na jaskółkę. A jak wielu jeszcze stało ze smutkiem na deszczu i śniegu, w długiej kolejce tych, którzy mogli jedynie oczekiwać, że zostaną odesłani z kwitkiem? Ale nie, to nie było tak. Rzeczywistość była inna. Dlaczego bowiem obiecwane miały być bilety, zwykłe bilety, jeśli w ogóle czyniono obietnice - bilety na pożądane i niepożądane miejsca? Były ważniejsze rzeczy do obiecania. Możliwe, że istniała jakaś obietnica, skoro tak wielu to czuło. On sam był niemal gotów zaręczyć, że tak jest. Lecz niewłaściwie ją rozumiano.

Czasami myślał o Allbeem i zastanawiał się, czy Williston wie, co się z nim stało. Napisał jednak wcześniej do Willistona, zwracając mu dziesięć dolarów, których z jakiegoś powodu nie dał Allbeemu. W liście usilnie starał się wyjaśnić swoje stanowisko, i - zdając sobie sprawę, że Williston posądza go o skłonność do przesady - złożył bardzo ostrożną

401

1 powściągliwą relację z tego, co się wydarzyło. Napisał, że Allbee „usiłował zawrzeć coś w rodzaju paktu samobójczego, nie pytając mnie najpierw o zgodę”. Mógł z powodzeniem dodać: „samemu nie mając zamiaru umierać”. Bo istniały uzasadnione powody, by to podejrzewać. Ale od Willistona nie nadeszła żadna odpowiedź, a Leventhal był zbyt dumny, żeby napisać drugi list; za bardzo wygląda-

26 - Ofiara łoby to na dopraszanie się. Być może Williston sądził, że nie wręczył Allbeemu pieniędzy przez złośliwość. Leventhal dał najwyraźniej, jak mógł, do zrozumienia, że nie miał okazji ich przekazać. „Czy on sądzi, że jestem taki małosłowny?” - zapytał sam siebie z rozżaleniem. Wielokrotnie rozmyślał o wszystkim, co zrobił podczas tamtych wprawiających w zamęt tygodni. Czy nie próbował być w porządku? Czy nie zamierzał mu pomóc? Uważał, że on i All- bee są kwita wedle jakichkolwiek uczciwych standardów. Wielką różnicę zrobiłoby dziesięć dolarów! Z początku był mocno rozdrażniony; później przygotował sobie kilka rzeczy, które miał powiedzieć Willistonowi, gdyby się spotkali. Ale sposobność nie nadarzyła się.

Od czasu do czasu docierały do niego pogłoski o Allbeem. Za każdym razem jednak słyszał je od ludzi, którzy nie znali go osobiście, i nigdy nie mógł być pewien, czy człowiekiem, o którym mówią, rzeczywiście jest Allbee. „Pewien dziennikarz pochodzący z Nowej Anglii, który zaglądał do kieliszka” i tak dalej. W ciągu trzech lat dotarło do niego kilkanaście historii, lecz nie było wśród nich nawet dwóch, które zgadzałyby się ze sobą. Nie próbował sprawdzać żadnej z nich. Chociaż zawsze go interesowały, prawda była taka, że nie chciał wiedzieć dokładnie, gdzie on jest i co robi. Sądził, że nadal się stacza. Być może znajdował się już w zakładzie dla obłąkanych, w jakimś szpitalu albo nawet leżał już na cmentarzu dla biedaków. Leventhal nie miał ochoty myśleć o tym zbyt wiele ani zbyt dosłownie.

Lecz któregoś wieczoru znowu zobaczył All- beego.

Tak się zdarzyło, że pewien antykwariusz, który dostarczył część mebli do sztuki granej na Broadwayu, dał Leventhalowi dwie wejściówki. On nie miał ochoty iść,

ale Mary nalegała. Była w ciąży; za miesiąc spodziewała się dziecka i twierdziła, że przez długi czas będzie uwiązana w domu. Leventhal powiedział, że w teatrze może być bardzo ciepło - był początek czerwca i przedwcześnie zrobiło się upalnie - lecz nie opierał się zbyt mocno. W wieczór przedstawienia przyszedł do domu wcześniej. (Przenieśli się na północny koniec Central Park West, bliżej portorykańskich slumsów niż przyozdobionych herbami markiz na sześćdziesiątych albo siedemdziesiątych ulicach). Podczas kolacji kleiły mu się oczy. Lecz zanim jeszcze skończył deser, Mary zaczęła sprzątać ze stołu. Umył się, ogolił po raz drugi tego dnia i włożył biały wełniany garnitur, wyjąwszy go z szarego papieru, w który został szczelnie zapakowany w pralni chemicznej osiem miesięcy przedtem. Spodnie były trochę za ciasne i za krótkie, bo ostatniej zimy przytył.

Już w metrze było dość gorąco; w teatrze można się było udusić. Leventhal usiadł i cierpliwie znosił sztukę. Generalnie nie przepadał za sztukami teatralnymi, a ta była sentymentalna i nieprawdziwa - skomplikowana historia miłosna w renesansowym pałacu. Trzymał rękę Mary. W jasnym blasku sceny widział kropelki potu na jej czole, pod grubym splotem warkocza i na nosie. Jej skóra wydawała się bardzo czysta i serce pęczyło mu z czułości, gdy patrzył na nią, skupioną na sztuce. Po chwili przeniósł wzrok z powrotem na scenę. Jego ciemna twarz również była wilgotna, a ciasny garnitur już wymięty; kołnierzyk był nasiąknięty potem.

Po pierwszym zapadnięciu kurtyny szybko się

podniósł i poprowadził Mary przez tłum do foyer. Bileter otworzył drzwi wiodące na chodnik i wyszli na zewnątrz. Restauracja przylegająca do teatru zapełniała się ludźmi. Leventhal i Mary zapalili papierosa i patrzyli na ulicę i w górę na blask żółtego szkła, przechodzący w iekką mgiełkę. Popołudnie było niemal tropikalne. Spadło kilka dużych kropli deszczu; powietrze było wilgotne, wonne i czarne; czuło się je na sobie niczym miękki ciężar. W sąsiedztwie znajdowały się nocne kluby i restauracje, toteż ruch uliczny był intensywny. Nagle z przeciwnej strony ulicy niebezpiecznie skręciła taksówka, zatrzymując się raptownie i ostro przed teatrem. Z tyłu za nią chrapliwie rozrąbiły się klaksony. Drzwiczki otworzyły się gwałtownie i ktoś pomógł wysiąść z samochodu jakiejś kobiecie. Poczucie dziwności istnienia, które nigdy na długo nie opuszczało Leventhala, ogarnęło go z wielką mocą, gdy w słabym świetle ujrzał nad jej ramieniem twarz towarzyszącego jej mężczyzny. Szklany szyberdach taksówki był odsunięty i w otworze krążył i połyskiwał czubek słomkowego kapelusza. Kobieta zeskoczyła lekko ze stopnia samochodu, jedną ręką przytrzymując na szyi jedwabny szal, a drugą podciągając spódnicę. Smukła i długonoga, szła dość niedbałym krokiem, elegancka, a jednak odrobinę niezgrabna. Pod szalem i na palcach jej rąk połyskiwały klejnoty. W rozproszonym świetle pod markizą pomalowane paznokcie wydawały się fioletowe. Stała plecami do ulicy, poirytowana, trzymając w ręku małą, ciężką, lśniącą torebkę. Mężczyzna z jakiegoś powodu ociągał się z opuszczeniem taksówki.

Mary dotknęła ramienia Leventhala.

- Poznajesz ją? - szepnęła.

Ale Leventhal usiłował dostrzec jej towarzysza.

- Czy to nie Yvonne Crane?

-Kto?

- Ta aktorka.

- Nie wiem - odparł z nieobecny wyrazem twarzy. - Naprawdę?

- Wciąż jest olśniewająco piękna - powiedziała Mary z podziwem. - Jak one to robią, że wciąż wyglądają tak młodo?

Kobieta, poczekawszy chwilę, odwróciła się i powiedziała cicho ostrym tonem:

- No chodź. Wyjdiesz wreszcie stamtąd?

Mężczyzna w taksówce krzyknął kłótliwie:

- Powiół nas okrężną drogą. Czy on myśli, że nie znam miasta? Nie mieszkam tutaj od wczoraj.

Nie pochwycili następnych słów kobiety, ale usłyszeli kierowcę, lakonicznego i pewnego siebie, a potem towarzysza kobiety, wykrzykującego ze śmiechem:

- Nie wciskaj mi pan takich rzeczy... To dobre dla przyjezdnych frajerów.

Kobieta otworzyła torebkę i rzuciła kierowcy banknot.

Usłyszawszy głos, Leventhal był pewien, że mężczyzną jest Allbee, i że zmartwiałą twarzą i niemal przerażonym wzrokiem czekał na jego pojawienie się.

Po chwili Allbee wyszedł na chodnik, mówiąc:

- Nie powinnaś była tego robić.

Taksówka odjechała z telepiącymi się otwartymi drzwiczkami; kierowca, nie zwalniając, sięgnął ręką do

tyłu i zatrzasnął je.

Leventhal mógł z bliska przyjrzeć się Allbeemu, gdy tamtych dwoje wchodziło do teatru. Miał na sobie biały smoking. W klapie marynarki wisiał krzywo przypięty kwiat; Allbee wcisnął kapelusz pod pachę i kroczył naprzód ze sztywno uniesionymi szerokimi ramionami, butny i szarmancki. Jego policzki były czerwone i błyszczące. Śmiał się, pochylony w stronę ładnej, lecz nerwowo ściągniętej twarzy swej towarzyszki. Zdawał się popychać ją figlarnie, choć z ułożenia jej ramion wyraźnie było widać, że nie chce być popychana.

-Jego nie rozpoznaję - rzekła Mary. - Ale jestem pewna, że ona to Yvonne Crane. Sto razy widziałam jej zdjęcie. Nie pamiętasz jej?

Przez cały drugi akt Leventhal oglądał się w stronę łóż. Nie widział nic poza kolorową plamą twarzy w blasku odbitym ze sceny albo, od czasu do czasu, czarnym kształtem głowy pojawiającej się obok kulistej czerwonej lampy przy wyjściu albo przesuwającej swój cień po połyskujących słabo słupkach balustrady. Sądził, że muszą siedzieć w łoży. Kobieta mogła być albo nie być Yvonne Crane, ale prawdopodobnie Mary miała rację. Tak czy inaczej, była bogatą kobietą; również Allbee w smokingu i czarnych spodniach z jedwabnym lampasem robił wrażenie więcej niż umiarkowanie zamożnego. Nie mówiąc już o kwiatku. Wydał się on Leventhalowi na bardzo dziwny sposób oznaką czegoś nadzwyczajnego, barbarzyńskiego, zbytłownego, a nawet dekadencekiego. „Tak, daleko zaszedł” - rozmyślał. „A ta kobieta, kimkolwiek jest, ta kobieta chodzi u niego na pasku”.

Żadna z plotek nie mówiła o tym, że tak dobrze mu się powodzi. „A ja już uznałem go za zmarłego i pochowałem na cmentarzu dla biedaków. Zmarły. Ale pomyśleć tylko!” Wyciągnął chusteczkę z kieszeni na piersi i wytarł szyję i podbródek. W łukach sklepienia rozbłyły światła, sprawiając, że zmrużył oczy i zmarszczył czoło. Kurtyna opadała. Publiczność biła brawo. Nie zauważył, że akt się kończy. Orkiestra zaczęła grać marsza i jeszcze pośpieszniej niż za pierwszym razem pomógł Mary wstać.

Zapalał jej papierosa, rozglądając się wszędzie za Allbeem, gdy nagle, ponad jej głowę, dostrzegł go na schodach. Był sam. Szeroko otwierając oczy, uśmiechnął się do Leventhala i uniósł dłoń ze sztywno rozstawionymi palcami w geście, którego ten nie zrozumiał. Mary mówiła do niego. Zupełnie zdezorientowany, odpowiedział jej coś. Powtórzyła to, co wcześniej powiedziała. Prosiła go o swoją puderniczkę, którą miał w kieszeni. Szła do toalety. Pośpiesznie wyjął puzderko i podał jej. Wyraz jego twarzy najwyraźniej ją zastanowił, bo przed odejściem uważnie mu się przyjrzała.

Gdy mijala Allbeego na schodach, obrzucił on jej brzemiennej figurę badawczym spojrzeniem. Leventhal wyszedł z foyer. Zauważył, że Allbee podchodzi do niego, lecz nie podniósł wzroku, dopóki tamten się nie odezwał.

- Dzień dobry, Leventhal.

Cichy, stłumiony głos, z jego dawnym tonem współnictwa, i wysoka, przytłaczająca postać w białej marynarce wzbudziły jego niepokój.

- Dzień dobry - odparł nerwowo.

- Zauważyłem pana, kiedy wchodziliśmy.

- Nie odniosłem takiego wrażenia.
- Wiedziałem, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli będę się zachowywał jak ktoś zupełnie obcy, więc inicjatywa należy do mnie, a czułbym się jak kompletny głupiec, gdybym z panem nie porozmawiał... Zauważył mnie pan, nieprawdaż?
- Tak.
- I z kim jestem?
- Tę aktorkę? Moja żona ją rozpoznała.
- Ach, pańska żona - rzekł uprzejmie. - Bardzo ładna. Bardzo atrakcyjna, nawet w obecnym stanie. Zaczął się szeroko uśmiechać, ukazując zęby. Pochylił się nieznacznie, z rękami wspartymi na biodrach.
- Gratulacje. Widzę, że przestrzega pan nakazów. „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się”.
- Leventhal odpowiedział suchym, krótkim skinieniem głowy. Nie wydawało mu się, by Allbee naprawdę chciał być złośliwy; po prostu postępował zgodnie z przyzwyczajeniem. Być może podśmiewał się z samego siebie, jak gdyby prosząc o wyrozumiałość. Z bliższej odległości nie wyglądał dobrze. Miał niezdrowy kolor twarzy. Leventhal odnosił wrażenie, że rozkład czegoś - czegoś głęboko osadzonego w jego naturze - skaził zewnętrzny pozór pomyślności. Niemal nic nie poruszało się w pogłębionych zmarszczkach wokół jego oczu. Przywodziły na myśl tkaninę, zmiętą i pozbawioną wyrazu. Czuć było od niego whisky.
- Nie zmienił się pan bardzo - rzekł Allbee.
- To nie ja miałem się tak bardzo zmienić.
- Ach, tamto. Więc uważa pan, że wciąż wyglą-



dam tak samo?

-Wciąż pan pije.

- Od chwili, gdy pana ujrzałem, zastanawiałem się, czy pan o tym wspomni. Pozostał pan wierny sobie. - Uśmiechnął się, ale był nieco urażony. - Nie, piję tylko dla towarzystwa, bo wszyscy inni to robią.

- Sądząc z wyglądu, dobrze się panu powodzi.

- Och - odparł lekko. - Powodzenie to wielkie słowo. Powinno się z nim uważać.

- Czym się pan zajmuje?

-Obecnie towarzyszeniem pannie Crane. Kolumny plotkarskie twierdzą, że jesteśmy przyjaciółmi, kiedy w ogóle raczą o niej wspomnieć. Nie przyciąga już takiej uwagi jak dawniej. Prawdopodobnie pan to wie. Widocznie nie życzy sobie teraz aż tak wielkiego publicznego zainteresowania, bo inaczej pokazywałaby się z kimś bardziej znanym. Ale nie zależy jej na tym. Jest zadowolona, że cała ta profesjonalna wrzawa wokół niej ustała i może żyć spokojniej. Tak naprawdę jest bardzo inteligentną osobą. Oboje jesteśmy trochę zagubieni, tam na Zachodnim Wybrzeżu

Leventhal ponownie skinął głową.

- O tak. Ona jest prawdziwą arystokratką. Jest naprawdę wytworna. Królewska, jeśli pan wie, co mam na myśli. Niektóre z tych kobiet stają się okropne, kiedy ich popularność przygasa. Żyją jak przestępcy. Chcą sobie chyba powetować wszystkie te lata pod okiem opinii publicznej.

- W takim razie... ja również panu gratuluję - mruknął Leventhal.

- Oczywiście nie jest Florą... Moją żoną. - Jego nieprzerwany uśmiech zaprawił odrobiną cynizmu niesłychany, straszliwy ból, jaki pojawił się w jego oczach. Leventhal stwierdził, że nie może się powstrzymać przed odczuwaniem dla niego współczucia. - Ma przymioty...

Jego ostatnie słowa utonęły w ryku taksówek. Leventhalowi nie nasunęło się nic, co mógłby powiedzieć.

- Chcę, żeby pan wiedział jedno - rzekł Allbee. - Tamtej nocy... Chciałem skończyć ze sobą. Nie miałem zamiaru zrobić panu krzywdy. Sądzę, że pan by... Ale nie myślałem o panu. Nawet nie przyszedł mi pan do głowy.

Leventhal zaśmiał się głośno.

-Mógł pan skoczyć do rzeki. Ib komiczne kłamstwo. Po co pan to mówi? Musiał pan to robić w mojej kuchni?

Allbee rozejrzał się niespokojnie. Zatoki wcinające się w jego sykie jasne włosy zrobiły się ciemnoczerwone.

- Nie - odparł ze skruchą. - No, tak czy owak, nie pamiętam, jak to było. Musiałem postradać rozum. Kiedy człowiek zwraca się przeciwko sobie, również nikt inny nic dla niego nie znaczy.

Z wyrazem gorzkiego zawstydzienia i autoironii na twarzy pochwycił dłoń Leventhala i ścisnął ją.

- Chcę jednak powiedzieć, że coś panu zawdzięczam. Chciałem to dać do zrozumienia, mówiąc o tym, że próbowałem zabić tylko siebie. - Mówił z wielkim trudem. - Nie chcę przesadzać, ale nie chcę tego również bagatelizować. Wiem, że coś panu zawdzięczam.

Zrozumiałem to tamtego wieczora, kiedy stałem pod

pańskim prysznicem...

Leventhal cofnął dłoń.

- Co pan robi na Zachodzie? Jest pan aktorem?

- Aktorem? Nie, pracuję w radiu. W reklamie. To posada średniego szczebla. Widzi pan zatem? Pogodziłem się z istniejącym stanem rzeczy. Zsiadłem z konika... pamięta pan, powiedziałem to panu kiedyś? Jadę pociągiem.

- Jako kierownik?

- Kierownik, akurat! Jestem tylko pasażerem. -

Zaśmiał się krótko i słabo. - Nawet nie w pierwszej klasie. Nie jestem typem człowieka, który zawiaduje rzeczami. Nigdy nie mógłbym nim być. Już dawno zdałem sobie z tego sprawę. Jestem typem, który dochodzi do ładu z tym, kto zawiaduje rzeczami. Jakże to ma dla mnie znaczenie? Świat nie został stworzony dokładnie dla mnie. Co mogę na to poradzić?

- No właśnie, co? - Leventhal uśmiechnął się do niego.

- Będzie musiało mi wystarczyć, że został stworzony mniej więcej dla mnie. Cała ta sztywność z dawnych czasów, to minęło, minęło.

Publiczność zaczęła powracać. Chwilę wcześniej rozległ się dzwonek.

- Tak czy owak, cieszę się życiem. - Nagle rozejrzał się i powiedział: - No, muszę uciekać. Inaczej Yvonne każe mnie szukać.

- Niech pan zaczeka. Kto według pana zawiaduje rzeczami? - zapytał Leventhal. Ale usłyszał za plecami głos Mary. Allbee wbiegł do środka i popędził w górę po

schodach. Dzwonek nadal brzęczał. Leventhal i Mary byli jeszcze w przejściu, gdy na widowni zgasły światła. Bileter zaprowadził ich na miejsca.